DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba
Kto chce syt być swego chleba.

Tom XIII.

LWÓW,
Nakład i druk E. Winiarza.
1865.

SPIS RZECZY

zawartych w Tomie XIII.

I. Żywoty świętych, legendy i rozmaite historye święte.

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej.

III. Wiersze.

IV. Piękne przykłady.

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki.

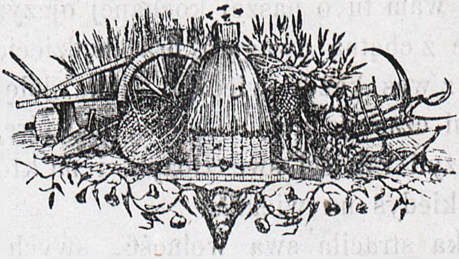
VI. Różności.

Tom XIII. **Nr. 1.**

1. lipca **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Polska po swym upadku.

I. O Napoleonie, o legionach polskich i o jenerale Dąbrowskim.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, mili bracia rolnicy! Czas płynie jak woda, a czy to w szczęściu czy niedoli jednako mija dla ludzi. Oto już właśnie tego roku 70 lat calutkich minęło, jak Austrja, Prusy i Moskwa rozdzielili po raz trzeci pomiędzy siebie Polskę, tak że już z niej ani kęsa ziemi nie zostało swojego. Rozpowiedzieliśmy wam już o wszystkich królach polskich, jak który po sobie następował, co każdy z nich zrobił dla ojczyzny naszej miłej i jaki był dla Polaków, wypisaliśmy wam jak to ostatni król polski Stanisław August zgubił Polskę i zaprzedał ją w obce ręce, jak się dzielnie jeszcze potem bili Polacy za swoją ziemię, jak pan naczelnik Kościuszko gromił Moskwę z kosynierami, ale w końcu musiał uledz okrutnej przemocy i dostał się w ręce moskiewskie, jak potem Moskale pod okrutnikiem Suwarowem, swym jenerałem, mordowali w Warszawie, i jak też w końcu samym, aż się serce krwawi na samo wspomnienie, w roku 1795, dnia 26 kwietnia resztkę Polski rozebrali sąsiedzi pomiędzy siebie!...

Otóż teraz, kochani bracia, opowiadać wam będziemy, co się działo w Polsce po jej upadku. Mamy zaś nadzieję, że wszystko to, co wam tu o naszej kochanej ojczyźnie wypiszemy, czytać będziecie z chętną uwagą i brać będziecie sobie do serca jej dzieje, aby z was każdy wiedział, jaką dolę i niedolę przechodziła różnemi czasy ta ziemia święta, na której jego dziadowie i pradziadowie żyli i kości swe złożyli, i na której każdy z nas także spocznie kiedyś na wieki!...

Choć Polska straciła swą wolność, swych królów i swój rząd własny, to przecież nie zginęła jeszcze i nie zginie nigdy, skoro kochać ją będziemy w cnocie i wzajemnej miłości, bo Pan Bóg nie dopuszcza, aby narody marnie ginęły ze świata! To też po ostatnim rozbiorze Polski, choć w niejednem nieszczęściu i nie pod jedną klęską, Polacy zostali Polakami — a Pan Bóg chociaż Polskę pokarał, to ją przecież nie opuścił na zawsze. Pokarał Pan Bóg Polskę, ale jeszcze srożej pokarał tych ludzi, co ją zdradzili haniebnie, choć sami byli Polakami.

Wymierali ci zdrajcy powoli, a sumienie ich srodze dręczyło. Adam Poniński, co przy pierwszym rozbiorze zaprzedał Polskę Moskalom, potłukując się z kąta w kąt, umarł w Warszawie u swego dawnego sługi za piecem, który mu z miłosierdzia od czasu do czasu łyżkę strawy podał. Insi ludzie ze zgrozą odwracali się od Ponińskiego, a nawet nieprzyjaciele Polski, jak im się już na nic nie zdał, gardzili nim i grosza mu na życie nie dali. Branicki, co w Targowicy zdradził ojczyznę, spijał się jak niestworzenie, a po pijanemu rwał się do szabli i rąbał Moskali, za co po trzeźwemu suto im złotem sypał. Umarł wśród takiego opilstwa między Moskalami. Jego kamrat podły, Szczęsny Potocki, nigdzie pokoju znaleźć nie mógł, dostał też mankolji z której umarł, a powiadają iż mu to ztąd przyszło, że raz z daleka usłyszał jak lud ruski w jego własnej wsi spiewał piosneczkę, która się zaczynała:

> Panie Potocki, Wojewódzki synu,
> Zaprzedałeś Polszczę, Litwę, Ukrainę.

Kościuszkę car moskiewski kazał wypuścić i darował mu wiele pieniędzy. Ale skoro jeno Kościuszko był za moskiewskim krajem, odesłał mu te pieniądze nazad, nie chcąc plamić swoich

przeczystych rąk tym groszem. Pojechał do Ameryki, gdzie go z otwartem sercem przyjęli i prosili, aby przyjął majątek za przysługę, którą oddał ich ojczyźnie. Przyjął Kościuszko ten dar od wolnego ludu. Ale nie był to już ten dawny Kościuszko, młody i wesoły, jeno smutny i strapiony po stracie drogiej ojczyzny, wszędzie mu ciężko i tęskno było. Jeździł więc z miejsca na miejsce, aż przyjechał do Szwajcarji i tam osiadł.

Tymczasem Polacy nie przestali kochać swej Ojczyzny i pracować dla jej wybawienia. Wszyscy jeno myśleli a myśleli, jakby to jej pomódz w upadku. Zaczęli się więc jedni skupiać na Turecczyźnie ku polskiej granicy, aby jak czas po temu będzie, zbrojno wejść do kraju. Zebrało ich się tam do 3 tysięcy. Inni znowu przedzierali się do Francyi, gdzie była pod ten czas wielka rewolucja, a Francuzi swego własnego króla z tronu zrzucili i stracili. Z tej przyczyny inni królowie wydali wojnę Francuzom, a Francuzi zaś, aby mieć dobrą pomoc, pozwolili Polakom zbierać się z bronią w ręku, i te polskie wojska nazywały się legjonami. Francuzi bili się wtedy z Austrjakami we Włoszech, a dowodził tam nad nimi jenerał Napoleon Bonaparte, który później został sławnym cesarzem francuzkim.

Owoż kiedy się to dzieje, zaczęło się zbierać wojsko polskie nazwane legjonami. Właśnie Prusacy wypuścili z więzienia polskiego jenerała Henryka Dąbrowskiego. Sam król pruski miał wielką ochotę żeby on został w jego wojsku, i mówił Dąbrowskiemu: „Nie masz teraz Ojczyzny, to służ u mnie". Dąbrowski mu na to: „Dobrze! Ale niech będzie 30 tysięcy polskiego wojska!" Król pruski się skrzywił, a Dąbrowski nie mając już za czem czekać, ruszył do Paryża. Bardzo nim się tam Polacy ucieszyli i kazali jechać do Włoch do jenerała Napoleona, żeby się z nim naradził o to wojsko polskie, i żeby nad tem wojskiem został jenerałem.

Zajechał Dąbrowski szczęśliwie do Włoch, a zaraz też wojsko polskie zaczęło się koło niego zbierać, a miało na swoich chorągwiach polskie orły z napisem: „Ludzie wolni są sobie braćmi".

Zebrało się to wojsko polskie na same trzy króle 1797., a zatem przeszło w dwa lata po wojnie kościuszkowskiej. Zbie-

gali się do legjonów Polacy ze stron wszystkich. Zaraz też prawie było pięć tysięcy żołnierza, a w niedługim czasie przyrosło go do ośm tysięcy. Znalazł się też i jenerał Wyszkowski, co nie chciał przysięgać Moskwie, i bił się przez długie lata dzielnie w legjonach, aż nakoniec poległ, a imię jego po dziś dzień ludzie ze czcią powtarzają.

Wysłano też zaraz legjony na wojnę, bili Polacy jak Bóg przykazał, aniby spisał wszystkich miast i fortec, co naodbierali, ą zawsze sobie myśleli: że jak oni teraz Francuzom, to potem Francuzi im dopomogą. Ale jakoś wojna się przeciągała, Polakom się do Ojczyzny dłużyło, więc Dąbrowski powiada jenerałowi Napoleonowi, że Polacy chcą się podemknąć pod granicę i przerznąć do Polski. Napoleonowi niekoniecznie to było na rękę, już to, że mu było żal stracić tak bitnego żołnierza, a gdyby do Polski puścili Dąbrowskiego toby się wojna jeszcze przeciągnęła. Odpowiedział więc Napoleon, żeby jeszcze Polacy cierpliwie poczekali, że przecież przyjdzie kolej i na ich Ojczyznę, ale teraz jeszcze nie czas i Polacy bardziejby sobie tem zaszkodzili, niż dopomogli.

Źle się też powodziło i Polakom na Turecczyźnie, wpadli oni do Polski, ale ich tam zaraz wygnali, a od tego czasu tak Moskal nastawał na nich u cesarza tureckiego, że ten im nakazał opuścić swoje kraje. Wszyscy też poszli do legionów, gdzie po tylu bitwach niemało żołnierzy ubyło, bo Francuzi wojowali wtedy po wszystkich końcach świata, a nawet tam za morzem w Egipcie, dokąd to uchodził św. Józef z Najświętszą Panną i dzieciątkiem Jezus przed okrucieństwem Heroda. Wysłali oni tam okrętami wojsko pod jenerałem Napoleonem, a jak tylko Austryacy nie czuli Napoleona we Włoszech, to zaraz zgromadzili wojska co mogli i poczęli bić Francuzów. Polacy prawie wszędzie szli na pierwszy ogień, ginęli też nie raz tysiącami, jak to było pod miastem Magnana, gdzie jednego dnia poległo Polaków do dwóch tysięcy. Znosili jednak wszystko ochotnie, spodziewając się, że jak oni swoją krwią okupują wolność obcych narodów, tak przecież te narody kiedyś przyjdą na pomoc znowu ich ojczyźnie. Umierali więc Polacy na

włoskiej ziemi z gorącej miłości ku ziemi polskiej. Wtenczas to zaczęły legiony spiewać tę śliczną piosneczkę:

Marsz, marsz Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Roku 1799 Francuzom bez Napoleona, który jeszcze wojował w Egipcie, szło bardzo ciężko, bo znowu wszyscy królowie wielkie wojsko zgromadzili i prowadzili na Francję. Wyprawił też na nich swoje wojska i car moskiewski pod owym okrutnym Suwarowem, co wyrznął Pragę, i z nim bili się Polacy na włoskiej ziemi po wiele razy. Padali Moskale od polskich kul jak muchy, bo gdzie jeno nasi ich spotkali, bili się do upadłego. Widząc to francuzcy jenerałowie, nie mogli się Polaków dosyć nachwalić, stawiali ich za przykład swoim żołnierzom i mówili: jak się to stało, żeście waszej Polski nie wybili? Ale żołnierz polski bywał w boju nieledwie codziennie, ubywało go więc niemało i zaledwie połowa z legionów została. A do tego doskwierała im też i nędza, gdyż nie mieli ani żywności ani odzieży jak należy, bo Francuzi nie płacili im ze swego skarbu żołdu, że to do ich wojska nie należeli. Włochowie dawali im póki mogli, ale potem kraj zniszczony wojną nie miał i czem płacić.

Powrócił nareszcie jenerał Napoleon z Egiptu, zaraz też Dąbrowski ruszył do Paryża. Przyjęli Francuzi tak odważnego i mądrego jenerała, jak Dąbrowski, z wielką czcią i wzięli wszystkich Polaków na swój żołd. Poszło więc reszta legionów do Francyi, a przyrosło ich znowu z Polaków, co przyszli z moskiewskiem i austryackiem wojskiem do Włoch.

Od roku 1800 legiony polskie Francuzi uważali za swoje wojsko, i ani chcieli słuchać, żeby legiony na swoją rękę wojnę w Polsce rozpoczynały. Polacy znieśli i to w nadziei, że Francuzi za tyle krwi przelanej raz przecież pomyślą o uwolnieniu ich ojczyzny.

Jenerał Napoleon zaledwie zdążył zebrać 40 tysięcy wojska i z tem wyruszył do Włoch, gdzie stało nieprzyjacielskiego 300 tysięcy, ale Napoleon nie pytał: wielu ich tam, jeno gdzie

są. Nie wyszło też i miesiąca, już zbił wszystkich na miazgę. Potem napisał warunki pokoju, na które co prędzej przystali. Na to wszystko serce Polakom z żałości się krajało, bo o ich nieszczęśliwej Ojczyźnie, ani słówka, choć polska krew jeszcze się obok francuzkiej kurzyła.

Zmiarkowali to Francuzi ten żal Polaków, i bojąc się, aby sobie sami nie wymierzyli sprawiedliwości, porozdzielali ich w rozmaite strony świata. A tak jednych zatrzymali we Francyi, drugich posłali do Włoch, a trzecich na jednę bardzo daleką wyspę na morzu, co się nazywa San Domingo, czyli wyspa św. Dominika. Kazali im się tam bić z Murzynami. Ale że na tej wyspie tak gorąco, jak w piecu od chleba, więc kto się tam nie urodził, to mu ciężko i wyżyć, dla tego też z tych kilku tysięcy Polaków, co tam posłali, ledwie setny wrócił. Oj szafowali tą krwią polską Francuzi, że jak człowiek rozpomni, to doprawdy mógłby im nię darować!

Spiewka,

jak się lud krakowski wybierał z panem naczelnikiem Kościuszką na wojnę.

Ułożył Teofil Lenartowicz.

Nie przemienić co minęło, nie wydrzeć z pamięci,
Choćby człowiek rad zapomnieć, wraca mimo chęci.
Tyle czasu przeminęło, mój ty mocny Boże!
Pług zaorał ludzkie kości a serca nie może...
Cud prawdziwy, wstają dziwy, podnoszą się z ziemi,
I to słońce Racławickie świeci się nad niemi.
Jak przed laty jasno, krasno, w polu uroczyście,
Wyrastają dawne czasy, jak wiosenne liście.

Młoda wiosna niesie krosna, świeżą trawę miekką,
Konwalije i lilije dzierzga złotą ręką;
Ciepły wietrzyk jej pomaga, wiejąc od zachodu,
Kwiat się wdzięczy, pszczoła brzęczy, będzież, będzie miodu!
Woda wzbiera, radość szczera w piersi ludzkie wchodzi;
Przez mokrzydły biało skrzydły nasz gospodarz brodzi.
Coś to będzie, coś to będzie, prosty naród gwarzy;
Wcześnie lato zawitało, może Bóg co zdarzy.

Jędrzej stary, bardzo stary, co po nocach siada,
I wciąż slucha zkąd wiatr dmucha, znów o Polsce gada.
Coś go dręczy jakby zmora zrana do wieczora,
O północy budzi ludzi, do wstawania pora!...
Przez trzy lata nic nie prawił, barciami się bawił,
Teraz barcie pozostawił, a kosę oprawił.
Gdy młódź pląsa, dziad potrząsa głową siwowłosą,
I niemiaszy wzrokiem straszy, biały jak śmierć z kosą.
Bąki bębnią w rokicinie, z góry woda płynie,
A staremu śni się w głowie, że bębnią w dąbrowie.
Na krzyk ptasi woła Basi, w polu zaśpiewanej:
— Słuchaj jeno, pono nasi biją w tarabany.
Nikt nie wierzy ojcu zrzędzie, w kraju cicho wszędzie;
Przecież serca przytakują, jednak coś to będzie,
Bo co dziecko się urodzi — krakowiaczek czysty;
Bo co owca się okoci — baranek wełnisty.
A na cóż się chłopcy radzą, jeśli nie na wojnę?
Z taką rzeczą po wsi chodzą kumy niespokojne.
I tak dzień po dniu przemija, słońce się wybija:
A czy ujrzy oko czyje, jak się kraj wybije?
Może też to wszystko baśnie, ludzkie mowy próżne,
Złote baśnie dziecię plecie, jak to kwiecie różne...

Oj! nie wszystko próżne mary, co się człeku marzy,
Przypłynęły trzy galary krakowskich węglarzy,
Przypłynęły trzy galary, na nich ludzie czarni,
Lecz gdy w sercu twym nie czarno, k'sobie ich przygarnij.
Przypłynęli z dobrą wieścią, jak bociany z wiosną,
A ludzie się przysłuchują, aż im serca rosną.
I porosły im tak serca, że aż pierś rozparły,
Rade by już wyskoczyły, rade się wydarły.
Nad obszarem, rankiem szarym wchodzi jasna zorza:
Zorza wschodzi z po za świata, Kościuszko z za morza.
Ptak szczebiota, zorza złota pobudziła ptaki,
A Kościuszko budzi ludzi, krakowskie wieśniaki.
I było tam ludu wiele przed panną Maryją,
Trąby grają, serca tają, straże w bębny biją;
A pośrodkiem z licem słodkiem, jak chłopek pośledni,
Polak dzielny, wódz naczelny, za nim ludzie biedni.

I przystanął przed kościołem i przysiągł się Bogu,
Że nam wszystkie krzywdy nasze odbije na wrogu.
Przysięgli mu posłuszeństwo na tę Bożą mękę,
Wszyscy zgodnie na starszeństwo wyciągnęli rękę.

Podpisali Krakowiany, radne pany stare,
I chłopi się zapisali krzyżem na ofiarę.

I zadzwonił na Wawelu stary Zygmunt z wieży;
Niewstrzymany, rozmachany głos po kraju bieży.
Rosi, rosi, wiatr roznosi radość niepojętą;
Dzwon potężny, lud przysiężny, w Polsce wielkie święto.
Bodajże was, bodaj, bodaj, węglarze! węglarze!
Za to z wami Krakowianka potańcuje w parze.
Serce bije niecierpliwie, to groźno, to rzewnie,
Lada ranie, na powstanie przyjdzie rozkaz pewnie.
Alboż nam to na pańszczyznę, albo na odrobek,
Wszak to bracia za ojczyznę! woła ojciec Sobek.
Posprzedajmy woły z wozem, sprzęty i poduszki,
A ruszajmy za obozem naszego Kościuszki.

Kowalczyki ognia krzeszą, aż się djabli cieszą;
Przyciągnęli wóz okuty ze starą lemieszą.
Takiej pracy, Krakowiacy, Polska nie pamięta;
Kowal kuje, nie żartuje, kują kowalęta.
Szyna szczęka, gnie się, pęka, kowale się pocą,
Co rozpalą, ciągną, walą, młotami łomocą:
Łupu cupu, raz po razie, pot zalewa oczy.
To młot grzmotnie po żelazie, to iskra odskoczy.
Przez dzień cały biją młoty, odpowiada błonie;
Jedni kują kosy, groty, drudzy kują konie.
Gospodarskie konie dziarskie od wozu odprzęgli,
A węglarze noszą wory laryszowskich węgli.

Hej bocianie, ty bocianie, ty moja pociecho!
Stoisz ci ty dumający, nad wieśniaczą strzechą;
Stoisz ci ty, ptaku miły, od zrana do zmierzchu,
Powiedz że mi, przyjacielu, co tam widać z wierzchu?
Mądry Bociek myśli dociekł, wejrzał na wsze strony.
Zmrużył oko, i szeroko rozwarł dziób czerwony,
Gardło wygiął z całej siły i począł kołatać,
Aż się wzięli wszyscy ludzie i bociany zlatać:
Maszeruje polskie wojsko prosto do wiatraku,
Czerwienią się chłopskie czapki, jakby nasiał maku.
Jedzie, jedzie nasz Kościuszko, pod nim konik siwy;
Co naczelnik, to naczelnik, to już nasz prawdziwy.
Polska dusza w polskiem ciele i w polskiej sukmanie,
Jedzie, wiedzie na Moskali krakowskie powstanie.

A lud za nim z przyśpiewaniem jak pszczoły za matką,
Nie założy chłopu drogi już żadną rogatką.
Na wojenkę kosa w rękę, kobiałka przez ramię,
A na piersi w imie Ojca przenajświętsze znamię.
I niech teraz deszcze leją, niechaj sypią grady,
Chłopi grzmocą, dniem i nocą, bo już nie ma rady.
Nikt nie zgadnie co przypadnie, siła ludu padnie;
Czyja kosa nie tknie prosa, co mu wschodzi ładnie.
Nikt kalectwa nie nagrodzi, ni wieku niedoli,
Tylkoć że to za ojczyznę i rana nie boli,
I to szczudło nie zaciąży i torba dziadowska,
Kto wziął rany, ten kochany, na tym ręka boska!

Buty Sobka Bzdręgi.

Zdarzenia prawdziwe.

W miasteczku, niedaleko Częstochowy, był jarmark w wigilią św. Michała, wielki jarmark, bo kto mógł to na nim w zimowe opatrywał się potrzeby. To też i wiele tam zawsze kożuchów, butów i ciepłych czapek nasprzedawano.

Na ten jarmark św. Michała wybrał się więc i Sebastyan Bzdręga. Kożuch miał doskonały jeszcze od przeszłej zimy, a czapkę kupiła mu żona w Częstochowie już przed tygodniem, ależ potrzebował butów.

Rynek i bliższe ulice natłoczone były ludem, a i czapki moskiewskie uwijały się tu i owdzie: mizerne żołnierzyska, po większej części wzrostu małego, chude, czarniawe i brudne. A jeno im tak ślepie latały, ażeby co ukraść. Biedne to stworzenie, mój Boże! Zmizerowane, zgłodniałe, a pędzone z zmiejsca na miejsce jak bydlęta. Ale są i wielkie filuty pomiędzy nimi, byle tylko co porwać: kradzież u nich nie jest grzechem.

Bzdręga wybrał sobie buty z doskonałej skóry juchtowej, wysokie aż po kolana, dostatnie, z podeszwami prawie na palec grubemi Musiał też za nie zapłacić złotych czternaście i pół. Ale dał je chętnie, bo nigdy jeszcze tak dobrego nie miał obuwia. Wzuł je też zaraz i paradował w nich po mieście, zawiesiwszy stare na ręce, związane kawałkiem postronka. Wstąpił potem

z kumem Jadamem Sroką na lampeczkę do Dylewicza szynku na rogu, i poczęstowawszy się doskonałą anyżówką, zakąsiwszy kołaczem i wędzoną kiełbasą z czosnkiem, uściskali się i ucałowali, pospiewali sobie nawet trochę, bo Bzdręga miał się ku domowi: by jego kobieta nie krzyczała na niego, że się za długo wałęsał. Jadam wszelako jeszcze sobie na ławie zasiadł, bo i kum drugi znalazł się zaraz.

Szedł sobie Bzdręga przez ulicę podspiewując chwilami i machając sękowatym, bo na sercu wesoło mu było, zwłaszcza też, gdy sobie spojrzał na nogi i na równe popatrzał buty.

Za nim szło dwóch szarków moskiewskich i chciwie także patrzali się na one buty, czyniąc sobie znaki jakieś.

Bzdręga wyszedł z miasta i skręcił ze żwirówki ku wiosce swojej. Słonko też już miało się ku zachodowi.

Widać wszelako było, że musiał przynajmniej jednę lampeczkę jeżeli nie dwie za nadto wychylić u Dylewicza na rogu, bo mu coś tam ociężała głowa i niby senno mu było. Dochodził też właśnie do jakiegoś folwarku: za stodołą zieleniała murawa, gęsto gdyby puch, stało i wierzb pare i krzewiny tarniowe, a żywej stwory nigdzie nie ujrzał, to więc rzucił kij sękowaty, położył się na mięciuchnej murawie poza tarniną, a stare buty podetknął sobie pod głowę. Chciał przedrzemnąć się trochę, zamknął oczy, ale jakoś sen nie przychodził. Po chwili nadeszło dwoch Moskali. Bzdręga zerknął na nich, ale udawał że spi. Jeden z nich trzymał garnuszek w ręku, drugi niósł rydel. Gadali coś tam pocichu. Pierwszy wskazał drugiemu kamień pod wierzbą, a drugi przykiwnął głową, odwalił kamień i kopać zaczął. Pierwszy brzękał czemś w garnku i liczył.

Bzdręga zerknął, że aż głowę trochę podniósł: szarek liczył pieniądze! Oj, psia wiara, znać je ukradł komuś na jarmarku.

Wtem ten który kopał, obejrzał się jakoś i zobaczył leżącego za krzakami chłopa. Wskazał go drugiemu i szeptać sobie poczęli. Mówili po moskiewsku, ale Bzdręga wszelako ile dosłyszał, tyle i zrozumiał, bo już nieraz ich nasłuchał się mowy.

— On spi — wymówił jeden.

— Kto to wie! Może tylko udaje. A nużby nie spał i widział...

— Spróbujmy.

— A jak?

— Budźmy go. A jeżeli się obudzi, to my w nogi, i zakopiemy gdzieindzie.

— Schowaj no tymczasem dzięgi.

Bzdrędze aż ślina szła do gęby.

Przysunęli się do niego. Zaczęli krząkać, kaszleć, ten pociągnie go za rękę, ten potrąci o nogę — ale Bzdręga powiedział sobie: „Nie głupim!“ — i spi, jak za najlepszych czasów.

— On pewnie spi — wymówił znowu jeden.

Bzdręga zachrapał troszkę.

— Ale kto wie! I okradłby nas potem.

— To ściągnijmy mu buty, a jeżeli się nie zbudzi, to niechże sobie spi, a my dalej do roboty.

Bzdręga spał jak zarznięty. Szarki przyklękli i pochwycili go za nogi.

Bzdręga ani drgnął — a śmiał się w duszy.

— Dalej! Nu! — jeden ściągnął jeden, a drugi but drugi.

Bzdręga spał niby smacznie.

— Połóż buciska. Idźmy!

Słyszał, że coś tam jeszcze szeptali, a potem odeszli.

Po chwili Bzdręga otwiera oczy i zerka ku wierzbie i szarków nie było. Podnosi się — patrzy — nigdzie nie masz nikogo. Patrzy gdzie buty? — a butów nie masz! — Porywa się na równe nogi, biegnie, woła, krzyczy, przeklina — Ho, ho! Szarki z butami już, Bóg wie, gdzie!

Na świeżej murawie leżało tylko stare garnczysko i skorup parę.

Bzdręga zaklął wszystkimi wciurnastami — ale i cóż było robić? co począć? Gdzież było szukać złodziei? Gdzie na nich sprawiedliwości?!

Pokiwał głową — i aż zabeczał nad stratą doskonałych butów, które go kosztowały czternaści złotych i pół! Wciągnął stare buciska, i jak zmyty polazł do domu.

Oj nieszczęsne, nieszczęsneż były te lampeczki u Dylewicza na rogu! *P. Wil.*

O polepszeniu łąk.

Łąki wydające obfity sprzęt dobrego siana są prawdziwym skarbem w gospodarstwie. Łąki po dolinach, nad rzekami, strumieniami i jeziorami są obfitem źródłem do utrzymania bydła w pomyślnym stanie. Łąki po wyżinach i pagórkach mniejszy pożytek wydają. Suche łąki lepiej pod pług przeznaczyć a na polu założyć trwałe łąki z koniczyny i trawy mieszanej. Z polepszeniem gospodarstwa polnego powinno koniecznie polepszenie łąk ściśle być połączone. Lecz przypatrzywszy się zblizka, jak daleko włościanie przez ulepszenie i pielęgnowanie doprowadzili swoje łąki, tedy z boleścią wyznać trzeba, że we wielu miejscach nic nie uczynili dla tak ważnej i niezbędnie potrzebnej gałęzi gospodarskiej. Wiele łąk widziałem w tak korzystnem położeniu, że gdyby właściciele mało wydatku i cokolwiek ręcznej pracy poświęcili, uzyskaliby wybore łąki, a przecież tego dotąd nie uczynili. Często woda znajduje się blisko i służyć może do zraszania lub oblewania łąk, więc wyprowadzeniem jednego rowu łąkaby się bardzo znacznie polepszyła. Położenie łąki powinno być takie, żeby trawa na niej miała dostateczną wilgoć, choćby deszcze nie padały i rosy brakowało. Łąka powinna być równa w całej rozciągłości, bo na taką słońce pomyślnie działa i sprzęt siana wygodnie się odbywa. Jeżeli brak wilgoci, tedy łąka powinna według potrzeby dać się oblać wodą i znowu osuszyć przez jej spuszczenie. Dobra łąka powinna mieć takie położenie, żeby zbyteczna woda, jak przybyła tak też odpłynąć mogła. Jeżeli łąka nie ma takiego położenia, to powinna mieć spód przepuszczalny, a skoro tego nie masz, tedy przez bicie rowów trzeba tej niedogodności zaradzić. Wolne wzbieranie wody na łąkach i wolne opadanie jej jest ważnym przymiotem dobrych łąk. Na dobrej łące nie powinny się znajdywać: kamienie, krzaki, mech, chwasty i rośliny trujące; również kępy, mrowiska, kretowiny i doły. Na dobrej łące powinny wszystkie rośliny równo rosnąć i w jednym czasie kwitnąć. Na dobrej łące powinna rosnąć trawa wierzchnia, to jest taka, która ma źdźbła kolankowate jak na przykład tymoteuszka, piernata i t. p. i trawa dolna, to jest taka,

która ma wiele drobnych listków jak np. wyka ptasia, nostrzyk pospolity itd. Natenczas sprzęt dobrego siana może być bardzo obfity. Żeby powiększyć sprzęt siana, należy łąki gnoić kompostem i popiołem. Najtańszym gnojem na łąki jest niezawodnie woda, a oraz jest najskuteczniejszą do ulepszenia i pomnożenia trawy, szczególniej, gdy ze sobą sprowadza wiele części mierzwiących; lecz szkodliwą być może wtenczas, jeżeli się jej nie roztropnie użyje. Dlatego bicie rowów tak urządzić trzeba, żeby najbliższą drogą sprowadzić wodę na łąki do oblewania, lub zraszania, i znowu przy spuszczeniu jak najbliższą drogą odprowadzić. Lecz wprzódy trzeba łąkę do tego przysposobić, to jest wszystkie górki zniżyć i kotliny wyrównać, bo w takich zbiera się woda i trawa wygnije, a rosnąć będzie sitowie, zaś na górkach wyschnie, dla braku wilgoci. Na wyniosłych miejscach zerzyna się darna, odkłada na bok, a ziemię zwozi się w dołki, udepce mocno i znowu zerzniętą darnę kładzie się na miejsca gołe. Kretowiny stare, kępy i mrowiska zbierają się łopatą, nim trawa rosnąć zacznie. Obwodnianie łąk wydaje wielkie i pewne korzyści, które powinny gospodarzy zachęcić do większego rozpowszechnienia takiego ulepszenia, niż się to dotąd uczyniło. Obwodnianiem łąk tępi się wiele szkodliwych zwierząt jak: myszy, kretów, pondraków i mrówek, jako też mchu i chwastów lubiących suchość. Każdy gospodarz powinien swoje łąki ulepszać, do czego posłuży mu czas późnej jesieni, lub zimowy, o ile powietrze jest sprzyjające, bo w tym czasie najmniej potrzeba w gospodarstwie ręcznej pracy.

Jak wasze łąki zrównacie i odpowiedniemi rowami zaopatrzycie, a wody będzie w pobliżu podostatkiem, tedy będziecie mogli małą ilością wody łąki oblewać, co się zowie zraszaniem. Zrasznie łąk jest to najwyborniejszy sposób dla gospodarza, gdyż nie troszczy się o wpływ powietrza, nie oczekuje w czasie posuchy deszczu, bo jest w jego mocy trawę otrzeźwić mokrością w tej chwili, kiedy największy skwar dopieka. Zraszaniem najnieurodzajniejszą łąkę można na żyzną zamienić. Na wiosnę rychło można zacząć zraszać łąki wtenczas, kiedy przypływająca woda zawiera wiele gnojnych części. Jednakowoż po odtajaniu mrozów sucho otrzymują się łąki, a rozpoczyna się zraszanie

jak już ciepło i trawa rosnąć zaczyna. Jeżeli jest zimno i wiatry panują, trzeba się wstrzymać od tej roboty. Latem zraszają się łąki tak, żeby trawa miała dostateczne ciepło i wilgoć. Jeżeli zaś jest czas wilgotny, tem mniej, a im większa susza panuje, tem częściej zraszać trzeba. Jeżeli deszcze padają, wcale się nie zrasza. Nagła odmiana ciepła i zimna szkodzi trawie, więc też nie należy podczas wielkiego upału wody, ani wpuścić ani spuszczać, tylko pod wieczór, lub rychło rano. Na dwa tygodnie przed koszeniem łąk ustaje zraszanie. Po sprzęcie siana za dwa tygodnie znowu się rozpocznie, które należy popowtarzać, aż do sprzętu potrawu. Jeżeli na łące rośnie wiele rozmaitej koniczyny, nie trzeba długo wody na niej zostawiać, żeby ze zbytniej mokrości nie wymarnowała się. Jeżeli spód łąki jest piaszczysty, lub pulchny a tem samem przepuszczalny, można łąkę taką dłużej trzymać pod wodą, aniżeli gdy grunt jest spoisty. Jeżeli powietrze jest wilgotne, można wstrzymać zraszanie. Im mniejszy mają łąki spadek, tem króciej powinna woda się trzymać na nich. Bezprzestannie nie można łąk zraszać, lecz trzeba je też sucho pozostawiać, gdyż potem nowe zroszenie tem lepiej skutkuje. Jeżeli zraszanie ma być pożyteczne, powinno się tak odbywać, żeby cała łąka równo była wodą oblana. Łąki kwaśne zamulone można mocniej wodą oblać, gdyż ona wypłócze zgniłą wilgoć i wytępi mech.

Drugi sposób ulepszania łąk jest zalewanie wodą na dłuższy czas. Tak jak już powiedziane o przysposobieniu łąk do zraszania, tak też i do tego powinny mieć płaszczyznę równą, jako też rowy i śluzy. To urządzenie powinno być takie, żeby nietylko woda zalała całą łąkę, lecz także, żeby potem z łatwością spuścić ją można. Tego sposobu zalewania łąk używa się na jesień, albo tylko na wiosnę, skoro mrozy rozpuszczą, a woda wtenczas dopiero spuści się czyli odprowadzi, jak już trawa rosnąć zacznie i przymrozków nie spodziewamy się. Jeżeli później mają się łąki zalać, tedy wodę na nich krótko trzymać wypada. — Podając te pożyteczne uwagi dla wieśniaków, pomyślałem sobie, że mało będzie takich, którzy uznają prawdę tego i wezmą się rączo do polepszenia łąk i pomnożenia sobie dobrej paszy. Daleko więcej będzie takich, którzy tego nie

uznają i na uniewinnienie swojej niechęci powiedzą jak zwyczajnie: Ktoby tam podług xiążki gospodarzył! nasi ojcowie, dziadowie i pradziadowie tego nie robili, a chleb jedli.

Oto krótka odpowiedź. Wiele my robić musimy, czego nasi ojcowie, dziadowie i pradziadowie wcale nie robili, a czemuż nie mamy tego robić, z czego możemy mieć widoczny pożytek? Jestże to dobre przypatrywać się z założonemi rękoma, jak ulewne deszcze spłókują gnój z pola, unoszą go przegonicami, drogami i rowami do rzeki i strumieni, a te uprowadzają najlepsze części pokarmowe dla roślin, które potem służą rybom za pokarm, a tymczasem niejednego gospodarza bydło cierpi niedostatek latem i zimą!

RÓŻNOŚCI.

Oszuści. W Poznaniu szedł sobie ulicą jeden pan, a tu żebrak kulawy prosi go i molestuje, żeby mu dał jałmużnę. Pan wyjmuje złotówkę i daje żebrakowi.

— Nadtoś pan dobry, rzekł mu jakiś nieznajomy, że tyle dajesz temu hultajowi, który kalekę udaje, aby ludzi oszukać; tak on dobrze chodzi jak ja, pozwól mi pan na moment swej laski a zaraz to okażę.

W tem bierze laskę ze złotą gałką od pana i goni za onym niby kaleką, który w samej rzeczy okazał się zdrowym i dał drapaka. Obadwaj wkrótce zniknęli. Czekałci pan jeszcze czas niejaki, czy mu nie przyniesie napowrót on nieznajomy jego laski ze złotą gałką, ale napróżno.

Student i złodziej. Razu jednego wszedł złodziej w nocy do mieszkania jednego ubogiego studenta i zaczął szukać, coby mógł ukraść.

— Próżno się trudzisz, mój przyjacielu, rzecze w tem student, ja we dnie nic znaleźć nie mogę, a ty jakbyś miał co znaleźć w nocy?

Co to są pieniądze? Pieniądze — jest to młyn, w którymby każden chciał mleć; rzeka w którejby się każden kąpał; orzech, któryby każden gryzł; łąka, którąby każden kosił; suknia, w którąby każden się stroił; kęsek, za którymby każden gonił; miska, do którejby każden zasiadał; kochanka, którąby każden poślubił; kwiat, któryby każden wąchał; drzewo, któreby każden trząsł.

Rzadkie przymioty psa. Pewna pani miała furmana, który pił tylko wódkę i piwo, i psa który pił samą czystą wodę. Furman upijał się, a

pies siedząc zwyczajnie na koźle, poznawał to natychmiast. Wtenczas jak gdyby miarkując, że furman nie ma tyle przytomności, aby wołać na przechodzących w poprzek gościńca, brał sam na siebie ten obowiązek, i szczekał przez całą drogę. Roztropność zwierzęcia zastępowała rozum człowieka. Pies nigdy nie szczekał, kiedy furman był trzeźwy. Jego milczenie zaspakajało zupełnie panią, która nieraz odwlekła swoją podróż lub wizytę, i wysiadła z powozu, gdy pies oznajmił, że stangret pijany.

Przebiegłość lisa. Pewien myśliwy stojąc długo ukryty w gęstwinie lasu, był świadkiem takiego wypadku. Stary i jak się zdawało, biegły w rzemiośle lis wyszedł ostrożnie z lasu i zaczął przypatrywać się bardzo wysokiemu pniu świeżo ściętego dębu. Widocznie jakaś myśl trapiła przebiegłego lisa, gdyż kręcił się ustawicznie na wszystkie strony, machał długą kitą, i oglądał się co chwila po za siebie. Nagle odbiegł o kilka kroków od pnia i zmierzywszy go jeszcze raz okiem, poskoczył ze wszystkiej siły ku wierzchołkowi. Próba udała się dobrze. Wyskoczył od pierwszego razu na sam szczyt pnia, i spojrzał bystro do koła Potem zeskoczył chyżo na ziemię i po raz drugi, trzeci i czwarty powtórzył ten skok, jakby się chciał dobrze wyćwiczyć. Potem zerwał się nagle i znikł jak strzała w gęstwinie. Lecz po krótkim czasie powrócił spiesznie, niosąc w zębach sporą kłodę dębową. Z tym ciężarem ponowił tę samą sztukę skakania, a gdy już po któryś raz wskoczył z równą łatwością na wierzchołek, spuścił kłodę na ziemię, i pozostał na górze skulony we dwoje, z zwiniętą pod siebie kitą i wychyloną naprzód głową. Tak leżał całą godzinę bez najmniejszego ruchu. Nagle podniósł lekko głowę, a w tej samej chwili zaszeleściało w gęstwinie, i wielka dzika maciora z pięcią czy sześcią młodych wysunęła się z lasu. Lis leżał spokojnie, aż maciora na kilka kroków zbliżyła się ku jego stanowisku, potem jak strzała spuścił się na dół, pochwycił w przelocie jedno z warchląt, i nowym skokiem wrócił na szczyt pnia. Biedny warchlak zakwiczał co mu sił stało, Maciora obróciła się wściekle i przyskoczyła do pnia, jakgdyby go kłami z korzeniem wyrwać chciała. Lecz niestrwożony lis rozszarpał z najzimniejszą krwią swoją ofiarę i zaczął ją w oczach matki spożywać. Napróżno wspinała się w górę wściekła maciora, napróżno ryła ziemię dokoła, o twarde drzewo kły wyszczerbiała. Lis kończył spokojnie swoją biesiadę, i czasem tylko spojrzał złośliwie na biedną matkę, która po długich wysileniach w głąb lasu powróciła.

Samobójca. W Rypianach w cyrkule samborskim pewien wieśniak, co się napijał ciągle wódką, wyszedł w jasny dzień na dach swej chaty, obłożył się słomą i suchemi drańciami i wszystko to podpalił. I chata cała i on zgorzały do szczętu. Czego to wódka nie może!..

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 2.

11. lipca 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Polska po swym upadku.

II. O Polakach pod Napoleonem i o Xięztwie Warszawskiem.

Kiedy dzielni wojacy polscy, którzy byli w legionach, ginęli z winy francuzkiej marnie w obcych gorących krajach, zamiast tak jak tego z duszy pragnęli, bić się za własną polską ziemię — to ów jenerał Napoleon doszedł do takiej sławy i potęgi, że się ogłosił cesarzem francuzkim. Takto nieraz szczęście człowieka wywyższa na świecie. Ten Napoleon był za młodu chudziną, synem ubogich rodziców z małej wysepki Korsyki, i ano patrzcie, niezadługo z oficera został jenerałem a nareszcie zasiadł sobie na tronie cesarskim! Ale choć mu Bóg tak pomógł szczęśliwie do monarszej korony, to on niewdzięcznik nie pamiętał o tem, aby Polaków za ich wierne usługi wojenne wynagrodzić po słuszności. A byłoby mu to tak łatwo, jakby palcem kiwnąć, bo był wielki monarcha i wojownik ogromny, że aż cały świat prawie bał go się jak ognia!

Zabrakło nakoniec cierpliwości Polakom i umyślili Napoleona porzucić i sami o sobie radzić, kiedy na raz po całej Francyi piszą i rozpowiadają, że tak długo na świecie spokoj-

nie nie będzie, dopokąd Polska nie zostanie wolną, że trzeba o tem pomyśleć i to jak najprędzej.

Pewnieście ciekawi, zkąd Francuzom tak prędko serce do nas urosło. Oto Napoleon miał mieć wojnę z królem pruskim, więc pomyślał sobie: niech Polacy zrobią u siebie rewolucją, to mi snadniej przyjdzie zbić Prusaka. Posłał więc do Kościuszki, żeby on od siebie napisał do Polaków, aby się z Francuzami łączyli, bo już tą razą szczerze o nich myśli. Ale Kościuszko widząc ile to razy Francuzi obietnicy nie dotrzymali, nie wierzył i teraz Napoleonowi, i pisania posłać nie chciał. A okazało się później jasno, że Kościuszko miał rację.

Wyruszył też niedługo Napoleon na Prusaków i nie bawiąc, zbił ich pod Jeną roku 1806, jakoś koło Wszystkich Świętych. Potem szedł dalej, a zabierał miasta i fortece aż zaszedł do Berlina, stolicy króla pruskiego. Samo to wszystko padało w jego ręce tak nawet, że się schylić po nic nie potrzebował. Król pruski uciekł z żoną i dziećmi do Królewca i wszyscy myśleli, że Napoleon królestwo pruskie skasuje, takie niedawne, a jeno złożone z urwanych krajów sąsiadom.

Skoro się Polacy o pobiciu Niemców dowiedzieli, radość była nie do opisania.

Niemcy wystraszeni, bladzi, pakowali się a uciekali, wozami, piechotą, jak który mógł, niemało jednak te Szwabiska myślały: gdzie to uciekać, bo w Berlinie Francuzi, a Królewiec pewnie odbiorą Polacy sobie. Więc uciekali, jak błędne owce, byle jeno za Polskę. W tydzień po Wszystkich Świętych, to jest 7. Listopada 1806, wszedł Jenerał Dąbrowski na czele wojska polskego do Poznania. Cóż też to była za szczęśliwa godzina — ściskano nietylko żołnierzy, ale ich konie i broń, kobiety koszami wynosiły kwiaty, a stroiły wojaków, częstowały ich cukrami, ciastami, winem i słodką wódką, i czem jeno mogły najlepszem; rozszarpywano ich sobie na kwatery, a tam dopiero przyjmowano, jak rodzonych braci. Po wszystkich wsiach w każdej chacie radość nie do opisania, boć po dziesięciu latach nadeszła chwiła, że Polacy na własnej ziemi za swoją Ojczyznę walczyć będą mogli. Kto też jeno mógł, chwytał

za broń, nietylko młodzieńcy, ale i ludzie stateczni, a wojska przyrastało, jakby z pod ziemi wychodziło. Pięć dni upłynęło, a już Dąbrowski zebrał żołnierzy do kilku tysięcy. Dnia 27 Listopada wjechał Napoleon do Poznania w nocy, całe miasto oświetlone na znak radości, puszczano fajerwerki, a lud rozweselony tysiącami uwijał się po ulicach.

Francuzi nie bawiąc, poszli do Warszawy, i cały polski kraj co Prusacy byli zabrali, obsadzili swojem wojskiem. Ale nie zastali już nigdzie Prusaków, bo choć to zawsze powolne, to w strachu bardzo chybkie. Nie czekając więc Francuzów, oddali zarząd Warszawy książęciu Józefowi Poniatowskiemu, który tam od wojny kościuszkowskiej przemieszkiwał. Zjechał tam i Napoleon, ale słowa nie wyrzekł Polakom o Ojczyźnie; upominał się tyko, żeby jego wojsko dobrze jadło i piło, a Polaków co najwięcej do broni stawało.

Nie ustanowił Napoleon jenerała Dąbrowskiego wodzem wojska, jak mu się sprawiedliwie należało, i jak tego Polacy pragnęli, ale Józefa Poniatowskiègo, że to był z królewskiej krwi. Prawda, że i książe Poniatowski był uczciwy Polak, a nie tąki niezdara i lizun moskiewski, jak jego krewniak, co był ostatnim pożal się Boże królem polskim, ale owszem był ten książe Józef żołnierzem dzielnym i kraj swój kochał jak się patrzy. Tymczasem król pruski dostał pomoc od cara moskiewskiego, syna Pawła, którego sami Moskale już udusili, a temu nowemu carowi, było na imię Aleksander. Ale nic nie pomogło, choć się Prusacy z Moskalami wzięli za ręce, bo jak Polacy i Francuzi wyruszyli na nich, to nie wyszło pare tygodni, a już byli ci ciemiężyciele na nic pobici. Król pruski dopiero w strach: widział wtedy, co to jest łakomić się na cudze, że snadnie i trochę własnego można przytem stracić. Pakował się znowu z żoną i dziećmi, żeby uciekać do cara moskiewskiego, bo wojska mało mu już co zostało.

Odbywały się te wszystkie bitwy tam z tej strony Wisły za Warszawą i za Toruniem i wzdłuż, aż przez polskie Prusy, a najkrwawsza była bitwa pod Iławą czyli Eylau, w której nieprzyjaciele stracili 40 tysięcy w zabitych i rannych, 65 armat i 16 chorągwi. Działo się to w zimie 1807 roku. Potem ka-

zał Napoleon oblegać swoim wojskom Gdańsk; żal go okrutnie było Prusakom, bo to miasto nadmorskie, bogate, i uprosili sobie jeszcze Moskali, żeby z nimi bronili. Ale polskie i francuzkie wojska pod Dąbrowskim tak się mężnie biły, że choćby im było przyszło piekło zdobywać, to wśród czartowskiego ognia byliby je wzięli. Wygnali więc Prusaków i z Gdańska, a potem na tydzień przed św. Janem Chrzcicielem przyszedł też ostatni koniec na Prusaków, bo Napoleon zbił ich i moskiewskie wojska pod Frydlandem do szczętu, i zabrał zaraz Królewiec.

Widząc Moskale, że już tyle natracili wojska a Napoleonowi nic zrobić nie mogą, zabrali się i poszli zkąd przyszli. Już też teraz Polacy byli pewni, że kiedy Napoleon dwóch tych ciemiężycieli w niwec obrócił, to go już nic nie będzie kosztowało, choć im Polskę odbierze, a Polakom odda. Ale gdzież tam, ani pomyślał cesarz Francuzów o takiej sprawiedliwości, bił on się na polskiej ziemi nie o Polskę, jeno kto światem ma rządzić, on czy dawni monarchowie, a kiedy ich pobił, więc został panem świata, to mu i dosyć, a ty Polsko, jak sobie chcesz. Oj pamiętajmy mili ludzie: że łaska pańska na bystrym koniu jeździ! Byłby sobie mógł Napoleon rozpomnieć krew Polaków, co nią skropili wszystkie świata strony za wolność jego kraju, kości ich co bieleją na wszystkich pobojowiskach obok kości Francuzów!

Po skończonej wojnie zjechał się Napoleon z carem moskiewskim Aleksandrem w mieście Tylży nad rzeką Niemnem. Zaraz też pokazał się i król pruski i na tem stanęło: że Polski nie będzie, jeno ten kawał, co Prusacy zagarnęli w trzech zaborach, Napoleon przezwie Xięstwem Warszawskiem i odda Polakom. Ale i z tego jeszcze daruje kraj Prusakom od Litwy aż do Pomorza, a Moskalom kawał kraju składający się z kilkunastu powiatów. Miasto zaś Gdańsk miało się rządzić samo. Na książęcia Warszawskiego wyznaczył księcia Saskiego z Drezna.

Nie tyle gospodarz truchleje, kiedy widzi spadające grady i pioruny na jego pełne kłosów zboże, jak struchlał naród polski na wiadomość zmowy Tylżyckiej Napoleona z Prusakiem

i Moskalem, widzieli dopiero wszyscy, że za nadto Francuzom zaufali, że nie masz narodu na świecie, coby miał rzetelne zamiary dla Polski. Płacz i narzekanie rozległo się po krajach polskich, bo z dwudziestu milionów zaledwie dwa miliony Polaków było wolnych. Umierający też na tenczas pewien Polak prawy, marszałek Małachowski, konającemi usty przeklinał Napoleona: aby sam popadł i umierał w ciężkiej niewoli. I spełniło się to przekleństwo cnotliwego starca, jak wam to później opowiem.

Wśród tego wielkiego utrapienia nadesłał Napoleon Polakom konstytucyą, aby się podług niej rządzili. Odczytawszy ją naród dosyć się ucieszył, bo przynajmniej zostawiono każdemu człowiekowi wolność; szlachcic, chłop, mieszczanin, wszyscy podług tej konstytucyi uważani byli za braci, i jednych praw i rządów mieli słuchać. Sejm miał się zbierać co dwa lata, a w nim wszystkie stany miały radzić nad potrzebami kraju. Zdzierstw też żadnych nie było, bo urzędnicy sami Polacy, gdyż choć to były rządy Napoleona, ale Francuzi nie cisną się do wyjadania cudzego chleba, pracują swojej Ojczyźnie i w niej mają wyżywienie, bo nie mają psiej natury, co to za kawałkiem chleba leci i na drugi koniec świata. Było jednak za tych francuzkich czasów biedy pod uszy, bo kraik mały, a wystawił wojska aż do 90 tysięcy. Oj! gdyby tak to wojsko było można obrócić na Moskwę a odbierać co swoje, toby było szczęściem. Ale tu cesarz Napoleon pan połowy świata inaczej rozkazał, bo zabrał większą część i posłał na Hiszpanów. Krajało się polskiemu żołnierzowi serce, że idzie wojować lud obcy, który broni swojej wolności, a który na przeciw Polsce nigdy nie zgrzeszył. Wiele też polskiego żołnierza porozrzucano w niemieckich krajach dla strzeżenia Francuzom fortec, innych znowu posłano do Włoch na Austryaków. Dla strzeżenia zaś granic Xięstwa Warszawskiego zostawiono xięciu Poniatowskiemu 13 tysięcy wojska.

Co zaś dalej się stało opowiemy wam na raz przyszły.

Dziesięcioro Bożego przykazania.

Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną!
Powiada pierwsze Boże przykazanie,
Znaczy byś marą nie zwiódł się daremną,
Nie wierzył w żadne dziwaczne gadanie,
O strachach, wiedźmach, czarownicach, zmorach,
O wilkołakach, urokach, upiorach,
Bo to są same głupie zabobony,
Gusła: co ludzie wymyślili sobie;
W Boga wierz tylko, a będziesz zbawiony
I w to co kościoł każe wierzyć tobie.

Imienia mego nie bierz nadaremno!
Znaczy byś strzegł się co chwila zaklinać,
Jak Boga kocham! Bóg widzi! Bóg ze mną!
Bo to grzech wielki to Imię wspominać,
W codziennych sprawach ludzkiego żywota,
Gdzie tyle złego i taka sromota.
To imię święte mów w pacierza słowach,
A nie zaś w kłótniach, swarach i rozmowach.

Pamiętaj, abyś uświęcał dnie święte!
Znaczy, byś summy wysłuchał w niedzielę
I w inne święta przez kościoł przyjęte;
A masz przykładnie modlić się w kościele.
Gdy z nabożeństwa powracasz do siebie,
Odpocznij trochę, pobaw się z dziatkami,
Pogadaj z niemi o Bogu i niebie,
Nie trzymaj z grzesznym, ani z pijakami,
Do karczmy nie chodź, tam nie twoja droga.
Bo to obraza wielka Pana Boga,
Gdy człek jak bydlę, bez woli, pamięci,
Gorzałką tylko dzień świąteczny święci.

Czcij ojca twego, czcij i matkę twoją,
Ażebyś długo żył w szczęściu na ziemi!
Znaczy, niech dziatki rodziców się boją,
Niech ich szanują czynami swojemi.
Gdy mówi rodzic, słuchaj go w pokorze,
Daj mu wygodę, strawę w każdej porze,
Bo się ojcowie siła już nażyli,
Napracowali na nas, nabiedzili,
Toć im odpocząć a nam zaś pracować,
I znów się z dziatek pociechy dochować.

Piąte powiada *nie zabijaj* człeka!
A nie o zbójcy tylko nam powiada,
Co to przy drodze na jadących czeka,
Lub w cieniach nocy z palicą zasiada.
Ale i o tym, który burdy broi,
Po karczmach, szynkach, krwawi i kaleczy,
Co się i ludzi i Boga nie boi,
I tylko kłótni szuka z każdej rzeczy,
Bo chłop swarliwy to jest straszna plaga.
Ludzie go nie czczą, Bóg mu nie pomaga.

Szóste powiada: człeku *nie cudzołóż!*
Bo cudzołożnik to bydlę plugawe;
Więc czystość myśli w swych uczynkach połóż,
W czystości pocznij każdą życia sprawę.

Siódme *nie kradnij*, i pamiętaj o tem,
Że nie ten tylko złodziej się nazywa,
Co się obławia skrycie cudzem złotem,
Lub co skradzione bydlęta ukrywa:
Ale ten także co niby handluje,
A tu wymaga, tam zaś wyszachruje,
Wydrwi, stumani, okłamie, wyłudzi,
I ciągnie zyski z łatwowiernych ludzi.

Ósme zaś mówiąc: *nie dawaj fałszywie*
Świadectwa twego przeciwko bliźniemu!
Każe nietylko zaświadczyć prawdziwie,
Ale nie gadać nic przeciw drugiemu,
Coby szkodziło jego dobrej sławie.
Strzedz się potwarzy, plotek i obmowy,
Żyć tylko prawdą zawsze w każdej sprawie,
Bo często złemi kto zaszkodzi słowy;
A komu prawdy miła tylko droga,
Ma cześć u ludzi i miłość u Boga.

Bliźniego twego nie pożądaj żony!
Mówi dziewiąte przykazanie Boga,
Znaczy, byś nigdy żądzą zaślepiony,
Nie dał uciechy dla duszy twej wroga;
Bo djabeł nie spi i z tego się cieszy,
Gdy kto choć myślą przeciw Bogu grzeszy.

Nie będziesz żadnej rzeczy zgoła żądał,
Która jest twego bliźniego własnością!
Znaczy nakoniec abyś nie wyglądał
Cudzego dobra, ale z uczciwością

Na swe pracował. Bo łakomiec chciwy,
Co wziąć łapczywie cudze mienie śledzi,
Całe swe życie będzie nieszczęśliwy.
Chciałby mieć wszystko co mają sąsiedzi,
I konie, woły i rolę i sługi
I chatę, brogi i wozy i pługi,
A gdy tak w sprośnej zawiści się trawi,
W własnej mu pracy Bóg nie błogosławi.

Ambo-Terno

czyli:

Jak Stach Loternik zmarł śmiercią mizerną.

We wsi Modrzejce na samym końcu stała duża kowalowa chata, koło kowalowej chaty piękne stodoły i stogi, koło stodoły i stogów wielki sad aż miło patrzeć, a koło sadu porządna kuźnia, a w kuźni kuł żywo i ochoczo sam kowal Stach Gozda...

Tęgi był chłop ten Stach Gozda, tęgo pracował i tęgo też zarabiał od ludzi. Lubiła gromada kowala, bo człek był dobry i sprawiedliwy, garnęli się do niego i wieśniacy i furmani i panowie z okolusieńka, bo dobrze robił a w zapłacie nie zdzierał, przyrastał mu dobytek, bo pilnie chodził koło swego, mnożył się grosz odkładany w skrzyni, bo go nie trwonił na marności.

Toż w obejściu Stacha kowala rojno i suto, pełno i dostatnio, jakby na folwarku. W stajniach ryczy piękne bydełko, u woza grzebią kopytami konie jak katy, do stodół zwożą zboże, aż się wleźć nie może, w chacie dostatki i zdrowe dziatki, koło kuźni huk ludzi na robotę czeka, a w kuźni stuku puku, puku stuku! pan majster Stach Gozda z czeladnikami kuje i nituje, aż kowadło stęka a miech mało nie pęka...

A pani majstrowa, kobieta jak jagoda, koło chaty się krząta, przygarnia i sprząta, koło krówek chodzi i grosz po groszu do starej pończochy wsypuje. Tak pracuje on sobie, ona sobie, a gdy tydzień minie, to w sobotę wieczorem obrachują razem, ile płacy mieli z pracy i z serca się uściskają i Bogu za łaskę dziękują i dziatkami się cieszą. A w niedzielę

świętą, aż patrzyć miło, pan majster z panią majstrową do kościoła suną, on w sutej kapocie z niebieskiego sukna, ona w barwistej spodnicy i w cieniuchnym żupanie z koralami aż po pas prawie.

I ludzie wtedy patrzą, dobrzy im doli winszują, źli im zazdroszczą a wszyscy mówią:

— Hej! hej! szczęśliwyż to człowiek ten Stach Gozda, szczęśliwy ten kowal, grosz zbiera, majątku przysparza i setnie sobie żyje, a Bóg mu błogosławi!...

I prawdę ludzie mówili! Stach Gozda był szczęśliwy i szczęście to nie byłoby go może nigdy za łaską Bożą opuściło — gdyby nie jego własna wina, że ledwie kilka lat minęło, on i mienie i szczęście i spokój przemarnował! A jak to wszystko się przydarzyło o tem tu taką macie historyę.

Stach Gozda często jeździł do miasta, bo prawie co tydzień potrzeba mu było zakupywać dużo żelaza. Otóż razu pewnego pojechał znowu swoim zwyczajem za tym sprawunkiem — zakupił szyn tęgich, naładował na wóz swój własny i miał już ruszać z miejsca, aby przed wieczorem stanąć w domu, kiedy naraz widzi jakiegoś pana w pięknem miejskiem ubraniu, w błyszczącym kapeluszu, z złotym łańcuchem przy zegarku i z cygarem w gębie.

Pan ten szedł sobie dumnie przez ulicę i nadymał się jak paw na dworskiem podwórzu, a cygaro smolił jak z komina, a ciągle z pod oka na Stacha zerkał. Stach się rozciekawił i rad był wiedzieć co to za pan taki bogaty i czemu tak spogląda na niego, więc też zatrzymał się przy wozie i patrzy na tego jegomościa i z uszanowaniem czapki uchyla, bo myślał już nawet, że to sam pan starosta może.

Ale im więcej wpatrywał się majster Stach w tego pana, tem bardziej mu się widziało, że go gdzieś widział, ba że go nawet zna dobrze. A i ów pan coś sobie także przypomniał, bo stanął naprzeciw Stacha i puszczając dym z gęby przypatrywał mu się uważnie. Nasz Stach aż podskoczył od woza i aż krzyknął z podziwu, bo poznał naraz, że ten pan sierdzisty to nikt inny jeno Antek Dłuba, kowalczyk z Jasła, z którym razem terminował za młodu u majstra!

— A wej wej! — huknął Stach z całego gardła aż się konie ulękły — a toć to Antek Dłuba!!

— Oho! ho! — zawołał pan w błyszczącym kapeluszu i pyknął dymem na wiatr — to wy Stachu!

Stach już skoczył naprzód i chciał pochwycić w ramiona starego znajomego, aby go serdecznie powitać i ucałować — ale Antek Dłuba w czarnym surducie i błyszczącym kapeluszu tak się jakoś z pańska na niego popatrzył i tak pysznie dymem z cygara buchnął w powietrze, że Stach stanął na miejscu i jeno obie ręce naprzód wysunął.

Wtedy Antek posuwisto zbliżył się do Stacha, wyrzucił z pańska cygaro naprzód i potrząsając jedną ręką złoty łańcuch od zegarka, poklepał drugą Stacha po ramieniu.

— No, no, jak się macie Stachu? — mówił klepiąc go po ramieniu ręką, na której złote pierścienie świeciły się na słońcu — nie poznaliście mnie co? hę? Stanisławie? — i zaczął się śmiać, aż mu się trząsł tłusty podbrudek.

— O com nie poznał, to nie poznał! — mówi kowal Stanisław — ale bo też zmieniliście się Antku, czy tam za przeproszeniem... panie Antoni, aż strach! A gdzież ja kiedy mógł myśleć, że was takim wielkim panem zdybię w świecie! Hej hej! Musiał na was Bóg bardzo być łaskaw, panie Antoni!

Antoni nic nie odpowiedział, jeno pogłaskał się po brzuchu, popatrzył na duży złoty zegarek i poprawił błyszczącego kapelusza, a potem rzekł do Stacha:

— Ot wiecie co Stanisławie, tu pod gołem niebem nie dobrze rozmawiać, chodźcie tu na róg do austerji a przy winie rozpowiem wam wszystko.

Stanisław nie dał się długo prosić, bo ciekaw był strasznie, i tak zasiedli obaj w szynku za stołem a Antoni kazawszy dać wina zapalił sobie nowe cygaro, buchnął dymem, splunął i tak zaczął prawić:

— Moja historja krótka. Pamiętacie, jakeśmy terminowali w Jaśle u majstra Zuźla. Wy prędzej wyszli z terminu a ja został jeszcze. Już to mi się pracować nie chciało, bo ja zawsze wiedział, żem na pana zrodzony — (tu Antoni podgładził sobie czuprynę palcami ze złotemi pierścieniami i puścił dym z cygara

aż pod samą powałę.) Pamiętacie pewnie, że jeszcze małym chłopcem lubiłem stawić na loterję. Otóż miałem zawsze nadzieję, że kiedyś duży grosz wygram i pracować nie będę potrzebował. Toć też jak zostałem czeladnikiem, tom tyle tylko robił, aby mieć za co postawić na loterję. Długo nie mogłem wygrać, ale nie darowałem swego i oto dwa lata temu wygrałem terno i wziąłem cztery tysiące reńskich!

— Cztery tysiące!! — zawołał Stach i aż skoczył z ławy — a toż to suma okrutna! Choćbym kuł dzień i noc, i spracował sobie ręce do kości, to tyle pewnikiem i za dziesięć lat nie zarobię!

— A jużci, że nie! — odpowiedział Antoni i schowawszy ręce do kieszeni rozparł się jak pan na zydlu — Ja też nie głupi kuć młotem za kilka grejcarów, i biedować jak pies. Mam moje pieniądze, i żyję sobie uczciwie! O bo ja mam rozum!

Stach aż się oblizał z zazdrości; a potem poskrobał się w głowę i pyta nieśmiało:

— Ba, a jak pieniądze miną?...

Antoni zaśmiał się na to, spojrzał z pychą na Stacha, jak za przeproszeniem na durnia i rzecze:

— Fiu! fiu! fiu! Miną! co to miną! Oho! ja nie głupi! Ja stawiam ciągle dalej na loterję, a nim się moje wygrane pieniądze miną, to jeszcze większą sumę wygram! Ot i na to ciągnienie postawiłem już 5 złotych reńskich, ale jeszcze idę postawić, bo mi przyszły numera do głowy. Kto wie, czy nie wygram terno.

— A co to znaczy terno? — zapytał Stach:

— Hi, hi, hi, zaśmiał się Antoni — to wy nawet nie wiecie co znaczy terno? Jak postawicie 5 numerów a traficie 2, to to znaczy a m b o, a jak traficie trzy to t e r n o! Ale teraz muszę iść postawić numera, bo będzie za późno.

Antoni wstał z ławy, wyciągnął gruby pulares z kieszeni z dużemi banknotami, zapłacił i wyszedł. Stach poszedł za nim niby przez ciekawość, ale przez drogę pomyślał sobie, żeby to nic nie szkodziło, gdyby i on postawił jakie numera.

— Kto wie, czy nie wygram — myślał sobie — a może chapnę sobie sumkę jaką ładną tak jakby darowanego!

Przyszli do sklepu, gdzie była loterja, a Antoni postawił trzy numera i rzucił pięć reńskich na stół. Stach wyciągnął z worka pięć gałek z numerami i wydobył dwie szóstki z kieszeni. Dano mu kartkę, a Antoni powiedział mu, że za dwa dni ciągnienie, a wtedy się dowiedzą, czy co wygrali. Potem rozstał się Stach z Antonim, który zasadził na bakier wysoki błyszczący kapelusz, jak rurę, zapchał cygaro w gębę i postukując laską po kamieniach poszedł sobie na spacer.

Stach tymczasem siadł na wóz i wyjechał z miasta. Kiedy parobek raźno popędzał konie, Stach wyjął z kieszeni kartkę z loteryi i wyczytał na niej numera, a koło numerów było wypisane Ambo-terno.

Ambo-terno! — bąknął Stach sam do siebie — hej hej! gdyby to wygrać terno, jak ten Antek i tak panować sobie jak on! Hej, hej! gdyby to choć wygrać ambo!...

I Stach począł dumać. W jego serce wkradło się licho i szeptało mu w środku: Patrz! ty pracujesz cały dzień boży krwawo, a nie masz ani setnej części tego co Antoni. A Antoni nie pracuje nigdy, ani się tknie nawet młota i obcęgów, bo Antoni wygrywa w loteryę. Czemuż byś i ty nie miał wygrywać w loteryę, zamiast harować dzień i noc za lichą zapłatę! Zły to był głos, co się tak odzywał w sercu Stacha, zła to była myśl, co mu się tak gwoździem wbiła w głowę!

Hej Stachu, Stachu, majstrze poczciwy, porzuć te myśli — bo ci je szatan poddaje! Tylko ten grosz dobry, co go sam zapracujesz, tylko ten chleb smaczny, co go własnym potem oblejesz! Hej majstrze Stachu przeżegnaj się krzyżem świętym i pluń na złą pokusę i te szepty liche.

Ale majster Stach nie przeżegnał się krzyżem świętym i nie odpędził od siebie głupich i złych myśli. Wóz pędził szybko po bitym gościńcu a Stach dumał i dumał i powtarzał sobie „Ambo-terno“ i smażył sobie głowę, jakby to nie pracować, jeno darmo dzień Boży przeleżeć i takie pieniądze wygrać na loteryę, jak Antek kowalczyk i takie mieć sygnety na palcach i taki łańcuch złoty na brzuchu!

Wóz pędzi szybko po bitym gościńcu, a Stach ciągle myśli o loteryi i o loteryi i tak się nią mocno zadumał, że zdaje

mu się akuratnie, jakby szyny żelazne, które brzęczą na wozie, dzwoniły mu ciągle: Ambo-terno! Ambo-terno!

Kiedy Stach przyjechał do domu, był taki zamyślony i nie swój jakiś, że go żona nawet nie poznała. Cały następny dzień Stach kując w kuźni wydobywał w przestankach coś ukradkiem z kieszeni i podchodził pod okno i czytał jakąś karteczkę. Była to karteczka z loteryi, co na niej wypisane były numera i dwa cudackie słowa „Ambo-terno."

A ledwo dwa dni minęło a Stach wybrał się znowu do miasta, choć nigdy tak często nie wyjeżdżał, a krył się przed żoną, w jakim interesie jedzie. Ale skoro do miasta przybył, zaraz pobiegł do sklepu, gdzie były wystawione te numera z loteryi, które wyszły. Stach przeczytał je zapierając oddech w sobie, popatrzył na swoją kartkę i wykrzyknął z radości. Stach trafił dwa numera, wygrał ambo i wziął kilkanaście reńskich!

— Wygrałem! wygrałem! — począł wołać Stach w radości jakby opętany — i zaraz z wygranych pieniędzy postawił znowu na loteryę, ale już tym razem dużo, bo całego reńskiego. A wróciwszy do domu, pokazał żonie i sąsiadom wygrane pieniądze. Sąsiedzi zazdrościli Stachowi i mówili sobie:

— Co za szczęście na wszystkie boki ma majster Stach! Wygrał na loteryę! szczęśliwy Stach!

Oj nie mieli racyi sąsiedzi! Nie szczęśliwy ale biedny Stach! W tej wygranej leżała przyszła nędza Stacha. Ale Stach nie domyślał się tego i mówił:

— Teraz dopiero zaczęło się moje szczęście!

Oj nie! teraz dopiero zaczęło się jego nieszczęście! Bo od tego czasu zaczął Stach ciągle stawiać na loteryę. Nie pracował już tak jak dawniej, jeno myślał ciągle o numerach, robota nie tknięta leżała nieraz przez kilka dni, ludzie dziwowali się i gniewali na majstra, żona się martwiła, że Stach już nie taki pracowity jak dawniej. Stach tymczasem stawi na loteryę i stawi, rozmaite senniki kupuje, do miasta co drugi dzień jeździ, ale już teraz ciągle przegrywa. A im więcej przegrywa, tem więcej stawi, aby się odegrać — i już prawie cały zarobek kowalski pożera ta nieszczęsna loterya. W kuźni

już nieraz nawet cały dzień cicho, tylko pani majstrowa lamentuje, a Stach albo w mieście przebywa, albo nad nowemi numerami myśli.

Czasem trafił Stach z jakie dwa numera i wygrał kilka reńskich, ale jakby obrachować to, co przegrał przedtem nim wygrał, to strata dziesięć razy większa niż zysk, bo tak zawsze być musi w loteryi. W końcu Stach już prawie nic nie robił, tylko tyle, aby mógł za co postawić na ową loteryę, ba nawet odłożony grosz ruszył, gospodarstwo zaniedbał i tylko do miasta ciągle jeździł. Poczęło mu się rwać, gospodarstwa poczęło upadać, pieniądze odłożone wyszastał do grosza, a choć kiedy jaką kapkę wygrał, to ani w dziesiątej części na swoje nie wyszedł! Żona płacze i lamentuje, a Stach jej mówi:

— Nie troszcz się głupia! wiem ja co robię! Wygrałem już nieraz ambo, ale jak teraz wygram terno, to będziemy żyli jak państwo!

I darmo mu żona perswadowała, aby porzucił te myśli nieczyste, jeno się jął na nowo pracy jak dawniej, bo to tylko grosz pewny, co go człowiek zarobi; majstrowa swoje a Stach swoje, a na loteryę coraz więcej dobytku przepada!

Już i we wsi nie nazywali Stacha inaczej jak tylko **Loternikiem** — a dobrzy jego przyjaciele i sąsiedzi żałowali go mocno, że z takiego pilnego majstra zrobił się naraz próżniakiem i utratnikiem. Napominali go ludziska i zaklinali, aby się opamiętał, ale ludzie swoje a on swoje i tak niezadługo przyszedł do zguby — jak o tem będzie na raz przyszły.

†

Wasyl Seńków

włościanin z Lubszy i poseł na sejm krajowy.

Zeszłego wtorku dnia 4. tego miesiąca pochowano we wsi Lubsza pod Rohatynem zacnego kmiecia, Wasyla Seńkowa. Mnóstwo ludzi szło za jego trumną, a nie tylko włościanie ale i panowie odprowadzili go do grobu. I było też kogo żałować!...

Wasyl Seńków sławny był na całą okolicę ze swej prawości i rozumu, a we wsi własnej miał wielkie zachowanie. Kochali go tam wszyscy jak rodzonego ojca i brata, a co Wasyl powiedział, to było świętem słowem dla całej gromady!

To też jak Lubsza Lubszą to nie było tam wójta tak zacnego, jak nieboszczyk Wasyl. A był ś. p. Wasyl wójtem w gromadzie przez całych lat 20, aż do samej śmierci i przez ten cały czas sprawował ten urząd sprawiedliwie i rozumnie, na dobro i pożytek dla gminy, która też za to serdecznie zasmuciła się jego śmiercią.

Kiedy przed kilku laty wybierano u nas posłów do sejmu lwowskiego, to wszystkie wsie pod Rohatynem jedna po drugiej głosowała za Seńkowem, który też wybrany został posłem i zasiadał w radzie sejmowej. A nie zawiedli się włościanie na Seńkowie, bo się mądrze i poważnie zachował na sejmie, i za wszystkiem ciągnął, co tylko dobre było dla naszego kraju.

Kochał bo też Seńków ten kraj nasz, jak każdemu uczciwemu człeku przystoi — a mawiał zawsze, że nie będzie u nas szczęścia, dopóki nie będzie zgody i jedności między synami jednej naszej matki ziemi.

Osobliwie zaś namawiał Seńków kmieci, aby się nie wadzili z panami, bo to ich bracia także, z którymi w miłości na ojczystej ziemi żyć trzeba, bo w kłótni i nienawiści nigdy ani panom, ani kmieciom dobrze nie będzie.

Jeszcze przed samą śmiercią, kiedy słyszał o zwadach i swarach gromad z dworami w niektórych wsiach, mówił on ze smutkiem:

— Oj licho, licho wielkie będzie, jeśli my włościanie nie pogodzim się z panami, przepadniemy w biedzie na wieki!...

I prawdę miał świętą, bo dobra dola i szczęście tylko zgodą i miłością stoją między ludźmi, a gdzie nie ma tej zgody i miłości tam szatan rządzi i nędza doskwiera!...

Weźcież sobie i wy do serca te słowa nieboszczyka Wasyla, któremu po cnotliwem jego życiu na ziemi niechaj Bóg użyczy szczęśliwości niebieskiej!...

RÓŻNOŚCI.

Dobra odpowiedź. Frączek Sobiech gospodarz z pod Rzeszowa oddał do szkół syna swego Wojciecha, który takim wnet został mądrym, że się Sobieskim zwać począł, powiadając, że to jeno na wsi go Sobiechem przezwali, ale że właściwie zwie się Sobieskim. Razu tedy pewnego sąsiad Sobiecha był w Rzeszowie na targu i trafia Wojciecha.

— A jak się masz, Wosiu, rzecze do niego.

Ale mój Wosio jakoś nie słucha.

— Hej, Wosiu Sobiech! krzyknie sąsiad.

A mój Sobieski obróciwszy się rzecze:

— Czyli tam u was zawsze jeszcze tak wiele głupców?

— Ubyło ich, odpowie sąsiad, jakeś ty wyjechał.

I tak dostał Sobiech po nosie za swoją pychę.

Przykłady późnej starości. Dwustu lat życia nikt nie dożył, wyjąwszy przykłady, jakie nam Pismo św. podaje. Wiek jednak niektórych ludzi zbliżył się do tej liczby. Węgrzyn Piotr Czartan zmarły w Białogrodzie roku 1724 żył lat 185; Jenkins rybak dożył lat 169. Jan Serington w Norwegii żył lat 160 i kiedy umarł, syn jego najstarszy liczył lat 103 a najmłodszy 9 lat. W roku 1796 żył jeden człowiek koło Połocka mający lak 163, zdrów wesół i rzeźwy a jego najstarszy wnuk liczył lat 95, najmłodszy zaś syn 62 lata. Tomasz Parc ubogi wieśniak ożenił się w 120 roku życia drugi raz i umarł mając lat 152. Drankenberg, Duńczyk służył do roku 91 za majtka, ożenił się w 111 roku i dożył lat 146. Jan Essingham, żołnierz angielski, nakoniec wyrobnik żył lat 144, ośm dni przed śmiercią uszedł jeszcze trzy mile.

Nowa plaga. W Czortowcu, w powiecie obertyńskim, w Gródku w powiecie zaleszczyckim i w Muszkarowie w powiecie Uścieczko pojawił się jakiś nowy rodzaj gąsienic, które w zbożach wielką szkodę porobiły. Ponieważ ludzie nie widzieli tam jeszcze takich gąsienic, więc też kilka tych robaków przysłano na pokaz aż do Lwowa, a tu oglądali je uczeni panowie i profesorowie i spisali rozmaite sposoby, jakiemi tę nową plugę można wyniszczyć. Pisanie takie porozsełano ztąd ze Lwowa do urzędów powiatowych, aby to ogłosiły tym wsiom, gdzie ta gąsienica się rzuciła.

Zaraza na bydło. Pode Lwowem w Pasiekach wybuchła nagle wielka zaraza na bydło. Bardzo dużo sztuk padło. Wysłano tam zaraz komisyę, która kazała pobić bydło podejrzane o chorobę i porozstawiać warty do koła. Z tego też powodu nie odbywają się we Lwowie targi na bydło. W Bóbrce także ginie bydło na zarazę.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 3.

21. lipca 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

†

Dnia 11. Lipca zmarł w Krakowie po krótkiej słabości

Walery Wielogłowski

wasz wielki przyjaciel i dobrodziej, który pracował dla waszej nauki i oświaty. Ciężką stratę ponieśliście przez śmierć jego, kochani bracia! Miłował on was sercem całem i pragnął zawsze waszego dobra i pożytku. Napisał on dla was za życia mnóstwo bardzo pięknych książeczek, w których oświecał wasz rozum i kształcił wasze serce. Nieraz podawaliśmy w *Dzwonku* wyjątki z tych pism jego i nie dawno czytaliście jeszcze opisanie „Jak u nas być powinno?“, które wydrukowaliśmy z ostatniej książeczki ś. p. Walerego *„Podróż po szerokim świecie.“* Książeczka ta była ostatnią jego pracą dla was — ale oprócz niej wydał on dawniejszymi czasy dużo ślicznych historyj dla waszej nauki, jako to: *„Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego“ „Podróż do Rzymu i Paryża odbyta przez Felixa Borunia“ „Pożary, obrazek z zycia ludu wiejskiego“ „Święty Izydor Oracz“ „Zabawy świąteczne“ „Groszówka dla dzieci“ „Jarmark w Dąbrowy“* i inne. A wszystko to napisane było z taką serdeczną miłością dla was i z taką mądrą uwagą na wasze potrzeby, że serce się kraje, gdy pomyśleć, żeście stracili takiego dobrodzieja!... Kochał go też jak ojca ludek wiejski, a włościanie z pod Krakowa garnęli się gromadnie do księgarni, którą

nieboszczyk Wielogłowski miał w Krakowie, aby zakupywać jego piękne książeczki. Kiedy w kraju naszym obierano posłów do sejmu, zebrali się wieśniacy z Rybny i z innych wsi, i przyszli sami do Krakowa i prosili nieboszczyka aby był ich posłem. Ś. p. Wielogłowski radził też na sejmie o polepszeniu waszej doli i przemawiał z szczerego serca za waszym pożytkiem. Toż kiedy go Bóg nagle powołał ze świata, włościanie krakowscy z wielkim żalem opłakiwali swego dobrodzieja i opiekuna, a na pogrzebie, na który Kraków jak żyje wysypał się cały, nieśli sami tylko wieśniacy jego trumnę aż do grobu!... Wielki to był wasz przyjaciel i na wielki też żal śmierć jego zasługuje. Miejcie go zawsze w pamięci i czyńcie tak, jako on was nauczał w swych książkach, a będzie to najlepsza wdzięczność za jego miłość i dobrodziejstwa dla was!

Cześć jego pamięci!

Dom sierocy w Łące.

Gromada Łąka leży sobie koło Łańcuta i Rzeszowa na równinie jak na stole wielkim. Dawno, dawno były tu za królów polskich łąki wielkie, bajury i moczary, bo Wisłok płynął sobie środkiem samym przez te równiny i zalewał wodą niskie brzegi — były na tych równinach pastwiska dla koni królewskich, co pasły się na to, aby potem poszły na wojnę tatarską albo na obronę jakich chudaków, jak się udali o pomoc do króla polskiego. A król miał w samym Rzeszowie swój pałac i tam przyjeżdżał nie raz na sprawy przeróżne, albo jak mu trza było jechać prostą drogą z Krakowa do Lwowa albo jeszcze dalej po za Lwów do swoich krajów. Ale te łąki dał król polski Kazimierz Wielki na grunta i na plac pod chałupy przeróżnym ludziom, pozwolił im postawić wieś, porobić fosy, groble i wały, dał im potem pana i ta nowa wieś została nazwaną Łąki na wieczne czasy i tak się też i dziś nazywa. Chłopi polscy wysuszyli te błota, Wisłok sam z woli bożej odsunął się dalej i tak dziś stoi ta gromada cała sucha i obrobiona po gospodarsku.

Dawno, dawno była tu parafia aż do Rzeszowa, a że było to za ciężko dla gazdów polskich chodzić tak daleko do kościoła, toż jeden pobożny pan polski wyfundował w Łące na polu czystem kościół murowany i osadził tam zakonników, a

teraz jest tu parafialny kościół. Otóż byłemci ja tam teraz w tej Łące z ciekawości wielkiej, aby na własne oczy zobaczyć taki dom ni to szpital dla sierót i drobnych dziatek. Byłem tam jednego dnia rano na mszy św. w kaplicy, gdzie były tam i te sieroty, ich xiądz staruszek, co ich uczy katechizmu i poznania Boga i znowu te pobożne panny ni to zakonnice, co się starają o okrycie, pożywienie i naukę dla tych sierót. Ale aż mi się radośno i miło zrobiło wedle serca, a dusza moja uradowała się z takiej dobrej i pobożnej roboty! Jakci nie zaczęły te bobaki biedne wyspiewywać na mszy św. cieniutkim, prześlicznym głosikiem pieśni pobożne, to mi aż łzy w oczach stanęły i westchnąłem za to do Boga i myślę sobie:

— Co to mogą pobożni ludzie zrobić na świecie, jak jeno chcą szczerze! Jak to może jeden piśmienny i rozumny nauczyć dziesięcioro tyle drugiego i trzeciego, jeżli ma Boga w sercu i chce zbawić swoją duszę i duszę drugiego! Co to za łaska boska taka, że tyle sierót ma tam pożywienie, okrycie, naukę i dobry przykład! A potem po mszy św. prosiłem ze łzami Pana Jezusa i Najświętszej Panny w ołtarzu, aby też takie szpitale były i w innych gromadach, aby gromady razem z dworami i xiężami robiły składki pobożne i tak pomału fundowały takie domy dla sierót gromadzkich, aby lepiej obracali gazdowie polscy grosz boży na chwałę bożą, niż na durniczki i pijatykę.

Potem poszedłem z temi sierotami do izby, gdzie to one siedzą, patrzę! a tu stoją małe łóżeczka koło ścian pięknie posłane, derkami nakryte, poduszeczki z sieczki, a na ścianie obrazy święte, gdzie odmawiają na kolanach paciorki, a te panny pobożne uczą ich — potem poszedłem do tej izby, gdzie one jedzą, patrzę, a tu każda sierotka ma blaszany garneczek i łyżkę i miseczkę i zajada sobie ciepłą strawę na śniadanie, a te panny pobożne posługują im jak matki — na takie rzeczy aż mi serce rosło z radości, głaskałem po główkach ręką te drobnostki biedne, błogosławiłem Boga za takie łaski i miłosierdzie a potem pytałem:

— A kto to fundował ten szpital dla sierót?

A starsza panna mi gada:

— To fundowała pobożna pani z dworu w Łańcucie, której umarł mąż i nie miała żadnych dziatek, a znowu majątku, jaki jej dał Bóg, nie zmarnowała na jeden grajcar jeno ze łzami i sercem złożyła wielkie sumy na ten szpital i oto patrzaj jegomość! mamy tu już pięćdziesiąt takich sierót, one tu żyją i my tu z niemi dzień i noc i da Bóg! że będzie jeszcze i więcej, jak jeno ta pobożna Pani do nas przyjedzie.

Pomyślałem sobie:

— Co to można narobić dobrego za życia, jak jeno w kim dusza pobożna i miłosierne serce! Aby wyżywić i okryć pięćdziesiąt sierót, to trza pewnikiem na to dużo pieniędzy. Ale myślę sobie tak w mej biednej głowie: gdyby każdy z numeru w gromadzie składał kilka grajcarów do skarbonki na sieroty gromadzkie i co rok, toby urosły przez dziesięć lat wielkie sumy, xiądz i dwór razem z gromadą mogliby o tem zawiadować, mógłby być jeden budynek na wsi na szkołę i dla takich sierót, a wtedy nie zmarnowałoby się żadne dziecko polskiego katolika ani by nie umarło z głodu pod cudzym płotem i na cudzym progu — a nie raz wyszłaby taka sierota na ludzi, jak to Bóg dobry już nie raz zrobił.

I pytałem dalej tej starszej panny:

— Czegoż się uczą te sieroty w tym szpitalu?

Ona na to:

— Uczą się czytać, pisać po polsku, bo jużci polskich ojców dzieci i w polskim kraju powinno się najpierw uczyć po polsku i byłoby to wielkim wstydem dla gazdów polskich, gdyby oni sami nie stali o to; uczą się rachować aby ich lada żyd lub cygan jaki nie okpiewał potem, uczą się katechizmu, aby umiały Boga chwalić i ludziom dobrze życzyć i dobrze czynić, uczą się spiewać pobożne pieśni, aby sobie w domu po robocie i w domu bożym w niedzielę potrafiły zaspiewać pieśni na chwałę bożą — potem uczą się szyć przeróżne łachy tak na święto jak na dni powszednie, aby też potem miały co wziąć na siebie i pokazać się ludziom przyzwoicie aby sobie potem mogły i szyciem zarobić na życie uczciwe, aby umiały uszyć koszule krakowskie, koszule jakie noszą kmiecie i go-

spodynie polskie po zwyczaju ojców i dziadków, potem uczą się chleb dobrze upiec, kaszę robić, dobrze jeść ugotować, koło bydła chodzić i wszystko przy gospodarstwie tak porobić jak się patrzy i jak każda gospodyni polska umieć ma, w końcu uczą się wszystkiego dobrego, aby mogły stanąć na służbę do dworu, do xiędza albo do miasta i tam mieć sposób do życia na dalsze lata.

Ja słuchałem tego opowiadania z wielką ochotą, bo to oczywista rzecz, że jak się dziecko takich rzeczy wyuczy za młodu, to mu przy pomocy bożej bieda nie dokuczy nigdy i ono sobie da radę na świecie bożym. Ale zapytałem potem:

— A jak długo pozostanie taka sierota w tym szpitalu na nauce?

A starsza panna powiada:

— Może być tu od maleńkości i do dwudziestu lat — a jakby się takiej sierocie trafiło pójść za mąż, to dostanie od tej pobożnej pani wiano takie, jakie dostają dziewki od bogatych ojców i to mało kiedy. I widziałem tam kilkoro sierót tak małych, że jeszcze gadać nie umieją, a panny pobożne chowają to i pielęgnują tak, jak matka rodzona swoje dzieci, widziałem tam i takie dorosłe, że są tam już po kilka lat i chowają się na chwałę bożą i na dobry pożytek dla ludzi. A nawet widziałem takie dorosłe i wyuczone dziewczęta, że mogą dziś pójść w świat boży daleki i szeroki i nie zginęłyby nigdzie między ludźmi.

A widząc to podziękowałem myślą Bogu, że natchnął swoją łaską tę pobożną panię i dopomógł jej uczynić takie miłosierdzie dla tylu sierót, potem dziękowałem Bogu, że dał tym sierotkom takie pobożne panny, co są nauczycielkami i matkami dla nich i dumałem sobie:

— O gdyby to Bóg natchnął tak samo jakiego bogatego pana albo xiędza albo jakiego bogatego wieśniaka, aby umierając zapisał swoją pracę na fundacyę takiego szpitalu dla sierót w swojej wsi, a gdyby się takich wieśniaków znalazło dużo w naszym polskim kraju, o Boże mój! coby to było dobrego po wsiach! ile dusz nie marnowałoby się, a ile dusz poszłoby do nieba, ile pobożnych przybyłoby w naszym polskim kraju!

Zamiast obrzydłych arend po wsiach i to nieraz blisko kościoła, stałyby szpitale dla dziadków i sierotek, a ta praca krwawa, co ją zabierają żydzi i bogacą się z krwi kmieci polskich, poszłaby na gromadzkich dziadków, na wsiowe sierotki, na szpitale i na chwałę bożą. A jakie ztąd błogosławieństwo Boże dla wsi i dla całej polskiej krainy, toby się z tego radowali Anieli święci na wysokiem niebie. Oby to Bóg dał, a byłoby najlepiej!

I tak dumając wsiadłem na mój prosty wóz, obejrzałem się kilka razy ze łzą w oczach na ten szpital sierót, a com sam widział, to wam z serca całego opisuję moi kochani! abyście i wy to znali, co się gdzie dobrego dzieje w naszym polskim kraju, abyście i wy podziękowali Bogu za taką dobrą i pobożną polską panię z Łańcuta i abyście razem ze mną prosili pokornie Boga, by nam dał takie dusze po dworach, po miastach i po wsiach i aby tak znowu nastało u nas, jak było za naszych dziadków i pradziadków.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Chłop i djabeł.

Ucieszna bajeczka.

Dziwiąc się djabeł zmyślnej chłopa głowie,
Zaczął i dumać i marzyć:
„Ot! wiesz co, chłopie!“ tak do niego powie,
„Pójdźmy razem piwo warzyć.“

„Pójdźmy,“ rzekł Szymczak, i już kocieł grzeje,
Na tęgie piwo się sadzi:
Warzy i warzy, miesza, spuszcza, leje —
I ot, cały war już w kadzi.

„Dzielmy się teraz,“ — djabeł się odzywa;
Szymczak działu nie odmawia —
„Dzielmy się,“ — rzecze, i wierzch bierze piwa,
A djablu drożdże zostawia.

„Źle coś,“ czart woła, „zmieńmy więc umowę,
„Posiej mi ziarno na grzędzie,

„Ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
„A co z wierzchu mojem będzie.“

Sieje więc chłopek na wspólne korzyście;
Wschodzi, rośnie, plon wzbujały;
Przyszło do działu — djabeł dostał liście,
A rzepy chłopu zostały.

„Czarcią, rzekł djabeł, masz chłopie naturę,
„Widzę, że jesteś mądrzejszy,
„Lecz jeszcze jedno; — rzucajmy w górę,
„A ujrzym, kto z nas mocniejszy.“

I porwał, wstrząsnął, i takim zamachem
Śmignął go łapy silnemi,
Że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
Nim go czart schwycił u ziemi.

„Tęgiś, chłop rzeknie zbladły i zdyszany,
„Myślałem, że już nie wrócę;
„Lecz teraz, kumie, pójdźno w moje szpony,
„Niech i ja ciebie podrzucę.“

I w pas go bierze, i za róg pochwyca,
I tak w dwojgu rąk go trzyma;
Lecz zamiast rzucić — nagle w twarz księżyca,
Wrytemi patrzy oczyma.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
Choć djabeł — pojąć nie zdoła;
A wreście, gdy się znudzi, zniecierpliwi,
„Czego tam ślepisz?“ zawoła.

„Ślepię, rzekł Szymczak, bo wprzód rzeczy ważę,
„Nie chcę cię rzucić daremnie;
„Czekam, aż się tam mój tatuś pokaże
„Co cię odbierze odemnie.“

“Co? ryknie djabeł, czyś głupi, szalony?“ —
Wydarł się z ręku Szymczaka,
I jakby wodą święconą sparzony,
Aż w piekło urżnął drapaka.

Polska po swym upadku.

III. Dalsze wojny i losy Polaków.

Zaledwie w nowem xięstwie warszawskiem Polacy zaczęli się krzątać, aby się urządzić i ugospodarować — a już musieli chwycić znowu za broń, aby i tego małego skrawka ziemi bronić przed napadem nieprzyjaciół. Wybrali się bowiem przeciw nim Austryacy, a stanąwszy na granicy Xięstwa Warszawskiego, posłali do Polaków pisanie, aby się z nimi łączyli, bo jak sami widzą, że Napoleon nic już dla ich Ojczyzny nie zrobi. Polacy jednak na całą odpowiedź co prędzej garnęli się do broni, i o milę za Warszawą pod Raszynem w dniu 19. kwietnia 1809 roku tak się walecznie bili, że położyli trupem dwa tysiące Austryaków. O tej bitwie pod Raszynem pisaliśmy wam już nie dawno temu w Dzwonku.

Przypatrywała się temu zwycięztwu cała Warszawa z dachów, wież i okopów za miastem, i widzieli, jak wojska pod xięciem Poniatowskim i jenerałem Dąbrowskim cudów dokazywały. Ale że Austryaków było cztery razy tyle co Polaków, więc niepodobieństwo zgnieść ich było od razu, toż uradzono zabronić im przystępu do Warszawy i tam uzbroiwszy co prędzej lud, nieprzyjaciela czekać, który w te tropy walił się za nimi Myśleli Austryacy, że tę garstkę Polaków w pierwszej bitwie na maść zgniotą, ale po batalii pod Raszynem zaczęli się namyślać. Nie uderzają wprost na Warszawę, ale posyłają do Polaków, żeby z niej dobrowolnie wyszli, bo jak nie wyjdą, to będą miasto palić. „Niech palą!“ wołało wojsko i lud i wszystko, co mogło, i stanęło do broni.

Na to jenerałowie zbierają się na radę i tak postanawiają: pocóż się mamy upierać koniecznie przy Warszawie, czy to jeno w samej Warszawie Polska? Zostawić Austryaka w Warszawie, a zato w całym kraju powstać i iść do innych polskich krajów zabranych i tam powoływać do broni. Jak uradzili, tak i zrobili, wojsko polskie przeszło na Pragę i most zerwało, a Austryacy spokojnie rozłożyli się w Warszawie.

Xiążę Poniatowski ruszył ku Galicyi — bo tak nazwali Austryacy kraj polski, który zajęli — a jenerał Dąbrowski do Poznania i na całą Wielkopolskę obwołał powstanie. W parę dni zebrał Dąbrowski kilka tysięcy wojska i od Częstochowy przez Łowicz, Płock, aż do Bydgoszczy, gdzie jeno Niemcy się pokazali, bił się, jak Bóg przykazał. Armat nie miał Dąbrowski wiele, bo jeno te, co w tej wojnie zdobył, aż tu pod Płockiem przychodzi Niemcom ochota przeprawić się do Polaków na drugą stronę Wisły. Dąbrowski nie wiele ze sobą miał wojska, a nieprzyjaciół chmara. Więc cóż tu robić? Ścinają prędko wierzby, przyrzynają jak trzeba, wsadzają na półwózki i ustawiają na górce naprzeciw Niemcom. Zobaczywszy to Niemcy uciekają od Wisły, jak najprędzej mogą, a Polacy z najtęższą miną odciągają, niby to z armatami. Z drugiej strony wódz xiążę Poniatowski pobil Niemców najprzód na Pradze, potem w pochodzie strzepał ich pod Grochowem, a nakoniec stanął pod Górą, pięć mil od Warszawy na granicy Galicyi, gdzie się Austryacy okopali i uporczywie bronili. Ale polskie armaty i bagnety wnet się za okopy przedarły, wojsko polskie słupy graniczne porąbało i weszło do Galicyi.

Muszę wam też powiedzieć, że wtedy u xięcia Józefa Poniatowskiego, byli w wojsku i Żydzi, i wcale się odważnie bili; a jeden, co się zwał Berek, taki był waleczny, i tak kochał Polskę, że został pułkownikiem, a żołnierze, choć był Żydem, przepadali za nim.

Dorozumiecie się, co za ruchawka była w Galicyi na widok polskich żołnierzy! Młodzież cisnęła się też tłumami pod chorągwie polskie, bogatsi znosili pieniądze, ubożsi żywność i ubiór dla wojska, a lud wiejski pokazał, że i on nie ostatni. Opowiem wam tu jedno zdarzenie o Tomaszu Ptaku, chłopie ze wsi Wielebny koło Krakowa, o którym już wam śpiewkę napisaliśmy poprzód. Miał on jeszcze z kościuszkowskiej wojny przechowaną armatę, skoro się więc wojsko polskie ukazało, wydobywa ją i prowadzi na tę wojnę. Zobaczywszy armatę, wszyscy się bardzo ucieszyli, bo broń, zawsze miła Polakom. Dziedzic wsi Wielebny podarował zaraz Tomaszowi Ptakowi kawał ziemi i wszystko, co potrzebne do gospodarstwa,

a panowie drudzy widząc, że chłopek prosty i ubogi, zebrali między sobą 300 talarów, aby go niemi wesprzeć. Nie przyjął tych pieniędzy, bo jak mówił: że nie zrobił tego dla zysku, ale z szczerego serca tylko i prosił, aby je obrócili na wydatki wojenne. Uściskali wszyscy ze łzami w oczach poczciwego Tomasza, a odtąd dawali go za przykład jeden drugiemu.

Kiedy Polacy zwyciężają Austryaków, posłannik francuzki, co był przy polskim rządzie, posłał do cara moskiewskiego, żeby przysłał pomoc Polakom przeciw Austryi, bo Polacy biją się za sprawę Napoleona, z którym Moskwa przyjaźń zabrała. Nie było to carowi po myśli, bo dobrze miarkował, co Polacy zamierzają, ale się Francuzom bardzo szczęściło, więc się i bał i choć z wielką ciężkością wyprawił wojsko do Galicyi. Polacy wcale nie radzi temu byli, xiąże Poniatowski ani spytał o Moskali ale bił się dalej i szedł do Lwowa! Moskali wlokło się 40 tysięcy o kilka mil zawsze za Polakami, nie wystrzeliwszy i razu, dokazywali i żywili się polskim chlebem. Dopiero koło Lwowa przyspieszyli kroku, z którego to miasta wyszli Astryacy. Markotnoć było Polakom, zawrócił się więc xiąże Poniatowski ku Krakowu ogłaszając po całym kraju Polskę, a Niemców urzędników i nie urzędników wydalając. Kiedy stanął przed Krakowem, aż tu znowu Moskale wpadają. Ale wtedy Polacy bagnety w ręce, armaty mając nabite, wchodzą do miasta i dalej na Moskali. Broni się trochę Moskwa, ale jak widzi, że Polacy nie ustąpią, nie chcąc już po prostu pokazać, że z innymi trzyma, wychodzi wśród wielkiej radości Krakowian.

Wojska polskiego zamiast ubywać, z każdym dniem przyrastało, tak że z trzynastu tysięcy po trzech miesiącach wojny, był sześćdziesiąt tysięcy.

Napoleon przez ten czas pobił Austryaków i wszedł do Wiednia. Zabrali się też Austryacy z Warszawy i całej Galicyi i poszli sobie, zostawiając bez sprzeczki Polakom cały kraj. Któżby się też spodział, że z tego wszystkiego nic nie będzie — słuchajcie więc, co się dzieje.

Austryacki Cesarz miał młodą i ładną córkę, chciał więc Napoleon żeby mu ją dał za żonę. A bardzo się to ożenienie

Francuzowi spodobało, choć był żonaty, ale że jego żona nie była królową, bo ją pojął kiedy był jeszcze jenerałem, przytem już w podeszłych latach, a nie miała z nim dzieci, więc choć była dobra, uczciwa kobieta, umyślił się z nią rozwieść, a pojąć cesarzównę, co też i bardzo głaskało jego pychę. Powiada więc Cesarzowi, że chce jego córki, a wtedy już między ojcem i zięciem inaczej poszło.

Nie tylko, że o Polsce ani wzmianki, ale nakazał Napoleon oddać nazad większą połowę tego kraju, co Polacy teraz sami zdobyli. Dostają więc Polacy jeno Kraków i cały kraj aż po Zamość, a z Wieliczki nawet, gdzie to sól kopią, oddają połowę Austryi. Nie koniec na tem: urywa Napoleon kawał kraju od Podola, co do tego czasu Austrya trzymała i daje carowi moskiewskiemu za tę śliczną pomoc, co przysłał Polakom, a było na tym kawale, co wzięła Moskwa, czterysta tysięcy mieszkańca.

Ambo-Terno

czyli:

Jak Stach Loternik zmarł śmiercią mizerną.

(Dokończenie).

Nie minęło i dwa lata, a całe mienie Stacha Loternika poszło na cztery wiatry. W kuźni, gdzie to dawniej było huku i ludzi aż głowa bolała, nastała cisza jak w grobie, w stajni i gumnie pustki, w izbie brudno i nędznie, bo sama kobieta Stachowa rady już sobie dać nie mogła. A Stach tymczasem tylko o nowych numerach myślał i do miasta biegał, bo już czem jechać nie było. A jak zobaczy w mieście, że pieniądze marnie poszły i nic nie wygrał, to stawia znowu, aby się odbił swego a na zalanie desperacyi idzie do szynku i duszę gorzałką zapija.

Nie dziw więc, że majątek upadał coraz bardziej, bo Stach rozpił się już naprawdę i co nie przegrał to przepił, a w domu jeszcze dzieci i żonę rozbijał. Kiedy już nic żadne rady sąsiadów nie pomogły, pobiegła żona Stacha z płaczem do xiędza,

aby przemówił do serca jej mężowi. Zawołał xiądz proboszcz do siebie Stacha i począł mu sumienie roztrząsać i napominać, ale to gdyby groch o ścianę.

— Stachu! — mówił xiądz — czyż macie wy sumienie, czyż macie Boga w sercu?.. Żona i dzieci wasze w nędzy, gospodarstwo poszło marnie, a wy jeno loterją nabijacie sobie głowę!

— Ba proszę jegomości — mówi Stach na to — toć ja właśnie na to gram w loterję, aby podratować moje mienie i zostawić żonie i dzieciom majątek.

— Otoście piękny wybrali sposób — mówi xiądz proboszcz — na miłość Boga! pomiarkujcie się jeno. Nim was szatan obałamucił tą loterją, mieliście roboty zawsze po uszy, gospodarstwo i majątek rosły, aż wam cała gromada zazdrościła, a teraz, od kiedy jeno szpekulujecie na ambo-terno, na dziada już schodzicie. Toć was właśnie loterja zgubiła a wy chcecie, aby was loterja podratowała! Cały majątek przegraliście już na loterję, a cóżeście wygrali?

— Ho ho, wygrałem ja nie jedno! — odpowiada Stach, wygrałem już pięć ambów po 20 reńskich

— A ileż to robi? — mówi xiądz — 100 reńskich. A porachujcież to, coście przestawili na loterję! A gdzie oszczędzony grosz, gdzie krowy, gdzie konie, gdzie porządki? Czy to tylko 100 reńskich warta? A wszystko to przegraliście albo przepili, bo was ta loterja w nałóg wprowadziła. A wasza pilność i robota gdzie? Ej Stachu! Stachu! upamiętajcie się zawczasu, bo zginiecie marnie. Jeden to wypadek rzadki na tysiąc tysięcy, aby kto w loterję wygrał, bo cała loterja taka już jest z natury, że nim grejcar wygrasz to dziesięć przegrać musisz!

Tak mówił Stachowi na rozum xiądz proboszcz, ale i to nic nie pomagało. Zrazu obiecywał poprawę a potem pił i grał w loterję po staremu. W końcu już tak się wytracił, że mu jeno pole gołe zostało, a i tego czem obsiać nie było. Tymczasem sprowadził się do wsi inny kowal i przygarnął wszystką robotę do siebie, bo był majster trzeźwy i pilny, a Stach już teraz w ostatniej biedzie, choćby chciał, zarobić nie

miał sposobu. A choć już do takiej nędzy przyszedł, mówił zawsze:

— Już tego nie długo — przecież muszę wygrać raz terno, tak jak ten Antoni w mieście!

I pewnego dnia zebrał ostatnie, co miał, swe narzędzia majsterskie, zastawił u żyda za wódkę i kilka cwancygierów, poszedł do miasta i postawił. I nie wracał już nawet do domu, jeno czekał o głodzie na ciągnienie, żył prawie o żebranym chlebie a sypiał pod golem niebem pod kamienicami i jeno wódką się codziennie zalewał. A zawsze jeno liczył dnie, kiedy będzie ciągnienie i mruczał pod nosem:

— Ambo-terno! Ambo-terno!

Kiedy już nareszcie doczekał się Stach tego nieszczęsnego ciągnienia, pobiegł pod ów sklep, gdzie stawiał na loterję i popatrzył na numera. Zobaczył, że ani jednego nie trafił... Stał Stach na miejscu i ruszyć się nie mógł z rozpaczy, jeno nogi pod nim drżały a oczy jak w słup wlepiły się w tablicę z numerami, kiedy naraz ktoś go potrząsł za ramie i zawołał:

— Oho! jak się macie panie bracie!

Był to ów Antoni, co to wygrawszy na loterję, jak pan żył sobie i jak to było w zeszłym numerku Stacha do loterji pokusił. Ale mocny mój Boże! co się też z niego stało. Chudy jak szczypa, wynędzniały, w żebrackich łachach, bosy i brudny, jak nędzarz ostatni!

Póki miał wygrane pieniądze, to jak wiecie pracy się ani tknął palcem, bo się jej wyrzekł na zawsze, jeno hulał i panował a na loterję dalej stawiał! I tak przepuścił wszystko co wygrał, a drugi raz wygrać ani rusz było! Zeszedł też na nieszczęsnego dziada i żył w nędzy ostatniej, a teraz właśnie wracał ze szpitalu, i najpierw według starego nałogu powlókł się popatrzyć, jakie numera wyszły. Zobaczywszy tu Stacha także nędznego jak żebraka, zagadał do niego. Ale Stach był w desperacyi okrutnej i nic nie słyszał, jeno mu przez myśl przechodziła nędza żony i dzieci i kara Boża okropna, a w oczach biegały mu czerwone numera jak komary.

Antoni potrząsł więc jeszcze mocniej rękawem Stacha i zawołał głośniej: Hej Stachu jak się masz! Zeszliśmy oba na dziadów he!?

Stach się obrócił i popatrzył na Antoniego. Krew mu uderzyła do głowy, oczy mu zabłysnęły!... Przypomniał sobie, jak Antoni pierwszy skusił go do loteryi i odwiódł go od szczęścia i pracy a złym przykładem w otchłań nędzy wtrącił... Krew zakipiała mu w żyłach, jakiś wściekły gniew go opętał, chciał się pomścić swego nieszczęścia i rzucił się jak wilk na Antoniego. Chwycił go za gardło i począł go dusić... Antoni ani już krzyknąć nie mógł, jeno padł na ziemię razem ze Stachem...

Zbiegli się ludzie a wnet przypędzili i policaje, oderwali z wielką biedą Stacha od Antoniego i zawlekli obu do aresztu. Ale tu pokazało się że Stach jest o strasznej słabości i gorączce i nic nie mówi, jeno ciągle woła:

— Ambo terno! ambo terno!

Oddali go zaraz do szpitalu, ale już go lekarze do przytomności przywołać nie mogli. Stach nic nie pamiętał o świecie, jeno chyrczał i ciągle o loteryi i o ambach i ternach mówił do siebie. W końcu ulitował się Pan Bóg jego męki — i Stach trzeciego dnia w nocy umarł... Tak to nędznie kończą ci, co nie szukają szczęścia w uczciwej pracy, jeno puszczają się na złe i lekkomyślne drogi! Niechaj zaś wszystkich Bóg strzeże od nałogu Stacha i od jego nędznej śmierci!...

A teraz cóż wam powiem jeszcze?... Chyba dodam, że wdowa po Stachu zmarła wkrótce w ubóstwie, sprzedawszy przed śmiercią resztę gruntu, którego biedaczka ani obrobić ani obsiać nie miała za co. A dzieci Stachowe poszły w świat, w poniewierkę, na gorzki chleb proszony obcych ludzi — jak zwyczajnie sieroty.

A ów Antoni, co to przez jakiś czas tak panował?... Zginął nędznie niedługo po śmierci Stacha. Zapił się pewnej zimowej nocy w szynku, a gdy go wyrzucili na dwór, położył się do rowu spać i zaspał też — na wieki! Zamarzł na okrutnem zimnie.

Wojtek ze Smolnicy.

Rady gospodarskie.

Sprzęt siana.

Sprzęt siana rozpocząć się powinien wtenczas, gdy największa część trawy i ziół w najlepsze kwitnąć zaczyna. W miesiącu Czerwcu właściwie należy tę pracę rozpocząć na tych łąkach, które dwa, lub trzy razy dadzą się kosić; łąki zaś wydające tylko jeden pokos w Lipcu się dopiero koszą. Do sprzętu siana koniecznie potrzebna pogoda, dlatego należy się za nią oglądać. W tym roku mało trawy po łąkach, a to mało trudno było dobrze i sucho sprzątnąć, bo Czerwiec był przekropny. Stąd tem więcej pilności dołożyć trzeba, żeby z każdego promienia słonecznego umieć korzystać, gdyż od tej reguły odstąpić nie można, że tylko podczas suchej i pięknej pogody ciąć trawę należy. Dobrą trawę przy pięknej pogodzie trzeba zaraz po skoszeniu rozrzucić, mniej dobrą, to jest kwaśną i ostrą zostawić na pokosach dłużej. Rozrzucać należy równo, nie zostawiać szwatołów. Przerabiać ją, żeby zawiędła, a przed wieczorem tego samego dnia ułożyć ją w małe kupki. Kwaśną trawę na drugi dzień po oschnięciu rosy rozrzucić, przerabiać i przed wieczorem w kupki większe ułożyć, które można dłużej pozostawić, bo zagrzawszy się dobrze, polepszy się siano przez to znacznie.

Żadnych kupek nie można rozrzucać, jeżeli nie masz pięknej pogody, ale skoro choć na krótki czas wypogodzi się, trzeba kupki przestawić. Jeżeli zaś od początku koszenia służyła pogoda, to na drugi dzień, skoro rosa oschnie, kupki z dobrej trawy rozrzucić, w godzinach południowych przerobić i we większe kupki ułożyć, ale przed rosą. Nigdy nie dopuścić tego, żeby siano rozrzucone deszcz zaskoczył, albo rosa zmoczyła, dlatego trzeba mieć robotników tyle, żeby, gdyby deszcz miał zagrażać, zdążyli je w kupki zgrabić. Dobrze ususzone siano i do zwiezienia zdatne poznać można po tem, gdy przy skręceniu mocnem nie wydaje wilgoci. Jeżeli jest bardzo bystra pogoda i gorąco, natenczas siana tak mało, ile tylko można, przerabiać, lub przetrząsać, żeby go zbyt mocno nie

wysuszyć, boby się łamało i kruszyło, przez co wielka strata, gdyż swej naturalnej świeżości już nie nabierze. Siano będzie wtenczas bardzo dobre i trwałe, jeżeli pogoda posłuży i pare razy kupki na krótki czas rozrzuci się, potem we wielkie ułoży się i da mu dwa, lub trzy dni, udeptawszy je dobrze, wyparować. W ogóle zawsze jest dobrze, gdy siano w każdym przypadku przez kilka, lub kilkanaście dni zostanie we wielkich i udeptanych, oraz dobrze zaokrąglonych kupkach na świeżem powietrzu. Wielu zaś jest gospodarzy innego zdania, którzy spieszą się ze zwózką, nie przekonawszy się, czy siano dostatecznie wysuszone, mniemając, że pod dachem do reszty wyschnie. Lecz pospolicie dzieje się przeciwnie, bo pod dachem sparzy się, zatęchnie i spleśnieje tak, że bydło jeść go nie chce; a tak z dobrej i słodkiej trawy nie siano, lecz ściółkę gospodarz sobie przysposobił. Inni gospodarze są znowu tak nieoględni przy sprzęcie siana, że skoszoną trawę zostawiają na pokosach tak długo, dopóki nie uschnie, a jeżeli grube pokosy, to je za tydzień, lub dwa tygodnie dopiero przewrócą i zgrabią, na kupki ułożą, albo zaraz odwożą Takie obchodzenie się z sianem nie może gospodarstwa podnieść, gdyż tak zrobione siano, choćby i deszcze nie padały, utraca wszelkie pożywne części, albowiem słońce za pomocą rosy zupełnie je wybieli, a jeżeli deszcze panują, to je zgnoją do szczętu, więc i tu sprzątnął gospodarz zamiast siana barłóg na ściółkę. Oględny gospodarz nie popełni takich błędów. nie ociąga się ze sprzętem siana, nie odkłada go na ten czas, gdy inna robota nie da na siebie czekać, tylko rączo bierze się do pracy w odpowiednim czasie. Nie spuszczajcie się wieśniacy na własne siły przy sprzęcie siana, bo niestała pogoda zniszczy wam prędzej cały sprzęt, niżeli wy sami robocie podołacie. Tu nie można obejść się bez najemnika, jeżeli robota ma od ręki odchodzić, a gdyby który chciał koniecznie dla oszczędzenia wydatku własną pracą to wykonać, niechaj o tem pamięta, że taka oszczędność nie jest oszczędnością, lecz czystem marnotrawstwem.

Sz. N.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 4.
1. sierpnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Jakób.

Gromada polska Markówka ma ludzi dobrych, pobożnych, co to dbają o swoje budynki, aby był porządek koło domu jak się patrzy, ale stoją oni także i o swój kościół i o cmentarz, aby też i dom boży nie był u nich ostatni. Boć powiadają oni sobie:

— Jak chcesz człeku poznać, jacy ludzie na wsi, to wstąp do kościoła i popatrz tam na ołtarze i na ściany, a jeżli niema tam gromnicy na ołtarzu, ani organów dobrych, to możesz na pewnika powiedzieć, że to lud niedbały albo jaki grzeszny — tak samo idź na cmentarz i jak zmówisz paciorek za dusze nieboszczyków, poglądaj tam groby i krzyże i ogrodzenie, a jak tam nie ma porządku, to wtedy nie myśl sobie, że są pobożni ludzie w tej wsi.

I dobrze sobie myśleli gazdowie z Markówki i gadali prawdę, bo gdzie na wsi polskiej są chałupy ladaco i opuszczone kościoły i cmentarze, tam nie ma ani pobożności, ani dobrego rozumu, ani też błogosławieństwa boskiego.

Toż gospodarze z Markówki jak porobili porządek na wsi i w kościele i na cmentarzu, wtedy wyfundowali razem z panem i xiędzem szkołę, ale bo to i szkoła, jak dworek jaki, a profesor piśmienny i akuratny człowiek co się zowie.

W ich kościele w wielkim ołtarzu jest tam stary obraz podarowany do kościoła od nieboszczyka pana, a na tym obrazie klęczy jakiś święty nito biskup, a koło niego stoją znowu jacyś niedobrzy ludzie, a jeden trzyma niby topor w prawej ręce, jakby chciał temu świętemu głowę odciąć.

A mający gazdowie z Markówki jeszcze taki zwyczaj u siebie, że jak zaczynają żniwo w lecie, to robią takie wieńce małe z kłosek i przynoszą do kościoła na ofiarę, a potem po skończonem nabożeństwie schodzą się do dworu, tam oddają panu i pani jeden taki wieniec, a potem mają od pana bankiet z muzyką. A ten bankiet odbywa się u nich zawsze w sam dzień św. Jakóba, gdzie u nich wielki odpust. Na taki odpust i bankiet po nabożeństwie schodzą się ludzie i dziady z całej okolicy.

Otoż była tam na tym odpuście tego roku między dziadkami jedna jakaś staruszka, w jakiemś czarnem ubraniu od stóp do głowy, na piersi koronka długa, opasana pasem św. Franciszka, a znowu u szyi wisiał obszywany szkaplerz. A to ubranie jej czarne było od prochu aż białe, bo widać z daleka przyszła na odpust. Przez całe nabożeństwo klęczała ona i leżała krzyżem przed wielkim ołtarzem, a po nabożeństwie opatrzyła cały kościół i wyszła z kościoła i mówi do gazdów:

— Wy widać nie źli ludzie w tej wsi! macie i chałupy niezłe, ale za to kościół pomalowany, z obrazami aż miło się pomodlić — macie tu i organy dobre i spiewacie ładnie i cmentarz w porządku, a to znowu co takiego? co to za dworek taki?

— To szkoła gromadzka nowa — rzekli gazdowie.

— I to bardzo potrzebne na wsi, aby się wasze dzieci uczyli Boga poznawać, mówi im babusia, a potem pytała ich dalej:

— To wy tu macie odpust na św. Jakóba i święcicie jakieś wianeczki ze zboża — bo ja widziałam także, że w innych gromadach święcą ziele i takie wieńce aż na matkę bożą Zielną, ale to dobrze robicie, bo to trza każdą robotę zaczynać z Bogiem,

robić z Bogiem, i kończyć z Bogiem, jeźli Bóg pozwoli życia na tyle.

A gazdowie powiadają jej na to:

— My i na matkę bożą Zielną to samo robimy, jak się żniwa wielkie przewalą, ale z dziada pradziada sprawia nam tu dziś dwór taki bankiet z muzyką, a są tam we dworze i xięża wszyscy odpustowi i tam dostają dzieci nasze różne obrazki od pani samej, albo orzechy i jabłka, a my starsi zabawiamy się uczciwie bez żadnej obrazy Boga i bez pijatyki razem z dziećmi.

— I to nie źle, rzecze babusia, bo tego nie trza zarzucać, jeno nie trza Boga obrażać. Ale wy pono nie wszyscy znacie tego wsiowego patrona, a ja to znam dokumentnie, bom była tam; gdzie jest grób tego św. Jakóba, gdzie leży jego św. ciało, ale to bardzo daleko ztąd. ja już idę ztamtąd blisko trzy lata i wstępuję po drodze wszędzie na cudowne miejsca i przyszłam też i do was, aby się pomodlić i wyspowiadać na odpuście i pójdę sobie dalej do domu i....

A gazdowie słysząc to poderwali ją tak:

— To wy widać chodzicie tak, jak my na Kalwaryę albo do Częstochowy naszej i musieliście dużo świata widzieć, toż nam gadajcie co i o grobie naszego św. patrona Jakóba, a my posłuchamy.

A pobożna babusia jęła tak opowiadać:

— O moi dobrzy! Szczęśliwy ten, kto się trzyma zawsze pana Jezusa i robi tak jak On każe. Toż i św. Jakób miał taki dobry rozum. Miał on dobrego ojca i taką samą matkę, a dobrzy ojcowie nie zmarnują nigdy swego dziecka rodnego ani cudzego. Ojciec św. Jakóba był ubogiego stanu, mieszkał sobie w świętej ziemi, co ją zwiemy Galileją, a gdzie to najwięcej nauczał Pan Jezus i sprawiał cuda. Taki ojciec dobry nie krzywdził nikogusienko na świecie bożym, jeno pracował, a co sobie zarobił temi dziesięcioma palcami, z tego żył sam i żywił swoje dziatki.

— A to miał on jeszcze więcej dzieci? pytali gazdowie.

A miał kilkoro, jeno dwoje udało się mu najlepiej, i to synowie — pierwszy był ten sam św. Jakób, a drugi był młodszy św. Jan, co to opisał cały żywot p. Jezusa, a potem opiekował

się Najświętszą Panną i umarł ostatni z apostołów, a przeżył blisko 100 lat. Toż widzicie ojciec tych dzieci, miał mały kawałek roli i trudno mu było wyżywić tyle ludzi z małego kawałka — ale on umiał robić siecie i saki na ryby i był do tego rybakiem, co się zowie. A jak wiecie, że dzieci zwykle robią to samo, co ich ojciec, toż i Jakób św. wyuczył się robić siecie na ryby i pomagał ojcu we wszystkiem koło domu i przy każdej robocie. Ale dobry ojciec nie robi w niczem żadnego oszukaństwa i tak samo uczy i swoje dzieci, toż i ojciec św. Jakóba jak ci zrobił sieć lub sak taki na ryby, to tam były nici jak drut mocne, a oczka były zrobione doskonałe, a jak sobie kto kupił od niego taką sieć, to on go nigdy na jeden grajcar nie przeciągnął, a znowu jak sobie kto zamówił u niego, to mu zrobił na czas i nie chybła tam ani godzina, aby kto darmo czekał i czas mitrężył przez niego.

Toż widzicie, taki ojciec zapobiegliwy miał zawsze na tyle chleba, że mu się w domu nie przelewało, ale nie było tam i przednowku. A gdzie w chałupie pracują wszyscy szczerze i uczciwie, tam jest zawsze czem się przyodziać i pożywić, bo dobrych nigdy Bóg nie opuszcza. Jeno dobry ojciec pamięta także i o nauce dobrej dla dzieci i daje wyuczyć, co jeno można. Toż św. Jakób miał taki przykaz od ojca, aby po robocie skończonej coś sobie przeczytał, napisał, a osobliwie aby sobie czytał pismo święte. A znowu był za młodu ciekawy tak, że jak mu kto jeno co dobrego powiedział lub go do czego dobrego zawołał, to ci rzucił robotę a robił co lepszego, bo mu ojciec gadał zawsze:

— Widzisz moje dziecko! trza myśleć o odzieniu i jedzeniu, a jak to jest, to trza pomyśleć i o duszy, bo dusza warta coś więcej od ciała.

I św. Jakób, jak jeno wyrósł na tęgiego chłopaka, jak jeno posłyszał o tem, że p. Jezus chodził po ziemi i nauczał, to ci zaraz po robocie leciał duchem do Pana Jezusa i słuchał nauki i nie zdrzymał ci się, choćby i całą noc przy rybach nie spał.

A gazdowie słuchając tego zapytali:

- A co to był on za rodak, ten św. Jakób?

— On był, mówiła babusia, żydem z urodzenia, gadał po żydowsku, stroił się tak samo, ale jak jeno powiedział mu Pan Jezus, aby przystał do niego i został z żyda chrześcianinem, to on dorazu przystał sam i co jeszcze, namówił do tego i swego młodszego brata św. Jana i oba przeszli i zostali potem apostołami, a za to tak ich Pan Jezus polubił, że im pozwolił najbliżej siebie siadać i brał ich wszędzie ze sobą.

— Ho ho! zawołali gazdowie, a cóż robił bez nich ojciec na stare lata, toć przyszło mu umierać z biedy potem? kto robił na niego potem?

— A co wy też bajecie, rzecze babusia, toć jakież by tam było serce u ojca, jeżliby zabraniał swemu dziecku na dobre, albo jeżliby mu żałował dusznego zbawienia? toż i ten ojciec został zbawiony sam za to, że pozwolił synom żyć i robić dobrze, że im pozwolił porzucić siecie i rolę i pójść do Pana Jezusa a potem zostać apostołami.

— A to ten św. Jakób był apostołem? spytali ludzie.

— Taże był, rzecze babusia, i to przystał on trzeci zaraz od samego początku do Pana Jezusa, chodził trzy lat nieodstępnie z Panem Jezusem tak, że już odtąd jeno się uczył i uczył, a o rybach ani pomyślenia nie miał, był też na weselu w Kanie z Panem Jezusem i tam widział cud, jak się woda zamieniła w wino, był znowu na górze Tabor i widział przemienienie Pańskie, był w domu jednego bogatego, któremu Pan Jezus wskrzesił umarłą córkę, był i przy innych cudach, a po pańskiej wieczerzy wziął go Pan Jezus na górę oliwną i do Ogrojcu, a potem jak mu przypadło apostołować, to sobie tak ułożył:

— Mam dużo swojaków, toż milsza mi moja ręka, niż cudza i milsza mi dusza swojaków, niż obcych ludzi, pójdę też najpierw do swoich nauczać, a gdy oni nie zechcą mię słuchać, to dopiero wtedy udam się do obcych i tam będę uczył słów Pana Jezusa.

— No! i cóż zrobił takiego? zapytali gospodarze.

— A coby złego, rzecze babusia, zrobił jak się patrzy — tam gdzie było najwięcej niedobrych między swojakami, gdzie byli najwięksi bezbożnicy, co zamęczyli św. Szczepana, tam on został i nauczał.

— A czy go też usłuchali? pytali ludzie.

— Ale gdzie tam zły człowiek usłucha co dobrego, mówi babusia, toż i ci bezbożnicy w mieście Jerozolimie nie wiele słuchali, a co gorzej zmawiali się i buntowali na św. apostołów i chcieli ich wyłapać do jednego i wybić tak, aby ani znaku po nich nie zostało.

— O dla Boga świętego! zawołali gospodarze, a cóż tam za rozum taki u ludzi głupich, aby aż nauczycieli boskich ścigać, toż tacy niewartali już niczego na świecie bożym.

— Otoż widzicie, rzecze babusia, i św. Jakób jak pouważał, że nic nie wskóra między swojakami, to poszedł hen! daleko gdzie słonko zachodzi, aż do pogan, do Hiszpanów i tam między takimi poganami lepiej mu poszło, niż u swojaków, bo fundował zaraz parafie różne, fundował kościoły, a wyuczył sobie tak niektórych, że ich św. Piotr wyświęcił na biskupów. Ale zawsze mu było strasznie żal i markotno za swojakami, bo to co swojak, to zawsze bliższy i milszy, toż i św. Jakób wrócił po długim czasie do swojaków do Jerozolimy, darował im z serca dawne urazy i znowu zaczął ich nauczać.

— No! to go pewnikiem usłuchali teraz? pytali gospodarze.

— A gdzie tam usłuchali! — rzecze babusia.

— No! to cóż mu zrobili? pytali dalej.

— Co zrobili, to zrobili! rzecze babusia — oto sami prosili swego króla, aby św. Jakóba kazał złapać i zabić.

— A król co? czy usłuchał ich? boć pono król ma lepszy rozum na takie rzeczy — mówili gospodarze.

— O! bo to i król nie był lepszy od nich, rzecze babusia, niedługo się namyślał, kazał św. Jakóba złapać i uciąć mu toporem głowę, a to było w sam dzień Wielkanocny. Toż macie i tu na waszym obrazie w ołtarzu wymalowane wszystko do imienia, jak go ci bezbożnicy i to swojaki zabili toporem. A widzicie, że lepsi byli tamci pogani Hiszpani, gdzie to nawracał św. Jakób, bo jak się dowiedzieli o tem, to zaraz jakie sto mil przylecieli i zabrali ciało św. Jakóba i tam u siebie pochowali w kościele w mieście Komposteli, a zabrali oni sobie to św. ciało akurat w lipcu o tym czasie, toż z tej racyi mamy św. Jakóba na same żniwa u nas w polskim kraju.

— Aha! gadali ludzie, to teraz rozumiemy, co to był ten św. Jakób i na co to przypada jego święto w same żniwa.

A babusia zapytała potem:

— A kto mi zgadnie to jeszcze, na co to te wieńce ze zboża i takie bankiety po dworach dla was podczas żniw?

Na co jej powiadają:

— Ot zabawki takie z dawien dawna — ale więcej ludzie rozpustują na tych zabawkach we dworze, i więcej obrazy Boga niż pożytku.

A babusia powiada.

— Widzicie! te wieńce ze zboża, jakie robią Polacy z samych kłosek i dają święcić a potem niosą do dworu albo i do xiędza z muzyką i śpiewaniem i tam się zabawiają, są starodawną pamiątką od naszych pradziadków i my tego zarzucać nie mamy, jeno nie trza zbytkować pijatyką i bitkami. Od dawnych czasów dał Bóg Polakom dużo ziemi od morza do morza, od Krakowa hen po za Lwów i po góry węgierskie — na tej ziemi dał Bóg dużo lasów, dużo wody z rybami, dużo łąk dla koni i bydła, a najwięcej gruntów na zboże, a to wszystko było dla Polaków dane z nieba wysokiego. Otóż nasi pradziadkowie nie byli żadnymi cyganami i szachrajami, jak są po dziś dzień żydzi, nie byli kupcami, jeno każdy miał swój grunt, na gruncie żył i Boga chwalił a za ziarno miał wszystko, co mu w chałupie było potrzeba. Toż grunt i chleb były całą pracą dziadków naszych. Jak przyszła wiosna i robota w polu, to się nasi pradziadkowie weselili i Bogu dziękowali za pierwsze ciepłe słoneczko, a jak znowu koło św. Jakóba nadeszły żniwa, to oni znowu weselili się i Boga chwalili po kościołach, a potem obnosili wieńce z pierwszych kłosek po całej wsi i sprawiali sobie bankiet razem z dworami. A takie bankiety zowią się do dziś wieńczyny, wieńcowiny i to od wieńców kłosianych, albo też obżynki od żniwa.

— Aha! rzekli gazdowie, to teraz wiemy, na co to te bankiety u nas. A teraz zostańcie z Bogiem!

I rozeszli się, babusia w swoją stronę, a ludzie do dworu.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Modlitwa Sierot.

Panno święta, my sieroty
Przychodzimy z wielkim płaczem,
Przed niebieskie twoje wroty,
Czy cię Matko nie zobaczym?
I wołamy matko droga,
Zapłacz ty naszemi łzami,
Proś za nami Pana Boga,
Panno zlituj się za nami!

Łaskawemi rzuć oczyma
Nad nieszczęsną swą gromadką,
Dla nas nigdzie wsparcia nie ma,
Matko Boża bądź nam matką.
Bez schronienia, bez okrycia,
Nieświadomi ludzkiej drogi,
Ach! my już ostatkiem życia
Upadamy przed twe nogi

Ty wiesz panno nad pannami,
Jak to trudno żal wysłowić,
To powiemyć wszystko łzami,
Krwią i łzami będziem mówić.

Pani świata, Matko Boża,
Na leżące spojrzyj w prochu,
Słyszysz Ty o gwiazdo morza,
Pękającą pierś od szlochu?
Widzisz Ty o rajska różo,
Przyodziana w zorzę jasną,
Jak się nam niebiosa chmurzą,
Jak od płaczu oczy gasną?

Macierzyńskie Twoje czucie
Czyż nie wzruszą dzieci łkania,
Czyż nie słyszysz w naszej nucie
Że to straszny jęk konania?
Od tak dawna pieśń tęż samą
O te same wtórzym słowa,
Otwórz się o rajska bramo,
Jasna wieżo Dawidowa!

Liljo! rozwiej czucia wonie,
Różo! liść twój roztocz złoty,
Panno! ściągnij Twoje dłonie,
Matko! okryj swe sieroty!

Na wzburzonych wód otchłani,
W cieniach tracąc sił ostatki,
Niech nie błądzą jak bez Pani,
Niech nie giną jak bez matki. . . .

T. L.

Polska po swym upadku.

IV. Wielka wojna z Moskalami.

Wszystkie narody słuchały Napoleona jakby swego pana: Włochowie, Hiszpani, Szwedowie, Turki, Niemcy, Moskale, Ale choć go z bojaźni słuchali, radzili jednak skrycie, jakby się to najprędzej jego panowania pozbyć. Jedni Anglicy, co byli z Napoleonem w bezustannej kłótni, a nie łatwo mu ich było zawojować, bo angielski kraj, to wyspa do koła oblana morzem. Anglicy sami doskonale umieją okrętami po morzu pływać i wojować, boć inaczej nigdzie nie mogą się dostać. Francuzi zaś nie tacy dobrzy wojownicy na morzu jak na ziemi, więc

choć się już skradali na pobicie Anglików, to im się nie powiodło. Gniewało to bardzo Napoleona, że tego jednego kraju upokorzyć nie może, więc bierze się do takiego sposobu. Anglicy są bogaci, ale nie z roli, bo u nich nie tyle ziemi urodzajnej co w Polsce, jeno z rzemiosł i z kupczenia. Są też pracowitymi aż do zbytku, bo dziecko zaledwie chodzi, a już mu rodzice każą obracać jakie kółka u maszyny, aby sobie zarabiało. Wszyscy się kręcą jak mrowisko, posyłają swoje roboty do cudzych krajów, tam je sprzedają, a za pieniądze kupują w obcych krajach zboże i tak żyją. Zakazuje więc Napoleon, aby nikt się nie ważył angielskich towarów kupować, ani na odwrot swego zboża im przedawać. Wyrządził tym sposobem nie małą psotę Anglikom, powstała u nich wielka bieda i ucisk. Ale i inne kraje na tem cierpiały, bo nie miały gdzie sprzedać, ani zkąd wziąć wielu bardzo potrzebnych towarów. Wszystko więc, co trzeba było kupić podrożało, a co przyszło sprzedać, potaniało; najciężej już było w krajach moskiewskich, bo to lud do rzemiosł mało sposobny, więc też ich car kazał im potajemnie z Anglią handlować. Patrzał Napoleon na to przez szpary, umyślił jednak w czasie Moskwę ukarać za takie nieposłuszeństwo.

Już upłynęło blisko trzy lata, jak było Xięstwo Warszawskie; Polacy wypoczywali sobie trochę po krwawych wojnach, a choć kraj biedny i zniszczony, zakładali szkoły nietylko po miastach, ale w miarę możności i po wsiach, aby się i chłopi oświecali. Prawa, któremi się rządzili, były bardzo za wolnością i równością między wszystkimi ludźmi, więc też oprócz powszechnej biedy nie było żadnego uciemiężenia i przewodzenia jednego nad drugim. Krzątali się też Polacy jak mogli, znosili ciężary bez szemrania, wesoło im było, bo wciąż żyli w oczekiwaniu, że przecież coś pewniejszego i lepszego dla Polski nadejdzie.

Patrząc na to wszystko car moskiewski Aleksander zaczął też troszkę folgować Polakom, co byli pod jego rządem, chcąc im przez to pokazać, że i pod nim mogą żyć tak szczęśliwie jak i pod Napoleonem. Nie kazał już brać na Syberyą, pozwolił zakładać szkoły, przypominał im sam nie raz, że są Pola-

kami, i mawiał: że jeżeli mu będą wiernymi, to zrobi królestwo polskie i zostanie ich królem. Polacy wydziwić się tej odmianie nie mogli i miarkowali, że ta dobroć udana nie na próżno. Tak też i było — bo car potajemnie gotował się przez trzy lata do wielkiej wojny, więc chciał, żeby Polacy z nim trzymali i jemu wiernie służyli. Kiedy już car widział, że dosyć urosł w siłę, kazał swoim Moskalom, aby jawnie do Anglii sprzedawali, i od Anglików napowrot towary skupowali. Szle Napoleon do niego posłanników, upominając go o dotrzymaniu tego co przyrzekł, bo inaczej przyjdzie do jego kraju z wielkiem wojskiem. Car odpisał: „Przyjdź cesarzu! niech płynie krew ludzka!“ I na rozkaz cesarza Francuzów i cara moskiewskiego miliony ludu gotowało się do boju, aby się mordować, broczyć we krwi i ginąć dla ich woli.

Roku 1811. ukazały się na niebie ogniste znaki, na które lud patrzał z przerażeniem przez wiele tygodni, bo widzieli oczywiście znak Boży, że jak na niebie tak i na ziemi krwawo będzie. Niedługo też wyruszył Napoleon na czele 500 tysięcy wojska, prowadząc ze sobą półtora tysiąca armat, a koło mięsopust 1812. roku wstąpił na ziemię Xięstwa Warszawskiego. Byli w tem wojsku Włochowie, Hiszpani, Francuzi, Austryacy, Prusacy i inne narody niemieckie, bo na rozkaz Napoleona wszyscy wojska dostawiali. Jak świat światem po drugi raz dopiero ludzie tyle wojska na raz widzieli. Wszystko się to waliło przez naszą biedną Polskę, gdyż Napoleon ochraniał kraje ojca swojej żony cesarza, bo wiedział, że gdzie tyle wojska przejdzie, tam ciężko rość i trawie. Oj była też to nędza i zniszczenie! Gdzie przeszedł Francuz, albo Włoch to to jeszcze pół biedy, bo się obszedł z Polakiem jak z bratem, pożywił się czem było, podziękował i poszedł dalej. Ale Niemcy rabowali, niszczyli, zagrabiali wszystko, jak w nieprzyjacielskim kraju, a lud prosty widząc, że to napoleoński żołnierz, przeklinał za to rabusiostwo Francuzów, bo owe Niemcy często udawali Francuzów, chociaż po francusku nie umieli chyba klątwę jedną i drugą.

Choć ponosili takie ciężary, krzątali się jednak Polacy koło zbierania własnego wojska, którego dostawili 85 tysięcy, aby

jeno pobić co najprędzej Moskwę, a odebrać, co swego. Zebrał się też sejm w Warszawie i okrzyknął Polskę całą i niepodległą, wzywając braci będących jeszcze pod obcym rządem, aby się z nimi łączyli.

Dowiedziawszy się Napoleon o tem kazał Polakom powiedzieć, żeby o tej części, co przypada Austryi wcale nie myśleli, a on sam nie może jeszcze Polski uznać przed światem wolną i niepodległą, bo nie wie co po bitwie wypadnie, czy ją samym Polakom do rządzenia odda. Martwiłać Polaków ta nieszczerość Napoleona, ale się z tego cieszyli, że już ich teraz poddawać Moskwie nie może, jak to po dwa razy zrobił.

Szło a szło to wojsko napoleońskie przez Xięstwo Warszawskie; a było na co i patrzyć, bo to lud zebrany ze wszystkich narodów, co najzdrowszy i najdorodniejszy; a u jednych mundury ślicznego koloru, jak modraki, drudzy w zieleni, jak w maju, inni ciągną na siwych koniach w czerwieni, jak jagody jarzębiny, inni znowu biali, szarzy, czarni i jakie jeno kolory na świecie — wszędzie trąby, bębny, muzyka, chorągwie, świecących się od złota jenerałów, xiążąt i królów.

Patrząc na to wszystko, aż się w oczach ćmiło i mięszało w głowie, żeby rozpoznać i pamiętać, z jakich krajów te wojska, jak się nazywają ci bogato wystrojeni xiążęta i jenerałowie. Ciągnęło to wojsko przez wiele tygodni, nakoniec w wilią św. Jana Chrzciciela, to jest 24. Czerwca przeszło rzekę Niemen, a w kilka dni potem wjechał Napoleon do stolicy Litwy, Wilna.

Wojska polskiego szła większa część z Napoleonem pod dowództwem xięcia Poniatowskiego; reszta poszła pod jenerałem Dąbrowskim na zdobywanie różnych fortec.

Wojsko napoleońskie już na ziemi Litewskiej poczęło doznawać niedostatku, bo tu nikt naprzód o jego żywieniu nie radził, więc bez ładu zabierał żołnierz wszystko, aby wyżywić siebie i konia. Siekli oziminy na paszą, zaledwie jeszcze wygrane zabierali zboża i inwentarze, tak, że pierwsi co przeszli mieli do zbytku, drudzy mieli dostatek, trzecim już się nie wiele co okroiło a reszta zastała głód i nędzę. Niedługo też wkradły się między ludzi i konie choroby i wnet wszystkie domy, gdzie przechodzili, pełne były chorych żołnierzy, a drogi

zasłane zniszczonemi końmi. Wszyscy już z tego widzieli, że to nie ten Napoleon, jak kiedy toczył wojny za całość swojej Ojczyzny: wtedy o wszystkiem naprzód pomyślał, a żołnierz sam porządku i karności przestrzegał.

Tracąc tak żołnierzy po drodze, zbliżał się Napoleon do wojska moskiewskiego, które stało gotowe do bitwy. Niedługo bawiąc, zbił ich Napoleon, a oni poczęli się spiesznie cofać, niszcząc za sobą kraj i żywność. Dotarł Napoleon za nimi pod dawne miasto polskie Smoleńsk i tu się rozpoczęła krwawa batalia w dwa dni po Matce Boskiej Zielonej, to jest 17. Sierpnia. Wiele tysięcy ludzi tu padło, bo samych naszych Polaków do dwóch tysięcy, ale Napoleon ze wszystkiem batalią wygrał i Moskale tak nocą uchodzili, że po nich ani znaku. Po tem wielkiem zwycięztwie rznie się Napoleon ku stolicy Moskali, które to miasto nazywa się Moskwa. Ale wojska co dzień mu ubywa, ludzie i konie marnują się z niedostatku, już go prawie i połowy nie masz, bo gdzie Moskale przeszli, tam trudno pożywienie znaleść, tylko wsie i miasta popalone, a w nich ludzie zgłodniali i nędzni. Pilno więc Napoleon spieszy do Moskwy, bo to miasto wielkie, starożytne i bardzo bogate; posili się tam wojsko i wypocznie sobie przez całą zimę. Jego żołnierze wszyscy to powtarzali, i nie jeden słaby i chory, dobywał ostatnich sił, byle się jeno dowlec do Moskwy. Kilka mil przed Moskwą, pod miastem Mozajskiem, wielkie wojsko moskiewskie zachodzi im drogę. Rozpoczyna się krwawa i zacięta bitwa o jakiej mało kto słyszał, bo Moskale bili się z ostatnią rozpaczą, gdyż wiedzieli: że jak Napoleon wprowadzi swoje wojska do Moskwy, a to sobie wypocznie, na ten czas już po wszystkiemu, bo zwojuje cały kraj. Ale biło się i napoleońskie wojsko zażarcie, aby się jeno dostać do Moskwy, boć nie chciało z głodu i chorób wyginąć do szczętu, a biło się lepiej niż Moskale, bo zwyciężyło. Zginęło w tej bitwie Moskali do 50 tysięcy, a napoleońskiego wojska do 20 tysięcy. Polacy bili się już najodważniej, a xiąże Józef Poniatowski przed nimi na czele. Przypinał im też po bitwie Napoleon swoją ręką krzyże, a kiedy objeżdżał pobojowiska, to widział: że gdzie leżał zabity Polak, to koło niego położeni byli trupem trzej albo czterej Moskale.

Po tej wielkiej wygranej pod Mozajskiem uradowane wojsko spieszyło do Moskwy, a tymczasem w tem mieście straszne się rzeczy działy. Po bitwie pod Mozajskiem przełożony jenerał nad miastem Moskwą, nazwiskiem Roztopczyn kazał popsuć wszystkie sikawki i co jeno potrzebne do gaszenia ognia, przytem kazał wywozić wszystkie carskie kosztowności, poszeptał z bogaczami miasta, ci także co najspieszniej swoje bogactwa wynosili, a potem kazał sprowadzić na jeden wielki dziedziniec wszystkich rabusiów, złodziejów i rozbójników, jacy jeno po więzieniach siedzieli i powiada im: iż ich wypuszcza na wolność na to, ażeby zapalili miasto po wszystkich stronach. Złodzieje ochotnie na to przystali, boć sobie zaraz myśleli o rabunku. Niedługo też cała Moskwa stanęła w płomieniach, lud z krzykiem i wielkią żałością uciekał z miasta patrząc, jak się marnują jego dostatki, tułając się bez dachu po drogach i lasach. Przytem rozlegał się w powietrzu jęk 20 tysięcy rannych moskiewskich zołnierzy, którzy żywcem w płomieniach ginęli. Uczynił to zaś ów Roztopczyn z zajadłej złości na Francuzów, aby się im miasto nie dostało inaczej, jeno spalone.

Z drugiej strony wojsko napoleońskie, jak by piorunem rażone wchodziło do Moskwy. Rzuciło się do gaszenia, ale zaledwie w jednem miejscu ogień przydusili, już w drugiem miejscu wybuchnął. Nadeszła noc, a nowych tysiące ogni powstawało. Widziało wojsko, jak podpalacze rzucili z wież ogniste wieńce pod drzwi i schody kamienic zapalone drzazgami, a najwięcej domów ledwie węglem dotknęli, już się paliły, bo były drewniane. Był tam płomień, dym, gorąco istnie jak w piekle; łapali Francuzi podpalaczy i karali śmiercią, ale niepodobieństwo było ognia ugasić, tak się rozszerzył. Po czterech dniach z tego pięknego i bogatego miasta, zostały tylko pustki i resztki niedopalonej żywności między gruzami domów.

Żywność, którą Francuzi w Moskwie znaleźli, wystarczyła na pożywienie wojska, było jeszcze i dosyć wygodnego miejsca na wypoczynek, ale jakże myśleć o zimowaniu w spustoszałem mieście, kiedy nikt nie dowoził żywności, kiedy nie było ni ubrania, ni obuwia, ni żadnej potrzeby dla wojska. Tak przesiedzieli przeszło miesiąc, a Moskale wojska sprowadzają i

rozkładają w około, nie było więc już co czekać, jeno wyruszyć, bo żołnierz napoleoński najwięcej z ciepłych krajów, więc niewytrwały na zimno. Umyślił Napoleon cofnąć się do Litwy, tam się wzmocnić, wojsku wypocząć, i na zpozimek rozpocząć z Moskalami. Zaszli Napoleonowi drogę Moskale pod Małym Jarosławiem, zbił ich porządnie, ale cóż kiedy droga, którą wracał była ta sama, co szedł do Moskwy, więc wszędzie pustki, nigdzie żywności. Widząc też Moskale, że mu w bitkach nie podołają, wzięli się na sposób, żeby go męczyć dzień i noc. Ledwie Napoleona wojsko stanęło, już strzały, już się nieprzyjaciel ukazuje; ledwie jeść zaczęli gotować, stawaj do broni; skoro wyjechali po żywność na okolice, już im Kozacy drogę zachodzą i staczaj boje o każde odrobinę żywności, a do tego wszystkiego co dzień mrozu przybywa, i to tak nagle, że tydzień bo Wszystkich Św. 8. Listopada już 18 stopni było. Mróz taki, że ludzie nie wyspani, głodni i odarci zaczęli marznąć po drodze. Przytem powstały i mroźne zawieruchy, wiatr spędzał śnieg na kupy w opłotkach i po drogach, czego na życie żołnierze z ciepłych krajów nie wiedzieli i nie umieli sobie w tej biedzie poradzić, bo tu nie znać ani drogi, ani rowu: wszystko zawiane i zrównane. Ponuro szło wojsko skostniałe od zimna, kierując się tylko za armatą utknioną pod śniegiem, za resztkami wozów i zdechłych koni, co się czerniały na białym śniegu, jakby ślady śmierci.

Okropny to był widok, jak ten piękny i rześki niedawno żołnierz, teraz odarty i zmizerniały bił się tu przy lichem ognisku i zjadał na pół upieczonego kawał końskiego mięsa. Tak się wlekli aż do rzeki, co się zwie Berezyną. Było to krótko przed adwentem, bo 26. Listopada. Nie szeroka ta rzeka Berezyna, ale bardzo bystra, bo choć był taki wielki mróz, to na środku nie zamarzła, jeno brzegami. Nie było więc innego sposobu, tylko mosty stawiać. Wpośród ognia armatniego wystawili Francuzi dwa mosty i poczęli przechodzić. Moskale rozpoczynają bitwę, a wojska napoleońskie jedne się przeprawiają, a drugie odpierają nieprzyjaciół. Wszystko szło jak najlepiej póki był dzień, ale z nadejściem nocy łamie się jeden most, a wtedy wszystko ciśnie się na drugi, a każdy chce przechodzić

jak najprędzej, każdy chce być pierwszym. Poczynają się więc kłótnie, a nakoniec najstraszniejsze bijatyki. Spychają jedni drugich w zlodowiaciałą rzekę, konnica walczy z piechotą, większe armaty i wozy gniotą mniejsze, mocniejszy depcząc słabszego idzie po jego ciele; most się pod ciężarem ugina, krzyki i jęki spadających i rozgniatywanych rozlegają się w powietrzu. O był to istny dzień sądny, kiedy jeszcze ze wschodem słońca Moskale na pozostałych poczęli sypać gęsto armatnim ogniem! Puszcza się więc pozostałe wojsko przez rzekę, wielu ginie pod lodami a reszta po stosach ciał ludzkich i końskich przeprawia się na drugą stronę, paląc most za sobą. Było to wojsko polskie, co przechodziło po trupach rzekę i zasłaniało do samego końca żołnierzy przez most przechodzących. Xiąże Józef Poniatowski ciężko tu był ranny, a snadnie się dorozumicie, co tu zginąć musiało najodważniejszych i najbitniejszych Polaków.

Tymczasem kiedy Napoleon tak nieszczęśliwie zaszedł do Moskwy i wracał, austryackie i pruskie wojska, co miały wojować Moskali po skrzydłach napoleońskiego wojska, dla tego same sobie były zostawione, maszerowały tylko nie zaczepiając Moskali, ani Moskale ich. Teraz po przejściu Berezyny, Austryacy cofali się spiesznie do xięstwa Warszawskiego i nawet zostawili Moskalom magazyny w mieście Mińsku, a było w tych magazynach żywności przynajmniej na pół roku dla 100 tysięcy żołnierza. Prusacy zaś wypowiedzieli Napoleonowi przyjaźń spisawszy zgodę z Moskalami; król pruski niby się to o tę zdradę na swoich jenerałów gniewał, wziął jednak 60 tysięcy karabinów, co mu Moskale po Francuzach podarowali, i nie długo zawarł z Moskwą na dobre przyjaźń i dał im swoje wojska na pomoc. I cesarz austryacki poszedł też niedługo w ślady króla pruskiego i połączył się z carem moskiewskim.

Napoleon ruszył teraz do Paryża, drąc się przez wszystkie niemieckie kraje z jednym tylko jenerałem saneczkami, a stanąwszy na miejscu, zbierał jak najpospieszniej wojsko, aby wyruszyć na Moskali, którzy szli w te tropy za resztkami uciekających jego żołnierzy.

Wróciło do Warszawy polskie wojsko nie tak bardzo wynędzniałe jak francuzkie, boć Polak zwyczajny mrozów i śniegów, więc nie tak zaraz miarniał. Ale z tych 85 tysięcy zaledwie 24 tysiące było przy życiu, a z tych mało który bez rany. Waleczny jenerał Dąbrowski na wylot miał rękę przestrzeloną, nie bacząc jednak na ten ból ciała, bo sroższe męczarnie ponosił w sercu, wyruszył do krajów niemieckich, gdzie miał bój rozpocząć z Moskalami.

Litwę zaraz też Moskwa teraz zagarnęła, i szła prosto na xięstwo Warszawskie, a przed nią uchodziły biedne Francuziska, przemarzłe, kulawe — ubrane nie raz w chłopskie siermięgi, miejskie fraki, xięże rewerendy, w kobiece salopy, szuby wełniane, fartuchy, a czasem nawet w kościelne ornaty i kapy. Mocniejsi i karniejsi szli w porządku wojskowym razem nierozprószeni, i ci po wiele razy dobrze Moskali strzepali, skoro ich tylko zaczepili, ale słabsi i bardziej wynędzniali szli pojedyńczo, a tych Polacy rozgrzewali, karmili, wyciągali co mieli, a odziewali i dając co mogli, na drogę wyprawiali dalej, bo Moskale szli, a zabierali do niewoli. Zaraz też po tej wielkiej wojnie xięstwo Warszawskie pełne było moskiewskiego żołnierza a car co prędzej rządy tu swoje zaprowadził.

RÓŻNOŚCI.

Stary żołnierz. W Krzeszowicach pod Krakowem żyje kmieć staruszek, mający 100 lat prawie, co służył jeszcze w wojsku polskiem pod panem naczelnikiem Kościuszką i był w owej sławnej bitwie pod Racławicami, gdzie to zuchy kosyniery tak walnie skropili Moskala. Owoż do tego staruszka jeżdżą zewsząd panowie rozmaici nawet z dalekich stron, aby widzieć tego może już i ostatniego na tym świecie Kościuszkowskiego wojaka i pogwarzyć z nim o dawnych czasach i bojach. Niedawno jeden malarz, co się zwie Grabowski, odmalował go pięknie na płótnie i posłał ten obraz do Krakowa, gdzie był na wystawie. Teraz zaś znowu pojechał do Krzeszowic drugi sławny malarz polski, Franciszek Tepa i także chce odmalować tego sędziwego staruszka. Oj! niedługo już jeno kilka lat, a już chyba na obrazkach będziemy widzieli Kościuszkowskich żołnierzy, bo ich już prawie wszystkich powołał Pan Bóg z tego świata!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. 11. sierpnia

Nr. 5. 1865.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Polska po swym upadku.

V. Krakusy. Bitwa pod Lipskiem. Śmierć księcia Józefa. Napoleon na wygnaniu.

Po tej wielkiej klęsce Francuzi pokrzepiwszy się trochę, nie tak zaraz Moskalom ustępowali, zwolna też z xięstwa warszawskiego wychodzili i zwolna się Moskwa rozpościerała. Na dwa dni przed św. Walentym, to jest 12. lutego wyszli Francuzi z Poznania, a w tydzień po nich weszli Moskale i pomykali się w kraje niemieckie. Cały świat na nowo gotował się do wojny, Napoleon zbierał a zbierał wojska, tak że w niedługim czasie miał go 300 tysięcy.

Rósł i car moskiewski Alexander w siły, bo nietylko, że wszystek lud jaki się jeno mógł bić, prowadził ze swoich krajów, ale jeszcze zmówił się z Anglikami, Szwedami, Prusakami, Austryakami i wszystkimi innymi niemieckimi królami i xiążętami, aby z nim wojowali Napoleona, a tę zmowę nazwał przymierzem. Aby zaś poruszyć lud wszystek w tych sprzymierzonych krajach, każdy z monarchów, czy to cesarz czy król, albo li xiążę, przyobiecał swemu narodowi wielkie wol-

ności i konstytucyą, skoro jeno pobiją Napoleona. Ruszyły się więc ludy, a garnęły się do broni i kiedy przyszło do bitwy, to mieli sprzymierzonego wojska 500 tysięcy.

Tymczasem przez Litwę i Xięstwo Warszawskie waliły się, a waliły kupy dzikich ludów, gdzieś tam aż z Azyi, drugiej części świata, które Moskwa prowadziła na wojnę! Były to ludy o których do tego czasu mało kto słyszał, a nazywano ich Baszkierami i Kałmukami. Dziwnie to brzydkie narody, z płaskiemi twarzami, z małemi oczami głęboko w głowie świecącemi, Ludzie ci włosy mieli kudłate, które przykrywali spiczastemi czapkami, a brody nosili długie nigdy nie rozczesane. Było to niechlujne, nędznie odziane, bo zaledwie siermięgą zrobioną z konich włosów albo kożuszyskiem. Strzelbę mało który miał, jeno piki i strzały. Z tego widzicie, że moskiewski kraj choć wielki, ale nieludny i biedny, kiedy takie szabrajstwo miasto żołnierzy na wojnę prowadził, a jakby Moskwie polskie kraje odpadły, toby wcale niczem była. Miarkował też to dobrze car Alexander i nakazał swemu żołdactwu zachowywać się jak najspokojniej w polskich krajach, nie rabować, nie uprzykrzać się w niczem, a tajemnie posyłał pisania do Polaków i przez swoich posłanników wszędzie kazał rozgłaszać: że jeżeli mu Polacy zaufają, to im się żadna krzywda nie stanie, owszem przywróci Polskę, bo on bardzo Polaków szanuje i kocha.

Nie zawierzyli tym chytrym słowom uczciwi Polacy, choć byli i tacy — boć złych do tego czasu nigdy u nas nie zabrakło — co w skok chcieliby poddawać Polskę carowi Alexandrowi. Cnotliwsi jednak przemogli i odpowiedzieli: że nigdy się tak nie zhańbią, żeby sami dobrowolnie ciemiężyciela ogłaszali swoim panem. Wszyscy też młodzieńcy z Litwy, Wołynia, Ukrainy i xięstwa Warszawskiego cisnęli się pod polskie chorągwie, tak że Moskwa już mało kogo do swego wojska zagrabić mogła. Przedzierali się ci nowi polscy żołnierze, to do jenerała Dąbrowskiego, który był z Francuzami w niemieckich krajach, to do xięcia Poniatowskiego, który w Krakowie, gdzie jeszcze Moskale nie byli doszli, zbierał nowe wojsko, a inni znowu dostawali się do fortec, ktorych Polacy bronili.

Wojska Napoleona i sprzymierzonych zbierały się nie daleko Drezna, gdzie to wiecie, że przemieszkiwał dawny elektor saski, a natenczas i xiążę Warszawski. Przedarł się tam i xiążę Poniatowski w 13 tysięcy polskiego wojska na zwinnych konikach. a prowadził z sobą ułanów, których nazywali Krakusami. Ucieszyli się bardzo tymi Krakusami Francuzi, bo jak Kozacy przy Moskalach uwijali się dzień i noc, a nie dali tchu Francuzom, tak teraz Krakusy dzień i noc męczyli wojska sprzymierzonych i trzepali Kozaków.

Zabawnie to nieraz było, jak się Krakusy z Kozakami uganiali i jedni i drudzy chybci, jeno że Krakusi szykowniejsi, więc jak się który w kupę Kozaków dostał, to się i snadniej wywinął. Było to nieraz śmiechu i wesołości patrzącym, i samym nawet Krakusom i Kozakom, jak jedni drugich chcieli podejść i dostać, a nie mogli, bo to już taka ludzka natura, że się nałoży do wszystkiego i weseli się gdzie może, a nawet wśród gradu kul.

Dzień przed uroczystością Znalezienia św. Krzyża, to jest 2. maja przyszło między Napoleonem i sprzymierzonymi do batalii pod miastem Licen. Biły się wojska sprzymierzonych zażarcie, nie ustępowały w niczem Napoleonowi, bo przez długie z nim wojowanie wyuczyli się od niego i drudzy sztuki żołnierskiej i jak dawniej on tylko sam umiał rozstawiać i skupiać wojsko, tak teraz umieli to wszyscy. Ale jednak, co Francuzi i Polacy, to nie Moskale i Niemcy i choć nieprzyjaciel miał jeszcze raz tyle wojska, wygrał Napoleon bitwę. Miarkujcie jednak jaka musiała być krwawa, kiedy sprzymierzeni stracili wojska z 300 tysięcy, które tam mieli, 36 tysięcy, a Napoleon z 150 tysięcy 20 tysięcy miał ubytku.

Nie w samych niemieckich krajach wojował Napoleon ze sprzymierzonymi, toczyły się boje w Hiszpanii i we Włoszech. Oj pospuszczali też to nosy sprzymierzeni po batalii pod Licen, a Francuzi i Polacy na nowo odżyli. Potem następowały bitwy jedna po drugiej wzdłuż i wszerz niemieckich krajów, a w których to Napoleon zbijał, to znowu bywał pobity, a bywały to batalie, gdzie nie raz na placu legło kilkanaście tysięcy, a Polacy wszędzie pierwsi do bitwy, a ostatni z niej.

Przeszło całe lato 1813. roku wśród wojen; przeszedł św. Michał, a dopiero w dwie niedziele potem, to jest 15. października stanęły wojska pod Lipskiem, dużem miastem w saskim kraju 12 mil od Drezna. Sprzymierzeni wyprowadzili do boju wojska 300 tysięcy, a Napoleon 130 tysięcy. Bili się zażarcie przez trzy dni: raz byli górą jedni, to znowu drudzy; długo nikt nie mógł zgadnąć kto zwycięży, ale sprzymierzeni, jak pomęczyli jednych żołnierzy, to posyłali po drugich wypoczętych a napoleońskie wojsko wciąż bić się musiało, bo go było trzy razy mniej jak nieprzyjacielskiego. Polacy cudów męstwa dokazywali! Dzielnie się popisywał jenerał Dąbrowski, dzielnie i xiążę Józef Poniatowski, a Krakusów białe z czerwonym chorągiewki, gdzie najtęższy ogień tam się uwijały. Czwartego dnia Sasowie ostatni z Niemców, co byli przy Napoleonie w pośród bitwy, przeszli do sprzymierzonych, a taka niespodziana zdrada przeważyła zwycięstwo i Napoleon przegrał batalią. Nie miał po tej przegranej co czekać, jeno się wynosić z całem wojskiem z miasta za rzekę. Przechodziło więc całe wojsko spokojnie most, którego strzegł xiąże Poniatowski na czele 800 Polaków, a nieprzyjaciel sypał się do miasta. Bojąc się Francuzi, aby sprzymierzeni nie szli w pogoń za nimi, z przejściem ostatniego żołnierza palą most, a Poniatowski ze swojem wojskiem rzuca się w pław przez małą rzeczkę, co się zwie Elstrą. Nieprzyjaciel zasypuje ich gradem kul, ginie więc wielu Polaków, a między nimi i xiąże Poniatowski spada z konia i tonie. Głęboki smutek ogarnął żołnierzy na widok śmierci kochanego wodza, z którym razem tyle przecierpieli i przetrwali!...

W kilka dni rybacy wydobyli ciało Poniatowskiego, a przez mundur rozdarty na boku widać było ranę zadaną od kuli. Wnet przyskoczyli moskale i porwali ciało mężnego wodza, które pochowali w skrytości, nie chcąc zbiegowiska ludu na jego pogrzebie.

Wielu napoleońskich żołnierzy dostało się do niewoli pod Lipskiem, a między tymi i nasi biedni Polacy, z którymi się pruskie i inne wojska okrutnie obchodziły.

Zginęło w tej batalii pod Lipskiem z wojska sprzymierzonego 80 tysięcy, a napoleońskiego 60 tysięcy. Do tego prze-

grali napoleońscy wodzowie w Hiszpanii i we Włoszech, a tak z bitwą pod Lipskiem zakończyło się panowanie Napoleona nad światem.

Smutny jechał cesarz Francuzów ku Paryżowi, wojsko smutnie postępowało za nim, a w pośród nich najsmutniejsi szli Polacy, bo stracili nadzieję wywalczenia ojczyzny, a do tego jeszcze świeża śmierć drogiego wodza żałością ich przejmowała! Wielu też nie miało i ochoty ciągnąć z Francuzami, bo przewidywali niedługi koniec wszystkiego. Zmęczeni i strapieni poczęli się oglądać ku nieszęśliwej Polsce. Słysząc o tem Napoleon pierwszy raz przez swoje życie użalił się nad biednym losem polskich żołnierzy. Każe więc zwołać wszystkich, stawa w pośrodku nich i przedkłada im przyjacielskiemi słowy, aby zostali.

Przytomni Polacy wyrzucili Napoleonowi na oczy, co był mógł zrobić a nie zrobił dla ich ojczyzny, a cesarz Francuzów wykładał im że nie mógł inaczej zrobić, bo się musiał oglądać na drugie kraje i na swoją ojczyznę. Potem jeszcze kilku słowami poruszył tak serca naszych wojaków, że zawołali więc jednogłośnie: „Niech żyje Napoleon! umierajmy dla niego!“ I ruszyli za nim ku Paryżowi.

Zaraz też Jenerał Dąbrowski został polskim wodzem w miejsce księcia Sułkowskiego, którego żołnierze nie koniecznie lubili, a każdy z jenerałów francuzkich prosił go, aby mógł mieć przy swojem wojsku Krakusów, bo gdzie byli nasi bitni Krakusi, tam się już nawet w nocy Kozak nie podkradał, ale omijał to miejsce z daleka — byli oni tem na Kozaków, czem koty na szczury.

Skoro tylko Napoleon stanął w Paryżu, zaraz rozpisał 300 tysięcy rekruta, bo sprzymierzeni ciągnęli tam z bardzo wielkiemi wojskami, rozpowiadając wszędzie po drodze: że nie chcą krzywdy i uciemiężenia narodu francuzkiego, że idą jako przyjaciele i chcą tylko cesarza Napoleona zrzucić z tronu i wypędzić.

Na dobitkę własnego nieszczęścia w tym samym czasie pogniewał Napoleon lud francuzki na siebie, bo kiedy się zebrał w Paryżu i chciał pozyskać dla kraju wolniejsze prawa, Napoleon kazał izbę sejmową zamknąć i robił po swojej woli. Wystygły też do szczętu serca Francuzów dla niego, że to oni

wszystko dla niego czynili i poświęcali, i życie i majętność swoją, a on im nawet za to wolności dać niechce! Jedno tylko wojsko pamiętne tyle czasu co z nim przeżyło, jeszcze z nim trzymało. Zebrał też Napoleon co mógł na prędce wiernego wojska i ruszył ku nieprzyjacielowi, aby mu przeciąć drogę do Paryża. Ale Sprzymierzeni mieli wojska 300 tysięcy, więc kiedy jedną stroną Napoleon z nimi walczył, drugą szli do stolicy Francyi.

Na widok wroga zawrzała krew w żyłach Francuzów i wszystko, co miało siły, leciało do broni. Ale Napoleon był przykazał, aby uchowaj Boże nie dawać ludowi broni w rękę, bo się bał, aby tą samą bronią nie zmusił go potem do dania sobie wolności. Nie było więc komu Paryża bronić i weszli sprzymierzeni do stolicy Francyi. — Upadł więc pyszny i chciwy panowania Napoleon, że chciał swój naród trzymać w niewoli! Sprzymierzeni posadzili też zaraz na tronie francuzkim brata króla nieboszczyka, co go to lud był ściął w rewolucyi i przykazali Francuzom uznać go za króla. I ten król z poręki wrogów swojej ojczyzny rozpoczął panowanie nad Francyą. Dla Napoleona wszystko się już skończyło, jenerałowie i prawie cała starszyzna wojskowa opuszczali go i przechodzili do nowego króla; żona nawet zabrawszy czteroletniego synka pojechała do Wiednia do ojca. Widząc Napoleon, że go tak wszystko opuszcza, że niewiele wojska przy nim pozostało, zrzekł się cesarskiego tronu i wyjechał na jedną wyspę, co się nazywa Elba. Przed odjazdem pamiętny na męstwo Polaków, prosił, aby im się żadna krzywda nię działa, aby wojsko polskie czczono i szanowano, jako najwaleczniejsze.

Po żniwie.

Bóg dopomógł łaską świętą
Już skoszono i pożęto!
Dosyć żyta i pszenicy,
Dała polska ziemia w plonie,
A kopica przy kopicy
Stoi rzędem na zagonie!

Po przednowku i po biedzie,
Już chleb nowy na stół idzie,
Daj go Boże spożyć zdrowo,
Wraz z czeladką i wraz z dziatwą,
Daj się pracy jąć na nowo:
Robić ciężko, a zjeść łatwo!

Połowica na zasiewek,
Na chleb w zimie, na odziewek.
Dla chudoby, dla czeladki,
Bo się też nią pracowało,
Na podatki, na wydatki,
Ot i mało co zostało!..

Ej choć mało — to zostało!
Trzeba przedać kopę całą,
Trzeba kupić dzieciom w mieście,
Piękną książkę na czytanie,
A dla siebie też nareście,
Choć na Dzwonek może stanie!

Czy już koniec?... Oj, nie bratku!
Pozostało coś w dodatku:
Pan Bóg pomógł dożyć chleba,
Więc mu wdzięcznym trza być o to,
I podzielić się potrzeba
To z zebrakiem, to z sierotą...

Bóg ci oddał siew stokrotnie,
A więc z serca i ochotnie
Daj jałmużnę, jak Bóg każe,
Ubogiemu nędzarzowi,
Bo co biednym dałeś w darze,
Dałeś w darze Jezusowi!...

Żaden kłosek niestracony —
Kto tak dzieli swoje plony!
A choć mało na ostatku
Chleba ci zostanie w schowku
Nie uczujesz niedostatku,
Ani głodu na przednowku.

Wojtek ze Smolnicy.

Śmiertelne mary,

czyli:

Skąpiec wziął kije — a biedak talary.

Żył w jednem miasteczku wielki bogacz. Pieniędzy u niego było huk w komorze w workach, a wszystkie zaśnieciały, bo ich nie ruszał ani dla biednego, ani też dla swojej potrzeby. Serce jego twardsze było od kamienia i śnieć je pokryła, boć jak trudno mu było dobrać się do skarb swego, tak trudno było dobrać się ubogiemu do serca bogacza. I przyszedł raz ubogi sąsiad do niego i rzekł:

— Wiem że masz pieniędzy dużo, oto żona i dzieci moje z głodu mrą, a śmierć do żniwa nie poczeka, oto pożycz mi talara a ja ci go oddam, jak tylko zarobię.

— Owa! patrz go darmojada! Nie mam i nie dam pieniędzy! ofuknął bogacz i wytrącił ubogiego za wrota.

Wraca ubogi do chaty swej i patrzy na dzieci z głodu opuchłe, i żona z łóżka zwlec się nie może, żal ściska mu

serce, idzie i szuka po kątach, co by mógł sprzedać, lecz wszędzie pusto i próżno, nie ma już co sprzedać i nie ma gdzie zarobić bo przednowek ciężki.

Noc nadeszła, padł z nóg ubogi i myśli jakby sobie poradzić, a wciąż słyszy jęk dzieci i stękanie żony i sen oczy mu nie zamknął przez noc całą.

Rano idzie znów do bogacza i prosi go z płaczem: Daj mi talara jednego, a oddam ci dwa i lato całe u ciebie pracować będę w polu za darmo, bo mi śmierć głodowa zabierze żonę i dziatki!...

Poszedł bogacz do komory i długo w worach gmerał i zrzędził aż wynalazł talar najmniejszy nadszczerbiony, i dał go ubogiemu, i długo mu prawił, że mu musi oddać dwa i przez żniwo na pole jego ze wschodem słońca chodzić, aby procent odrobił.

Biegnie ubogi z talarem do miasta i kupiwszy chleba spieszy do domu i raduje się, że już jego dzieci i żona śmiercią głodową nie umrą.

Przyszedł przednowek. Ze świtem biegnie ubogi na pole bogacza a pracuje wiernie do wieczora, bo myśli, że mu bogacz za jego pracę talara opuści, bo kiedy jemu tak ciężko za procent pracować trzeba, jakże żona tyle zarobić będzie mogła, aby dwa talary dla bogacza uskładać?... Ale zawiódł się biedaczysko, ledwie skończyło się żniwo, a bogacz nuż na ubogiego:

— Oddaj mi moje talary, bo cię do więzienia wtrącę i żonę z dziećmi z chałupy wyrzucę!

Prosi się ubogi jak może, i przypomina bogaczowi swoję wierną pracę, lecz serca skąpego bogacza nic nie zmiękczy. Idzie więc ów chudzina do swej chaty i radzą ze żoną co tu począć i zkąd wziąć dwa talary dla bogacza.

Długo radzili daremnie, aż żona jego, co była mądra kobieta, mówi mu tak:

— Niema innej rady, jeno ta: Oto udaj żeś tej nocy umarł, a ja cię narządzę i zaniosę do trupiarni, a przed bogaczem powiem żeś umarł ze zmartwienia i ze strachu przed więzieniem, a może ruszy się serce bogacza i dwa talary daruje, i biednej wdowy z chaty nie wyrzuci!

Mąż usłuchał i zaraz też udał umarłego, a żona z wielkim płaczem i lamentem zaniosła go do trupiarni i na noc go tam zostawiła. Tymczasem pobiegła sama do bogacza i poczęła przed nim lamentować, ale on się jej nie ulitował, jeno żal mu się zrobiło, że talary jego przepadną.

Tymczasem leży ubogi w trupiarni a kaganek mu nad głową łypie, a w około cisza, wszyscy śpią snem głębokim, aż tu na raz słyszy szelest około okna trupiarni. Nasz biedak przeląkł się bardzo, złożył się jak nieżywy, dech w sobie zaparł i słucha, a tu tymczasem pod okno przyszli złodzieje i tak do siebie mówią:

— Chodźmy do trupiarni, bo tu jest światło, to się podzielimy, bo nikt nas z żyjących tu nie najdzie, a umarły nas nie zdradzi, bo umarli nie mówią, nie słyszą i nie widzą.

I wleźli po jednemu przez okno do trupiarni, i wciągnęli za sobą wór z pieniądzmi i chcą się dzielić a nie mają miary, aż jeden z nich powie, zdejmy czapkę z tego umarłego i dzielmy nią. Zdjęli czapkę ubogiemu z głowy i nuż nią mierzyć pieniądze, a kiedy już się podzielili została jeszcze jedna czapka pełna srebra, o nią poczęli się między sobą spierać i kłócić, każdy chciał ją wziąć sobie, aż tu ubogi który na to wszystko z pod oka patrzał, zrywa się z mar i woła:

— A mnie nic nie będzie za moją czapkę?!...

Struchleli złodzieje, strach srogi przejął ich na te słowa i ledwie z trupiarni się wywlekli i nuż w las gonić a pieniędzy się już odrzekli. Pobiegł co tchu ubogi do swojej chaty i zawołał żonę a ta za nim pobiegła do trupiarni i poczęli zbierać pieniędzy do wora.

Gdy się złodzieje ze strachu trochę ocknęli, wybrał się jeden najodważniejszy i zakradł się po cichu pod okno trupiarni i patrzy, a gdy zobaczył, że dwie osoby w bieli pieniądze zbierają, uciekł co tchu do lasu i doniósł tym co czekali, że umarli z grobów powstali i pieniądzmi się dzielą. Zebrali się wszyscy na odwagę, bo się umarłych nie tyle bali co żywych, lecz nim przyszli, już i ślad zaginął, gdzie umarły leżał i pieniędzy nie było. Poznali tedy co to było i przeklinali swoją głupotę.

Raniutko idzie ubogi, który już teraz był bogatym, i puka do drzwi owego bogacza, a ten mu ze strachu otworzyć nie chce i woła:

— Przecieżeś umarł w nocy, a co się to stało że żyjesz?!

Ubogi zaś pokazał mu dwa nowe talary i wtedy go wpuścił bogacz do chaty i nuż go pytać jak się to stało i jak on przyszedł do talarów? Opowiedział mu ubogi swoją przygodę ze złodziejami, i że ma teraz więcej pieniędzy od niego.

Markotno się zrobiło bogaczowi, że on tych pieniędzy nie zagarnął, i nuż udawać także chorego. Kazał swej żonie, aby kiedy umrze, zaniosła go do trupiarni i tam urządziła na marach, poczem udał umarłego a żona go kazała zanieść do truparni i tam go przez noc zostawiła. I znowu przyszli ci sami złodzieje do trupiarni, lecz tą razą bez niczego i tylko na naradę, jakby to odszukać swoje pieniądze, a gdy ujrzeli trupa na tem samem miejscu, co pierwej, rzekł jeden z nich: „Ej, ej, miejmy pozór! toć przecież przekonaliście się, że i umarli czasem widzą i słyszą, trzeba się zabezpieczyć, aby się i ten nam nie przypatrzył i nie zdradził!“

I mówiąc to przystąpił do bogacza i chciał mu gwodżdziem oczy powykłuwać, a gdy ten się zerwał na nogi i krzyczeć zaczął, zawołali:

— A ty psi synu! a dawno ty się tej sztuki nauczył? — i rzucili się na niego z pałkami i okrutnie go trzepać poczęli a potem stłuczonego z trupiarni wywlekli i pod próg posadzili; a sami poszli do jego komory i wszystkie pieniądze mu wynieśli.

Rano przychodzi żona bogacza do trupiarni, zawodząc, że złodzieje w nocy komorę rozbili i wszystko z niej wykradli, a tu nieboszczyk siedzi ledwie półżywy, zbity i skrwawiony, i przeklina i siebie i złodziei! Zwołała więc ludzi, aby go do domu zanieśli i tam dopiero oboje wywodzili lamenta.

Tak stał się ów skąpiec z bogacza żebrakiem i kaleką, a potem już sam wszystkich upominał, aby chciwością nie obrażali Boga.

Szczęsny z Żółkwi.

Piękne przykłady.

Miłość i zgoda między dworem a gromadą.

Święta to prawda a stara jak świat, że zgoda buduje, a niezgoda niszczy. Gdzie jest zgoda, tam jest błogosławieństwo Boże, a gdzie jest błogosławieństwo Boże, tam już żadna złość ludzka i żadna bieda ludziom nie dopiecze. Kto Boga miłuje, ten szanuje jego przykazania, a największe przykazanie, które nam dał Zbawiciel nasz, jest: „Miłuj Boga i bliźniego, czyń bliźniemu to, co chcesz aby i on tobie czynił.“

Nigdy tak na świecie nie było i nigdy tak nie będzie, aby jeden człowiek sam bez pomocy drugich mógł się ostać na ziemi. Czytamy w dawnych dziejach, że za czasów jeszcze pogańskich, kiedy to nauka Zbawiciela nie ogrzewała jeszcze miłością serca ludzkiego, zbuntowali się pewnego razu w Rzymie wszyscy mieszkańcy pracujący rękami i tak mówili do siebie:

— Poco nam pracować na tych, którzy tylko radzą a rąk do pracy nie przykładają? — i wyszli wszyscy z miasta na górę i tam w próżnowaniu czas jakiś zostawali. A kiedy już spożyli wszystkie zapasy i głód im dokuczać zaczął nie wiedzieli co począć i jak sobie dać radę, ale zawsze jeszcze w uporze swoim zostawali. Wtedy to stanął jeden mędrzec między nimi i taką im opowiedział gadkę:

— Stało się jednego razu, że się wszystkie członki ciała ludzkiego tak jak wy zbuntowały przeciw brzuchowi. I tak nogi powiedziały: „Poco my mamy brzuch dźwigać, kiedy on sobie wygodnie siedzi i nic nie robi“ i przestały chodzić, ręce zaś powiedziały: „na co nam pracować na brzuch, kiedy on tylko wygodnie spoczywa i wszystko spożywa co my zapracujemy“ i przestały pracować, zęby nie chciały żuć potraw dla brzucha i tak wszystka praca ustała. Aże bez pracy nie będzie kołaczy to też i brzuch nic nie dostał, a kiedy już wszystko strawił, nie miał czem zasilać członków ciała i stała się wielka niemoc — ręce i nogi nie mogły się więcej z osłabienia poruszać. Wtedy to zapytał ich brzuch: „A co ja siedzę darmo, ja nie pracuję,

nie trawię i nie dodaję wam sił i zdrowia?" Uznały że brzuch prawdę mówi i wróciły do dawnej pracy.

Gdy ci zbuntowani taką bajkę usłyszeli, poznali natychmiast, że i z nimi tak samo się dzieje i wrócili się nazad do miasta i jęli się pracy, bo im już głód setnie był dokuczył.

A czyż to u nas miejscami tak się nie dzieje? Niejeden włościanin zły, kiedy tylko mu jeden bochen chleba leży w domu w lenistwie, i nie pójdzie do pracy, aż go z głodu siły opuszczać zaczną, bo mu się zdaje, że kiedy on pracuje za zapłatę na roli bogatszego kmiecia lub dziedzica, to tylko na nich nie dla siebie robi, a gdzieniegdzie, to pierwej nie wyjdą do pracy w polu aż ich dziedzic muzyką i wódką, z którą rano po wsi jeździ, do roboty nie wywabi, a gdzieniegdzie to prędzej pójdą o dwie i trzy mile i dalej do roboty a u dziedzica własnego dar Boski na polu marnieje.

Prawda że to rzadkie wypadki, ale jak to smutno zajrzyć tam, gdzie taka niezgoda panuje. Ubóstwo i nędza aż strach patrzyć, a przyjdzie ciężki przednowek, do kogo się udać o pomoc, dziedzic sam mało co ma, bo mu wiele w polu zmarniało i wiele na cudzych robotników wydał, co ich aż z daleka sprowadzać musiał, a gdyby i co miał, jak śmie żądać ten zapomogi, który w czasie żniwa leżał i żadnego snopka nie urznął? Lecz nie o tem ja miałem wam prawić, boć to takie wypadki bardzo rzadkie i da Bóg wkrótce już nikt o nich nie usłyszy, owszem dochodzą z wielu stron wieści całkiem inne, że aż miło słuchać i warto byście i wy o nich wiedzieli. A że to co wam opowiem jest szczera prawda, o tem się sami, jeźli zechcecie, przekonać możecie, boć wam i miejsce wskażę, gdzie święta zgoda między dziedzicem a włościanami panuje.

Wieś Adamów nad Bugiem porządnie zbudowana i z daleka już miły sprawia widok. Przez lat wiele dziedzice tej wioski wraz z kmiotkami różnej doznawali doli i niedoli, a że mieli Boga w sercu, że kochali swych włościan, że czuwali nad ich dobrem i w każdem nieszczęściu wspierali ich i radą i uczynkiem, to też kmiotki miłowali serdecznie swoje państwo. A że to Bóg i na dobrych spuszcza swoje krzyżyki, aby ich doświadczyć, to też i na Adamów przyszło nieszczęście. Jednego roku

ogień spalił gumna pańskie, na drugi rok przyszedł pomorek i nieurodzaj wielki. W takiem utrapieniu przyszło im sprzedać stare gniazdo swojej rodziny. Dawny dziedzic wraz z synem płakali rzewnie, gdy im przyszło pożegnać swych przyjaciół włościan, i siedzibę gdzie się urodził i gdzie na cmentarzu spoczywały kości ich pradziadów obok włościan. Nowy dziedzic rozgościł się już we dworze. W tem wchodzi na dziedziniec cała gromada Adamowa i spiesznie idzie ku oficynie, gdzie stary dziedzic z synem fury swoje ładowali. Przyszli poczciwi kmiotkowie pożegnać swego Pana i na widok jego rzewnie zapłakali. Płakał i dziedzic stary a syn jego Adaś zanosił się od płaczu. Po chwili wystąpiło kilku z kmiotków i tak rzekli do Adasia:

— Adasiu! paniczu nasz! wy dawnych dobrodziejów naszych dziecko nie opuścicie nas, bo my was nie opuścimy. My nie chcemy po was być sierotami, mamy stare wójtowstwo, na nim piękna chata z budynkami, pola zagospodarowane jak należy. Otoż nie gardźcie poczciwą pracą naszą, wyście nas nieraz żywili, ratowali w złej doli, my dzisiaj z serca dajemy.

Nie dokończyli mowy swojej, bo dziedzic z synem rzucili się w objęcia poczciwych kmiotków i nie mogli odmówić tak serdecznej ofierze, i gdy rano troskali się, pod którym dachem złożą swe głowy, tegoż jeszcze wieczora spoczęli we własnym domku z błogosławieństwem zacnych kmiotków Adamowa.

Drugi zaś przykład taki:

We wsi Sielcu obwodu Żółkiewskiego włościanin. Jan Skawron przyszedł ze żoną swoją Praksedą do dworu i prosili aby im wolno było odprawiać nabożeństwo po wieczne czasy za duszę jej męża śp. Adama Kłodzińskiego, za to, że nieboszczyk ratował ich w różnych nieszczęściach gospodarskich, a że po wielkiej biedzie, teraz im się dobrze powodzi. Nie mogli się wywdzięczyć żyjącemu, chcą przynajmniej modlić się za duszę jego, i tę modlitwę przekazać dzieciom swoim, wnukom i prawnukom i tak pamięć dobrodzieja zachować po wieczne czasy. Nabożeństwo odbyło się w cerkwi sieleckiej, gdzie dziedziczka z całą gromada łączyla modły swoje za spokój duszy męża. Po nabożeństwie zaprosili dziedziczkę do siebie i poczciwi ludziska wystąpili z całą gościnnością polską, co płynie

z serca. Po uczcie miał ks. proboszcz mowę, w której zachęcał wszystkich do zgody z panami, z którymi Bóg ich połączył i z którymi żyć muszą ciągle, aby ci przez swoje położenie między włościanami szli im zawsze w pomoc radą i uczynkiem.

I jeszcze jeden piękny przykład:

Na granicy Litwy z Wołyniem nabył niedawno temu pewien Polak wieś na licytacji, która długi czas zostawała pod administracją Moskali. Nie znali kmieci długo miłości od dworu, boć nie było w nim dziedzica stałego. Wioska zaś owa była w bardzo opłakanym stanie, bo jak to zawsze bywa, gdzie wielu rządzi cudzych, tam nic ma gospodarstwa. Ostatni grosz wydał nowy dziedzic na budynki, lecz nic się tam nie plątało po oborze i w gumnie były pustki. Przewidzieli włościanie, że jak nowego dziedzica zostawią bez pomocy, to on ich będzie musiał opuścić i znowu wpadną w ręce administratorów. Za tem nie tracąc czasu, złożyli radę i postanowili, żeby każdy ile tylko zmoże dał na zapomogę nowemu panu. We dwa dni, jak opowiada świadek, co na to żywemi patrzył oczyma, zastał pan przeszło 60 sztuk bydła w oborze, a wszystko to było darem poczciwych włościan. Nawet, jakiś ubogi gospodarz przyprowadzil krowę z cielęciem ofiarując go panu temi słowy:

— Proszę pana przyjąć moją chudobę na zapomogę a niech Bóg szczęści i rozmnaża.

Otóż macie więc trzy piękne przykłady miłości między dworem a gromadą. Dałby Bóg, aby wszędzie tak było, a może by już lepiej działo się nam wszystkim w tej naszej biednej ojczyźnie! *Felix L.*

Rady gospodarskie.

O uprawie lnu i konopi.

W dawniejszych czasach nie było ani jednego gospodarza, którykolwiek nie uprawiał lnu na swej roli, a gospodynie miały z niego włókna na bieliznę i ubiór, chociaż tylko letni. Dzisiaj mało lnu sieją, bo gospodynie kupują sobie bławaty po kramach, a w ich ślad idą sługi, wyrobnice itd. gdyż powia-

dają, że bawełniane rzeczy tanie i ładne. Dziś bawełna jest bardzo drogą, a choćby i tanią była, to niech tylko o tem nie zapominają, że płócienne koszule i ubiór są daleko mocniejsze i piękniejsze, niż bawełniane. Nie mały pożytek przynosi siemię na olej, a makuchy dla bydła i koni, jako wyborna okrasa paszy. Ztąd zachęcamy gospodarzy naszem pismem, żeby się szczerzej uprawą lnu zajmowali ku pomnożeniu dochodów i zaspokojeniu swych potrzeb.

Gatunków lnu znamy kilka, najlepszy jest rygaski, czyli tak nazwany beczkowy. Wydaje więcej włókna od pospolitego i wyrasta wyżej. Len potrzebuje miernie ciepłego i wilgotnego powietrza. Udaje się najpewniej na mocnych nowinach i na gliniastym, głęboko zoranym gruncie, dobrze spulchnionym i wygnojonym przed dwiema, lub trzema laty. Na piaskowej roli też się udaje, jeżeli zawiera podostatkiem wilgoci. Na gruncie chudym, lub wapnistym nie warto go siać. Tak samo na zbitym, zakwaszonym, zanieczyszczonym nie należy go siać, bo pracy nie wynagrodzi. Len ten zwykle siać należy po koniczynie, rzepiu, pszenicy i życie. Po lnie zaś najlepiej udaje się żyto i owies, Len po lnie może dopiero przez sześć lat następować. Pod len nie należy nigdy świeżego gnoju dawać, bo wydałby słabe i kruche włókno; uprawiać go więc na starym i przegniłym gnoju w kruchej roli. Najlepiej udaje się len, gdy się rola pognoi, albo posypie popiołem z drzewa i razem ze siewem przewlecze. Na dobroć siemienia koniecznie uważać, i wybrać należy do siewu czyste i dobre. Dobre siemię ma brunatnojasny kolor, pełne i małe, ale równe ziarno. Należy tak się urządzić, żeby mieć zapas siemienia do siewu trzy do pięcioletniego, bo stare jest lepsze. Każdy rychły siew jest lepszy, niż późny; rozpocząć siać ku końcowi Kwietnia, aż do końca Maja. Nie trzeba siać zaraz za pługiem, lecz dopiero gdy się ziemia ulegnie i za wilgotnego powietrza. Jeżeli zaś po nagłym deszczu ziemia spiecze się, trzeba ją uwalcować. Utrzymywać len czysto, a choćby i dwa razy wypadało pleć, tedy nie trzeba szczędzić pracy około niego.

Konopie są bardzo pożyteczne na odzież, postronki, liny, olej itd. a przecież ich gospodarze nie sieją. Konopie udają

się w dolinach osłonionych, gdzie wilgoć się utrzymuje, również na roli piaszczystej i murszatej, jeżeli jest dobrze wygnojoną i wilgotną, ale nie zakwaszoną. Najlepiej udają się konopie, gdy same po sobie następują. To się da łatwo wykonać, jak się dogodne miejsce dla nich raz obierze, w polu, czy w ogrodzie, lub na kapustniku. Gnoić pod konopie nie należy ani za mocno, ani często, najlepszy pod nie gnój: koński, owczy, zeskrobki z podwórza mieszane z gnojem gołębim, lub bobkami owczemi. Ziemia powinna być głęboko uprawiona i ze zielska oczyszczona. Nasienie konopne nie powinno być stare do siewu, tylko jednoroczne pełne i ciężkie, koloru szarego. Siew przywłóczy się miałko. Siew może dopiero w Maju nastąpić, gdy się już przymrozku nie obawiamy. *(Sz. N.)*

RÓŻNOŚCI.

Pożar w Buczaczu. Tego roku strasznie pożary kraj nasz niszczą! Już tyle miast zgorzało, a jeszcze nie koniec ale ciągle tylko nowe ognie i klęski. I tak spaliło się zeszłego tygodnia miasto Buczacz prawie ze szczętem. Trzysta domów zniszczyły płomienie, a z kościoła i klasztora OO. Bazyljanów tylko popioł i kupa gruzów pozostała. Klasztor ten był bardzo starożytny, fundowali go pobożni panowie polscy przed bardzo dawnemi czasami a była w nim także wielka szkoła, w której bywało do tysiąca dziatwy się uczyło z dalekich i blizkich okolic. Była w tym klasztorze także biblioteka, czyli zbiór książek rozmaitych, bardzo starych i mądrych, które wartowały więcej niż złoto i srebro. Otóż i ta cała biblioteka, w której było dziesięć tysięcy takich rozmaitych księg i pism rozmaitych z dawności, zgorzała także całkowicie! Możecie więc sobie wyobrazić, co to za okrutna i krwawa szkoda! Sami zakonnicy mają szkodę na sto tysięcy, aby mało rachować — ale kto to tam potrafi zaraz po nieszczęściu zważyć, ile ogień szkody wyrządził! Cóż dopiero mówić o samem mieście i o jego biednych mieszkańcach. Około trzysta domów zgorzało a biedni ludzie zostają teraz bez dachu, bez przytułku i chleba!... Istne to pokaranie Boże, te pożary tegoroczne, bo to w krótkim czasie już kilkanaście miast a cóż dopiero wsi zgorzało! Ale nie tylko tu u nas w Galicyi ale i w Polsce pod Moskalem palą się miasta i sioła, i tak niedawno temu zgorzały tam dwa piękne bardzo miasta Siedlce i Pilica. Żal wielki serce ściska na to nieszczęście, bo nawet już niewiedzieć, jak tylu biednych ludzi poratować, bo jak wiecie w kraju bieda i bez ognia, a przecież Bóg i sumienie nakazują ratować pogorzelców z całej siły!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 6.

21. sierpnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Polska po swym upadku.

VI. Ostatnia wojna z Napoleonem i kongres wiedeński.

Po zwyciężeniu Napoleona ustały już i nadzieje Polaków. Dopóki ten wielki wojownik trzymał wszystkich monarchów w postrachu i gospodarował sobie wszędzie, jak mu się tylko podobało — dopóty i Polacy myśleli, że choć ich już tyle razy zawiódł, to przecież kiedyś ocknie się w jego sercu wdzięczność i przywróci wolną Polskę. Teraz już więc, kiedy Napoleon musiał opuścić swój kraj i wojsko — Polacy zostawieni zostali znowu na własną dolę nieszczęsną, w której nie było żadnego ratunku. Można się było już naprzód spodziewać, że teraz dopiero będą się mścili na Polsce, za to że pomagała Napoleonowi. Jednakże nie odrazu jeszcze zaczęło się prześladowanie. Moskal to się nawet przypodchlebiał Polakom, i niby litował się ich doli, ale to wszystko była jeno czysta obłuda.

Car moskiewski Alexander zaczął się o Polaków dopytywać, chwalić i dziwować ich męstwu i wielkiej miłości ojczyzny, a

Tadeuszowi Kościuszce, który był przyjechał do Paryża, staruszek już na ten czas, kazał przysłać przed dom dla uszanowania wojskową wartę. Nie koniec na tem; poszedł jeszcze car do niego, a ściskając go i całując przyobiecał: że złączy xięstwo Warszawskie z Litwą, Wołyniem, Podolem i Ukrainą i przywróci Polskę. Gdzie jeno Polaka spotkał, wszędzie to samo rozpowiadał dodając: „Ufajcie mi tylko, bo ja z całej duszy pragnę szczęścia waszego, pragnę, aby tak szlachetny naród był mi życzliwym i mię kochał, jak ja go kocham.“ Pozwolił też powrócić wojsku polskiemu z chorągwiami, armatami i całym porządkiem wojennym do ojczyzny, zaopatrzywszy ich w żołd na drogę.

Do tej dobroci ku Polakom miał taką car przyczynę. Sprzymierzeni monarchowie postanowili między sobą: iż trzeba uradzić, co się ma stać z krajami, które Napoleon był pod siebie podgarnął i wyznaczył, gdzie kto ma panować. Chciał więc car Alexander, aby go Polacy pokochali i ogłosili, iż chcą żyć pod nim, a on wtedy zagarnie Polskę, a jeżeli by się temu kto sprzeciwiał, to on mając Polaków po swojej stronie, rozpocznie wojnę. Posłał też zaraz swego brata xiążęcia Konstantego do Warszawy, aby zbierał polskie wojsko, które by już czekało w pogotowiu na przywrócenie ojczyzny. Konstanty, który to później takie męczarnie zadawał Polakom, na ten czas był dobry jak aniołek, a potulnie i układnie obmyśliwał z polskimi jenerałami mundury i broń dla 30 tysięcy wojska.

Tymczasem sprzymierzeni zjechali się do stolicy cesarza austryackiego do Wiednia, aby postanowić, jak wszystkie kraje i ludy mają być rządzone, a tę radę nazwali kongresem. Zaczęli się też niedługo między sobą sprzeczać, co kto ma wziąć, bo ci, co byli najmocniejsi i utrzymywali najwięcej wojska, byli też najłakomsi. Wyszarpywali sobie tam biedną Polskę, i ten chciał i ów chciał, a Anglia i Francya chciały znowu, żeby przywrócić Polskę, bo inaczej kto ją zagarnie, ten będzie mocniejszy, a dobrze widzieli wszyscy, że to najsnadniej uda się Moskwie, i car moskiewski będzie tak światem trząsł jak Napoleon.

Nie obwijając też w bawełnę, po prostu powiedział na kongresie posłannik cara Alexandra, że Moskwa zagarnie xięstwo Warszawskie, bo Polacy chcą jego cara mieć panem, i powstanie 8 milionów polskiego ludu, aby go popierało. Ale Polacy jako żywo o tem nie myśleli.

Słysząc to Prusak, aż się kurczył z zazdrości, tem bardziej, że mu się nie udało zagrabić całego kraju Saskiego, niby to za ukaranie ich króla, co to był xiążęciem Warszawskim, że trzymał najdłużej z Napoleonem, a insi Niemcy, jak tylko najprędzej, to go zdradzili. I Austrya miała ochotę na Polskę, choć już bardzo wiele włoskiego kraju nabyła.

Kiedy się tak kłócą i sprzeczają, aż tu słyszą, że cesarz Napoleon wsiadł na okręt, popłynął do Francyi, i już jest w Paryżu. Przestał więc cały kongres wiedeński radzić, wszyscy wystraszeni ruszyli na wojnę!

Napoleonem ucieszyło się wojsko i lud cały, bo go woleli niż tego króla, co go wrogowie na tronie osadzili, a on pamiętny, że został królem z łaski sprzymierzonych, ulegał im we wszystkiem i ludzi zasłużonych ojczyźnie za Napoleona poniewierał, a swoich służalców wywyższał. Nie zastał Napoleon jak 80 tysięcy uzbrojonego żołnierza, ale z każdym dniem przybywało go tysiącami. Stanął Napoleon w Paryżu 20. kwietnia 1815 roku, a z nim stu Polaków, których był sobie zabrał na wyspę Elbę, szanując ich odwagę i wytrwałość w nieszczęściu. Zebrawszy znaczne siły, wyruszył na wrogów, i pięć dni przed św. Janem Chrzcicielem, to jest 20. czerwca stanął pod Waterlo w kraju Belgijczyków, niedaleko Holandyi. Tu się rozpoczyna krwawy bój. Francuzi tak się dzielnie biją, iż się zdawało żeby przełamali bramy piekielne; gdzie stąpią, szeroko trupem pole zaścielają. Napoleon tak mądrze rozrządza wojskiem, tak je rozmyka i skupia spiesznie, a niespodziewanie, że wodzowie sprzymierzonych osłupieli z zadziwienia. Ale nie nadeszły mu posiłki, których się spodziewał i przegrał batalią — znać Bóg powiedział: dosyć tych zwycięstw dla pychy jednego człowieka. Padło tu wojska z obu stron do 50 tysięcy.

Po tej przegranej bitwie jedzie Napoleon do Anglii, i oddaje się na łaskę tego narodu. Anglicy go chwytają i wywożą przez

morze na bardzo daleką Afrykańską wyspę, która się nazywa *wyspa św. Heleny*, i tam go osadzają obstawiwszy wartami, aby nie uszedł. Bywają na tej wyspie niesłychane upały, przeżył tam jednak cesarz Francuzów lat dziesięć ciężkiej pokuty za swoją pychę, i jako wygnaniec tamże życia dokonał, a gdyby był kochał ludy i z niemi trzymał, byłby świat i siebie uszczęśliwił, a czczono by pamięć jego i błogosławiono po wiek wieków.

Skoro się jeno sprzymierzeni pozbyli Napoleona, jak gdyby go już na świecie nie było, znowu radzili na kongresie wiedeńskim, ale że już teraz nikogo się nie bali, więc nie tylko Polakom, ale nikomu obietnicy nie dotrzymywali. Konstytucyą rzadko który z monarchów dał swemu ludowi, a jeżeli który dał, to taką, że żadnej wolności nie przynosiła.

Xięstwo Warszawskie rozdzielono pomiędzy siebie: Prusacy wzięli ten kawał, który przezwali xięstwem Poznańskim, Austrya dostała drugą połowę kopalni soli w Wieliczce, i posunęła się aż pod sam Kraków — resztę zaś zagarnęła Moskwa, i ten kawałek xięstwa warszawskiego nazwał car szumnie królestwem Polskiem i siebie za króla polskiego kazał całemu światu uważać. Resztę zaś Polski, którą to dawniej był zagrabił, przyłączył do krajów moskiewskich, i odgraniczył od królestwa polskiego. I na tem się skończyły wszystkie cara Alexandra obietnice i przyrzekania. Z tego rozbioru xięstwa Warszawskiego, wyłączyli to niby miasto Kraków z kilkudziesięciu wsiami, które to kraik jakby na urągowisko przezwali na kongresie wiedeńskim Rzecząpospolitą Krakowską, z własnym rządem i 500 żołnierzami, a to wszystko oddali pod opiekę Austryi, Prus i Moskwy, więc zamiast jednemu, trzem Rzeczpospolita Krakowska dogadzać miała. To też nie długo utrzymała się i ta biedna cząstka przy wolności. Już w roku 1846 przyłączyła Austrya Rzeczpospolitę Krakowską do swego państwa.

Tak się zakończyły boje Polaków pod Napoleonem. Ale choć nadzieje odzyskania ojczyzny marnie przepadły w owym czasie, choć Polska znowu została pod obcem panowaniem, Polacy nie upadli nigdy na duchu. W sercach ich zawsze po-

została miłość ojczyzny i wolności i nie raz jeszcze chwytali za broń aby odzyskać niepodległość na nowo.

Co się działo w Polsce po upadku Napoleona, i jakie boje staczali jeszcze potem Polacy o wolność i ojczyznę, o tem opowiemy wam później.

Pieśń do Najświętszej Panny,

Królowej Polski.

Maryo, Bogarodzico!
Matko cierpiących nędzarzy,
Co po nad polską ziemicą,
Stoisz w niebiosach na straży,
Spojrzyj na tłumy skruszone!
Z żałością do Cię wolamy;
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Niebiosów wysokich Pani!
Spojrzyj na rodzaj człowieczy,
Oto na sercu znękani,
A któż ich boleść uleczy?
Tyś miała serce zranione,
I twój żal nie miał swej tamy.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Oto kalecy i chorzy,
Żebrają litości Twojej,
A któż im siły przymnoży?
A któż im rany zagoi?
W Twej łasce cudem natchnione,
Uzdrawiające balsamy.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

W litości Twojej matczynej
Głodnych nakarmiasz z rozkoszą:
Oto ubogie rodziny
O chleb powszedni Cię proszą,
Otworz im wsparcia skarbonę,
Błogosław pracy ich samej.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Oto grzesznicy skalani,
Co się rozstali z nadzieją,
Na święte oblicze Pani
I oczu podnieść nie śmieją!
Rozpal ich serca zziębione,
Niech grzechu oczyszczą plamy,
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy!

Kiedy nas klęska dotyka,
Wstaw się do Syna życzliwie,
Błogosław pracy rolnika,
Błogosław plonom na niwie,
Błogosław polską tę stron ,
Z wysokiej niebieskiej bramy,
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy!

Wybór wójta.

Zbliżał się właśnie czas Środopoścía, w którym to zwykle w okolicy Rzeszowa wybierają gminy wiejskie co lat trzy wójtów dla siebie, a na którym urzędzie w niedalekiej wiosce poważny gospodarz Bartłomiej lat sześć uczciwie sprowadził, a ludzie nie myśleli nawet o innym, bo zupełnie z niego zadowoleni byli. On to był pierwszy, co do towarzystwa wstrzemięźliwości przystąpił, a ślubu swego wiernie dotrzymywał, sprawy wszystkie nie w karczmie ale w domu załatwiał. On pierwszy usłuchał głosu pasterza, a za jego przykładem poszli i inni, że wesela nie w karczmach, ale w domach rodzicielskich, nie przy gorzałce, ale przy dobrem zaczerskiem piwie odprawiano. Za jego to czasu stanęła szkoła we wsi, a poduczone dzieciaki pięknie odczytywały w chwilach wolnych od pracy, to Dzwonek, to różne historyjki z książeczek, jakie im Proboszcz dostarczał, co ojców i matki wielce radowało. Wszyscy go też szanowali, a nawet w sąsiednich wioskach pięknie o nim mówiono.

Jednego tylko Bartłomiej miał nieprzyjaciela, który na niego krzywem spoglądał okiem, a nim był Moszek, arendarz miejscowy. Od dawna on przemyśliwał, jakim sposobem z wójtowstwa go usunąć, ale nic takiego na niego wyszukać nie był w stanie. Umyślił więc do innej wziąć się sztuki.

Jednego razu a było to w połowie Marca, żona i domownicy grządki w ogrodzie uprawiali, i nikogo nie było w domu, upatrzył tę chwilę Moszek, wszedł do izby Bartłomieja i pochlebnie go zagadnął, mówiąc:

— Wiecie co panie wójcie! jak ja was kocham i szanuję to nikt tak. Wy tacy poczciwi, sprawiedliwi, jakich mało. Prawda, że przez was na propinacyi tracę, ale niech tracę. Za to się wyspię, noc mam spokojną, a pierwej ciężko było ludzi uprosić, by się rozeszli, a niejeden mi jeszcze pięścią nad głową nawywijał, napopychał aż strach. Ale oni tego nie warci, co wy tacy dla nich dobrzy. Co oni nieraz po za oczy na was nagadają, aż mi was żal. Albo Szymon z Nikodemem, co narzekają, żeście wy na to zawiedli, że im synów do wojska oddali.

Wójt: Hm! Wszakże się za nimi wstawiałem, sami ojcowie są świadkami, ale że więcej mają synów, trudno było ich wyprosić. Ha! miałoby tak być, nadchodzi środopoście, właśnie mam dziś interes do miasta, za jednym chodem wstąpię do powiatu, i za wójtowstwo podziękuję.

Żyd: Ach! wyśmienicie zrobicie, niech ich djabli wezmą! Dopiero poznają, jak inny będzie niemi wydziwiał, będą nieraz żałować i was wspominać, niech uczują! Ny, nie zabieram Wam czasu, spieszcie się, póki kancelarya otwarta, tylko mnie nie wydajcie, bo ja z przyjaźni wam powiedziałem. Zostańcie zdrowi.

Wybiegł żyd i zaledwie przybiegł do arendy, posłał małego żydziska po Walentego Dyrdałę, który w trzeciej chałupie nie daleko mieszkał, by natychmiast do niego przybył. Nie dał się Walenty długo prosić, pobiegł czem prędzej, bo rad zawsze w karczmie przesiadywał. Wchodzi, a Mosiek z uciechą do niego:

— Jak się macie panie wójcie!

Walenty wytrzeszczył oczy, nie wiedząc co to znaczy? Ale Mosiek dodaje:

— Będziecie wójtem, musicie nim być, bo Mosiek tak chce, tak każe.

Na to Walenty:

— Kiedy ja nie mam głowy!

Mosiek: Jak to nie macie, gdziebyście ją podzieli i jaką jeszcze! Albo ja się to raz napatrzył, jak wy, chociażeście więcej wypili, jak inni, to tamci pod ławą leżeli, a wy się jeszcze na nogach trzymali, taką dobrą macie głowę.

Walenty: Ale bo to o rozum idzie!

Mosiek: Jaki rozum? Wójt jak ma laskę w ręku to ma i rozum. A jak wam czasem będzie potrzeba lepszego rozumu, to wam Moszek doda, tylko go słuchajcie, a obydwa na tem dobrze wyjdziemy. Na wam półkwaterek, napijcie się i biegnijcie powiedzieć waszej kobiecinie, dopiero się ucieszy, jeszcze mi tamto srokate cielę podaruje.

Walenty odszedł z ukontentowaniem. Nazajutrz rano, poszedł Moszek do powiatu, przysuwa się do jednego urzędnika siedzącego przy stoliku, i kłaniając się nizko zapytuje:

— Czy WPan przyjedzie do nas wybierać wójta?

Urzędnik: Ja.

Mosiek: A gdzie WPan zajedzie? do mnie?

Urzędnik: Do dworu.

Mosiek: Po co do dworu? chłopi nie będą temu radzi, będą podejrzywać, czy tam pan na jakiego swego nie zechce naciągać.

Urzędnik: Właśnie był tu Pan w tej chwili, i mówił: Niech sobie gromada którego chce obierze, mnie na tem nic nie zależy.

Mosiek: Ny, ale oni przecie wolą w karczmie, bo tak przyzwyczajeni. Oni wolą być w karczmie, jak w kościele. Oni jeżeli idą do kościoła, to ażeby potem do karczmy wstąpili. I gdyby nie było karczmy przy kościele, toby się im i do kościoła nie spieszyło. I czem niechlujniejsza karczma, to oni prędzej tam wstąpią.

Urzędnik: Nie czerń ludzi, bo to się nie godzi. Wieś ta dobrze się prowadzi, z wyjątkiem kilku, których ty sam rozpoiłeś.

Mosiek: Jakie WPan pije wino? węgierskie? a może piwo łańcuckie?

Urzędnik: Ruszaj precz, bo cię każe za drzwi wyprowadzić.

Mosiek: Ny! na co dla mnie tej parady? Ja sam pójdę. I odszedł.

W dni kilka zapowiedziano w gromadzie, by się do budynku szkolnego dla wyboru wójta zgromadzono. Ile już zabiegów Moszek czynił, by na Walentego głosowano, domyśleć się można. Po obliczeniu głosów urzędnika, okazało się, że tenże miał dostateczną liczbę dla siebie: „Prawdopodobnie nim zostanie, tylko jeszcze pod tym względem zapytanym zostanie Urząd parafialny“ dodał urzędnik. Walenty pewny swego, z powagą zawołał wszystkich do arendy, połowa prawie usłuchała głosu jego, reszta wróciła się do domów swoich. W arendzie powitał Moszek żydowskiem pochlebstwem nowego wójta, a razem powinszował gromadzie i upewnił ją, że nie mogła lepszego — rozumie się dla niego — zrobić wyboru. Na zapytanie: czy może służyć trunkiem? rzecze Walenty: Jeżeli

masz co dobrego! — ale Moszek zapewnił, że umyślnie jak najlepszy sprowadził.

Rozpoczęły się częstowiny, z razu powoli przystępowano do kieliszka, obawiano się, by ich do zapłacenia nie pociągnięto ale na zapytanie Moszka: kto płacić będzie? czy gromada? gdy Walenty zawyrokował: że tamci za nieusłuch płacić będą, którzy się tu nie stawili, już zabierano się do pijatyki na rachunek nieobecnych, podziwiano nawet wielki rozum Walentego że racyę ma słuszną. Trwała pijatyka kilka godzin, gwar coraz głośniejszy się wszczynał, przyświadczał im z niemiecka świeżo przybyły pisarz z miasta Fryc: *Ja, ja! gut, gut!* nareszcie już odzywały się spiewki różnego rodzaju tak męskie jak i kobiece, wśród których rozochocony wójt nowy śpiewać poczyna:

A ja sobie wójt Dyrdała
Jakiego nigdy nie było,
Pozna to gromada cała,
O czem się jej ani śniło Ej ha!

Żona Walentego spiewa podrygując.

A ja sobie Dyrdalina,
Kieby jaka starościna
Wszędzie pierwsza, czy na chrzcinach
Na weselach, wywodzinach. Ej ha!

Walenty. Przy niedzieli po kościele
W karczmie za stołem zasiędę
Popijając gorzalinę
Różne sprawy sądzić będę.
A jak który nie usłucha (grozi kijem)
To go kijem wyfrycuję
Na napitek i za trud mój
Kilka ryńskich wysztrofuję!

Żona klaszcze w ręce i podryguje.

Baby będą mi zazdrościć
Tego honoru nowego,
A chłopcy po szynkach gościć
By dać córkę za którego. Ej ha!

Walenty: Ja był wojak, znam rychtunek,
Jaki mi się patrzy trunek,
A wojańskie moje kije
Na skórach chłopskich odbiję!

Podczas gdy jedni się uśmiechali, drugich te spiewki obrażały, a że w czasie postnym, nawet i gorszyły. Nie mógł tego przenieść stary pobożny Szymon, który przez cały czas w chacie siedząc wszystkiemu się przysłuchiwał, powstał z ławy, i z oburzeniem zawołał:

— Ludzie! co on sobie myśli?

Przebiegły Moszek przyskoczył i wmawia mu:

— Ny on nic nie myśli, tylko sobie tak spiewa.

Szymon: Ba, ale co on tak spiewa?

Mosiek: Ny co wam to szkodzi, że on se spiewa, i wy se zaspiewajcie, będzie wam zdrowo i wesoło.

Szymon: Ale co on ma odgrażać się ludziom?

Mosiek: Ny to tylko na początek, tak na postrach, aby go słuchali. Ale on taki miękki, że wy Szymonie (szepcze mu do ucha) wszystko z nim zrobicie co zechcecie, on was bardzo szanuje.

Szymon: Już tam kiepski wójt, by nie miał swego rozumu tylko drugimi się posługiwał. I wyszedł.

Z godzinę przeciągła się jeszcze zabawa, poschodzili się nareszcie wszyscy, państwo Dyrdałów z honorem do ich chałupy po pod boki odprowadzono, bo o swojej sile postępować nie mogli. Jeden tylko Fryc zanocował pod progiem, bo go zemdliło, i bełkotał ciągle przez sen: Gut, gut, ja, ja.

Dla usunięcia jeszcze reszty przeszkód co do wojtowstwa Dyrdały, wybrał się Mosiek na drugi dzień wcześnie do Proboszcza, załgał się niby o kupno zboża, a naciągał na sprawę Dyrdały. Wywiadując się o zasiewach wiosennych, dodał pochlebnie: że ludzie swemu Proboszczowi powinni bez zapłaty w polu zarobić, zeżąc, i t. d. i jak uważał, że Dyrdała, który został wójtem, chce własnie ludzi do tego naciągnąć, bo on Jegomości bardzo szanuje, jak żaden tak.

Proboszcz: Ja przy łasce P. Boga, w gospodarstwie mojem małem radę sobie daję, i usług daremnych ze strony moich parafian anibym żądał.

Chociaż Proboszcz za Dyrdałą nic nie powiedział, ale i przeciw niemu nic się nie wyraził, bez obawy przeto z tej strony przeszkody, pokłoniwszy się Moszek odszedł:

W godzinę po odejściu Moszka wchodzi urzędnik powiatowy z zwitkiem papierów do Proboszcza, po przywitaniu się, mówi:

— Ja tu przybywam prosić x. Proboszcza o udzielenie nam swego zdania co do wyboru wójta w pobliskiej tu wiosce. Gmina przedstawiła nam Walentego Dyrdałę, którego nie znamy, co to jest za człowiek?

P r o b o s z c z: Dziwi mię bardzo, że gmina, mająca tak wielu zacnych gospodarzy, mogła Dyrdałę na wójta podać. Dyrdała jest to człowiek nałogowy, który nie tylko swój własny majątek, ale i majątek żony zupełnie przemarnował, a grunt nad wartość zadłużył. Zuchwalec, który już kilka razy w dawniejszych latach, za ubliżenie zwierzchności na areszt był skazanym i t. d. Podejrzywam, że w tem musi być sprawka arendarza, który przed chwilą był u mnie i za nim przemawiał.

U r z ę d n i k: A ha! teraz domyślam się, dla czego arendarz o dniu i miejscu wyboru wójta się wywiadywał i w czasie wyboru między ludźmi się znajdywał? No, takich przymiotów człowiek jak Dyrdała wójtem być nie może. Któregoż x. Proboszcz uważa, żeby najlepiej temu obowiązku odpowiedział?

P r o b o s z c z: Ja sądzę, że dotychczasowy wójt Bartłomiej.. Trzeźwy, uczciwy, religijny, mający nawet poważanie w gminie, co wiele znaczy, i działalność urzędową załatwić może.

U r z ę d n i k: I my z niego zupełnie zadowoleni jesteśmy, ale że się wyprasza. No, może go jeszcze i do pozostania nadal skłonimy. Z tą więc myślą urzędnik pożegnawszy się odszedł.

Na drugi dzień wezwano do kancelaryi urząd wsiowy, deputowanych i kilkunastu gospodarzy dla ogłoszenia im uchwały wskutek wyboru wójta zapadłej. Występuje urzędnik, a trzymając protokół w ręku, w te do nich odzywa się słowa:

— Ponieważ gmina wasza w przedstawieniu kandydata na wójta nieposiadającego potrzebnych przymiotów, okazała, że ludzi rozeznać nie umie, zatem urząd powiatowy na mocy przysłużającego mu prawa, sam pod tym względem rozstrzyga, i dotychczasowego wójta Bartłomieja, któremu winniście posłuszeństwo, i na dal pozostawia.

Jakby grom uderzył w Dyrdałę, który właśnie z pyszna naprzód innych się wysunął a podpity na dobre, zuchwale się odzywać począł:

— O tak nie będzie, bo gromada mię obrała, wszyscy kontenci, i co prawda, jak to bywa w zwyczaju, traktacya się już w porządku odbyła.

— A ty co za jeden jesteś? jak się nazywasz? pyta się urzędnik.

Walenty: Ja jestem wójt nowy Dyrdała. A gdy więcej pozwolił sobie poburkiwać, dwóch pachołków go po pod boki, bo się opierał, do aresztu z paradą odprowadziło, gdzie całą noc przesiedział. Nazajutrz rano wypuszczony, czesał że czesał żwawo krótszą drogą na ścieszki, minął z daleka arendę — prosto do swej chałupy. Wbiega zadyszany Moszek:

— Ny bestyjnik co mi ty narobił?

Walenty: Co ty mi narobił?

Mosiek: Oddaj mi 15 reńskich za trunek, coś ludziom kazał dawać?

Walenty: Będziesz odbierał, jak zostanę wójtem.

Mosiek: Ty gałgan!

Walenty: A kto mie zrobił gałganem, jeżeli nie ty? Jak nie stulisz gęby, to ja tu więcej wygadam, co miarkujesz, a o czem jeszcze ludzie nie wiedzą.

Mosiek: Niech cię diabli wezmą! — i odszedł.

Chodziło jeszcze Moszkowi o odebranie pieniędzy za trunki, wybrał się do Bartłomieja, tam zastał kilkunastu gospodarzy, i w te odzywa się słowa:

— Ja tu z wielką uciechą przychodzę do was panie Bartłomieju, żeście przecie utrzymali się na wójtostwie, bo ten gałgan Dyrdała, byłby się nie umiał z ludźmi obchodzić, tylko każdego byłby zdzierał i poniewierał.

Szymon: A dlaczegoż się tak za nim ubiegałeś, a Bartłomieja podmówiłeś by podziękował za wójtostwo, jeszcześ nakłamał, żeśmy z Nikodemem mieli się markocić na niego o naszych synów, których nam do wojska oddano, o czem nam się ani śniło. Widzisz jaki ty faryzeusz!

Mosiek: To ludzie tak gadali, nie ja. Ja tu przychodzę do was panie wójcie o 15 zł. za trunek, co gromada napiła.

Bartłomiej: Kto kazał traktować, niech ten płaci.

Mosiek: Ny Dyrdała z ludźmi.

Bartłomiej: To niech płacą.

Mosiek: Kiedy oni tak uradzili, by ci zapłacili co nie usłuchali, i tam nie przyszli.

Bartłomiej: Bo nie powinni byli słuchać.

Mosiek: Przecie nie zechcecie mojej krzywdy. Za to już wy nie będziecie traktować.

Bartłomiej: Jabym nie miał sumienia ludzi obdzierać.

Mosiek: No jakże będzie? Jak mi tak będziesz dokuczać, to porzucę arendę i pójdę gdzie indziej.

Wszyscy: A to idź.

Szymon: Chodzi ci o to, że po inne lata, choć nie masz ani zagona pola, po 4 stogi zboża za gorzalkę ściągałeś a teraz tylko połowę zbierasz i że ci się nie udaje ludzi rozpajać i oszukiwać, dlatego chcesz nas porzucić, płakać za tobą nie będziemy.

Mosiek: Z wami nie ma co gadać! Niech was!..

Rzekłszy to Moszek ze złością wybiegł, a stary Szymon tak przemówił do ludzi.

— Przekonajcie się kochani sąsiedzi, o czem wam zawsze mówiłem, że Moszko nie chodzi nigdy prostą drogą! Nie mówię ja przeciw niemu nic dlatego, że żyd, bo żydzi tacy dobrzy ludzie jak i my i według bożych nakazów na miłość bliźniego zasługują — a w ostatku są też i żydzi uczciwi i sprawiedliwi — ale mówię dlatego, że oto widzicie, jak nas chciał otumanić! Pamiętajcie dobrze, że wybór wójta, jako zwierzchności gromadzkiej, odbywać się powinien rozumnie i po trzeźwości, a zawsze na zacny sposób, bo co o takiej gromadzie myśleć, co nie umie wybrać dobrego przełożonego? Znak to wtedy, że i cała gromada nic nie warta, kiedy o swój honor i o dobry porządek we wsi nie dba! Już i tak przez nasz nierozsądek stał nam się wstyd nie mały, że nie my sami, tylko urzędnik wójta ustanowił, ale przynajmniej to dobrze, że wypadło na uczciwego człeka jak Bartłomiej. Ale zawsze dla nas i dla

drugich niech będzie przykład, jak to w sprawach gromadzkich trzeba sobie z rozumem i zacnością, jak to przystało na polskich kmieci, co z dawności mają sławę uczciwych i rozsądnych ludzi.

Grzegorz od Łańcuta

Obowiązki sług.

Na czem zależy cały porządek i powodzenie gospodarstwa, i pokój? Oto kiedy są dziatki karne i kochające, kiedy się ma czeladkę wierną i pracowitą. Cóżby to był za porządek w domu, gdyby w nim nie było gospodarza, gdyby każdy robił co mu się podoba, gdyby młodszy nie słuchał starszego? Oto byłby nieład, zamięszanie i upadek, a w końcu nie miałby nikt ani domu, ani dobytku.

Widzimy, że każdy członek rodziny, każdy służący, wiernie i gorliwie pełni włożone na siebie obowiązki, gospodarstwo idzie jakby z płatka wywinął. Wszystko dobrze i na swój czas zrobione, w ogrodzie rychło wypielone warzywa rosną bujno, zboże w polu dobrze uprawne zapowiada plon obfity, w oborze bydełko chędogie i zdrowe, w komorze wszystkiego podostatkiem. Lecz niech tylko jeden, a tem gorzej gdy więcej znajdzie się tam sług leniwych lub niedbałych, już wtenczas albo gospodarstwo pójdzie najgorzej, albo dla utrzymania w niem jakiego porządku będą go musieli wyręczać inni.

Służba jest konieczną w społeczności ludzkiej. Panowie nawet, którzy wiele sług trzymają, sami służą monarsze i krajowi; najniższy sługa jest użytecznym i bardzo potrzebnym w społeczności, wyręcza bowiem swego pana zajętego ważniejszemi posługami. Potrzeba tylko, aby sługa pamiętał w swoim stanie na to, że jaką miarką mierzysz, taką ci i odmierzają. Dwie te cnoty stare jak świat, nie czynić źle a czynić dobrze wyrył Bóg na sercu każdego człowieka; a doświadczenie przekonywa, że lepiej zawsze być dobrym aniżeli złym w każdym razie, choćby usługa twoja nie była nagradzaną lub niesprawiedliwie sądzoną.

Atoli oprócz posłuszeństwa są jeszcze inne warunki nie mniej ważne i koniecznie do zachowania w obowiązkach powinności w wszelakiej służbie, a temi są: zdatność, gorliwość, wierność i przychylność.

Po posłuszeństwie pierwszym w służbie warunkiem jest zdatność. „Znaj siebie samego“ mawiali starzy ludzie; każdy więc dobrze powinien wiedzieć to co umie, zanim w obowiązki wejdzie, inaczej i sobie szkodzi i drugich uwodzi. Człowiek słabowity nie powinien się godzić do usług wymagających zdrowia; ten co się nie zna na gospodarstwie, niech da pokój rolnictwu i t. p. Ci, którzy podejmują się więcej nad to, co wykonać potrafią, są prostymi oszustami i jako tacy karani być winni.

Drugim warunkiem jest gorliwość. Gorliwość jest to wykonywanie chętne, pilne i staranne powierzonych obowiązków. Niedbalstwem bowiem, mimo wszelkiej zdatności, można narazić na straty i szkody przełożonych. Gorliwość w służbie jest równie korzystną dla sługi jak dla pana; gdyż ten widząc, że sługa jest dbałym o jego dobro, nie pozostawi go pewno bez nagrody. Kto gorliwym jest w służbie, ten ją nie zmienia i nie opuszcza, takiego sługę sami panowie starają się zatrzymać bo jeżeli panom dobrze z sługą, to i sługom podobnież; prędzej się czego na jednem miejscu dorabiają, jak kiedy się często z miejsca na miejsce przenoszą. „Na miejscu i kamień porasta“ mawiali starzy ludzie.

Trzecim warunkiem jest wierność. Gorliwość w służbie jest tylko potrzebną, lecz wierność jest konieczną. Zależy ona na tem, aby wszystkie zlecenia i rozkazy bez ukrzywdzenia pana w najmniejszej rzeczy wykonywać, pierwsze bowiem przeniewierzenie się da chętkę do dalszych. Małe złe pociąga za sobą większe. „Kto wierny jest w najmniejszej rzeczy (mówi Pismo św.) i w większej wierny jest, a kto w małem niesprawiedliwy jest, w większem niesprawiedliwy jest.“ „Od łyczka do rzemyczka, a od tego do koniczka, aż zakończy szubieniczka“ mawiali starzy.

Wszystkie te trzy rzeczy są nader ważne do obowiązków dobrej służby, ale jeszcze całej jej dobroci nie stanowią, takowa

bowiem dopiero zależy od przychylności i miłości ku zwierzchności i panom. Sługa przychylny jest pewno gorliwym i wiernym, a zatem pracowitym i posłusznym; bo gdyby uchybił jednemu z tych obowiązków, jużby tem samem nie był przychylnym ani przywiązanym, a jeżeli jest takim, tedy pewno jednego się trzyma. „Żaden sługa (powiedział Chrystus Pan) dwom panom służyć nie może, bo albo jednego będzie miał w nienawiści a drugiego miłować będzie, albo do jednego przystanie a drugim wzgardzi.“ *P. L.*

RÓŻNOŚCI.

Pobożny pielgrzym. Wiecie już o nieboszczyku Feliksie Borunie, co jako pielgrzym zaszedł aż do Rzymu i tam z ojcem św. rozmawiał, a potem i do ziemi świętej pielgrzymował. Otóż piszą teraz gazety, że w Kujawach, w Polsce pod Moskalem, żyje inny kmieć, nazwiskiem Żebski, że także odprawiał pielgrzymkę do Rzymu a wróciwszy z tamtąd zabiera się teraz aż do Jerozolimy, gdzie to nasz Zbawiciel żył i nauczał i gdzie się grób jego św. znajduje.

Nowiny ze świata. Gazeta ta dla ludu wiejskiego znowu wychodzi w Krakowie. Wydaje ją pani Leśniowska, którą już znacie dobrze pod imieniem Ludka z Myślenic. *Nowiny ze świata*, jak się nazywają, takie też są na prawdę, podają przeróżne nowiny i ciekawości o królach, cesarzach, krajach i ludach, krótko mówiąc o całym świecie, co się tylko gdzie stanie. *Nowiny* jakiś czas wychodzić ustały, bo ich lud wiejski nie zapisywał, ale teraz znowu za pomocą Boga i dobrych ludzi gazetka ta wychodzi, a spodziewać się trzeba, że sobie ją pozapisujecie. W każdym innym kraju, we Francyi, Anglii, Niemczech, wieśniak trzyma sobie swoją gazetę, aby wiedział co też w ojczyźnie i w obczyźnie się dzieje, a kiedy skończy robotę, to zasiada sobie i czyta z ciekawością, u nas jeno jeszcze wiele wieśniaków woli karczmę i arendarza, niż dobrą xiążkę albo gazetkę

Nieszczęśliwy wypadek. W Slupi pod Limanową, czeladnik ślusarski pracując ciężko młotem od rana w dzień bardzo gorący, wskoczył w południe dla ochłodzenia się, do głębokiego stawu, i już żywy z niego nie wyszedł. Apopleksya t. j. krew zabiła go. Pamiętajcież o tem dobrze, aby będąc bardzo rozgrzani, raptem do zimnej nie wskakiwać wody, tylko wprzód trochę ochłódnąć, a i tak przy wejściu do zimnej wody, należy najpierwej głowę wodą polać, to krew do niej nie będzie uderzać.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 7.

1. września 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pobożny Xiądz klemens Ramult.

Wieś Zabłoćce leży sobie między Radymnem, gdzie to mieszczanie pobożni Polacy i robią siecie na ryby i dobre powrozy, i między Przeworskiem, gdzie jest starodawny polski klasztor, a mieszczanie robili kiedyś kiedyś dobre polskie płótna. Wieś jak wieś, rozumie się, że była i jest do dziś gromadą polską z dziada pradziada a fundował tę wieś jeden król polski, a że była za błotami postawiona, toż kazał ją król polski przezwać na wieczne czasy Zabłoćce. Dziś należy ona do parafii Kosienica, lud tam zwyczajnie polski i rozmaicie się prowadzi.

Otóż w plebanii był tam starodawny obraz, na którym wymalowany xiądz, nito zakonnik z książką w ręku, a oczy obrócone do nieba, i klęczy przed ukrzyżowanym Panem Jezusem. A że wisiał ten obraz nade drzwiami, toż sobie gazdowie gadali o nim rozmaicie — jedni gadali, że to jakiś dawny pleban, drudzy znowu, że to jakiś kanonik, a znowu starzy gazdowie przebąkiwali, że ten xiądz był ich rodakiem i wyszedł na xiędza i został zakonnikiem. Aż razu jednego byli gospodarze

z Zabłocic u swego xiędza na jakąś dobrą radę i uradziwszy coś dobrego i mądrego, jeden gazda stary Walek Kudroń tak zagadał swego Jegomości:

— Proszę też Jegomości! boć to muszą Jegomość znać i czemuby nie znali tego? co to za xiądz taki co stoi wymalowany na tym obrazku? jakoś ludzie bają o nim, aż trudno prawdy dójść.

Xiądz popatrzył na obraz, zdjął go ze ściany, poszedł do okna, zawołał Walka Kudronia do siebie i kazał mu na obrazku przeczytać głośno podpis, jaki tam stał. Walek Kudroń czytał: „Xiądz Klemens Ramult pobożny zakonnik, rodem ze wsi staropolskiej Zabłoćce“.

Xiądz pytał się ludzi:

— No! co słyszeliście, co to za jeden ten xiądz?

A gazdowie gadają:

— To coś pono ten xiądz zakonnik jakiś i coś znowu niby nasz rodak, ale to pono jakieś bałamuty, bo to i ludzie coś takiego bają.

A xiądz im na to:

— To moi kochani nie są bałamuty żadne, ale to taka prawda jak Amen w pacierzu i jak Bóg na wysokim niebie — ten xiądz był zakonnikiem w Przeworsku długie lata, a co wam i waszej gromadzie robi wielki honor przed Bogiem i światem, że on był rodzony w Zabłoćcach i był waszym prawdziwym rodakiem, a ojcowie jego byli tak rolnikami jak wy po dziś dzień, jeno ojciec tego xiędza był polskim sołtysem, miał od dziada całą rolę, co mu ją nadał jeden polski król za to, że raz był na wojaczce z Tatarami i przyniósł do króla jakie 50 palców, co zabitym Tatarom poodrzynał sam, i pokazał to królowi, a król go zrobił do razu panem polskim i nadał to sołtysostwo jemu i jego dzieciom.

Gazdowie podumali trochę na takie opowiadanie swego Jegomości i mówią dalej:

— Toć takiemu sołtysowi było i nie trudno dawać syna do szkół, ale dziś toby pono który gazda temu nie poradził, bo nie ma zkąd, a jeszcze jak jest dzieci kilkoro.

— To prawda, mówi xiądz, każdy rok to inny czas, ale Bóg zawsze jeden i jego wola święta dla nas zawsze i wszędzie jednaka, abyśmy byli zawsze pobożnymi, mieli dobry rozum, a dzieciom dali wychowek taki, aby miały czem żyć, ale i umiały i Boga pochwalić i drugim dobrze robić. Jak za dawnych czasów tak i dziś, nauka każdemu dobra, a kto ma naukę, temu świat otwarty, taki da sobie radę i jeszcze komu na dobre poradzi; bo to mówi gadka: Kto miewa dobrą naukę, ten ma na wszystko dobrą sztukę — kto ma głowę na karku, u tego zawsze pełno w garnku, a zaś u głuptaka chudziny, nie ma często i okruszyny.

— I to święta prawda, co Jegomość mówią, rzecze Kudroń, ale niech nam też Jegomość opowiadają co o tym naszym rodaku, bo jakoś aż mi miło wedle serca i raduje się mocno dusza moja, kiedy jeno posłyszą, że też przecie i z naszego chłopskiego stanu wyszedł ten i ów na ludzi i że się też jakoś garną i chłopi do nauki i do Boga i przecierają sobie oczy i patrzą inaczej na świat i na wszystko na świecie bożym.

A xiądz znowu na to:

— I mnie to mocno raduje, kiedy coś czytam o pobożnych gazdach, jak to onį posyłają dzieci do szkoły i do kościoła, jak to oni czytają sobie różne pisma, jak jakoś przezierają inaczej, a to wszystko wyjdzie na dobre kiedyś i Bóg to pobłogosławi tak samo, jak pobłogosławił tego xiędza zakonnika niegdyś waszego rodaka. Bo to mówicie, że ojciec jego był sołtysem i miał zkąd łożyć na syna — a ja powiadam, że i najbiedniejszemu ojcu pomaga Bóg sto razy bardziej niż bogaczom, jak jeno taki chudzina ciągnie do Boga i łoży na swoje dzieci, sobie od gęby ujmie, nie doje i nie dospi, jeno dziatkom daje, aby też one miały kiedyś rozum dobry.

Bo to i dawniej było ciężko ojcu dać dziecko do szkoły — dziś macie w każdej wsi szkołę i w każdem miasteczku, a podług mnie to zła i bardzo zła ta gromada, która jeszcze dziś nie fundowała szkoły dla swoich dzieci. Ot na ten przykład dawniej to na całą naszą okolicę była jedna szkoła w Przeworsku u zakonników, a dziś to inaczej, macie szkoły na około. A kto chce podbać o dziecko, to mu drogi nie przybędzie ani

zbawienia nie ubędzie, ani łaski boskiej nie zbędzie, ale zawsze wyjdzie on na swoje. Toż i ten wasz dawny rodak chodził do szkoły w Przeworsku u zakonników, sługiwał do mszy, posługiwał i starszym, porobił co mógł w kościele a uczył się ochotnie po nocach, nieraz nie stało mu i chleba i kaszy, jak mu z domu nie nadesłali, a on o głodzie uczył się, a jak mu matka nie przysłała nabiału, to zjadł i postno, szedł bez śniadania do szkoły, bez jedzenia spać, a chwalił Boga, gdy zjadł raz na dzień, a do książki leciał, jak głodny do miski, a jak się nauczył, to dopiero wtedy pomyślał o jedzeniu.

— O! mój Boże! co to za takie dziecko! zawołał Kudroń, toż na takie dziecko nie żal i łożyć i do razubym sam nie jadł, jenobym dał wszystko i koszulę ostatnią, aby się uczyło.

— Tak jest! moi kochani, rzecze xiądz, ojcowie powinni dać ostatni grosz i ostatnią krowę na dziecko, bo to kiedyś Bóg odda tyle dziesięcioro — bo to sami widzicie, jak się chowają na starość ojcowie nie raz na plebanii, a oni pewnie łożyli ostatnie na syna, aby został xiędzem i otoż mają chleb za to i zapłatę. I tak samo było i z tym dawnym waszym rodakiem — bo to uczył się, pobiedował jakiś czas, przetrwał biedę i został w Przeworsku zakonnikiem, a w Zabłoćcach były wtedy prymicye, a pono od tamtych czasów nie wyszedł już xiądz z tej gromady do dziś dnia ani jeden.

Toż nie pięknie to dla gromady każdej, gdzie nie ma z niej piśmiennych ludzi, ani w szkole, ani na urzędzie, ani w kościele, ani przy gromadzie, ani przy wojsku, a to mi dopiero chwała dla gromady, gdzie prawie każdy czyta i pisze, gdzie z gromady wyszli xięża, profesory, oficery, urzędniki, a co chałupa znajdziesz książki na półce, gazeta na stole i różne druki. O była tam wtedy w Zabłoćcach wielka uciecha, kiedy ten xiądz miał pierwszą mszę i ściskał głowy wieśniakom i wieśniaczkom. A dopiero potem wrócił do zakonu i był tu 40 lat okładem — a mówią stare książki tak o nim:

Był ten xiądz Ramult dobrym i przykładnym zakonnikiem, był życia świątobliwego, twarzy łagodnej, rosły chłop a miał głos taki, że jak mówił kazanie, to go Polacy słyszeli aż poza kościół. A jak powiedział kazanie, to nie raz cały kościół był

we łzach, a na ludzi ze wsi i z miasta krzyczał strasznie za złe życie i nawracał do pokuty i nawrócił ich dużo dużo do Boga.

A znowu Kudroń przemówił tak:

— Toż to pono i dobrze, mój Jegomość! że ten rodak nie odchodził od swoich daleko, ale nauczał ich i pracował dla ich dobra, bo to co swój to swój i swój ciągnie do swego prędzej niż do cudzego — no! ale czy on też umarł także między swojakami, bo to jakoś już Bóg tak dał, że każdy woli żyć i umierać na swoich śmieciach.

A xiądz na to:

— Toż i ten wasz rodak tak zrobił, pozostał do 40 lat w Przeworsku, tam ludzi spowiadał, do chorych jeździł, biednych ratował, a swoje jedzenie prawie całe rozdawał w dzień między tych, co przychodzili pod bramę klasztorną i rozdawał wszystko dla swojaków, że mu tylko została jedna koszula i jedna suknia zakonna. Toż za takie pobożne i miłosierne życie wysłużył sobie to u Boga, że jak komu zagroził jaką karę bożą, to go nie minęło na jeden włos. Otoż stoi w starych książkach tak:

Raz na Najświętszą Pannę Zielną miał on kazanie, a że było wtedy dużo rozpusty między mieszczanami, toż powiedział on tak: Jeżli się cały Przeworsk i wsie nie poprawią, to we dwie niedziel nie zostanie ani śladu z tego miasta!

— No! i cóż się też stało? zapytali ciekawi ludzie.

— A coby dobrego, rzecze xiądz, taż kara boża sprawiedliwa nie minie nikogo. Ludzie sobie żartowali przez dwie niedziele z kazania swego xiędza, jeno Bóg nie żartował, bo akurat we dwie niedziele w sam piątek po targu zapalił się Przeworsk i tak się spaliło wszystko, że zostały naokoło mury i doły, a fara i klasztor zostały nietknięte — a to było roku pańskiego 1565. Toż widzicie, że nie raz byli Tatary pod miastem i nie zrobili mu tyle złego, co ogień, i...

— Aha! powiada Kodruń, bo przed złym człowiekiem obronić się można prędzej, niż przed karą bożą — przed złym człowiekiem skryjesz się za płot, za krzak, za mur, a jak przed ręką Boga?

— To prawdę mówicie, mój Walenty, rzecze xiądz, toż i tym mieszczanom dopiero się wtedy otwórzyły oczy, jak osiedli na węglach i na popiele, a toby się może i nie było porobiło, gdyby był rozum dobry i poprawa. Toż od tego dnia wierzyli nauce swego xiędza i odtąd nazywali ludzie tego pobożnego zakonnika prorokiem bożym. Ale bo on niejednemu przepowiadał takie rzeczy, i to się spełniło, a nie dbał ci ani na króla, ani na pana, ani na mieszczanów ani na chłopów, jeno wyrąbał prawdę a resztę pozostawił Bogu do roboty. Toż za jego życie świątobliwe i za jego kazania chwalili go wszyscy od Lwowa po Kraków, od Krakowa i Przeworska aż po Gdańsk i nie było Polaka, coby nie wiedział i nie słyszał co dobrego o xiędzu polskim zakonniku z Przeworska.

A gazdowie kiwając głowami zapytali:

— A gdzie on też pomarł?

Xiądz na to:

— Jak się podstarzał i osłabł z takiej pracy, a miał już wtedy 65 lat, to się przeniósł z Przeworska do Sambora do takiego samego klasztoru i tam przeżył jeszcze 10 lat i oddał ducha Bogu, a Bóg przyjął do nieba taką pobożną duszę i odpłacił jej na ziemi dobrem wspomnieniem między Polakami a w niebie światłością wiekuistą. W Samborze też leży pochowany, a dla gromady zabłockiej jest ta piękna pamiątka, że wyszedł z gromady taki pobożny xiądz i taki mądry, że aż dziś piszą o nim książki i chwalą jego cnoty, a to już temu 300 lat, a znowu dla wszystkich polskich gromad taki przykład i taka nauka, co to może być z bogatego i ubogiego dziecka, jak jeno chcą szczerze ojcowie, jak samo dziecko chce i jak Bóg dopomoże.

Na tem skończył proboszcz a ludzie podziękowali pokłoniwszy się odeszli do domu. *Xiądz Wojciech z Medyki.*

Przestroga.

Kiedy ci szczęście przysłuża błogo,
Kiedy opływasz w dostatki,
Niemiej że pychy ty dla nikogo,
Jednego ojca my dziatki!

Kiedy ci pan Bóg dał zachowanie,
I wzniósł cię po nad twych braci,
Pycha u ciebie niech nie postanie,
Bo ci Bóg gniewem odpłaci!

Nie dmij się nigdy, nie chwal dostatkiem,
Mądre przysłowie tak gada:
„Pycha przychodzi tuż przed upadkiem,
Kto w górze ten nisko spada!

Wszak nasz Zbawiciel wytrwał w pokorze,
I przykład dał dla człowieka;
Nikt ze szczęśliwych zgadnąć nie może,
Jaki go jutro los czeka!

Krzywda ludzka — kara Boska.

Opowiedział Wojtek ze Smolnicy.

Kilkanaście mil ode Lwowa leży miasto Drohobycz. Stare to miasto i bogate, setni w nim mieszkają bogacze, domy murowane jak dwory, a co mieszczanin to pan całą gębą. Ale choć sobie Drohobycz bogaty, choć w nim rzemieślników huk i kupców przeróżnych jak maku — toć przecież nie powstydzi go się także i Borysław, co leży niedaleko niego!

A wiecie wy, co to Borysław?... Wieś to setna i ludna, jak żadna, kmiecie w niej to sami bogacze, że nie znajdziesz im równych może w całym kraju. U każdego chata jak folwarek, cztery konie jak katy, bydła jakby we dworze, a pieniędzy gotowych tysiącami. Bo też nigdzie łatwiej o pieniądze, nigdzie one tak same człeku nie płyną do kieszeni jak w Borysławiu! Nie sztuka tam być bogaczem, kiedy tam nie pługiem i nie sochą, nie pracą i nie potem zarabiają grosz wielki, ale po prostu wykopują go z ziemi!

Dziwnie wam pewnie, jak to w Borysławiu kopią ludzie pieniądze! Otóż trzeba wam wiedzić, że w tej wsi Borysławiu kopią na gruntach naftę czyli olej skalny. Co to jest nafta, o tem wie z was każdy prawie, bo mało kto jej nie widział i nie ma prawie chaty, gdzieby nią nie świecono w kagańcach szklannych. A pod gruntami borysławskiemi wszędzie są źródła

nafty, wykopiesz sobie tylko dół głęboki, a już ci nią nabiegnie cały, wyczerpiesz, przedasz i ogromne sumy zgarniesz do kieszeni.

To też w Borysławiu już prawie nie sieją nie orzą, jeno wszędzie kopią i kopią — gdzie spojrzysz wszędzie jamy i jamy, a ludzi koło nich tysiące, chłopów, panów, żydów, niemców jakby na jarmarku. Jedni grunta kupują, aby szukać tej nafty, drudzy kopią zaciekle, inni już wykopali i wyczerpują i sprzedają — a wszędy pieniądz się sypie, jak piasek!

Tak to się dzieje w tym Borysławiu! Codziennie mnóstwo fur beczek z naftą wywożą ztamtąd na wszystkie cztery strony świata, a co jedne wywiozą, to drugie czerpią z dołów i ładują! Nafta z jamy, pieniądze do kieszeni -- wszędzie huk kupców, handlarzy a niemało też i szachrajów.

Ale dawniej, przed laty, nie było tego w Borysławiu. Była to sobie wioszczyna jak każda inna, ludek w niej był biedny, jak każdy inny, praca koło roli ciężka, jak wszędzie indziej. Nikt nie wiedział, nie myślał, nie śnił nawet, że pod rolą borysławską Pan Bóg rozłożył takie skarby — i o nafcie nie było ani słychu ani dychu.

Otóż podówczas, kiedy to Borysławianie nie wiedzieli jeszcze o tych podziemnych źródłach nafcianych, kiedy po prostu pracowali w ciężkim pocie na roli — żył sobie w Borysławiu kmieć zamożny, Onufry Wołek. Wołek miał dwóch synów, ale nie po jednej matce, bo gdy mu pierwsza żona zmarła i syna zostawiła, ożenił się po raz drugi i drugiego też doczekał się dziecka.

Stefko i Michał tak się zwali obaj nierodzeni bracia. Zazwyczaj takie to bywa nieszczęście, że nierodzeni bracia, choć po jednym ojcu, albo po jednej matce nie lubią się tak jak to być powinno, jeno żyją w gniewie i niezgodzie, że aż zgorszenie dają ludziom. Już to najczęściej winien temu albo ojczym albo macocha, że swe dzieci rodzone kochają a pasierbami potrącają jak bydłem.

Tak to było i u Onufrego. Miał on z pierwszą żoną Stefka, a gdy żona ta umarła, ożenił się, jak już wiecie po raz drugi, i miał drugiego syna Michała. Skoro weszła w dom macocha.

a była to prawdziwa macocha, złe kobiecisko co się zowie, to zaraz patrzyła już złem okiem na Stefka i potrącała sierotą bez miłosierdzia. Ale póki się sama własnego nie doczekała, dziecięcia, to jakoś to jeszcze było, choć źle, to nienajgorzej — ano kiedy urodził się jej Michał, to już wtedy gorżka dola nastała dla Stefka.

Macocha ta, jak to mówią herod baba, zawojowała tak dalece Onufrego, że się patrzył na krzywdę swego pierwszego dziecka i ani słówka pisnąć nie śmiał — co mu Pan Bóg popamięta na tamtym świecie. Macocha dokazywała więc, co jej się żywnie zachciało, biła, głodziła, poszturkiwała Stefka, a pieściła, karmiła i pilnowała Michała, jak oka w głowie. Bywało Stefko głodny ledwie suchy chleb przegryza, a Michałowi broda od smakowitych pierogów się świeci, Stefko bosy i obdarty kłapie zębami od zimna, a Michał ~~Stefko~~ w kożuchu jak w piecu się grzeje, Stefko drwa rąbie albo za bydłem na polu moknie, a Michał za ciepłym piecem nogi wyciąga.

Ale nie dosyć na tem. Niedobra macocha jeszcze ciągle męża na Stefka podmawiała a i swego drągala Michała jak psa szczuła na biedną sierotę. A że Michał udał się w matkę i okrutnie zły był chłopczysko, więc dokuczał i dojadywał swemu bratu Stefkowi, co mu sił stało i tak go niecierpiał, że byłby go w łyżce wody utopił.

Tymczasem biedny sierota Stefko, choć w biedzie, w głodzie i chłodzie, choć bity i poszturkiwany, dobrym był chłopcem jak rzadko. Pracowity, pilny, posłuszny i dobrego serca, znosił on swoją nędzę cierpliwie i za krzywdę macochy i swego niedobrego przyrodniego brata tylko dobrocią i życzliwością się odpłacał! Bo taka to moiściewy natura ludzka: zły, choć go miodem smaruj, zły jak gadzina, a dobry, choć go potłukują i krzywdzą, dobrym zawsze zostanie.

Sam Onufry, że się bał baby jak ognia, więc musiał siedzić cicho jak ryba i znosić krzywdę swego dziecka — ale za to gryzł się potajemnie, marniał powoli, a wreszcie zaniemógł i umarł. Szczęściem miał choć tyle rozumu i odwagi przed śmiercią, że zapisał cały swój majątek nie macosze, ale obydwom synom z przekazem, aby się na dwie równe części podzielili.

Ale złym ludziom nawet i ostatnia wola umierających nie jest świętą. Tak też i owa niedobra macocha ledwie męża pochowała, a już zaraz poczęła przemyśliwać nad tem, jakby tu przy podziale gruntu i dobytku pokrzywdzić swego pasierba Stefka.

Stefko nic nie mówił macosze, bo strapił się boleśnie śmiercią ojcowską — ale zaraz w kilka dni wybrał się do obcych ludzi na służbę, bo wiedział że macocha dopóty jeszcze ma rządzić gospodarstwem, dopóki obaj bracia przyrodni nie będą pełnoletni.

Kiedy tak Stefko się najął i pracował w ciężkiej biedzie u obcych ludzi, gospodarowała sobie macocha z swoim Michałem na piękne całym dobytkiem nieboszczyka Onufrego i dogadzali sobie we wszystkiem, żałując Stefkowi nawet grajcara zapomogi. W końcu też i Stefko i Michał przyszli do pełnoletności i trzeba było rozdzielić między nich dobytek ojcowski.

Ciężka to była chwila dla macochy, bo jej nie chciało się dać kawału gruntu Stefkowi — ale jeszcze cięższa dla Stefka, bo go srodze skrzywdzono a jeszcze wymyślano, i łajano jakby jakiego opryszka. Chatę całą wzięła macocha dla siebie i dla swego Michała, bydła Stefko nie dostał ani jednej sztuki, bo macocha mówiła, że jego połowa wyzdychała, a co się tyczy gruntu, to biedny sierota dostał mniejszą połowę tylko i to sam ugor nieurodzajny, sam kamień i piasek, albo niewykorczowane pustki, na których i ziarno nie zeszło. A Michał wybrał sobie samą rolę czarną, tłustą i urodzajną.

Markotno się zrobiło Stefkowi za tę wielką krzywdę, więc też zrazu sprzeciwiał się takiemu podziałowi, ale macocha i zły Michał przysiedli go jak ostatniego rabusia, krzycząc i przeklinając:

— A ty łotrze, darmojadzie, włóczęgo! Nie dość ci na tem co ci dajemy, jeszcze więcej ci się zachciało! A za co my ci mamy dawać, czy za to, żeś się włóczył po obcych ludziach, kiedy my na gruncie pracowali! Bierz co ci dajemy, bo i tego nie dostaniesz, choćbyś chodził od sądu do sądu, aż do zdeptania nóg po kolana!

Mógł się tam Stefko w słuszności udać i do sądu, bo miał prawo za sobą i może by był wygrał sprawę, ale nie chciał zgor-

szenia ludzkiego i swaru, a zresztą wiedział dobrze, że najlepszym sędzią jest Pan Bóg Niebieski, który surowo karze krzywdę każdą tu i na tamtym świecie.

Przystał więc na wszystko, zapożyczył się u ludzi, zlepił sobie nędzną budę, kupił za pożyczony grosz trochę chudoby i począł uprawiać grunt, ile go mógł, bo ledwie mała cząsteczka była zdatna na zasiew jaki taki. Biedował też ciężko, ledwie kawałkiem chleba się żywiąc — a tymczasem macocha i Michał panowali sobie i rozkoszowali w majątku nieboszczyka Onufrego i nietylko, że już tak ciężko pokrzywdzili Stefka, ale wyrządzali mu jeszcze umyślnie krzywdę, wypędzali mu bydło na młode żyto, spasali mu kawałeczek jego łąki, puszczali nierogaciznę do ogrodu i w czem mogli to mu dokuczali.

Niebawem też Michał ożenił się i sprawił huczne wesele, mnóstwo ludzi sprosił, a o biednym Stefku, choć był bratem jego, zapomniał. Stefko biedaczysko ożenił się także z ubogą jakąś dziewczyną, ale pracowitą i cnotliwą, i lżej im już jakoś było znosić nędzę i trudy we dwoje.

A brat Michał pokiepkowywał sobie jeno razem z macochą ze Stefka mówiąc:

— Owa! jaki pan! Zachciało mu się żony, patrzcie dziedzica! i wziął sobie taką panią jak sam; dziurawa płachta, zapaska z werety ot i całe wiano!

Ale milsza Bogu cnota w werecie, niż niecnota w sajecie! Doświadczyli tego niebawem obaj bracia na sobie Oto posłuchajcie, co się stało dalej. Stefko, że miał najwięcej gruntu piaszczystego, więc też najwięcej sadził ziemniaków, bo to się jeszcze jakoś udawało. Otóż w jesieni, kiedy już ziemniaki wykopał, a porodziły mu się jakoś za bożą pomocą, wziął się do wykopania dołu po pod chatą, aby ich tam przezimować, bo nie miał zimowego schowku. Zebrali się więc oboje z żoną do kopania i wykopali głęboki dół. Wieczorem go ukończyli i poszli spocząć a na drugi dzień mieli wsypywać ziemniaki.

Na drugi dzień z rana, skoro świt boży zabłysnął, wyszedł Stefko z chaty i zaglądnął do dołu, a tu patrzy dół ten do połowy naszedł niby wodą i nie wodą, bo inaczej to wyglądało i jakoś dziwnie śmierdziało. Zmartwił sie tym nieboraczysko i zawołał na żonę.

Żona wybiegła i patrzy także z zdziwieniem na tę ciecz w jamie a Stefko załamał ręce i mówi:

— Oj biednaż moja dola! Nic nam się nie wiedzie już ani na ząb! Myślałem że na suchą ziemię natrafię, a tu woda jakaś zasmrodzona podeszła i trzeba będzie znowu inną jamę wybierać na ziemniaki! A tyleśmy się napracowali i nadaremnie!...

Kiedy tak oboje narzekają i zachodzą w głowę, nadjechał na koniu dziedzic i pozdrowił Stefka i jego żonę, bo był pan poczciwy i dobry.

— A co tak patrzycie i skrobiecie się w głowę?... — pyta pan i zatrzymał konia.

— Aj! wielmożny panie! — mówi Stefko — jak żyje, nie widziałem takiej biedy. Wykopałem wczoraj dół, a on dziś czemś podeszedł i to nie wodą, jeno czemś dziwnem bardzo, co tak cuchnie, że aż w nosie wierci!

Pan się rozciekawił, zlazł z konia, przyglądał się długo tej jamie, kazał potem Stefkowi wpuścić żerdź na dno, potem go opatrzył i obwąchał — a w końcu zawołał:

— Człowiecze! czego ty narzekasz? Oto lepiej padnij na kolana i podziękuj Panu Bogu, bo cię uszczęśliwił i zrobił bogaczem. To nie jest żadna woda ani też żadne paskudztwo, jeno taki olej ziemny, co się zwie nafta i za dobre pieniądze się sprzedaje. Na całym tym gruncie musi być wszędzie taki olej, a musi go być dużo, boś płytko kopał a już naszedł!

Stefko i jego żona wytrzeszczyli oczy na pana, bo nie zrozumieli ani słowa i milczeli jak kamień. Wtedy dopiero począł pan Stefkowi wykładać na rozum, co to jest nafta, jaki to dobry i potrzebny towar dla ludzi do oświetlania zamiast oleju albo łoju, jaki to on skarb wykopał na swej ziemi, i jak go ten skarb niebawem z biedaka zmieni w okrutnego bogacza.

Stefko już po trosze rozumiał, ale jeszcze słowa przemówić nie mógł od wielkiego podziwienia, aż pan tak mówi do niego:

— Przyjdź do mnie do domu, ja ci pożyczę pieniędzy, najmij robotników, kop jamy, a jak będzie więcej nafty, to się garnąć do ciebie będą kupcy, a jeśli zechcesz to cały grunt ci zaraz za kilkadziesiąt tysięcy wykupią!

Stefko na te słowa mało nie padł na ziemię, a z wielką biedą się opamiętawszy pobiegł do swej chatki i tam z żoną

ukląkłszy przed małym kalwaryjskim obrazkiem Matki Boskiej, poczęli się modlić i dziękować za szczęście, choć tego szczęścia jeszcze nie rozumieli, jak się patrzy.

I ot po co tu długo mówić: za tydzień już na jałowym gruncie Stefka było kilkanaście ogromnie głębokich studni a w nich nafty co niemiara. Pan bowiem zapomógł na prawdę Stefka a ten zaraz począł kopać i kopać i tylu źródeł oleju ziemnego się dokopał. Teraz już Stefko bogaty człowiek, w chacie jego gwar jak na jarmarku, mnóstwo kupców drohobyckich a nawet lwowskich targują się z nim o naftę, arendują sobie doły i płacą mu okrutne pieniądze. Nie minęło i dwa tygodnie a na gruncie Stefka już prawdziwa fabryka; przeszło sto ludzi kopie i wyczerpują naftę — a w skrzyni Stefka zebrało się już jakich dwadzieścia tysięcy reńskich, to złotem, to srebrem, to papierami!..

Co to był za hałas we wsi, możecie się już sami domiarkować — ale co się działo w chacie macochy i Michała, tego wam już i opisać nie potrafię! Macocha z zawiści aż włosy sobie rwała i głową o ściany tłukła, zazdrość i złość sroga serce jej zatruwała, i przeklinała siebie i świat cały, że zamiast pokrzywdzić dopomogła Stefkowi do szczęścia. Michał nie jadł, nie spał, jeno swój gniew wódką zapijał, i po pijanemu kłócił się z matką i poniewiarał ją z wielkiej złości.

— Otoście nas podzielili! — wołał Michał do matki — on ma skarby, a ja co? kawał gruntu i nic więcej!

— Oj synu, synu — odpowiadała mu matka — czy ja wiedziała, czy ja się spodziewała, że ten oczajdusza Stefko będzie miał takie szczęście! Czy ja temu winna, że temu łotrowi i piaski i jałowiny pieniądze będą rodzić!

I zamiast uznać sprawiedliwość bożą, która za to Stefka wynagrodziła, że mu macocha i brat taką ciężką wyrządzili krzywdę, klęli tylko oboje to na siebie, to na Stefka, aż ściany się trzęsły w chacie.

Kiedy tak macocha i Michał lamentują i przeklinają z gniewu i zawiści, nadbiegł do nich arendarz ze wsi i mówi:

— Aj, aj! co się z tego Stefka za pan zrobił! Kiedy wy go przy podziale oszukali i daliście mu tylko sam ugor i piasek, to ja zawsze mówił, jacy wy mądrzy! — a teraz kiedy

się Stefko takiego okrutnego grosza dokopał, to zaś mówię, jacy wy byli głupi!

— Idźże precz żydzie! — zawołał w pasyi Michał — nie natrząsaj się z nas, bo ci nogi połamię!

— Nu! za co mi tu nogi łamać? — mówi arendarz — ja tu do was z taką dobrą radą przychodzę, że wy będziecie mieli jeszcze większe pieniądze niż Stefko i jeszcze wszystko odbierzecie!

— A gadajże, gadaj arendarzu! — zawołali macocha i Michał od razu — bodaj ci Bóg dał zdrowia!

— Nu ja już zdrowie mam, Bogu dzięki — odpowiada arendarz — wolę teraz co innego! Ja wam dam taką radę, że wy będziecie mieli huk tej nafty, co ją Stefko kopie, ale musicie mi obiecać, że jak dobrze pójdzie, to mnie weźmiecie do spółki.

Macocha i Michał obiecali mu wszystko, czego tylko chciał, i zaraz z góry piękne cielę mu darowali za dobrą radę, a arendarz tak prawił:

— Kiedy ta nafta jest na gruncie Stefka, to ona musi być i na waszym. Kopcie jeno dobrze a znajdziecie. A co będzie najlepsze, to to: Podkopcie się pod sam grunt Stefka i kopcie jeszcze głębsze na dwa razy jamy niż on, to nietylko że wam z waszego gruntu napłynie nafta, ale jeszcze odbiegnie wszystka nafta z dołów Stefkowych, bo ona spłynie po pod ziemię do waszych jam dla tego że głębsze.

Macocha i Michał rozradowali się okrutnie — a nie tak ich ucieszyło to, że będą mogli mieć w swym gruncie naftę, jak to, że się podkopią głębiej pod doły Stefkowe i naftę mu wszystką odbiorą. Mój Ty mocny Boże, tak to u złych ludzi, nawet zysk własny nie tyle ich cieszy, co krzywda ludzka!...

Zaraz więc Michał pożyczył na tratę pieniędzy u arendarza i począł kopać jamy po pod sam grunt Stefków. Kazał już wybierać bardzo głęboko, jak już wiecie na to, aby Stefkowi naftę odebrać. Wykopał mnóstwo dołów i okrutnie dużo wydał pieniędzy. Ale gdy robotnicy wykopali takie doły głębokie jak u Stefka, nie pokazało się nic, jeno sucha ziemia. Michał kazał kopać coraz głębiej i coraz więcej jam i coraz bardziej się

zapożyczał, myśląc, że mu się przecież uda spekulacya. Ale choć doły już były dwa razy takie głębokie, jak na Stefkowym gruncie, to przecież nafty w nich nie było ani na naparstek, jeno chyba czystej wody się dokopali. Michał w okrutnej desperacyi kopał i kopał, gruntu już nawet nie uprawiał, bo go całusieńki skopał w doły, zapożyczał się ciągle — ale daremnie! Zakopał w tych nieszczęsnych jamach cały swój dobytek, wszystko bydło, które na to posprzedawał i mnóstwo pieniędzy pożyczonych — a nie wykopał nic a nic!... A tymczasem u Stefka gdzie jeno rydel zapuścisz, wszędzie tryska nafta, jak woda!...

Teraz to dopiero bieda i lamenta nastały w chacie Michała Grunt nieuprawiony nie dał ziarna na chleb, bydło było sprzedane, długów narobił Michał co niemiara, żydzi go grabili i skarzyli — arendarz ze wsi wyrobił już sobie licytacyę całego gospodarstwa a samego Michała do aresztu miał zamknąć.

Macocha, która chciala swego pasierba doprowadzić do nędzy i tak go pokrzywdziła, patrzyła teraz na nędzę swoją i swego syna!... Tak to kara Boża ściga niesprawiedliwych!... To też kobieta ta z zgryzoty wielkiej zachorowała ciężko i piątego dnia umarła...

Michał nie miał w co przyodziać trupa, nie miał za co pochować matki — a właśnie tylko co niewidać było żyda z woźnym, aby go wziąć do aresztu... Michał doznał teraz dopiero nędzy i nieszczęścia — i gorżko zapłakał. I oto pokazało się na nim, że nieszczęście naprawia ludzi!... Począł rozmyślać swe życie i zaraz stanęła mu na myśl, że skrzywdził brata i że to kara boża prześladuje go za to... Upadł na ziemię przed trupem matki i począł płakać rzewnie...

Kiedy tak Michał leży na ziemi i zalewa się gorżkiemi łzami skruchy, roztwarły się naraz drzwi od izby... Michał porwał się na równe nogi, bo myślał, że to żydzi przychodzą po niego, aby go wziąć za tratę do aresztu — spojrzał zastraszonemi oczyma ku drzwiom i oto zobaczył swego brata!...

Był to poczciwy Stefko, który zasłyszawszy o śmierci macochy i nędzy swego brata zapomniał o wszystkich doznanych

krzywdach i przyszedł, aby go poratować. Michał, gdy zobaczył swego brata, spuścił oczy, bo nie śmiał mu w twarz popatrzeć.

— Bracie! — zawołał do niego Stefko — czy i teraz mnie nienawidzisz, mnie, twego brata!

Michał popatrzył na Stefka i rzekł:

— Ach bracie Stefku! Czyż śmiem oczy podnieść na ciebie, ja com cię ciężko pokrzywdził, com cię nienawidził i tobą potrącał?..:

— Przebaczam ci bracie wszystko — odpowiedział Stefko — i wskazując na trupa macochy dodał — i jej przebaczam, że nas poróżniła i niech jej tąk Bóg daruje wszystko, jak ja jej darowałem!

I obaj bracia podali sobie ręce i ucałowali się znowu. O bodaj to się tacy dobrzy ludzie, jak Stefko, rodzili na kamieniu!..

Kiedy tak obaj bracia się jednali — wpadł żyd z woźnym, aby Michała wziąć do aresztu. Stefko poczciwy wziął zaraz żyda do chaty i wypłacił mu dług brata do szeląga! A potem popłacił jeszcze inne długi Michała, zapomógł go grubą sumą pieniędzy, kupił mu nową chudobę, darował ziarna, krótko mówiąc: sprawił mu zaraz całe gospodarstwo. Stefko zrobił, jak Chrystus nakazuje: „Kto na ciebie kamieniem, ty na tego chlebem“.

Nie minęła go też za to nagroda. Stefko tyle zarabiał na nafcie, że niebawem stał się największym bogaczem w całej okolicy i lepiej się miał, niż dziedzic jaki. I nikt mu tego dobytku nie zazdrości, chyba źli ludzie — bo majątek w ręku poczciwego człowieka, to pożytek dla ludzi i chwała dla Boga. Michał zaś poprawił się także, a gdy za pomocą brata przyszedł nazad do majątku, dziękował Bogu za łaskę i przebaczenie i oto koniec całej historyi. Bodaj się wszystko złe kończyło tak dobrze na świecie!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 8.

11. września 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Klasztor sokalski.

Dawno to, bardzo dawno, bo już prawie sześć setek lat, kiedy to wielki książę litewski, Władysław Jagiełło, poganin, przyjąwszy wiarę chrześciańską został jak już wiecie małżonkiem królowej Polski Jadwigi, która to królowa swoją świątobliwością i mądremi rządami zniewoliła sobie serce wielkiego księcia tak, że aby zostać jej mężem wyrzekł się pogaństwa z całym swoim ludem. Otóż ten książę Jagiełło zostawszy sam chrześcianinem i królem polskim, pracował gorliwie razem z małżonką swoją Jadwigą nad nawracaniem całej Litwy pogańskiej na wiarę chrześciańską, a nie trudno mu to było, gdyż za przykładem ulubionego księcia swego garnął się lud tłumnie do wiary naszej, a poznawszy raz wiarę świętą chrześciańską poznał zarazem i szczęście, jakie ona człowiekowi daje.

Między nowo nawróconymi Litwinami znajdywał się malarz jeden nazwiskiem Wężyk, któremu na chrzcie imię św. Jakóba apostoła nadano. Tenże malarz tak był doskonałym w malarstwie, a miał tak wielką pamięć, że skoro spojrzał raz jeden

na jakikolwiek obraz, odmalował go zaraz z pamięci tak doskonale, że między jednym a drugim nie było żadnej różnicy. Gdy się o nim Władysław Jagiełło dowiedział, kazał mu przyjść na dwór swój królewski i zatrudniał go malowaniem obrazów z historyi, które przedstawiały wojny litewskie. Jakób Wężyk tak gorliwie nad temi obrazami pracował, że aż wzrok utracił. W tym czasie słynął już cudami rozlicznemi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Otóż to do tego obrazu w Częstochowie ofiarował się Wężyk i za łaską Matki Boskiej na nowo wzrok odzyskał. Kiedy powrócił do domu, chciał z wdzięczności za tak wielką łaskę taki sam obraz odmalować jaki widział w Częstochowie. Przygotował sobie do tego tablicę z drzewa zamorskiego, cyprysowego, lecz kiedy się zabrał do malowania poznał z wielkim żalem, że mu obraz częstochowski całkiem wypadł z pamięci, i że nie potrafi podobny tamtemu odmalować. Poszedł więc powtórnie do Częstochowy i bardzo się pilnie wpatrywał w obraz cudowny lecz kiedy znowu do domu powrócił, zapomniał już znowu całkowicie. Co namalował to znowu zamazał, próbował i próbował, ale nigdy mu się nie udało. Pomyślał sobie, że pewnie jest niegodny odmalować ten obraz i poprzestał swej pracy. Lecz ludek pobożny, który wiele słyszał o cudach obrazu częstochowskiego, tak zaczął nalegać na malarza, by mu taki sam wizerunek odmalował, że Jakób Wężyk po trzeci raz wybrał się w pielgrzymkę do Częstochowy, lecz przedtem przygotował sobie ową tablicę cyprysową i wszystkie farby i narzędzia do malowania jak się należało i zamknął to wszystko w osobnej komorze, do której nikomu wstępować nie wolno było aż on wróci, i zabrał klucz od tej komory z sobą. Przybywszy do Częstochowy oczyścił się z grzechów swoich w spowiedzi, przyjął komunię świętą a potem dla uproszenia łaski leżał krzyżem przed tym obrazem i począł się z wielką skruchą w obraz cudowny wpatrywać.

Gdy nazad powrócił, przyszedł natychmiast do owej komory, i znalazł wszystko tak jak zostawił, zamek nienaruszony i żadnego śladu ludzkiego nie było, lecz kiedy otworzywszy zamek drzwi odchylił, oblała go wielka jasność, która

całą komorę napełniła, tak że omal wzroku nie postradał, lecz kiedy z przestrachu nieco przyszedł do siebie, ujrzał obraz skończony, zupełnie podobny do częstochowskiego a przed ołtarzem stał anioł w szacie białej i dwie świece gorejące przed obrazem, a kiedy w trwodze z pokorą padł na kolana i dziękował Matce Najświętszej za cud doznany, anioł ów odezwał się do niego w te słowa.

— Za pobożność i cześć dla Matki Najświętszej, którą serca wasze pałają ku Niej, utworzył sam Pan Jezus ów obraz, Matki swojej, byście w każdej potrzebie z wiarą i ufnością uciekając się do Niej, łask Jej doznawali!

Po tych słowach zniknął anioł i światłość a pozostał tylko obraz i przelękniony a skruszony malarz. Ten tedy obraz zaniósł Wężyk z wielką czcią, pośród licznie zgromadzonego ludu do Sokala i ofiarował go kapłanom ruskiego obrządku, gdyż natenczas nie było jeszcze tego kościoła murowanego, w którym się dziś ten obraz znajduje. Tamże przy tej cerkiewce, obok obrazu cudownego obrał sobie Jakób Wężyk mieszkanie, gdzie też życia swego świątobliwie dokonał. Taką to legendę opowiadają o obrazie sokalskim. A słynął ten obraz wielu cudami dla tych, co się serdecznie modlili i był w wielkiem poszanowaniu u kapłanów ruskich. Lecz smutne to czasy były wtedy w Polsce, kiedy to Tatarzy zalewali swemi hordami Ruś Czerwoną, miasta i wsie ogniem i mieczem niszczyli, ludzi mordowali lub w cięższy od śmierci jasyr uprowadzali, to też kiedy później napadli Tatarzy na Sokal i i miasto to do szczętu spalili, spłonęła i cerkiew ta, tak że ludzie powracający z lasów, dokąd się byli przed Tatarami ukryli, i śladu odszukać nie mogli, gdzie ta cerkiew stała, tak Tatarzy wszystko zagładzili, aż dopiero daleko później kopiąc przypadkiem na tem miejscu obraz całusieńki i nienaruszony z ziemi wydobyli. Zbudowali na prędce kościółek z palów dębowych na kępie, oblanej z jednej strony rzeką Bugiem a z drugiej Ratą, gdzie między chaszczami i drzewami ukryty, długie wieki przetrwał, a chociaż później Tatarzy znowu w tych okolicach grasowali, jakoś cudem tego kościółka nie dojrzeli.

Tamże przy tym kościółku zbudowała pobożna pani Tarłowa, chorążyna sandomierska, wielka miłośnica Matki Boskiej, mały domek dla pustelnika, coby ludowi drzwi do kościółka otwierał i bydło tamże pasące się odpędzał, by szkody nie wyrządzało. Słynął wielu cudami i w tym kościółku obraz Matki Boskiej, a między innemi i tym, że kiedy pewna pani, nazwiskiem Ostrorogowa, będąc dwadzieścia lat zamężną, żadnego potomstwa doczekać się nie mogła, kiedy się ofiarowała do tego obrazu, powiła syna Konstantego, który to później z wdzięczności za łaskę swego narodzenia, ofiarował wielkie sumy pieniędzy i najwięcej przyczynił się do odmurowania tego klasztoru, w którym się dzisiaj ten obraz znajduje.

Kiedy później Tatarzy napadłszy na okolicę podłożyli drzewa suchego pod kościółek i podpalili, spłonęło drzewo, a kościółek został nienaruszony. Tak to opiekowała się Matka Boska jawnie swą świątynią i okazywała jak to miło jej patrzyć na gorliwe zachody około chwały Jej na tej ziemi.

Ale nie ten jedyny raz chronił Bóg tego przybytku. Oto posłuchajcie drugi przykład:

Smutne to czasy były w Polsce, kiedy zbuntowali się Kozacy i pod wodzą swego hetmana Bohdana Chmielnickiego zadawali naszej ojczyźnie ciężkie rany a tem boleśniejsze, boć pochodziły od własnych dzieci. Bohdan Chmielnicki sprzeniewierzył się matce swej Polsce z zawiści osobistej, pozbierał zbiegów, których za podniesiony bunt czekała w ojczyźnie kara, a którzy uszli z Polski aż nad rzekę Dniepr i tam z rabunku żyli. Tych tedy pozbierał dumny a mściwy Bohdan Chmielnicki, ogłosił się ich hetmanem i naprowadzał ich na własną matkę ojczyznę, wielkie klęski jej zadając. Napadał na spokojne klasztory i kościoły, łupił, a złupiwszy palił i niszczył, mordował xięży katolickich, rabował wsie i miasta i dopuszczał się niezliczonych okrucieństw, tak nad szlachtą polską, jak i nad spokojnym chłopkiem.

Otóż to ten Bohdan Chmielnicki, hetman całej Ukrainy zebrał do 80.000 Kozaków a tyleż Tatarów zamówił sobie na pomoc i ciągnął z tem wojskiem pod Lwów po drodze paląc

i pustosząc wszystko. Kiedy przyszedł pod Sokal, zachciało mu się skarbów, złota i srebra, co to pobożni ludzie ofiarowali Matce Boskiej za doznane łaski i dobrodziejstwa. Kościół i klasztor Bernardyński był już wtedy murowany ten sam co dzisiaj, a w około grubym murem opasany jak jaka forteca. Tutaj schroniło się trochę polskich panów, dokąd znieśli i skarby i życie swoje i żon i dziatek swoich. Wszystkich ludzi razem było tylko 200 do obrony, reszta starzy, kaleki, kobiety i dzieci. Wiele ludu ukryło się w lasach, bo klasztor nie mógł więcej pomieścić. Gdy tedy Bohdan Chmielnicki stanął pod Sokalem i rozłożywszy tam na polach obóz chciał oblęgać klasztor, a wiedział że mu się to tak łatwo nie uda dostać się do klasztoru, znając, jak to mała garstka Polaków mężnie broni kościołów przed zniewagą i życie swych żon i dziatek. By dać znać o sobie i co zamyśla zrobić z klasztorem, kazał podpalić w miasteczku klasztor drewniany Panien Brygidek i cały go w perzynę obrócił.

Nie zlękła się tej groźby załoga klasztorna, boć pod opieką Matki Boskiej cudownej złość ludzka szkodzić im nie mogła. Kiedy Chmielnicki widzi, że go się nie lękają i o łaskę nie proszą, rozkazał zaraz Wychowskiemu, którego miał przy sobie, aby przyjacielski list napisał do najstarszego klasztoru, a tenże taki list posyła do klasztoru: „Nie natośmy tyle wojska sprowadzili pod klasztor, byśmy wam chcieli co złego uczynić, tylko pilno się o przyjaźń waszą i oto staramy, byśmy sobie honor i wieczną sławę zarobić mogli, a wy i panowie szlachta macie nas za nieprzyjaciół. Otóż otwórzcie nam dobrowolnie bramy i nie gniewajcie Chmielnickiego swym uporem, bo garstki tej, co jest za murami, nie stanie i na godzinę.“

Gdy tedy Chmielnicki na ten list odpowiedzi czeka i gniewliwie na klasztor spogląda i już chce całą siłą na klasztor z wojskiem uderzyć, nadeszła noc, a Kozacy już się gotują do szturmu, gdy w tem nietylko sam Chmielnicki, ale i całe wojsko jego ujrzą z wielkiem przerażeniem, jak jakaś postać kobiety jasnej w świętym ubiorze z koroną złocistą na

głowie wyprowadza niezliczoną moc wojska polskiego na mury i szykuje je do odporu. Przejęty strachem tego widzenia każe Chmielnicki wojsku swemu odstąpić, a i to wojsko polskie z murów ustąpiło. Nazajutrz odebrał list od klasztoru, w którym mu napisali, że go do klasztoru puścić nie myślą i jego potęgi się nie boją. Zgrzytał zębami Chmielnicki na taką odpowiedź małej garstki, ale wiedział, że siłą ich nie pokona, kazał więc wojsku odstąpić, a tylko małym oddziałem kazał niepokoić klasztor, co robił już tylko ze wstydu, ale załoga wypadając z klasztoru wszystkich tych co ich niepokoili do niewoli zabierała z małą stratą swoich. Udaje więc Chmielnicki przyjaźń, i sam pisze do przełożonego klasztoru, aby go tylko samego ze sługą jednym do klasztoru wpuścili, a on nietylko za to ich ludzi pojmanych im wróci ale wieczną przyjaźń z nimi zawiąże. Długo się naradzali w klasztorze, co zrobić, czy wpuścić go, czy nie; a że Chmielnicki prosić nie przestawał i coraz więcej obiecywał, postanowili go wpuścić, by swoich braci z niewoli wydobyć! Ucieszył się Chmielnicki i zaraz oddał niewolników swoich klasztorowi nazad, myśląc że jak sam wejdzie do murów klasztornych, a oglądnie, gdzie mury najsłabsze, ile ludzi jest do obrony, czy mają dosyć prochu i żywności, to ich potem zdradą łatwo wszystkich zająć potrafi.

Wpuścili nareszcie Chmielnickiego samego ze sługą jednym do klasztoru, a kiedy Chmielnicki wszystko dobrze oglądnął, i wszystkiemu się dobrze przypatrzył i o wszystkiem się wywiedział, chciał się jeszcze przekonać, ile złotych i srebrnych ofiar i kosztowności znajduje się u obraza i czy opłaci się to klasztor szturmem zdobywać. Wchodzi do kościoła z miną butną i każe sobie obraz odsłonić. Skoro obraz odsłoniono, tak ciężka padła nań trwoga, i tak mocny żal przejął jego serce, że się skruszony bił w piersi a pokłony czyniąc błagał litości u Matki Najświętszej za swoje złe i podstępne myśli; A potem już przejęty strachem wielkim kazał słudze swojemu natychmiast spieszyć do namiotu i przynieść kufel srebrny z którego sam pijał, pełny złotej i srebnej monety i sam to własnę ręką Matce Boskiej cudownej ofiarował i zaraz od klasztoru z wojskiem swojem odstąpił.

Takto zawsze i wszędzie Panienka najświętsza broniła od wrogów naszą ojczyznę kochaną! Prośmy i teraz tę Królowę Polski aby nas i ziemię naszą ojczystą miała w swej świętej opiece i wybawiła z niedoli.

Szczęsny z Żółkwi.

Sosna nad grobem.

Na wioskowych mogiłach,
Rosła sosna borowa.
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujała jej głowa.
Pogiętemi konary,
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary,
Żółty piasek wysysa.
Z mogiły wyrosłszy cała,
Za te soki co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała,
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni,
Biedna sosna borowa,
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie,
Co dzień cichsza, milcząca,
Każdy wierzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca;
Rzuca w ziemię rodzinną,
Zeschłe szyszki i ziarna...
W końcu — jeszcze przed zimą,
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie ją pyta:
— „Biedna sosno z mogiły!
„Czyś ty gromem przebita?
„Czyć robaki stoczyły?
„Czy ci żeru nie było,
„W żółtym piasku z pobliska?
„Albo kamień swą bryłą,
„Twe korzenie naciska?“

— „Och mnie nie tknął grom z burzą,
„I robaki nie toczą;
„Ziemia soków ma dużo,
„I mnie karmi ochoczo.
„Gdzie kamienie i głazy,
„Szłam z korzeńmi zdaleka:
„Wrosłam — gorzej sto razy!
„W trumnę złego człowieka!
„Trumna zgniła na próchno,
„Zgniły w piersiach mu błonki,
„W serce trupa leciuchno
„Zapuściłam korzonki.
„Chłód mię przebiegł grobowy
„Gdym possała zeń trocha:
„Bo to człek był takowy,
„Co nikogo nie kocha!“
„Pierwsze z piersi swej soki
„Dał cmentarnej choinie;
„Czułam jak z tej opoki
„Brzydki we mnie jad płynie.
„Z jadem śmierci w mem łonie
„Byłam smutna, milcząca...
„Każdy wietrzyk, co wionie,
„Więcej kolców mi strąca.
„Próżno w ziemię rodzimą
„Nowe rzucać chcę ziarna...
„Ziarna zeschły — przed zimą
„Ginie sosna cmentarna!“

Władysław Syrokomla.

Ojcowizna.

Powiastka z niedawnych czasów.

Miła swoja chatka,
Jak rodzona matka,
Nasz kraj, to nasz raj,
To nam graj i znaj!...

Nad naszą Wisłą, niedaleko Sandomierza, leży ładna wieś Burzany. Chatki tam schludne i białe by śnieg, przy każdej czyściutka stajenka, stodółki, i obornik świeżą naścielony słomą. Dziedzińczyk czysto zamieciony, przed oknami kwiatki, a z zatyłku każdziuchnej chaty uśmiechają się by krew rumiane jabłuszka i smaczne gruszki. W środku sioła, na pagórku bieleje kościółek. Stare lipy szumią mu nad dachem, krzyżyk na kopułce kąpie się w słoneczku, obok pochyliła się dzwonnica. W probostwie schludno i pięknie; ogrodek w drzewka bogaty, z za płotu bieleje pasieczka, przy wrotach czyściutka studzienka z skrzypliwym żórawiem...

Tak to wyglądały Burzany. Z jednej strony wioski przytykał brzozowy lasek, z drugiej widać było zielone brzegi Wisły... Tam po sinej wodzie płynęły tratwy, czółna i czółenka; wesoło przyspiewywali sobie flisaki, a stara, zadumana Wisła niosła szerokie tratwy z pszenicą polską daleko, daleko na morze...

Tak to było w Burzanach, gdy żył tam jeszcze stary, poczciwy kmieć, Bartłomiej Mantyna. Gruntów miał on podostatkiem, zagrodę schludną, za chatą ogródek z pasieką, stodółkę pełną zboża, w stajence kilkoro koni, oborkę także nie próżną, a za oborką parę stożków śliczniutkiego siana. To też w całej wiosce nie było zamożniejszego gospodarza nad Bartłomieja; nikt nie miał co roku tyle zbiorów, u nikogo nie były tłuściejsze jałówki, żaden z gospodarzy burzańskich nie mógł się pochwalić takiemi konikami jakie miał Bartłomiej Mantyna. A czy to nie stanie komu chleba, zabraknie tego lub owego, zasłabnie bydle, to bieda w przednowek dokuczy, u kogoż się nie zapożyczyć, kogoż nie poprosić o pomoc i radę jak nie starego Bartłomieja?

A miałci poczciwy Mantyna dwóch synów, Staśka i Szymka. Macierz dawno ich odumarła, zatoż stary ojciec kochał biedne sierotki, pielęgnował je i pieścił, bacząc, by im chyba tylko na ptasiem mleku zabrakło...

Stasiek był sobie duszą i ciałem poczciwy chłopak. Czy to ojcu staremu dopomódz, w gospodarce go wyręczyć, a w niedzielę i święta po modlitwie pohasać z dziewczętami krakowiaka — do wszystkiego był nasz Stasiek zuch! Stary Mantyna radował się też nim niepomału, i nieraz bywało mawiał:

— Mój Staśko to chłopczyna jakich mało! Nie nadaremnieć to nieboszczka żona moja — świeć tam Panie nad jej duszą! — zawsze mi bywało powtarzała: — „Bartku! jak ja umrę, pamiętaj o Staśku! To dobre dziecko, będziesz miał z niego pociechę, w niejednem to cię pożałuje i wyręczy, w gospodarce pomoże, a broń Boże przyjdzie słabość, to i posiedzi przy tobie i usłuży; już to nie takie jak ten hultaisko Szymek, co jeno cały dzionek Boży po wsi się włóczy i w karczmisku siedzi!...“

I dobrze mówiła nieboszczka żona starego Bartłomieja Mantyny. Staśko wyrósł na porządnego i gospodarnego parobka, ojcowie i matki strasznie go zazdrościli staremu Mantynie, a dziewczęta to jeno zerkały nań oczkami, rade przyciągnąć hożego parobczaka ku sobie...

Stasiek jednakoż na to wszystko nie baczył i jak dawniej pracował za siebie i za brata. Gospodarstwo szło nie źle, w komorze grosza przybywało, a stary ojciec oddawszy wszystko synowi, żył sobie szczęśliw i spokojny, bo wiedział, iż praca jego marnie nie pójdzie...

Tymczasem wiele minęło lat. Stary Bartłomiej umarł, a na grobie jego zazieleniła się bujnie trawa i zakwitły kwiatki, a stary, spruchniały krzyżyk pochylił się ku ziemi...

Staśko się ożenił i doczekał dziatek, gospodarka szła mu jak dawniej, zboże się rodziło, bydełko chowało, konięta dobrze wyglądały, a w domu był spokój i szczęście...

Tak to Bóg miłosierny zlewa błogosławieństwo swoje na pracowitego kmiotka, co umiał przykazania Jego szanować, rodziców kochać, nie próżniaczyć i nie rozpustować.

— Alećž cóż się z Szymkiem stało? zapytacie może. Jeżliście ciekawi — posłuchajcie.

W Burzańskiej karczmie, za brudnym stołem siedzi on z twarzą od trunków zczerwieniałą, zapuchniętą i opryszczoną. Na nim podarty, brudny łachman, szyja obnażona, na piersi czarna, potargana szmata, nogi nie okryte...

— Moszku!... woła pijanica zachrypłym od pijaństwa głosem — dawaj wódki!

— Ny, a gdzie pieniądze?...

— Co ty się szelmo o pieniądze pytasz, dawaj wódkę, a ja ci dług z ojcowizny wypłacę!...

— Ny, co to ojcowizna!... — droży się mądry żydek, — mnie się już połowa z tego za sznapsa należy!...

— A bierz djabli ojcowiznę!... — wołał pijany Szymek — Moszku!... ja ci ją sprzedam!...

Żydowi jeno w to graj. Wiedział, że pijanica Szymek duszę by oddał za śmierdzącą wódkę, a więc dalej w targi!... Szymek się droży, żyd poddaje wódczyska, coraz to więcej dolewa, aż Szymek, spity jak zwierz powalił się pod ławę...

Skończono targ. Podpity Szymek za lichy grosz sprzedał żydowi ojcowiznę. I zapłakał nad nim Stasiek, i wielu pożałowało gospodarzy, iż dla szkaradnego trunku wyrzekł się ojczystego kąta i rodzonego brata...

W kilka dni po sromotnej tej sprzedaży, Moszko już gospodarował na połowie ojcowizny. Niezadługo potem, ładnego jednego wieczora widziano pijanicę Szymka, jak z kijem wędrownym wychodził z wioski. Zachodzące słonko ostatnie promyki rzucając na schludną wioskę, smutnie żegnało Szymka, który nie mógł znaleźć szczęścia w ojczystej zagrodzie...

Od tego czasu znowu wiele minęło lat. W naszej Polsce kochanej wybuchła wojna, a ten i ów, stary czy młody, panek czy włościanin, bogaty i ubogi, chwytał za broń i spieszył w bratnie szeregi...

A będzie to już temu z górą trzydzieści lat. Po wsiach i miasteczkach jakby wymieciono: huk parobczaków biło się już po różnych stronach kraju, a jaki taki spiesząc z kosą w ręku w swojskie szeregi, radośnie sobie przyspiewywał:

Nie pobiją naszej wiary,
Ojczyzna nie zginie,
Póki Litwą Niemen stary,
Polską Wisła płynie!...

Nie zawszeć to jednak to bywa, jak sobie człowiek układa. Człek strzela, a Pan Bóg kule nosi, — mówi stara przypowieść.

Wrócili nasi z wojaczki — wrócił i Stasiek Mantyna, co przed pół rokiem pożegnał był żonkę młodą, i poszedł z kosą na wroga...

Dzięki miłosiernemu Bogu wrócił cały i zdrów, z rękoma zdolnemi pracy, jeno z sercem smutnem po stracie drogiej ojczyzny...

Tymczasem o pijanicy Szymku już prawie zapomniano. Od czasu jak wyszedł z kijem w ręku z rodzinnego swego sioła, nie powrócił już. Ludzie o nim zapomnieli, bo i nie było o kim pamiętać, od czasu do czasu tylko zabłąkany jaki z dalekiej strony dziadek rozpowiadał dziwa o Szymku Mantynie, znanym w szerz i wzdłuż rozpustniku i pijanicy co się zowie...

Tymczasem Staśkowi gospodarka szła nie źle i w domu się szczęściło. Bóg miłosierny błogosławił go jakoś we wszystkiem. Sąsiedzi dziwowali się ino, zkąd jemu to szczęście tak jakby samo w ręce lezie, a stary Maciej Szymbura, co to był od wielu lat już sołtysem, a i nie nadaremnie siwą głowę na karku nosił, kiwał ino pobożnie baranią swoją czapką i powiadał.

— Stasiek Mantyna, to gospodarz, jakiego jeno szukaj. Biednego zapomoże, sąsiada rad zapożyczy, pobożny, cnotliwy, grosza nie przehula, nie przerozpustuje!... Już to on we wszystkiem podobniuteńki do starego Bartłomieja — świeć tam Panie nad jego duszą!...

I dobrze mawiał stary Maciej Szymbura.

Stasiek o kapkę nie odróżnił się od nieboszczyka ojca swego. Gospodarkę lubił, do karczmy nie zaglądał, rad był z tego czem go Bóg miłosierny obdarzył, nie narzekał napróżno na swą dolę, i chwaląc Najwyższego Stwórcę orał rolę, którą starzy jego ojcowie uprawiali...

Tak to stały rzeczy, gdy po wielu latach, ładnego jednego wieczoru do wrót zagrody Staśkowej przywlókł się dziad jakiś

stary. Licha, podarta siermięga wisiała na nim, z za brudnej, ze szmat pozszywanej koszuli widać było czarne wyschłe piersi. Oczy zapadły gdzieś głęboko, cała twarz zarosła włosami. Dziadek klęczał przy wrotach, w ręku miał brudną, wydartą czapkę i szeptał cicho: „Ojcze nasz! któryś jest w niebie....“

Na przyzbie chaty siedział Stasiek. On patrzał się na dziatka, coś sobie przypominał, zdawało mu się, iż go już gdzieś widział, myślał, myślał, i w głowie mu się plątało....

W kościele dzwoniono na nieszpór. Słonko zachodziło, stara lipa za chatą szumiała coś sobie cichutko, bocian klekotał na stodółce....

Dziadek klęczał przed wrotami, z oczu ciurkiem kapały mu łzy na ziemię, a on ino modli się a modli:

— „Ojcze nasz! któryś jest w niebie! Święć się imię Twoje! Bądź wola Twoja jako na ziemi tak i na niebie...“

Stasiek siedział na przyzbie, a na sercu zrobiło mu się jakoś tak miło, jak nigdy. — Wspomniał coś sobie. — Dawno już temu, bo będzie kilkanaście lat, taki sam był raz wieczór. Słonko tak samo się chowało za chmurki czerwonawe, tak samo szumiała lipa, i stary buśko klekotał na gnieździe, a w kościółku dzwoniono na nieszpór....

Była to smutnej pamięci dla Staśka chwila, bo tego to wieczoru opuszczał go brat starszy, pijanica Szymek.

Słonko zachodząc za bór sosnowy smutno żegnało Szymka, co z kijem wędrownym w ręku puszczał się na długą włóczęgę....

Przypomniał się snać ten smutny wieczór Staśkowi, bo ciężko ino westchnął i rozdusił łzę w oku. Tymczasem stary dziadek klęczał przed wrotami, i ciągle ino modli się a modli, to się uderzy ze skruchą w piersi, to znów boleśno czegoś zaszlocha i zajęczy, a łzy mu ciurkiem kapią po twarzy....

Staśkowi żałośnie czegoś serce zakołatało. Spojrzy na siwego dziadka mile i zapyta:

— A zkądże wy to mój biedny dziadku? Pewnie bardzo zdaleka?....

A dziadek ino zaszlochał i głęboko uchylił głowę. Stasiek poskoczy z przyzby ku wrotom, spojrzy na dziadka i krzyknie boleśnie:

— Jezu miłościwy!.... toć to Szymek!.... —

Poczciwy nasz Staśko był już w ramionach starego dziadka. A dziaduś szlochał i jęczał na wpół smutno, to radośnie, przyciskał brata do czarnej ząbrudzonej piersi, a łzy to mu już teraz strumieniem lały się po twarzy....

Był to Szymek. Dawno już temu, boć jeszcze był młodym, gdy z grzesznej rozpusty przehulał ciężko przez starego ojca zapracowany grosz i puścił się w świat, na włóczęgę....

Bóg mu jednakoż coś nie szczęścił. Nie poszanował pijanica Szymek ojcowizny, sprzedał żydowi grunt, a sam za grosz ojczysty pił i rozpustował — toż i przyszło za te grzechy ciężkie a sprawiedliwe pokaranie Boże. Biedny Szymek, opętany snać od czarta puścił się potem na złodziejkę, a w roku 1831. kiedy to w Polsce wrzało i gotowało się jak w garnku, on szpiegował swoich braci i za lichy grosz przysługiwał się Moskalom....

Nadeszła aleć kara za grzechy Szymka. Wzgardzony od swoich, od Moskali nawet opuszczony, tułał się grzeszny Szymek daleko po moskiewskim kraju, wędrował od wsi do wsi, od chaty do chaty, i żebrał za kawałkiem suchego chleba.

Odezwało się w nim przy końcu już sumienie. Żal mu się zrobiło za swoimi, za bratem, za rodzinną ziemią i ojczystą zagrodą z staremi lipami na podwórku i gniazdem bocianiem na stodółce. Pomyślał sobie biedny Szymek, jak to on przemarnował swoje młode lata, ile to on już narozpustował się i nabroił złego, i z wielkiego żalu łzy mu z ócz ciurkiem trysnęły.

Myślał sobie: każdy człowiek ma swój kraj i swoją ojczyznę, zagrodę, chatkę i kawałek roli, a każdy jeno wzdycha, by go Bóg miłosierny obdarzył żonką cnotliwą i pobłogosławił w dziateczkach. Szymek nie miał nikogo. Nawet ojczyzna jego Bóg wie jak daleko od niego była. Błąkał się po kraju moskiewskim, patrzał na miasta, sioła, rzeki, lecz to wszystko nie było mu jakoś swojskiem. Snać każdemu najlepiej w swoim kraju, w swoim domu.

Ach kraj nasz tak błogi,
Że widząc te niwy,
Choć człowiek ubogi,
A jednak szczęśliwy!

I takiej natury,
Że się nie oddali,
Choćby mu dawali
Nawet złote góry!

Wspomnij jeno komu
Że ma odejść z domu
I z domu i z kraju:
Łzami się zaleje,
Na śmierć zatęsknieje
Po rodzinnym kraju!...

Tak to sobie spiewał biedny jeden Polak wygnany daleko na cudzą ziemię. Oj prawdę mówi ta śliczniutka piosenka!... I Szymkowi, co tyle narozpustował się już w życiu, zatęskniło się w końcu za swoim krajem. Z torbą na plecach, a z kijem dziadowskim w ręku wędrował on od wsi do wsi, od chaty do chaty hen daleko, na południe. Czasami wyżebrał gdzie kawałek czarnego chleba, gdzieindziej wygnano go z chałupy, a nieraz przecierpieć musiał głód i zimno, i nakarmić się korzonkami w lesie. Nareszcie po długiej podróży przywlókł się jednego wieczoru do zagrody Staśkowej. Tam dopiero wypoczął po długiej biedzie. Poczciwy Staśko rad go przyjął u siebie i pokochał po dawnemu, bo widział, jak biedny Szymek ciężko odpokutował swoje przewiny. Aleć Bóg sprawiedliwy zarządził inaczej. Niedługo potem zmęczony podróżą Szymek zachorzał ciężko i po długiej męce skonał.

Tak to ojciec nasz sprawiedliwy pokarał grzesznika, który dla rozpusty zapomniał o rodzinie, i ojczyźnie kochanej!

Zmartwiony śmiercią brata Staśko sprawił mu uczciwy pogrzeb. Na mogile postawiono mu krzyżyk z dębowego drzewa, a kto ino przejdzie tamtędy i spojrzy na grób Szymka, żegna się pobożnie i szepcze „Anioł Pański“ za duszę grzesznika, co za mało miłował ojczystą swoją ziemię, i popadł w straszne grzechy...

Henryk Mierzeński.

O obchodzeniu się ze zwierzętami.

Sprawiedliwy lituje się także nad bydlęciem! mówi pismo św. Prawdziwie, kto się nad bydlęciem nie lituje, nie może być sprawiedliwym; bo Pan Bóg stworzył zwierzęta na pożytek dla

człowieka i na to, żeby się cieszyły na tym pięknym świecie. Lecz przyjacielu! o tem nie pomyślałeś, jak może nie raz wróciłeś z pola, łąki, lub lasu i przyniósłeś gniazdo z jajami, albo młodemi ptakami do domu, dla swych dzieci do zabawy. Bodaj ci Bóg odpuścił ten grzech! Może się na to rozśmiejesz i powiesz: Jaki grzech, niech sobie ptak inne gniazdo uściele! Ale pozwól! gdybym ci z twojej własności cośkolwiek zrujnował i powiedział: zrób sobie, albo kup inne w to miejsce. Ach! jakbyś się ty pienił ze złości na mój postępek. Zastanów się, czyś nie uczynił tak samo, gdyś dzieciom przyniósł gniazdo z młodemi ptaszkami? Nie dosyć, żeś sam haniebny uczynek popełnił, ale już z młodu uczysz tym sposobem swe dzieci, dręczyć niewinne zwierzęta i zaszczepiasz surowość i nieczułość w ich serce. Nie prawda, żeś o tem nawet nie pomyślał? Przyjacielu! nie zapomnij o tem, że niejeden, co się z młodu nauczył zwierzęta dręczyć, przyzwyczaił się do nieczułości i z zimnem sercem patrzał na niedostatek, albo cierpienie swych starych rodziców. Fundament tak dobrego, jak złego zaszczepia się już w młodem sercu dziecka. Tak jedno, jak drugie wydaje owoce, ale ostatnie wydaje okropne owoce. Dla tego, tak rodzice, jak starsi nie dawajcie złego przykładu dla dzieci, bo one prędzej naśladują to, co widzą, niż to co słyszą w kościele i szkole. Pamiętajcie o tem, żebyście przez szpary na wasze dzieci nie patrzyli, jak co złego robią. Przypatrzmy się na polu, jak się pasterze z bydłem obchodzą? Tam nie widać litości, ale widzieć można, jak się pastwią nad bydlęciem, jak je biją i przeklinają, a dla czego? nie dla czego innego tylko, że się z kupy odłączyło i że im przeszkodziło w leżeniu i próżnowaniu. Gdy bydło pędzą do domu, tedy je biją i gonią, albo do chlewa, lub z niego zawsze z krzykiem i batem gwałtownie wyganiają. Patrzmy! ile to bydła bez rogów, bo mu je strącono, ile bez oczu, bo mu biczem wybito, ile w inny sposób uszkodzonego? A jeżeli pasterz w ten sposób swej nieczułości nie zaspokoił, to na polu powiąże bydło i głodem je morzy. Taki pasterz za młodu z pewnością się zaprawił na dręczeniu muchy, motyla, lub chrabąszcza. Przypatrzmy się parobkom na polu, jak oni się z końmi obchodzą? tam kij, albo bat bez ustanku w robocie

nad temi pracowitemi stworzeniami, a poszlij go tylko do miasta, to pojedzie z drugimi na wyścigi, nie pytając się, choćby konie trupem padły. Jeżeli na targ, lub na jarmark sam gospodarz pojedzie, to nie szczędzi czasu do gawędzenia ze znajomymi, a konie o głodzie, albo nędznem sianie na słocie, lub upale, a zimą na mrozie, albo zamieci śniegowej stoją często cały dzień, aż nareszcie nocą dopiero pędzi do domu zgłodniałemi i zmarnowanemi zwierzętami.

Pomyślałżeś kiedy o tem, mój przyjacielu! że to, co wozisz na targi i jarmarki konie ci wypracowały? one to twoje pola uprawiły, nie ty, one ci zwiozły żniwo do stodoły, one ze stodoły na targi i jarmarki zboże wywożą. A ja pytam się: dostałyż one tyle paszy pożywnej i regularnie codzień, żeby głodu nie cierpiały? Pomyślałżeś o tem, że jeden koń dobry dla ciebie więcej znaczy, niż dwadzieścia mórg roli? bo tych dwudziestu mórg ty sam twoją ręką, rydlem, lub łopatą nie uprawisz, tylko twój koń. Pomyślałżeś o tem, że konie i woły zbudowały wsie i miasta, a nie sami ludzie, bo oni na barkach nie znosili ani budulcu, ani kamieni, cegły, wapna, piasku i t. d. Pomyślałżeś o tem, że człowiek ma ze zwierząt: pokarm, przyodziewek, obuwie, pracę i wygodę? że człowiek bez zwierząt obejść się nie może? A jeżeli się obejść bez zwierząt nie może, nie powinienże z niemi łagodnie się obchodzić i dobrze obfitą i pożywną paszą karmić i chędogo je utrzymywać? Sprawiedliwy ma na pieczy bydlątko swoje, mówi pismo ś. Bądźże i ty sprawiedliwym względem twojego bydlęcia, abyś wypełnił wolą Tego, który i ciebie i zwierzę stworzył, lecz tobie tylko dał rozum, a zwierzęciu moc wielką. Dlatego zapiszcie sobie nasze napomnienie głęboko w waszem sercu rodzice, a nie dopuszczajcie nigdy, żeby wasze dzieci dręczyły choćby najmniejsze zwierzątko, a wy gospodarze, pilnujcie waszą czeladź, aby się z waszym dobytkiem łagodnie obchodziła, ale nadewszystko sami ze siebie dajcie dobry przykład.

Sz. N.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 9.

21. września 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Spuścizna.

Sprawiedliwie to mówią ludzie, że pieczone gołąbki nie lecą do gąbki. Mienie, szczęście, poszanowanie — wszystko to nie spadnie ci z powietrza, jeno musisz sobie na nie zasłużyć pracą, cnotą i uczciwością. Módl się i pracuj, oto najlepszy sposób dla każdego, kto chce, aby mu się na tym świecie powodziło jako tako. Kto nie pracuje, kto się nie stara, kto nie idzie prawą drogą — ten nie dojdzie do niczego na świecie, a jeżeli mu co kapnie z oszustwa lub przypadku, to marnie zginie jak kropla deszczu od słońca.

Jak sobie pościelisz, tak się wyspiesz, mówi mądre przysłowie. Jakeś sobie zasłużył tak ci Pan Bóg i ludzie odpłacą, bo to tylko prawdziwa własność, którąś własnym potem zarobił i to tylko prawdziwy majątek, do któregoś doszedł poczciwym starunkiem, a nie przypadkiem jakim albo nie daj Boże szachrajką.

Źle to bardzo, moiściewy kochani, że dużo jest jeszcze ludzi na świecie, co nie kierują się tą prawdą świętą. Toć nie potrzebuję wam mówić, ile to takich jest ludzi, którzy nie

pracą, nie uczciwością, ale różnemi nieczystemi wybiegami chcą przyjść do mienia i znaczenia. Oto jeden zamiast chodzić za pługiem, jak jego ojcowie czynili, przemyśliwa nad tem, jakby tu jakim lekkim sposobem odrwić drugiego i bez pracy przyjść do kołaczy, drugi spuszcza się na jakieś darowizny, trzeci myśli, że wygra w loterję, czwarty czycha znowu, aż mu jakiś bogaty krewny co zapisze, a żaden nie ima się pracy, jeno w lenistwie czeka na szczęście, jak ów głupiec, co leżał w sadzie pod drzewem, rozdziawił gębę i czekał, aż mu gruszka prosto do gęby spadnie!

Opowiem wam jedną prawdziwą historję, z której się przekonacie, jak to źle spuszczać się na rozmaite nadzieje a jeszcze przytem nie tylko o pracy ale i o Bogu zapominać. Nadzieja każdemu jest wolna, bo nadzieję dał nam biednym Pan Bóg z nieba — i cóżby niejeden nieszczęśliwy począł na świecie, gdyby mu jedyna pociecha, nadzieja nie pozostala jeszcze?... Ale samą nadzieją ani żyć będziesz, ani lepszego bytu się nie dorobisz, bo do nadziei potrzeba i własnej pracy. Spodziewaj się ale pracuj i staraj się przytem — oto jedyny sposób, abyś nie płakał potem na siebie.

Żyło we wsi Strzeliskach małżeństwo, Maciejowie Kozubowie. Maciej Kozuba pochodził z dostatnich gospodarzy, a ojciec jego nieboszczyk zostawił mu dobytek piękny i zagospodarowany, że jeno pracować i za chleb Bogu dziękować było potrzeba. Ożenil się jeszcze do tego Maciej z najbogatszą dziewuchą we wsi, tak że się jego gospodarstwo prawie podwoiło. Było więc o czem żyć w spokoju i pracy, i jeszcze dalszych przyrostków się dorabiać.

Tymczasem inaczej sią stało z Kozubami. W całem ich gospodarstwie był nieład i lenistwo, wszystko szło nędznie i marnie, że aż żal zbierało patrzeć na to wszystko. Domostwo, choć duże i pod gontem, było brudne i ponadpsowane, bo nikt o naprawę nie dbał, w izbie plugastwo i bieda, stodoła i stajnia się waliły, bydła wszystkiego ledwie dwie krowiny i jeden chudy i stary konisko, rola choć dobra i urodzajna nigdy nie była cała uprawiona i połowa prawie leżała odłogiem.

A przecież mówią ludzie, że kiedy się Maciej żenił, to był parobczakiem pilnym jak mało, a żona jego też do pracy

przyzwyczajona i nie leniwa, majątek jeszcze był w pięknym stanie i wszystko szło zrazu jak z płatka. Cóż to się tedy stało, że tak nagle Kozubowie opuścili ręce, że poczęli wylęgiwać się tylko na piecu, że puszczali marnie cały dobytek?... Oto opowiem wam to zaraz.

Oto widzicie Maciejowa miała bogatą ciotkę w mieście. Z ciotką zaś tą taka była historja. Kiedy jeszcze była młodą dziewczyną, zakochał się w niej i ożenił woźny od urzędu. Woźnemu temu wiodło się dobrze, bo miał trochę grosza od rodziców a do tego dobrą pensję od urzędu. Ojciec woźnego był szewcem w Jaśle i dobrze mu się wiodło, ale że był skąpiec wielki, więc nikt ani się domyślał, że on ma pieniądze. Dopiero kiedy się szewc postarzał i już dalej koło swego rzemiosła pracować nie mógł, kupił sobie piękną kamienicę za kilka tysięcy. Ale zaledwie sprowadził się do tej pięknej kamienicy, zachorował nagle i umarł. Otóż kamienica ta spadła na jego syna woźnego, co miał za sobą ciotkę Maciejowej.

Woźny jak odziedziczył kamienicę, to nie porzucił swego miejsca i nie wyniósł się do Jasła, jeno wynajął tam rozmaitym panom całą kamienicę a ci mu przysełali ztamtąd pieniądze do tego miasteczka, w którem był przy urzędzie. Miasteczko zaś to było z jakie dwie milki od wsi Strzelisk, w której mieszkali Maciejowie. W kilka lat potem umarł i woźny a nie zostawił żadnych dzieci, jeno wdowę, ciotkę Maciejowej. Wdowa ta była już bardzo stara, bo miała z jakich lat 70. Otóż widzicie, Maciejowa była jedyną krewną tej bogatej wdowy w mieście i miała też nadzieję, że cały majątek i kamienica w Jaśle po śmierci staruszki do niej będą należały.

Sprawiedliwa to była nadzieja i nikt jej za złe nie mógł wziąć Maciejowej, bo się jej po słuszności należała spuścizna po ciotce. Jednakoż nigdy nie trzeba czychać i spuszczać się na żadną schedę, jeno trzeba pracować swoją drogą dla siebie, bo nikt nie wie, co się jeszcze stać może, a łakomstwo na spuściznę jest zawsze niegodziwą rzeczą i grzechem.

Tymczasem jak Maciejowej wlazła w głowę ta spuścizna, to już o niczem nie myślała jeno o niej. A Maciej także widząc, jaki to gruby majątek spadnie na jego żonę, przestał pra-

cować jak dawniej i zaniedbywał gospodarstwa, mając zawsze nadzieję, że on i bez pracy zostanie niezadługo wielkim panem.

— Ot wiesz co mężuniu — mówiła Maciejowa do swego — czy nam to potrzeba zatracać zdrowie w ciężkiej pracy, czyż to my nie dostaniemy majątku po ciotce? Pofolgujmy sobie, bo i tak staruszka długo nie pożyje, a potem to już będziemy wiedzieli, co robić z takim majątkiem.

— A na juści — odpowiadał Maciej — chybabym był głupi mitrężyć się w polu i tłuc kości w robocie, boć bym potem nie miał zdrowia, jak majątek odziedziczymy.

Jak powiedzieli tak też zrobili i odtąd ani Maciej ani Maciejowa już ani się palcem tknęli roboty, nie widziałeś już ich nigdy ani w polu ani w domu przy pracy, żyli sobie jeno jak państwo wielkie i siedzieli wygodnie w ciepłej izbie cały dzień boży. A gospodarstwo tymczasem jak już raz się przerwało, tak już poczęło marnieć i niszczeć i z każdym dniem upadało coraz bardziej.

Ale niedość na tem. Tak już to za Bożą wolą jest na świecie, moi mili, że jak się człowiek jednego złego dopuści, to już to złe ciągnie za sobą inne winy i kłopoty. Tak się też stało z Maciejami. I tak kiedy już zakradło się do Maciejów lenistwo zaraz w ślad za niem przyszła i pycha. Maciejowie jak poczęli ciągle rozmyślać, co to za skarby dostaną im się po śmierci ciotki, tak wyrachowali sobie zaraz, że oni już teraz na panów urodzeni. Poczęli więc pogardzać swoim stanem, wstydzili się tego, że są rolnikami, z innymi wieśniakami już ani mówić nie chcieli.

— Wiesz co Macieju — mówiła Maciejowa — nam już teraz nie można się wdawać z tymi chłopami. My już na co innego przeznaczeni, bo niezadługo będziemy już kamienicznem państwem! Już to co do mnie, to ja pewnie z żadną chłopką i mówić nawet nie będę, bobym psuła sobie mój honor!

— Ba a jakże — odpowiedział na to Maciej i zadarł głowę do góry jak burmistrz — co chłop, to chłop, a co pan to pan! Ja sobie jestem pan a ty Róziu jesteś sobie pani! A chłopom do nas zasię, bo my nie jesteśmy ich równi!

I Bartłomiej począł stroić pańską minę i włożywszy ręce do kieszeni patrzył się pysznie na powałę.

— Już to co masz rozum to masz! jakbyś się na pana urodził — mówi Maciejowa — a i ja też panować sobie potrafię jeszcze lepiej jak sama ekonomowa! Jeno wiesz co Maćku! musimy zrzucić z siebie te łachy chłopskie a kupić sobie coś w mieście pańskiego, aby się wyraźnie odróżnić od gromady.

— Dobrze masz Róziu — odpowiedział Maciej — jedźmy do miasta i przebierzmy się na wskróś po pańsku, aby honornie się pokazać między ludźmi.

I przedali, co tylko mogli, pojechali do miasta i pokupili sobie niby to pańskie suknie u żyda na tandecie. Suknie te były to same gałgany przechodzone, ale Maciejowie zapłacili za nie trzy razy tyle ile były warte, bo żyd wiedział, z kim ma do roboty i wołał ciągle:

— Cy! cy! cy! co to za rarytne suknie! w tym surducie panie Kozuba, to wy tak wyglądzić będżecie jak jaki graf albo forszteher!! A w tej żółtej kamizelce, pik! pik! to już akurat wam tak do twarzy, jak jakiemu pocesorowi! Bo też to wy macie minę pańską, jakbyście się richtik urodzili na wielkiego purec!

A żydówka tymczasem dogaduje Maciejowej:

— Ta czerwona kacabajka to dla was jakby odmierzył! A jacy wy piękni w niej!... A tego salop to pikes, tylko wy i pani prezesowa będą mieć takie! To pikes mówię wam pani Maciejowa!

I Maciej wraz z żoną wzięli to za prawdę i jeszcze drożej sypnęli pieniądzmi, a tymczasem Maciej wyglądał w surducie i żółtej kamizelce jak rabin w spencerze, a Maciejowa w czerwonej kacabajce jak strach w konopiach. Ale cóż to zaradzić głupstwu ludzkiemu! Maciejowie porzucili strój swój wieśniaczy, piękny, polski, strój poważny, który ich ojcowie nosili — i ubrali się w łachmany i fatałaszki marne!...

Wracając do domu, kiedy ich chuda szkapa wlokła leniwo przez wieś, oboje przybrali pańskie miny że aż powychodzili ludzie i patrzyli się na to cudowisko i śmieli się okrutnie z przebranych Kozubów. Kiedy Kozubowie byli już w izbie, poczęli

się do lusterka przypatrywać i różne z siebie dziwolągi wyprawiać, że ktoby był ich wtedy widział, byłby pękał od szczerego śmiechu. Maciej kiwał ciągle głową i popalał cygaro a Maciejowa ciągle dygała i dygała udawając panią:

— Słuchajno Maćku — rzecze naraz Kozubina — teraz to już wszystko jak się patrzy, jeno jeszcze jednego brakuje...

— A coby Róziu?... — pyta Maciej.

— Ot widzisz człek już teraz jakoś po pańsku wygląda, jeno widzisz trzebaby jeszcze coś zrobić wedle nazwiska.

— Wedle nazwiska a to jak? — pyta dalej Maciej.

— A no czy słyszał ty kiedy Maćku aby się taki pan jak ty zwał Kozuba?...

— Hum, hum — pokrząknął Maciej — Kozuba! Kozuba!... Nie, nie słyszałem.

— Otóż widzisz trzebaby nam jeszcze przemienić sobie imię, ot tak może na Kozubińskich...

Maciej z razu nie chciał na to przystać, ale jak go żona poczęła namawiać i pytlować nad uszami, więc przystał na to, że się od tego czasu nazywać będzie Kozubiński. I tak znowu wyrzekli się Maciejowie poczciwego nazwiska, którego ich ojcowie niczem nie splamili i przechrzcili się na państwo Kozubińskich! Od tego czasu już Kozubowie czyli Kozubińscy pozadzierali nosy do góry i pomiatali innymi poczciwymi ludźmi — choć się z nich i z ich państwa śmiała cała gromada.

Po tej głupiej pysze nastąpił jednak niebawem niedostatek i bieda. Maciejowie czekając na spuściznę, jak już wiecie, nic nie pracowali, gospodarstwo zniszczyli, a co jeszcze zostało, wysprzedali. A tu z samego państwa żyć nie można; trzeba chleba i pieniędzy. Musieli tedy zapożyczać się u żydów, robili długi po długach a w końcu cały grunt swój oddali żydom w zastaw.

Kiedy już tak Maciejom zaczęła doskwierać bieda i niedostatek, to zamiast się raz opamiętać i wziąść się do pracy i ratować resztę dobytku, poczęli leźć jeszcze głębiej w żydowskie ręce i nareszcie dopuścili się grzechu. Oto poczęli się wściekle gniewać o to, czemu już raz ta stara ciotka nie umrze!

— A to przeklęta baba! — wołał Maciej — my tu się już wytracili do reszty na czekaniu a ona żyje jakby już lat siedmdziesiąt nie miała na karku!!

— Ja ci też powiadam, że to czarownica — odpowiadała wtedy Maciejowa — nic to innego, jeno z biesem trzyma, bo to już stary trup a jeszcze nie wiedzieć na co po świecie się błąka!...

I tak poczęli przeklinać staruszkę, za to że jej Bóg długiego życia użyczył!... Tak to jeżeli człowiek raz zapomni o poczciwości, to coraz bardziej w grzech ciężki popada! Bo czyż jest moi mili grzech ohydniejszy jak życzyć komu śmierci, i to jeszcze takiemu, od którego się dobrodziejstwa oczekuje? Toć chyba morderca, co bliźniego zabija, gorszy jest od takich ludzi — ale i takiemu człowiekowi, co drugiemu śmierci życzy, nie daleko jest od morderstwa, bo go już choć nie ręką to myślą zabija, a nieraz to, kochani ludkowie, czego myśl zapragnie, to i ręka zrobi!

W końcu kiedy Kozubowie zeszli już prawie na nędzę, zaczęli się kłócić i bić między sobą, a jedno drugiemu wymawiać, że przez niego przyszło nieszczęście i nędza! I odtąd ciągle Maciejowie pijani wódką bili się i przeklinali się nawzajem, że aż zgroza przejmowała. A do tego wszystkiego przyszła wiadomość z miasta, że ciotka w mieście przyjęła sobie jakąś ubogą dziewczynę imieniem Zosię, aby ją pielęgnowała w chorobie, bo właśnie zachorzała była staruszka. Dziewczyna ta była biedną sierotą i już od dawna pomagała w niejednem biednej staruszce nie z żadnej chciwości jeno z serca, za co ją też ciotka Maciejów bardzo kochała.

Wiadomość ta narobiła okropnej zgryzoty Maciejom, bo ich strach okrutny wziął, aby ciotka całego swego majątku tej biednej sierocie nie zapisała. Tożto znowu był lament u Maciejów, przekleństwa i złorzeczenia, i obraza Boska!... Tak trwało jakiś czas jeszcze, kiedy naraz przybiegł z miasteczka do Macieja chłopak, którego oni umyślnie już od roku opłacali, aby tylko, jak ciotka umrze, żaraz im znać dawał. Maciejowa zobaczyła tego chłopca przez okno i zaraz jak szalona wybiegła na dwór a za nią i Maciej i zaraz krzyknęli do chłopca:

— A co umarła?!

— Umarła! — odpowiedział chłopak.

— No chwała Bogu! — zawołała Maciejowa, i zamiast pożałować swej bliskej krewnej, bo przecież ciotki, poczęła się aż śmiać z wielkiej radości.

Potem pobiegła zaraz z mężem do arendarza, wypożyczyli od niego wózek i konia, bo swego już dawno przedali, ubrali się w resztę łachów niby to pańskich i dalejże do miasta, co żydowska szkapa tylko wyskoczyć mogła!

Wpadli wnet do miasteczka i wbiegli jak szaleni do izby, gdzie staruszka umarła, z hukiem i trzaskiem i z radością i pychą na twarzach. W izbie był xiądz i urzędnik i popatrzyli obaj ze zgrozą na Maciejów, co się tak radowali z śmierci swej krewnej. Staruszka jeszcze tak leżała, jak skonała w łóżku. Widać do ostatka się jeszcze modliła, bo oczy jej jeszcze nie przymknięte zwrócone były ku niebu, a w ręce trzymała książkę do nabożeństwa. Przed łóżkiem klęczała sierotka Zosia i rzewnemi łzami oblewała martwe ręce swej dobrodziejki, którą jak drugą matkę kochała.

Pani Kozubowa, którą że już teraz doczekała się państwa, będziemy nazywali, panią Kozubińską nie spojrzała nawet na trupa swej ciotki, nie zmówiła nad nim nawet jednego pacierza, jeno poczęła biegać po izbie i oglądać wszyściuchno, przewracać w szafach i skrzyniach, a pan Kozuba czy tam Kozubiński zasiadł sobie na kanapie, zadarł głowę do góry i jeno sapał z pańska.

Xiędzu się bardzo markotno zrobiło na to wszystko, ale już nic nie mówił, jeno rozmyślał sobie nad nieczułością i głupotą ludzką. Tymczasem pani Kozubińska zobaczywszy sierotę Zosię przy trupie swej ciotki, zawołała z gniewem:

— A aspanna co tu robisz? hę? Co ty za jedna! hę? A toś za życia nazdzierała się majątku mej ciotki, który się mnie tylko patrzy, a teraz jeszcze udajesz płacz i smutek? hę? Owa! patrzcie mi, co za jedna! Już teraz nic nie dostaniesz! bo to wszystko moje! Fora ze dwora!!

— Tak, tak, dobrze mówisz Róziu! Fora ze dwora! — powtórzył Maciej i sapnął z wielką pychą.

— Ależ moi ludzie — mówi na to xiądz — toć dajcie się pomodlić biednej sierocie za swą dobrodziejkę; kiedy wy już sami nie modlicie się za duszę waszej krewnej!

Maciejowa popatrzyła pysznie z ukosa na xiędza i już chciała się z nim kłócić a potem wytrącić za drzwi biedną sierotę, która jeszcze bardziej płakała — gdy nagle wszedł burmistrz miasta i rzekł:

— Przyszedłem tutaj, aby razem z xiędzem proboszczem i z panem komisarzem odpieczętować i odczytać testament!

Urzędnik dobył testament, potem go rozpieczętowali i odczytali. W testamencie stało, że zmarła zapisuje kamienicę w Jaśle i domeczek, w którym mieszkała Rozalii Kozubowej, żonie Macieja Kozuby.

Maciejowa aż podskoczyła z okrutnej radości, ale ledwie już miała pewność, że kamienica i domek do niej należą, zaraz zawołała na sierotę Zosię:

— A więc my tu się już zostaniemy, aby poprzeglądać wszystko, co nam nieboszczka zapisała, a ty panno wynoś mi się z domu, bo widzisz, że choć się lizałaś nieboszczce, to ci figa z tego przyszła!

I poczęła się śmiać Kozubowa a Maciej sobie za nią. Tymczasem sierocie Zosi żal srogi ścisnął serce, bo ona nigdy nie miała żadnej chciwości na majątek nieboszczki, jeno ją szczerze kochała. Wstała też nieboraczka od łóżka i powiada:

— Ja też niczego nie chcę, jeno jakiej pamiątki małej po nieboszczce, bo Bóg widzi, żem ją sierota kochała jak matkę.

— Owa pamiątki! — wrzasnęła Maciejowa — a czegożbyś to aspanna chciała? hę?

— Prosiłabym panią — odpowiedziała pokornie Zosia — o tęk siążkę do modlenia, z którą nieboszczka umarła.

Maciejowa nie umiała sama czytać, więc też już wstyd ją zebrał, aby takiej drobnostki nie dać sierocie, rzekła więc:

— No to sobie weź tę książkę i idź sobie z Bogiem!

Zosia wyjęła książkę z rąk nieboszczki, ucałowała jeszcze raz jej ręce i chciała już odejść, kiedy naraz z książki wypadł jakiś papier z pieczęcią. Urzędnik podjął zaraz ten papier, przeczytał go prędko i mówi do Zosi:

— Poczekaj bo to dla ciebie. Oto nieboszczka na tym papierze zapisuje tobie tysiąc reńskich, które schowane są w kasie miejskiej i wszystkie swoje suknie a to na to, abyś miała wiano!

Gdyby z jasnego nieba spadł był piorun na Kozubów, toby się nie byli tak strasznie przerazili.

— Co! tysiąc reńskich!? — wrzasnęła Maciejowa.

— Tysiąc reńskich! — huknął Maciej i oboje z wściekłym gniewem porwali się z siedzenia.

— Tu nie ma co krzyczeć — mówi na to surowo urzędnik — ten zapis jest według prawa zrobiony i zasię przeciw temu co wygadywać. Toć wam dość na tem, że macie ten domeczek i kamienicę w Jaśle.

— Tak, tak Róziu — odezwał się Maciej — niech ją tam za naszą krzywdę! Ale my przecież kamieniczni państwo!

Ale Maciejowa z wielkiej złości i zawiści jeszcze przemówić nie mogła, kiedy naraz drzwi się otworzyły i przyszedł pocztarz.

— Mam tu list z Jasła do nieboszczki — mówi — komu go oddać?

— A jużciż że nikomu innemu, jeno mnie, bom ja jej dziedziczka! — odpowiedziała Maciejowa i chwyta za list.

Rozpieczętowała go też zaraz, ale że go nie umiała przeczytać więc dała go xiędzu, a xiądz począł list czytać głośno. W liście zaś tym stało:

„Szanowna pani!

„Donoszę pani smutną nowinę, jako wczoraj w nocy kamienica pani, w której i ja mieszkał, spaliła się do szczętu, tak że tylko cztery rozwalone ściany zostały. Wielkie to nieszczęście i strata, bo pani w ostatnim roku zapomniała się zapisać i opłacić w asekuracyi.“

Maciejowie mało nie upadli na ziemię, bo już było po ich państwie kamienicznem!

— O ja nieszczęśliwa! — poczęła krzyczeć i zawodzić Maciejowa, a Maciej struchlał cały i stał jak drewno z wielkiego frasunku.

Ale cóż robić? Nie pomogły płacze i lamenta, bo co ogień odebrał tego już nie odda. I tak kara Boża spadła na Maciejów za ich chciwość, za ich pychę i nieludzkość!

I oto aby wam długo nie gadać, tak się skończyła cała historja: Maciejom ze wszystkiego państwa został tylko domeczek drewniany, w którym umarła nieboszczka i pogorzelisko w Jaśle. Musieli też jedno i drugie przedać za małą sumkę i wrócili do wsi z spuszczonemi nosami, a gdy się obliczyli, to się pokazało, że nawet całego gruntu za te pieniądze od żyda wykupić nie mogli jeno połowę. I rozpoczęła się znowu ich nędza. Za pychę ukarał ich Bóg upokorzeniem i wstydem, za chciwość biedą, za państwo pośmiewiskiem i nędzą. Teraz pchają swoją biedę jak mogą a że się po trosze opamiętali — to może też znowu kiedy za jakich lat kilka będą choć mieli żyć z czego.

Tak to, tak kochani ludkowie wymierza Bóg sprawiedliwość! Do tego to doprowadza lenistwo i chciwość!!

Wojtek ze Smolnicy.

Dobre wiano.

Hej nie szukaj parobeczku bogatego wiana,
Lepiej żona pracowita, niźli wyzłacana,
Bo co tobie po majątku i co ci po wianie,
Jeżli ci się leń bogaty do chaty dostanie?

Dobre wiano: gdzie dobytek, gdzie grosz odkładany,
Piękne dziewczę, gdzie uroda, buziaczek rumiany —
Lecz nad piękność, nad urodę, nad srebra i złota,
Lepsza zawsze pracowitość a najlepsza cnota!

Lepszy statek niż dostatek, pilność niż majątek,
Gdzie przy groszu jest lenistwo — tam nędzy początek!
Gdzie przy mieniu jest rozpusta, nie ustrzeżesz sromu,
Lepiej zawsze mieć ubóstwo niźli piekło w domu!

Wnet majątek się rozejdzie, wnet się grosz rozpłynie,
Minie młodość a z nią hożość i uroda minie!
Ale cnota pozostanie w najpoźniejsze lata,
A przy żonie pracowitej wspomoże się chata!

Oj nie szukajże majątku lecz cnoty w dziewczynie,
Nie bierz sobie chłopczo pani, ale gospodynię,
Nie bierz sobie karczemnicy, choć urodą świeci,
Bo ci nie trza tanecznicy, lecz matki dla dzieci!

Wojtek ze Smolnicy.

Co słychać?

Źle słychać, panowie gospodarze, źle bardzo — zkąd tylko wiatr zawieje, to lichą nowinę nadniesie. Już to nie wiem, czy kiedy gorsza nasz kraj przyciskała bieda, czy kiedy tyle klęsk nawiedziło naszą nieszczęsną polską ziemię, co tych właśnie czasów! Bo to gdy człowiek pamięcią zasięgnie w tych kilka lat ostatnich, to i rozlew krwi polskiej straszny i woda i ogień i wszelaka inna nędza srodze nas dotknęły.

A i teraz choć bym z wami rad trochę weselej pogawędzić, to Bogiem a prawdą nie mogę, bo o czem człowiek tylko wspomnie, to zawsze na żałość się zbiera, dobrego przez okulary nie zobaczysz a złe aż po uszy sięga!... Ale cóż robić, trzeba znosić, co Bóg dopuszcza i radzić sobie jako tako, aby gorzej nie było.

Już to najgorzej może niszczą tego roku pożary. Z każdziuchnej strony naszego kraju, o niczem nie słychać jeno o ogniu i ogniu. Toć donosiłem wam za każdą razą, skoro się tylko pożar wielkie przytrafił, a już nie pisałem nic o małych ogniach, jeno o takich, które całe miasta poniszczyły. A zaglądnijcie jeno do Różności w wszystkich tegorocznych numerkach Dzwonka i policzcie, ile to się setnych i dużych miast popaliło, ile to nowych żebraków, ile nędzy i głodu przybyło między nami! Mocny Boże! toć aż włosy stają na głowie i aż się serce kraje!... I żeby choć to wszystko ustało! Gdzież tam! Ciągle donoszą o nowych pożarach a najczęściej we wsiach, których już i nie porachować, co ich tam napogorzało!

W całym kraju gwałt wielki, zkąd powstają te pożary, bo żadnego roku tyle ich nie było. Najpierwej, bo już od trzech lat, zaczęli jacyś złoczyńcy palić w moskiewskim kraju miasta, a potem ognie te przeszły do Polski pod Moskalem a

teraz i u nas gubią mienie biednych ludzi. Aż straszno mówić, że się pokazuje teraz, że w wielu miejscach podpalają jacyś rabusie i łotry. Gdzie niegdzie te łotry rozpisują listy do ludzi, w których im grożą, że jak tyle a tyle pieniędzy nie zapłacą, to ich spalą! Mocny Boże, czyż może być większa zbrodnia!

Otóż władze i urzęda pilnie ścigają takich łotrów i da Bóg nie zadługo wyłapią tych bezbożników. Już nawet z jednej strony donoszą, że kilku takich podpalaczy złapano, a sprawiedliwa kara ich pewnie nie minie od sądu. Ale trzeba też przyznać znowu, że więcej jeszcze pożarów powstaje z nieostrożności samych ludzi. Bo to zważcie sami, jak to u was nie pamiętają o tem, aby się przed ogniem chronić. Prawie wszędzie wieśniacy nie pilnują się przed tą klęską — i jakżeż nie ma być nieszczęścia, jeżeli wszędzie jest niedbałość i nieostrożność?...

Strzeżonego Pan Bog strzeże; mówi gadka staropolska i świętą prawdę mówi. Dla tego po miastach wzięli się już na dobre do tego, aby zaprowadzić porządek i strzedz się ognia, a na przypadek, gdyby nie daj Boże gdzie wybuchł, aby spiesznie i dobrze ratować. We Lwowie już nawet najmuje urząd miejski 500 młodych rzemieślników, których będą uczyć i ćwiczyć w tem, jak w razie przypadku gasić pożar. A kiedy tak już po miastach, gdzie i tak zawsze większy porządek, zabierają się do ostrożności, toć po wsiach tem bardziej o tem przemyśliwać ludzie powinni.

Napominamy was więc, mili ludkowie, abyście się strzegli przed pożarami i zachowali ostrożność w chacie i na dworze, a dawali pilny pozór na wszystko, z czego by ogień mógł powstać. Już to najbardziej wójtowie powinni pamiętać, że na nich polega bezpieczeństwo gromady i powinni też przypilnować, aby warty nocne były dobre i aby się na ich czujność i uwagę mogła spuścić gromada. A każdy z was, panowie gospodarze, powinien też być na każde zawołanie w pogotowiu z ratunkiem, i mieć pod ręką narzędzia do gaszenia, które mu trzymać nakazano, jako to: konewki, siekiery, haki, drabiny i t. d. Tylko wtedy, jeżeli każdy zrobi to, co do niego należy, a nie będzie

się spuszczać na drugich, będzie bezpieczeństwo we wsi i pomoc dobra w nieszczęściu. Dla tego też wołamy na was raz jeszcze: Ostrożnie z ogniem!

Drugiem wielkiem nieszczęściem, które nasz kraj nawiedziło, jest nieurodzaj. Zewsząd się skarzą, że zboża mało, że pola nie porodziły. A i jakże porodzić mogły, kiedy najpierw mieliśmy posuchę okrutną, a potem zimno i deszcz bez końca. Kiedy potrzeba było deszczu to była pogoda i upał, a kiedy potrzebna była pogoda, to znowu były deszcze! Za to też wszędzie brak chleba! Już też się troszczą wszędzie, o czem ludek przezimuje — a jest też wielka obawa, aby głód nie daj Boże nie nawiedził ludzi osobliwie w górskich okolicach. Dla tego też radzą tu rozmaicie po gazetach, jakby tu zaradzić biedzie, aby kraju nie nawiedziła a niektórzy panowie powiadają, że najlepiej by założyć zawczasu wielkie szpichlerze z zbożem, aby później, jakby był na przednowku niedostatek, rozdzielać między ubogich. A o zwolnieniu podatków też jest mowa, ale to od tego zależy, co wola cesarska zarządzi. A zresztą może to Bóg Najłaskawszy od nas odwróci, a może też sejm nasz lwowski, którego na drugi miesiąc tu wyglądają, jakie sposoby poradzi, a zaś tymczasem rachujcie się dobrze, kochani ludzie, oglądajcie się na tylne koła, jak to mówią, pracujcie, oszczędzajcie i miejcie w Bogu nadzieję!

Jak już źle, to źle. Trzebaż było jeszcze, że kiedy u nas bieda, to znowu za granicą pomór na ludzi panuje! Oto widzicie wybuchła we włoskim kraju cholera, a przecież wiecie co to za okrutna plaga! Ludzie giną jak muchy, i to za kilka godzin! No chwała Bogu, że do nas ten mór nie doszedł a za Bożą pomocą i nie dójdzie, a nawet i za granicą już ustaje. Cholera ta przyszła tego roku z Afryki, z kraju pogańskiego, co się zwie Egipt, gdzie panuje bardzo wielkie gorąco, a cholera gorąco wielkie lubi. Do tego jeszcze musicie wiedzieć, że w tym Egipcie obchodzą święto wielkie pogańskie, a na to święto zbiega się naraz po kilkaset tysięcy Turków na kupę i z tego samego już rodzi się złe powietrze. A do tego jeszcze, każdy taki Turek ofiaruje według swej religii po kilka baranów, a kiszki i głowy z tych baranów wy-

rzucają pod gołe niebo, więc możecie sobie wystawić co to za zepsucie powietrza, gdzie tyle tego na czystem polu gnije naraz! I ztąd też powstała tego roku cholera.

Jak tylko ta cholera wybuchła, zaraz wszyscy monarchowie porozstawiali warty nad granicami, aby nikt nie przeniósł z sobą tej plagi. Dla tego też każdy podróżny, co powracał z kraju gdzie była cholera, musiał na granicy zatrzymać się przez kilkanaście dni, i aż się pokazało, że nie jest chory, wtedy dalej mógł jechać.

Chociaż nie ma strachu, aby się ta choroba dostała aż do nas, to przecież dla ostrożności ponakazywano po większych miastach, aby zachowana była po domach i ulicach czystość, bo nic tak zdrowiu nie szkodzi jak niechlujstwo. A już to i w niejednej chacie włościańskiej siła jest plugastwa, a ochędóztwa ani za grosz, a gdzieniegdzie nietylko, że izba brudna i nie omieciona, ale jeszcze w niej drób a nawet cielęta nieraz trzymają. Jakież to tam może być zdrowie ludzi, gdzie taka niechlujność?...

Otóż i nagadałem się wam o wszystkiem złem, o pożarach, o nieurodzaju, o cholerze, a dobrego nic wam nie doniosłem. Ha cóż robić! Nalejże z próżnego! tego już i ów król żydowski Salamon, co był taki mądry niezmiernie, nie zrobi! — Co Bóg dał trzeba znieść a rąk nie opuszczać, jeno pracować i radzić, jak kto może! A prędzej czy później zawsze nam lepiej być musi, bo złe nie wieczne, a bieda jak przyjdzie tak i pójdzie kiedyś za niebieską pomocą.

Panu Bogu was oddaję, panowie gromada!

RÓŻNOŚCI.

Zakupno wsi przez włościan. W Tarnowicy w powiecie tyśmienickim chciał dziedzic przedać całą swoją własność. Dowiedziała się o tem gromada i markotno jej było, że dziedzic się wysprzedaje, bo wiedziała, że to teraz żydzi i niemcy rwą się za polskimi majątkami, więc też i Tarnowica mogłaby się dostać w jakieś ręce nieswojskie. Kiedy się tak gromada kłopocze, zwołał tamtejszy xiądz proboszcz najbogatszych i najpoważniejszych gospodarzy i doradzał im, aby wszystką

posiadłość dworską zakupiła sobie sama gromada. Gospodarze usłuchali tej rady, gromada przystała i zaraz poszli tarnowieccy włościanie do pana, aby wieś utargować. Zgodzili się też wkrótce. Złożyli trzy tysiące reńskich gotówką na zadatek a teraz napisali tu do Lwowa, aby im tutejsza kasa oszczędności pożyczyła więcej pieniędzy na to zakupno. Uchwalili także między sobą, aby propinację odprzedać na wieczne czasy, i tym sposobem dostać znowu pieniądze — i ot tak niedługo za Bożą pomocą włościanie tarnowieccy nabędą wieś swego dziedzica na własność, a potem podzielą między siebie grunta. Dobrze by to było bardzo, aby wszędzie, gdzie dziedzic przedaje swe grunta, a cena nie bardzo wielka i gromada zamożna, kupowali sobie włościanie i dzielili się między sobą a tak i sami polepszą swój byt i ziemia w cudze ręce nie przejdzie.

Zatrute grzyby. Kilka się już wydarzyło wypadków, że się ludzie potruli złemi grzybami. Teraz znowu donoszą z Przemyśla, że się tam troje ludzi otruło grzybami. Każdy więc powinien uważać, aby nie jadł takich grzybów, o których nie jest pewien, że są dobre, bo inaczej do nieszczęścia łatwo przyjść może. Lepiej nie jeść całkiem grzybów, niż dla marnej strawy ginąć ze świata.

Świętokradztwo. Donoszą, że na dniu 8mym września, to jest w Narodzenie Najświętszej Panny, miała się odbyć w Rzeszowie wielka uroczystość koronacyi cudownej Matki Boskiej, co tam słynie od lat wielu cudami. Przed dwoma latami, to jest w 1863 roku, już się była odbyła taka uroczystość, i śliczną koronę włożono na statuę Maryi, lecz aże przykro i straszno to powiedzieć, że korona ta została ze statuy Matki Boskiej przed kilku miesiącami skradzioną. Zły człowiek nie bał się nawet do statuy Maryi sięgnąć, aby swojej złośliwości i łakomstwu zadość uczynić. Jakże to dopiero gdzieindziej nie mają kraść złodzieje, gdy się to czynić i w kościele nie boją.

Nieszczęśliwy wypadek. W przeszłym miesiącu jechało gościńcem przez Droginią kilku chłopaków wielkim pędem, chcąc się wymijać; co czyniąc nierozważni, wpadli na podletniego już służącego z młyna w Dobczycach. Nieszczęśliwy ten człowiek chciał uciekać i schronić się pod same poręcze, ale i tam go dogonił wóz jeden i obalił, a koła przeszły mu głowę, piersi i brzuch, tak, iż na miejscu żyć przestał. Rozpustne chłopaki, co się tego dopuścili, są to parobcy z Czechówki, którzy po tym wypadku poczęli, zaciąwszy konie, uciekać, ale ich ludzie z Drogini złapali i do urzędu dostawili. Jednakże to biednemu zabitemu życia nie wróci.

Niech to będzie na przestrogę dla tych szaleńców furmanów, co to pasję mają wymijać się. Bo co ci z tego przyjdzie, że jeden drugiego wyminiesz? a możesz łatwo kark sobie skręcić, albo niewinnego o życie przyprawić.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. **Nr. 10.**

1. października 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szymon Szymonowicz,
pobożny i sławny Polak.

Miasto polskie Zamość, co go fundował wielki polski pan Jan Zamojski, a co od nas leży nie tak daleko, bo jakie 20 mil ku północy, ma bardzo wysokie mury naokoło tak, żeby się tam i kot nie przedrapał do środka miasta i zowie się dlatego fortecą polską — ale jest tam i ładna fara, gdzie stoi pomnik, na którym napis taki:

„Ten pomnik fundował brat swemu pomarłemu bratu pobożnemu Szymonowi Szymonowiczowi.“

Otóż raz przechodzili się tam gazdowie polscy po kościele z pobożnością i uczciwością, oglądali ołtarze, organy i stanęli przed tym pomnikiem, przeczytali sobie napis od początku do końca i jeden mówi do drugiego:

— Ej! żeby to kto opowiedział nam o tym pobożnym Polaku, bo jużci musiał on wiele znaczyć, kiedy ma taką pamiątkę aż w domu bożym.

Aż tu nawinął się im jakiś ksiądz, co to usłyszał i powiada:

— Toć ja wam opowiem o tym człowieku, jeno pamiętajcie sobie dobrze.

I jął opowiadać:

— Ten Szymon, co go zwali Polacy rozmaicie i Simonidesem i Szymonowiczem, urodził się w polskiej Galicyi w mieście Lwowie roku pańskiego 1557 za króla polskiego Zygmunta Augusta, bo to po tamte czasy był polski kraj bardzo wielki, od Krakowa do Węgier aż poza Lwów do Wilna i poza Warszawę, to czysty jak bursztyn sam polski kraj.

A gazdowie polscy przemówili na to:

— To znowu jakoś Jegomość nam gada po nijakiemu bo co Galicya to Galicya, ma swoje miasta i wsie, a jegomość gadasz tak, jakby nie było dawno Galicyi.

— A wszak nie było, rzecze ksiądz, jeno tu, gdzie dziś Galicya stoi, była koło Krakowa od Biały aż po Krosno i Duklą het poza Wisłę, Sandomierz i Lublin dawna Mała-Polska z miastem królewskiem Kraków; to znowu od Krosna aż poza Sanok była polska ziemia sanocka; a zaś koło Przemyśla ku Lwowu była polska ziemia przemyska, a poza Lwów była polska ziemia halicka, a i to miasto Zamość należało do Małopolski, a potem jak Polskę rozebrali, nito bogaty grunt wielki, to od Krakowa aż poza Lwów nazwali ten polski kraj Galicyą od miasta staropolskiego Halicz i otóż widzicie, że dawno nie było Galicyi, a temu nie ma 100 lat, jak ta Galicya nastała.

— Aha! podumali sobie gazdowie polscy, to teraz rozumiemy, jak to te rzeczy stoją, ale gadajno nam jegomość z łaski swojej dalej o tym Szymonie pobożnym i mądrym.

A ksiądz tak dalej gadał:

— Ojciec tego Szymona był mieszczaninem we Lwowie, chodził sobie w stroju polskim, aże miał bardzo dużo rozumu, to go Lwowianie Polacy obrali sobie do urzędu nito na wójta gromadzkiego i nazywali go: pan rajca miejski. Toż każdy mądry ojciec chce mieć i mądre dzieci, a ostatni głuptak taki ojciec, co sam nic nie wie i dziecka swego nie chce dać wyuczyć. Ojciec tego Szymona posyłał go zaraz za młodu do szkoły w samym Lwowie, a chłopak uczył się bardzo dobrze,

toż jak przeszedł wszystkie nauki we Lwowie jak się patrzy, to mówił do ojca tak:

— Dobry ojcze! daj mię też jeszcze do Krakowa do szkół, tam są szkoły największe polskie, a ja się wyuczę na mądrego i pobożnego Polaka, a potem opiszę to wszystko z mojej głowy dla drugich Polaków, aby znowu drudzy odemnie się uczyli wszystkiego dobrego.

— No! i cóż ojciec zrobił z nim? pytali gazdowie, toć przecie takiego ochotnego do nauki dziecka nie zmarnował, boby go za to pan Bóg pokarał.

— A jużci, rzecze ksiądz, zawiózł go sam do Krakowa, najął mu izbę i wikt, pokupił książki i powiada:

— No! chłopcze, pamiętajże sobie, abyś mi się uczył, abyś mej pracy nie marnował; a pisz mi po szkole i składaj sobie pięknie słówko do słówka na papierku, tak jakoś robił w domu, coś czytał i matce, a z czego matka nieraz aż płakała z uciechy.

I zostawił on syna w Krakowie, a syn się uczył i napisał sobie i wydumał rankami i wieczorami taką książkę ładną, gdzie opisał żywot św. Stanisława, a ta cała książka była tak napisana, że się słowa składały gładko i jednako, nito liście na kwiatkach, nito włosy w jeden warkocz, za co go pochwalił sam biskup krakowski, potem sam król, a Polacy mądrzy to przepadali za nim.

— Hoho! patrzajcie no moi kochani! gadali sobie gazdy i kiwali głowami, jakto pan Bóg da jednemu i drugiemu takiego coś w głowie, że mu się z głowy sypie jak zboże z rozprutego worka, jeno zacznie gadać, to tam nie ma końca aż strach, a znowu weźmie za pióro i nuż masz co i cały tydzień czytać, a jakci zacznie to czytać, co napisał, to ci się głowa kręci a nieraz trza i zapłakać, tyle tam świętego i pobożnego.

— To prawda! moi dobrzy, rzecze ksiądz, że Bóg daje każdemu głowę i rozum, ale trza o tę głowę dbać i o ten rozum stać, trza się uczyć w kościele, w szkole i od rozmaitych ludzi, a dopiero wtedy będziesz miał tyle rozumu, ile zboża w komorze, jak wszystko wymłócisz, zwiejesz, wyczynisz, i oporządzisz jak potrzeba, boć do komory ziarno samo nie zalezie ani nie skoczy do skrzyni, tak i do głowy nauka sama

nie przyjdzie, jeno trza się uczyć powoli i pomaleńku. Tak też robił i ten Szymon, za 15 lat ukończył szkoły we Lwowie i Krakowie, a potem znowu prosi ojca i gada:

— Ojcze dobry! ja cię już dużo kosztuję, ale dopomóż mi, abym ja poszedł po naukę w kraje Ojca św., abym się nauczył wszystkiego i widział wszystko na własne oczy.

— No może go już nie dał do szkół? pytali gazdy, kiedy 15 lat na niego łożył.

— A gdzie tam! mówił ksiądz, dobry ojciec da ostatnią koszulę dla dziecka, jeżeli chodzi o duszne zbawienie — toż i ojciec wysłał Szymona tego do szkół, gdzie Ojciec św. sam rządzi, a potem wysłał go do Paryża, gdzie siedzi cesarz Francuzów i tak widzicie do 30 roku ukończył ten Szymon wszystkie szkoły, zjechał dużo świata i wrócił do ojca do Lwowa, aby sobie odpocząć. Ale każdy człowiek uczy się na to, aby sam miał dobry rozum dla siebie, aby był pobożny i aby też swoim dobrym rozumem dopomagał i drugim do dobrego — bo kto nauki używa na złe i na szkodę drugich i na obrazę Boga, to pożal się Boże takiego rozumu — toż i ten Szymon nie posiedział długo w domu, bo zaraz wziąłci go ze Lwowa do dworu swego taki wielki i bogaty pan polski Jan Zamojski i przywiózł go w wielkiej paradzie i w karecie do miasta Zamościa, dał mu wszystko, dał mu dużo dukatów i oddał mu swego syna Tomka do nauki i powiedział mu:

— Jak mi mój Szymonie wyuczysz mego Tomka, że będzie z niego coś, że będzie z niego mądry i pobożny Polak, to ci na końcu podaruję wieś, abyś miał dla siebie i dla krewnych twoich pamiątkę.

— No! no! zawołali gazdowie, a to dopiero był szczęśliwy ten Szymon, a to się pocieszyli krewniacy jego, że będą mieli pomoc z niego.

A ksiądz powiada:

— A jakto oni radowali się wtedy, kiedy ich Szymon jechał w wielkiej paradzie i na paradnym wozie na cztery konie ze Lwowa do tego pana! A ludzie gadali na to:

— Mój Boże! co to znaczy, jak kto za młodu wyuczy się czego! pobieduje, nie dospi i nie doje, to prawda, ale też

za to ma chleb, grosz i honor na całe życie i ojca i matkę z całą swoją rodziną uszczęśliwić może.

— To prawda święta, mówili ludzie, że każda okruszyna, co idzie na szkołę i naukę dziecka, przynosi potem wory złota i niebo dla duszy. Ale czy też ten Szymon dostał tę wieś?

— A coby nie dostał, rzecze ksiądz, jak wyuczył tego panicza Tomka, to mu pan Zamojski dał odrazu wieś wielką Czernęcin pod samem miastem Zamościem i tam sobie siedział jak pan ten Szymon, a krewniacy jego mieli przy nim bardzo dobrze. Jeno ten Szymon nie zapominał nigdy o tem, że on był rodu mieszczańskiego, że nie trza się pysznić ani z rozumu, ani pobożności ani majątku, a choć wyszedł na pana z woli pana Boga, to nie pogardzał krajanami, ani się nie wstydził swoich krewnych, co go odwiedzali w kapotach polskich.

— Ho! mówili gazdowie, to jak miał taką wieś, to mógł sobie cicho siedzieć i leżeć jak u Boga za piecem.

— A nie gadajcie tak, rzecze ksiądz, bo kawałka chleba nie powinien nikt darmo jeść, za młodu pracuj nieboże, abyś miał na stare lata, a na starość pracuj znowu nieboże, aby mieli po twojej śmierci drudzy — i za chwilę czasu trza kiedyś odpowiadać na sądzie bożym, a co przejesz darmusieńko, co przehulasz durniusieńko, za to nieboże trza kiedyś dobrze odpowiadać. Wiedział to ten Szymon mądry dobrze, toż za młodu uczył się nawet po nocach, a gdy w niedzielę drudzy hulali, on zaś kawęczał nad książką, a jak mu Bóg dał dosyć chleba i pieniędzy, to on nie był taki głupi, aby to zmarnował, albo nic już nie robił, jeno sobie jeździł i popuszczał pasa, on dopiero wtedy zamykał się do izby i pisał dla drugich takie pisma, że wszyscy kupowali i czytali. Raz ułożył książkę o św. proroku jednym i podarował ją Ojcu św., a jakto Ojciec św. przeczytał, to zaraz zawołał biskupów i powiada:

— Macie tu wieniec poświęcony odemnie i macie tu jeszcze inne dary kosztowne, jedźcie do polskiego kraju, odszukajcie mi tego mądrego i pobożnego Polaka Szymona i oddajcie mu to odemnie i podziękujcie mu za to pismo dobre.

— A co! czy dostał on to do rąk swoich?

— A czemuby nie dostał, gada ksiądz, toż przyjechali ci biskupi od Ojca św. do Warszawy, tam się wypytali o tym Szymonie, a takiego mądrego znałci wtedy każdy Polak, a jak przyjęchali do Zamościa, to sobie myśleli, że taki mądry Szymon siedzi sobie w jakim pałacu, a tu ten pobożny człowiek siedział sobie w prostej chałupie, jak chłopi na wsi, jeno miał sad naokoło, płoty dobre, miał komin na chałupie, okna wielkie i była chałupa cała pięknie białą gliną wylepiona.

— A cóż na to ci biskupi? zapytali gazdowie.

— A coby! zdziwili się strasznie na taką pobożność, mówi ksiądz, i pobłogosławili mu tę chałupę a potem oddali mu ten święcony wieniec i te dary od Ojca św. a odchodząc powiedzieli:

— W takiej chałupie czystej i omiecionej i olepionej gdzie są pobożne dusze, mieszka zawsze sam Bóg i jego błogosławieństwo.

A gazdowie kiwali głowami i dumali sobie:

— Jakito szczęśliwy człowiek ten Szymon, wyuczył się, ma wszystko, a trzyma się Boga, aż go sam Ojciec św. chwali i błogosławi — toć już takiemu prosta droga do nieba.

A ksiądz powiada im na to:

— To jeszcze nie koniec pobożności tego Szymona, bo jak wtedy była wojna z Turkami i Tatarami, a król polski kazał pójść na wojnę panu Zamojskiemu, to i starowina Szymon poszedł na tę wojnę, aby tam życie swoje dać za wiarę św.

— A to może go tam zabili?

— Zabić go nie zabili, rzecze ksiądz, on wrócił szczęśliwie do swej wsi, robił dobrze całej gromadzie, radził do wszystkiego dobrego, fundował szkołę w gromadzie, dawał dobry przykład gromadzie, dawał zapomogę, dawał różne pisma Polakom, aż za takie pobożne życie zjechali się panowie i biskupi do króla do Warszawy i powiadają:

— My chcemy królu, aby ten mądry i pobożny Szymon został szlachcicem jak my i aby jego cała rodzina nie była odtąd nazywana mieszczanami, ale szlachcicami.

— A cóż król sam na to? pytali gazdowie.

— Król dorazu przystał, powiada ksiądz, i ten Szymon, mieszczańskie dziecko ze Lwowa, został panem polskim nie

z rodu ani za pieniądze. ale za swoją wielką naukę, za pobożność i za to, że dużo książek dobrych napisał dla Polaków. A to się wszystko porobiło tak pięknie i ładnie w Warszawie za króla Zygmunta III. roku pańskiego 1590 w trzy dni przed samym św. Wojciechem.

— Oho! to to już dawne czasy!

A ksiądz powiada:

— To już dobre 250 lat temu, ale my to mamy napisane wszystko i wiemy to jak dziś, bo dobrych ludzi pamiętają długo, długo ludzie, a Bóg o nich nigdy nie zapomina.

— A gdzie on też umarł?

Ksiądz na to:

— On umarł roku 1629 na początku maja i leży pochowany tu w Zamościu, a brat jego fundował mu ten pomnik na pamiątkę.

— A gdzie też podział się jego majątek?

Ksiądz na to:

— Jego majątek wrócił do Boga — oto zapisał wielką sumę na kościoł, zapisał znowu drugą sumę na profesora, aby był zawsze profesor dla dzieci przy szkole, wszystkie pisma zostawił dla szkoły, aby mieli co Polacy czytać po jego śmierci, dużo rozdał ubogim, a resztę dał krewniakom. Otóż dał mu Bóg długie życie aż 72 lat, a żył pobożnie i nie żenił się jak księża, aby miał więcej czasu do nauki.

A gazdowie zawołali potem:

— Niech takiemu każdemu mądremu i pobożnemu Polakowi da Bóg wieczny odpoczynek Amen.

Potem podziękowali księdzu, zmówili paciorek i odeszli do domu, a rozpowiadali to wszystkim.

Ksiądz Wojciech z Medyki.

Polski kraj i polski lud.

Mnóstwo jest ludzi na Bożej ziemi,
Są ludzie tacy — owacy —
Między ludami jednak wszystkiemi,
Najmilsi zawsze swojacy!

Różne na świecie żyją narody,
I z różnej żywią się pracy,
Różne dla siebie mają zawody,
Lecz nie masz już jak Polacy!

Bo polski naród to po nad ludy,
Wystaje siłą i cnotą,
Gotów na boje, gotów na trudy,
Wesół serdeczną ochotą!

Czy to do szabli, do bitwy z wrogiem,
Czy do nauki, do pracy,
Do zgody z ludźmi, do zgody z Bogiem,
Najpierwsi zawsze Polacy!

Bogata Anglia — Francuzi hardzi,
A sprytni Niemcy, Prusacy,
Ale nie tacy dzielni i twardzi,
Jako my wiara Polacy!

Mnóstwo jest krajów na bożym świecie;
Że człek aż zapomina,
Lecz między temi krajami przecie
Najmilsza polska kraina!

Polska to tylu świętych wydała,
Sławnych rycerzy, hetmanów,
I pełna chwały i dzielna cała,
Żyje wśród swoich łanów!

I chleb najlepszy na polskiej niwie.
I najweselsza piosenka,
Polsce króluje najmiłościwiej,
Z nieba Najświętsza panienka!

Wojtek ze Smolnicy.

Moczymorda i Łapikwarta.

Ucieszna historja dwóch pijaków.

Żyło we wsi Dolewkach dwóch sławnych pijaków, istne obrzydzenie i zgroza całej poczciwej gromady w tej wiosce. Jeden się zwał Moczymorda, drugi Łapikwarta, a obaj byli

sobie sąsiadami i wielkimi przyjaciołmi, bo złe ze złem zejdzie się zawsze rychło. Co zarobili, co zebrali z pola, co sprzedali, wszystko szło na wódkę żydowską. Bywało ludzie w polu przy pracy, lub na modlitwie w kościele — a Moczymorda z Łapikwartą piją w karczmie, tańcują słabemi nogami i spiewają:

Kieliszek, braciszek, kwatereczka siostra
Ręka przyjaciółka do gęby poniosła!

Oj piękny mi to braciszek, ten kieliszek gorzałczany, przebrzydły! Piękna mi to siostra kwatereczka, co do nędzy i grobu doprowadza! Oj pono gdyby mieli byli obaj ci opoje rozum w głowie i Boga w sercu, byliby tak sobie spiewali:

Kieliszek opryszek, kwatereczka biéda,
Zatłuką cię na śmierć pod ławą u żyda!...

Ale mówże do pijaka, kiedy u niego wódka i Bogiem i cnotą i szczęściem i wszystkiem na świecie dopóty, aż wreszcie skapie pod płotem!

Otóż tak było i z tymi dwóma bezbożnikami opojami, Łapikwartą i Moczymordą.

Pewnego razu sprzedali oni ostatnią resztę żyta i ziemniaków żydom, posiadali oklep na konie, bo już wozy dawno poszły za szynkfas, i wyjechali niby to na targ do miasta a naprawdę tylko na to, aby się zapić na szynku. I ledwie na ćwierć milę za wieś wyjechali, zatrzymali się przy karczmie, co była koło drogi.

— Słuchaj no Łapikwarta! — mówi Moczymorda – chyba wstąpimy, aby konie odpoczęły!

— A jużci, że trzeba wstąpić, a zdałoby się i coś przełknąć, bo mi coś w żołądku nie dobrze — odpowiada Moczymorda.

I nie mówiąc wiele, wstąpili do karczmy i poczęli trąbić w najlepsze. Kieliszek po kieliszku szedł do gardła, a grosz po groszu do żyda. Już się obaj tak spili, że się na nogach utrzymać nie mogli, a jeszcze pili dalej bez miary i końca, wołając do siebie:

— Anu do ciebie Moczymordo!

— Na zdrowie tobie Łapikwarto!

Kiedy już obaj byli bez opamiętania, popadali pod ławy i poczęli spać. W tem naraz śni się Łapikwarcie, że spi w swej chacie, i że jakiś rabuś do niego się zakrada. Więc też przez sen pocznie pod ławą wymachiwać rękami i namacał Moczymordę, co koło niego także leżał, a namacawszy go, począł go okrutnie okładać pięściami. Moczymorda zaś czując bicie okrutne, myślał także we śnie, że go opadł jakiś rozbójnik i pocznie znowu tłumić i tłuc z całej mocy swego przyjaciela.

— Moczymorda! ratuj! bo mnie jakiś rozbójnik chce zabić! woła na pół we śnie, na pół na jawie i nuż po karku swego przyjaciela.

— Ba a mnie także, bracie Łapikwarto! — odpowiada przyjaciel i nuż po głowie Moczymordę!

— Kiedy tak! — woła na pół przebudzony już Moczymorda — to bij ty swego, a ja swego! — i poczęli się bić i czubić, aż arendarz nadbiegł i roztrącił obu pijaków.

Popatrzyli się obaj pijacy na siebie, a że się wytrzeźwili w bitce, więc też przeprosili się obaj, że się tak przez omyłkę potłukli! Dalej że pić znowu! Kiedy tak piją i wykrzykują, weszło do karczmy kilku jakichś włóczęgów, zażądało wódki i usiadło sobie przy Moczymordzie i Łapikwarcie.

Byli to jacyś urwisze i nicponie — ale że tęgo pili, więc obaj opoje z Dolewek zaraz z nimi się poprzyjaźnil i poczęli wszyscy razem spijać gorzałkę okrutnym sposobem.

I tak minął na pijatyce i na hulaniu dzień cały; pod noc znowu pić zaczęli i już gdzieś było na świtaniu, kiedy Łapikwarta i Moczymorda padli jak zabici na ziemię. Wówczas to ci urwisze, co pili z nimi, zmówili się z niecnotą arendarzem, odebrali wszystkie pieniądze Moczymordzie i Łapikwarcie, zdjęli z nich kożuchy, ściągnęli buty i pozabierali futrzane czapki.

Kiedy ich tak już do szczętu obrali ze wszystkiego, wynieśli ich het za karczmę, posadzili obu na płocie jak na koniu, przywiązali ich dobrze, poobwiązywali koły jak końskie głowy sznurami i obwinęli im te sznury około rąk.

Kiedy ci hultaje sobie z nimi wyrabiają figle, obudził się Łapikwarta i jego przyjaciel i wołają:

— Hola! panowie! a co wy z nami robicie?

— A cóżby! ot wsadziliśmy was na wasze konie, i dali lejce do rąk, jedźcie do domu, bo już świt!

— Aha! — wołają Łapikwarta i Moczymorda — dziękujemy wam z serca, trzeba chyba już jechać!

— A jedźcie już, jedźcie do domu!

Obaj opoje poruszyli się na płocie, ale że byli pijani i bez pamięci, więc myśleli naprawdę, że już siedzą na swych koniach. Że zaś nie mieli na sobie ani kożuchów ani butów, a to już było w późnej jesieni i na dobrym przymrozku, więc im się zimno zrobiło i mówią:

— Uh! ale to nas jakieś tęgie zimno przybiera!

— Ano boście się zaspali zwyczajnie! — mówią ze śmiechem hultaje. Jeno zatnijcie konie a pędźcie kłusem do domu, to się prędko ogrzejecie!

— A to chyba dobrze! Bywajcie zdrowi! — zawołał Łapikwarta.

— Bywajcie zdrowi! — zawołali hultaje i z okrutnym śmiechem odeszli.

Tymczasem Łapikwarta i Moczymorda poczęli bić nogami i kułakami w płot, niby po koniach i krzyczyć wio! wio! — ale że ich i zimno zebrało i oczy im się kleiły, więc jak byli przywiązani do płotu, tak też i pozasypiali Tymczasem owi hultaje wrócili do karczmy, zabrali im ich konie i uciekli co prędzej!

Tymczasem już się dzień zrobił, ludzie szli koło płotu i poczęli stawać i patrzyć się na obu pijaków spiących okracz na płotach jak na koniach i przywiązanych powrozem. Nadeszło także przypadkiem kilku gospodarzy z Dolewek i zebrała się tak tęgo kupa ludzi i patrzyli wszyscy z okrutnym śmiechem na to widowisko.

Nareszcie jeden znajomy potrząsł Łapikwartą, zbudził go i woła:

— Hej Łapikwarto, a wy co robicie?

Obudził się Łapikwarta, przetarł oczy, ziewnął szeroko i mówi:

— A ot jadę do domu! A szelma szkapa nie chce coś

pędzić! Wio! wio! i chwyciwszy w ręce powróz począł bić kułakiem w płot.

Ludzie w śmiech jeszcze większy — a Moczymorda obudziwszy się i słysząc, jak Łapikwarta huka na swego konia, począł także wołać:

— Poczekajcie no sąsiedzie, pojedziem razem! Wio! wio! — i zaczął także bić i ruszać się po płocie.

Ludzie się śmieją z całej siły, aż nareszcie obaj opoje widząc, że ich konie jakoś się nie ruszają, oglądają się dobrze po sobie i widzą że siedzą na płotach bez butów i kożuchów. Że zaś już się trochę przez mróz i spanie wytrzeźwili, więc okrutny wziął ich wstyd i gniew, że się tak okraść i na wstyd wystawić dali.

Ludzie odwiązali ich od płotów a Moczymorda i Łapikwarta boso, bez kożuchów i czapek pobiegli do wsi i tak wśród śmiechu całej gromady ledwie żywi ze wstydu i zgryzoty wrócili do swych chat i niedość jeszcze straty, odchorowali na zdrowiu cały swój pijacki przytrafunek.

Tak to się dzieje pijakom!....

Piękne przykłady.

Szkoła w Gręboszowie.

Bogu dzięki w kraju naszym przychodzą powoli ludzie do rozumu i przekonywują się, że niczego teraz tak bardzo nie potrzeba wieśniakowi jak oświaty i nauki. To też szkółki za Bożą pomocą mnożą się po wsiach, a z czasem to wstyd okrutny i hańba będzie dla tej gromady, gdzie nie będzie szkoły!

Gdzieniegdzie ludzie nietylko szkółki budują ale i szpitale dla ubogich chorych. Za granicą to prawie co w piątej wsi jest taki szpital dla ubogich — a u nas to jeszcze rzadkość jest wielka. Dlatego też dla pięknego przykładu donosimy, że włościanie z Gręboszowa wymurowali sobie porządną szkołę i szpital, co razem do ośm tysięcy złr. kosztowało. Wprawdzie Gręboszanie nie sami się wzmogli na ten wielki wydatek, ale im pomogli do tego dobrzy panowie — ale też i same gromady

nie mało grosza dały. Zaś dla tych panów, którzy do wymurowania budynku pomogli, przesłali poczciwi wieśniacy z okolicy Gręboszowa takie podziękowanie do gazet, aby wszyscy ludzie wiedzieli o tej pięknej sprawie:

Podziękowanie.

„Po długich latach biedowania dzieci naszych przy nauce w małej i niedogodnej izbinie, doczekaliśmy się przy pomocy Bożej nowego szkolnego domu. Wprawdzie żeśmy z powodu wielkiego nakładu nie mieli chęci stawiać szkoły murowanej, a to tem bardziej, żeśmy zdawna przez nieustanne wylewy wody zniszczeni, przy szczupłych gruntach mimo najszczerszych chęci naszych wszystkim potrzebom zaradzić nie mogli. Lecz teraz, gdy widzimy dom wspaniały wymurowany, w którym pod jednym dachem mieści się szkoła o dwóch obszernych izbach, pomieszkanie dla nauczyciela i szpital dla ubogich, cieszymy się, żeśmy grosz nie darmo wydali, boć to kapitał złożony na wielki procent nie tylko dla dzieci, ale i dla prawnuków naszych.

Za rychłe przeprowadzenie wybudowania tego domu, który wraz z potrzebnemi przybudowaniami około 8000 złr. kosztuje, składamy niniejszem powinne podziękowanie wys. władzy krajowej; niemniej winni jesteśmy dozgonną wdzięczność JW. hrabstwu Zofii i Józefowi Załuskim, którzy na nabytem przez się miejscu własnym kosztem kilku tysięcy złr. (3.862 złr.) budowę tego domu przeprowadzili.

Czujemy to wprawdzie sami, własnem doświadczeniem nauczeni, jak bardzo nauka dla dzieci naszych jest potrzebną, lecz w tem przekonaniu utwierdziła nas jeszcze bardziej uroczystość poświęcenia tej nowej szkoły, która się d. 17. września b. r. odbyła. Na tę albowiem uroczystość pomimo słoty przybyli o kilka mil PP. urzędnicy powiatu żabieńskiego z W. Dr. Przesmyckim naczelnikiem, wielu sąsiednich panów i ksiądz kanonik Lgocki z Otfinowa, który przy asyście miejscowego duchowieństwa obrzędu poświęcenia dopełnił. JW. hrabia Załuski z powodu słabości nie będąc obecnym, przesłał jednak przez W. Zielonkę jako swego zastępcę dla dzieci naszych na potrzeby szkolne 20 złr.

Za te wszystkie łaski i dobrodziejstwa nam i dzieciom naszym wyświadczone, składamy niniejszem najszczersze podziękowanie! Niech Bóg Oddawca wszelkiego dobra stokrotnie odpłaci swem błogosławieństwem wszystkim pragnącym naszego i dzieci naszych szczęścia, o co Go błagać nigdy nie przestaniemy!

Wójci i deputowani:

Florjan Szabla i Franciszek Wytrwał z Gręboszowa: Andrzej Koziara i Paweł Wierzbówka z Woli Gręboszowskiej; Błażej Szarek i Antoni Skałak z Uścia Jezuickiego; Maciej Kwiecień i Kazimierz Msio z Pałuszyc; Tomasz Dubiel i Wojciech Skiba z Lubiczka; Antoni Smoła i Stanisław Bochenek z Zawierzbia; Jan Płaneta i Wojciech Ziarko z Biskupic."

Szczęść Boże Gręboszanom i ich sąsiadom, niech nauce ich dziatkom Bóg błogosławi! My zaś zapisując wam to wszystko w *Dzwonku* życzymy z serca, aby Bóg natchnął i innych kmiotków i panów do takich chwalebnych i pięknych uczynków. Już to jeśli tylko gdzie gromada mądra i dobra i weźmie się z serca do dzieła, to już z pewnością znajdzie pomoc Boską i ludzką.

O kradzieży po sadach.

Skończyło się lato i na schyłku jesień, lecz narzekania wielu, a szczególniej sadowych na złodziei owoców nie idą w zapomnienie, owszem służą im za pogadankę przy długich wieczorach, bo rok rocznie nie widzą poprawy, lecz owszem wielu jest takich, którzy jakoś nie mają sobie za grzech, napadać na cudze sady i zabierać owoc.

Narwać komu owocu może być wprawdzie małą kradzieżą, zważywszy na wartość jego, może pare groszy wynoszącą. Jest przecież kradzieżą, bo jest przywłaszczeniem sobie cudzej własności bez pozwolenia właściciela.

Kradzież owocu nie jest z wielu względów małą, lecz wielką kradzieżą. Taka kradzież bywa pospolicie nocą i gwałtownie popełnianą: rzucaniem kamieniami, kołkami, obłamywa-

niem gałęzi, otłukaniem tyczkami i t. d. bez najmniejszej ochrony drzewa. Tak zrabowane drzewo, jakąże zostawiło postać dla właściciela drzew owocowych? smutną. Takie drzewo pokaleczone, z liścia i gałęzi ogołocone, nie może długo pozostać zdrowem, a właściciel nietylko, że utraci drzewo, lecz i pewny coroczny dochód z niego. Drzewo jest kapitałem, a owoc procentem, stracił więc właściciel i kapitał i procent. Wartość skradzionego owocu wydawała się małoznaczącą, lecz w skutkach okazało się, że to jest wielką kradzieżą. Dlatego nie dziw, że w niektórych krajach wielka kara czeka tych, którzy kradną owoc, albo drzewa uszkadzają. Spytajmy się właścicieli, dlaczego ich grunta, ogrody, drogi i t. p. miejsca, nie są drzewem owocowem obsadzone? Odbierzemy tę smutną odpowiedź: Cóżbym z tego miał? chyba dla złodziei sadziłbym, a dla siebie zmartwienie. Z takiej odpowiedzi trzeba się smucić i bardzo smucić, bo widoczny mamy dowód, że moralność upada, że dzieci, słudzy i rzemieślniczykowie są bez dozoru, że głos z ambony, głos w szkole są głosem wołającego na puszczy, że słowo Boże nie pada na ziemię urodzajną.

Gdyby wszyscy rodzice, rękodzielnicy i gospodarze wiejscy usilnie popierali naukę moralności, toby to nieuszanowanie cudzej własności musiało ustać. Tedyby i kradzież owoców ustała a właściciele gruntów, albo całe gminy wzięłyby się chętniej do zamiłowania drzew owocowych i liczniejby zakładały ogrody owocowe i drogi polne obsadziłyby takiemi drzewami. Cały kraj na ogród owocowy mógłby być zamienionym, a ile to pożytku z owocu na własny posiłek, lub na sprzedaż! Taki to błogi byłby skutek, gdyby ustały a przynajmniej zmniejszyły się znacznie kradzieże owoców!

RÓŻNOŚCI.

Nie zdurzysz panie aptekarzu! Przywiózł raz chłopek drzewo do Tarnowa na targ. Kupił to drzewo od niego aptekarz i kazał mu je zawieść do swego domu. Gdy już chłopek drzewo złożył, wszedł do apteki po zapłatę, a aptekarz kontent z tanego kupna zapłacił mu a w dodatku nalał kieliszek wódki dobrej aptekarskiej i poczęstował chłopka.

Chłopek wypił, cmoknął, bo wódka była dobra a na dworze mróz siarczysty, podziękował i chciał już odejść, kiedy to aptekarz chcąc zadrwić z chłopka i przestraszyć go, udaje przestraszonego, patrzy na flaszkę z której wódkę nalał i woła:

— Dla Boga! ta to w tej flaszce trucizna!

Lecz chłopek nasz poznał się na żarcie, a choć ta wódka inny smak i kolor miała od zwykłej, jaką to po karczmach szynkują, nie zląkł się bardzo, ale bierze za próżny kieliszek większy od pierwszego i mówi do aptekarza:

— Nie lękajcie się panie, kiedy już taka była wola Boga, żem wypił truciznę, to nalejcie ot jeszcze ten drugi większy, kiedy już i tak umierać muszę, to niech się choć długo nie męczę.

Wypił tedy drugi jeszcze większy, aż mu się w środku ciepło zrobiło, wsiadł na wóz i pognał do domu śmiejąc się z aptekarza i zdrów jest do dnia dzisiejszego, a kiedy tylko przyjedzie do Tarnowa, to wstąpi do apteki i każe sobie dać tej trucizny spory kieliszek.

Dowcipny Janek Był w jednym dworze pisarz głupi a zarozumiały i kpił sobie nieraz z chłopków. Razu jednego wyprawiał on z końmi młodego parobczaka dworskiego do dużego miasta, by przywiózł ztamtąd panicza do domu na święta A że ten parobczak jeszcze nigdy nie był w dużem mieście, to też mu pisarz bajał o niem niestworzone rzeczy, a straszył go najbardziej jakąś starą babą co siedzi przy rogatce, a strasznie ma nos zatabaczony, aż ohyda bierze patrzeć na nią, a każdy, co wjeżdża pierwszy raz do miasta, musi ją w sam nos pocałować, boć go inaczej nie wpuszczą do miasta. Biedził się tedy biedny parobczak przez całą drogę i przemyśliwał jakby to się wywinąć od tego całowania. Przyjechał na rogatkę i patrzy, że tu ludzie jak wszędzie, a o babie zatabaczonej ani słychu. Opłacił co się należało i czmychnął do miasta, zabrał panicza i wesoł wraca do doma, boć się przekonał, że to był żart i drwinki pisarza, i tak przemyśliwając, jakby tu się pomścić na pisarzu, zajeżdża przed dwór. Wybiegają wszyscy na powitanie panicza i pisarz także z drugimi świszczypałkami, a chcąc ich śmiechem nabawić pyta parobczaka:

— No Janku a jakże tam z babą zatabaczoną?

A parobczak mu na to:

— Oj prawdać paniczu, że siedzi tam babisko strasznie obrzydliwe, ale to tak się tak tam do tego całowania cisnęli takie panicze jak wy, że mię biednego chłopka nawet nie przypuścili i tak przejechałem bez całowania; bo tam jak mówili ludzie, rzadko biednego chłopka przypuszczą.

Schował pisarz żart, jak to mówią, do kieszeni i już więcej sobie nigdy nie drwił z Janka.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 11.

11. października 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Lew Sapieha.

Słyszeliście już o królach naszych polskich i o ich rządach, które to stan kmiecy w szczególnej swej miały opiece i prawa ustanowiły, któremi się tak pan najmożniejszy, jako i kmiotek najmizerniejszy zarówno sądzić mieli, a to dla tego, by już jak to zwykle na świecie się działo, możniejszy i silniejszy, słabszego i biedniejszego nie uciskał i nie krzywdził. Było to w Polsce dużo takich królów dbałych o dobro kmiotków, i nietylko królowie sami opiekowali się ludem kmiecym, boć to Polska była krajem ogromnym, sięgała od morza Czarnego aż do Bałtyckiego, i łatwoby gdzieś jednemu w okolicy dalekiej krzywda stać się mogła, któraby do usz króla nie doszła — to też wielcy i możni panowie, co to byli tak majętni, żeby się z niejednym małym królem nie byli mieniali, opiekowali się także ludem polskim.

Książę Lew Sapieha wielki obrońca ojczyzny i opiekun ludu swego, którego mu też Bóg wiele był powierzył, boć był to pan niemal połowej Litwy, żył za czasów Zygmunta III króla polskiego i był prawą ręką jego, ozdobą norodu wśród

pokoju, podporą w czasie wojny, w sądach sprawiedliwością, ojcem poddanych, jak to starzy pisarze, co razem z nim żyli, w pismach swoich stwierdzają. Nie obeszło się też nigdy, żeby król w ważnych sprawach nie zasięgnął rady jego lub jej nie usłuchał.

Moskwa natenczas częste napaści czyniła, napadała na Polskę i wiele złego ludowi polskiemu wyrządzała. Chciał król od Moskwy sobie spokój zapewnić, by mieć wolne ręce przeciw Turkowi i Szwedom, co sobie także na niektóre kraje polskie zęby ostrzyli. Trudną tę sprawę z Moskalem nie miał król komu lepiej powierzyć jak księciu Sapieże, który też nie odciągał się od tej trudnej z Moskalem sprawy, bo tu szło najbardziej o zabezpieczenie ludu polskiego od cudzej napaści, który przy tem najwięcej zawsze ucierpiał. Jeździł on do Moskwy trzy razy i z wielkiem staraniem pierwszy raz na lat 10, drugi raz na 20, a trzeci raz na lat 14 trwały pokój ułożył.

Kiedy Polska wojnę miała z Turkiem, chciwy król szwedzki korzystając z tego napadł z wojskiem wielkiem na Polskę od morza, a pustosząc prowincye polskie, czem raz w głąb kraju się posuwał, zamek po zamku zabierał i wielkie krzywdy ludowi bezbronnemu czynił. Nie czekał Lew Sapieha, aż mu król, i tak wojną zakłopotany, wojsko na odparcie Szweda przyszle, ale sam na swój własny koszt, boć i w skarbie królewskim natenczas pieniędzy nie było, zaciągnął wojsko, i na czele tego własnego wojska sam się opierał Szwedowi, zamek po zamku odbierał, a nakoniec zmusił, że się z Polski całkiem ustąpił i lud w niewolę zabrany oddał. W wojnie zaś z Moskwą wspierał króla silnie i radą i pieniądzmi, i wojskiem swojem własnem, i silnem swem ramieniem, niczego nie szczędził, ni majątku ni życia, by tylko ojczyznie usłużyć, za co go lud wszędzie witał serdecznie i ojcem ojczyzny nazywał.

A choć to był pan majętności wielkich, toć przecież nie mógł tak ogromnym wydatkom, jakich wojna wymaga, podołać; lecz nie ustawał w ofierze, pożyczał pieniędzy od cudzych na swoje dobra, i takie długi porobił, że je sam nie mógłszy spłacić, synom swoim w testamencie przekazał, by dług ojcowski spłacili.

Za jego to życia odbył się w Wilnie wielki obrzęd uroczysty religijny. Ojciec św. Klemens VIII uznał świętym już dawno zmarłego i cudami słynącego Kazimierza, królewicza polskiego, i dekret swój na to do Polski przysłał. Zygmunt III król polski nie mógł sam na tę uroczystość do Wilna zjechać, bo był bardzo ważnemi sprawami zajęty. Nie było gorliwszego, o honor boski i wiary św. więcej dbającego jak Sapieha, i jego też król za siebie na tę uroczystość do Wilna posłał, by tamże przy uroczystości tej osobę króla zastąpił, ciało św. Kazimierza na ołtarzu złożył i całemu ludowi pismo Ojca św. ogłosił. Z radością przyjął to poselstwo na siebie Lew Sapieha, natychmiast do Wilna zjechał, przy wielkiej uroczystości kanonizacyę Świętego ludowi ogłosił, a wziąwszy z rąk posła rzymskiego chorągiew z obrazem Kazimierza św., którą Ojciec św. ze Rzymu przysłał, niósł ją za procesyą pośród najznakomitszych mężów z narodu i wielkiego zebrania ludu, i też chorągiew u grobu św. Wyznawcy złożył, po skończonej zaś uroczystości całą historyę tejże i życia św. Kazimierza wydrukować kazał i takową na większą chwałę Boga i Świętego między lud rozdał, cały ten czyn swój królowi ofiarując, za co mu tenże z wdzięcznością podziękował.

Nie długo potem zakrwawiło się serce Lwa Sapiehy z wielkiego żalu i smutku. Za złą namową podnieśli mieszczanie miasta Witebska bunt, zamordowali okrutnie biskupa i pasterza swego ojca Jozefata Kuncewicza, za to, że wiary swojej mocno dotrzymywał i do odszczepieństwa nakłonić się nie dał, a na miejsce zamordowanego obrali sobie nieprawnie jakiegoś innego biskupa.

Znowu wysłał król do Witebska Lwa Sapiehę, by bunty poskromił, przewódźców ukarał, a zbuntowanych nazad na łono kościoła katolickiego nawrócił. Gdy Lew Sapieha do Witebska zjechał i sprawy tej z ostrożnością dochodzić zaczął; mieszczanie zbuntowani sami się do winy przyznali, i zeznali, że ich pobożny, świątobliwego życia pasterz za poduszczeniem jakiegoś mnicha Czerńca, który z jakimiś listami tam do nich przybył, a potem nie wiedzieć gdzie się podział, tak niewinnie śmierć okrótną poniósł.

Po ścisłem śledztwie ścigano morderców, a ujętych ich 19 jednego dnia kat toporem pokarał. Miastu odebrał Sapieha wszystkie prawa, przywileje i wolności nadane im od królów i książąt polskich, na znak żałoby ratusz obalić kazał, by dzwonka ratuszowego nie mieli, któryby ich na narady zwoływał, z dzwonów wszystkich w mieście jeden dzwon wielki ulać kazał, na którym wykroczenie zabójców wypisane było, i dzwon ten przy kościele, przy którym biskup zamordowany został, na wieczną pamiątkę kary zawiesić rozkazał. Ciała hersztów ukaranych w rzekę Dźwinę powrzucać kazał, za to, że zamordowanego biskupa swego w wodzie utopili. Pokarał też Sapieha srodze Niemców w Rydze, kiedy ci przeciw królowi polskiemu spiski i bunty knowali.

Dbały o chwałę Boga w całej Litwie bardzo wiele kościołów fundował, a przy nich klasztory, kolegja, szkoły, szpitale i kaplice zakładał i wszystkie bardzo hojnie wyposażał. W samej Litwie jest 24 kościołów prócz kilkudziesięciu cerkwi okazałych, które sam wymurował i dochodami opatrzył. Ozdobę świątnic pańskich bardzo kochał, gdy postrzegł albę na księdzu podartą, albo ornat łatany, na ołtarzu kielich materji lub roboty prostej — na wybór piękne alby, ornaty lub kielichy dawał, mówiąc:

— Ja świeckim panem jestem, krótkiego życia i honoru, a przecież ganię sługi moje, jeżeli który w oczach moich w nieprzyzwoitym ubiorze stanie. Jakoż to bardziej szpetna i niegodna rzecz jest w oczach króla nad królami nieochędożnie się pokazać!

Ornatów i innych ubiorów i sprzętów kościelnych tak wielki miał dostatek, że i po śmierci jego synowie mieli czem kościoły opatrywać. Na jałmużnę corocznie wydawał własną ręką więcej niż 70.000 złp. Pokory był on wielkiej; wszystkie swe sprawy z Bogiem poczynał, a przyprowadziwszy je do końca, Bogu to wszystko nie sobie przypisywał. Pobożność jego była bardzo wielka. Pod Smoleńskiem nie żałował jednemu żołnierzowi Grzegorzowi darować wieś dużą za obraz Maryi Panny, który przez długi czas jako największy skarb przechowywał w skarbcu swoim, potem syn jego darował ten obraz do cerkwi Czerejskiej, gdzie do dziś dnia wielkiemi słynie ła-

skami. Do Maryi Panny i ukrzyżowanego Jezusa, osobliwsze miał nabożeństwo, co noc leżąc krzyżem na ziemi przez pół godziny modlił się za kościół i ojczyznę, a tak to czynił kryjomo, że nikt by o tem był nie wiedział, żeby był przypadkiem nie wydał się przed spowiednikiem. Pacierze kapłańskie co dnia odmawiał, co też znając spowiednik jego' skorzystał z tego pewnego razu ratując życie jednemu żołnierzowi, na którego zapadł dekret śmierci, za to, że przypadkiem z lekkomyślności zabił żyda. To też gdy już ów żołnierz na drugi dzień podać miał gardło pod miecz katowski, spowiednik ów wiedząc, że książę żadnej nocy nie opuści by się z książki nie pomodlił, włożył do niej na to miejsce gdzie czytać miał, kartkę, na której wypisał z pisma świętego prawo o zabójstwie, które człowiek nie dobrowolnie popełni. Książę w nocy wstawszy, gdy ową kartkę przeczytał, obdarował życiem żołnierza na śmierć skazanego, rzekłszy do siebie:

— Dobrze się stało, będziemy przed Bogiem bez grzechu! — a potem dziękował spowiednikowi za roztropny pomysł jego i pochwalił go mówiąc:

— Wygrałeś ojcze, iżeś roztropnie upomniał.

Dekret zaś ów na tego żołnierza dla tego tak srogi wypadł, gdyż książę ten karności w wojsku ściśle przestrzegał mawiając:

— Czemże poskromić tego, który idzie na cudze życie z orężem, jeżeli nie bojaźnią śmierci, bo i czegoż by sobie nie pozwalali! Kara śmierci na jednego, bojaźń na wszystkich pada i w karbach ich utrzymuje.

Przestrzegał tego najwięcej, żeby wojsko mając bronić lud przed napaścią cudzych, obywatelów i ludu nie uciążało i łez z nich nie wyciskało.

— Trudno się przez takie wojsko zwycięstwa spodziewać — mawiał książę — za którym się przekleństwo wlecze i łzy ludzi ubogich.

To też za to Lew Sapieha ojcem poddanych był przezwany, gdyż rządcom dóbr swoich nigdy zalecać i nakazywać nie przestawał, by kmiotków jego nie krzywdzili, nie uciskali i często im te słowa powtarzał:

— U was chłop chłopem, a u mnie Wielmożnym, Jaśnie Wielmożnym, bo kiedy chłopa nie będzie, pewnie Jaśnie Wielmożnych nie będzie!

Dla poddanych w dobrach swoich liczne szkoły fundował mawiając: że nic tak narodu na nogach nie stawia, jak dobre szkółki i dobra w nich i pożyteczna nauka dla młodzieży prostej. Wrodzona ludzkość, litość i sprawiedliwość ku poddanym pana tego zjednała mu u nich wierność, życzliwość i miłość, dla której nie nazywali go panem, tylko ojcem swoim. Żyje dotąd między gminem prostym wiekami niezatarta sława jego i żyć będzie równo z ich pokoleniem.

Jak za życia swego zawsze był z Bogiem, tak też przy modlitwie lekko i spokojnie w Bogu życia dokonał, a żałoba i błogosławieństwo ludu nie tylko Litwy ale i Polski całej, to jedyny skarb i najdroższy i najmilszy, który z życia swego Bogu zaniósł w ofierze. *Szczęsny z Żółkwi.*

Zdrowaś Maryjo!

Zdrowaś Maryjo, Boga Rodzico!
Błagamy Ciebie Święta Dziewico!
Niech łaska Twoja zawsze nam sprzyja,
Módl się za nami! Zdrowaś Maryja.

Panno przeczysta, Panno bez zmazy,
Broń nas od chorób, strzeż od zarazy,
I jako raju wonna lilija,
Oczyść powietrze — Zdrowaś Maryja!

Ty coś karmiła świata zbawienie,
Nam jako Matka daj pożywienie,
Niech brak żywności nas nie zabija,
Broń nas od głodu! Zdrowaś Maryja

Ty coś płakała nad śmiercią Syna,
Przez Twe łzy gorzkie Matko jedyna
Oddal śmiertelność co lud zabija,
Broń nas od moru! Zdrowaś Maryja!

Ty coś płomieni innych nie znała,
Tylko miłością Boską pałała,
Spraw niechaj pożar dom nasz omija,
Broń nas od ognia — Zdrowaś Maryja!

Najświętsza Panno, łagodna, cicha,
Spraw niech miłością lud Twój oddycha,
Niech się niezgoda wśród nas nie zwija,
Daj bratnią jedność — Zdrowaś Maryja!

Ty coś Chrystusa w łonie poczęła,
Pokorą życia wśród nas słynęła,
Chroń nas od pychy wdzięczna lilijo,
Daj bratnią miłość — Zdrowaś Maryjo!

Ty coś ubóstwem była odziana,
Chroń od chciwości, cechy szatana;
Zasłoń od nędzy, co lud zabija,
Daj mierność w życiu — Zdrowaś Maryja!

Królowo nasza wśród Cherubinów,
Usłysz głos ziemi nieszczęsnych synów,
Co się do tronu Twojego wzbija,
Ratuj nas Matko! Zdrowaś Maryja!

Niech nasze ziemskie znikną cierpienia,
Spuść nam z niebiosów gwiazdkę zbawienia,
Niechaj zgryzota dom nasz omija,
Zasłoń swą tarczą! Zdrowaś Maryja!

Błogosław ziemię, ojczyste łany,
Cele godziwe i kraj kochany;
Błogosław naród wdzięczna lilijo!
Boś nam Królową — Zdrowaś Maryjo!

Dzięki Ci Matko nasze składamy,
Za to co w życiu z Twej łaski mamy;
Niech Twoja litość zawsze nam sprzyja,
Wspomóż nas wiernych!.. Zdrowaś Maryja!

Dobry przyjaciel,

czyli:

Jak Kasper Bąk z bogatego gospodarza zeszedł na proszalnego dziada.

Moja Pani Matko,
Szanujcie też zięcia,
Żebym Wam nie bijał
Waszego dziecięcia,
Żebym go nie bijał,
Gorzałki nie pijał,
Do karczmy nie chodził,
Za łeb się nie wodził!

— Hu! ha! dalej chłopcy! hejże za mną — krzyknął Kasper krzesząc ognia w podkóweczki i wywijając od lewego z Baśką córką Jesionka najbogatszego kmiecia z Powroźnika. Ba, cóż nie miał hulać, a czy to dzisiaj nie jego wesele? Co się nie ma radować: dwadzieścia i pięć morgów pola pszenicznego, sześć mórg łąki, pięć pastwiska i do tego jeszcze ośm gaju, drobne to bo drobne; ale jest czem w piecu zapalić i płot ogrodzić, a chociaż i krokwa na poprawę chałupy się znajdzie.

To grunt, że obsiany i dobrze każdy o tem wie, że w stodole pełno jak nabił, a w spichrzyku omłóconego nie mało i o tem wiedzą ludzie: że jest sześć krów w oborze, cztery konie w stajni i troje trzody w chlewie, a kur, gęsi i kaczek z kopa, to i tego nie skryje, ale że w skrzyni 120 dukatów i kupka srebra, o tem ludzie nie wiedzą, bo ich nie rachowali — ale przecie coś przebąkują...

Kiedy były zmówiny, stary Jesionek, kmieć też bogaty, mówił do Kaspra:

— Czemże ja będę wianował moją Baśkę, kiedy ty Kasperku takiś gruby, a może i grubszy bogacz jak ja... Już to dla mego Antka grunt i dobytek, ale tobie już sam nie wiem co dać.

— Co łaska panie ojcze, co łaska — mówił Kasperek.

— Wiesz, że rachować nie umiem, ale jeśli przystaniesz, dam ci garniec starych talarów na przykupienie gruntu.

— Bóg zapłać panie ojcze! — rzekł Kasper.

— I cztery nitki korali, co je po sześć dukatów nieboszczka pani matka płacili.

— I to się przyda, jeśli nie dla mnie, to dla Basi — mówił Kasperek kłaniając się ojcu.

Po tych zmówinach we trzy niedziele było weselisko, od któregośmy zaczęli nasze opowiadanie. Luda było jak nabił, muzyczka jak się patrzy, jadła co nie miara, jednej tylko gorzałki ani krzty, jeno miód a wino; bo ani ojciec Basi, ani Kasper, ani cała rodzina wódki nie pijali.

Tak Kasper ożeniwszy się z Basią był najbogatszym kmieciem na dwie mile w około, a wszyscy mówili, że niejednego drobnego dzierżawcę mógł w kieszeń schować.

Kasper po weselu wziął się ochoczo do pracy, za owe teściowe talary przykupił jeszcze kilkanaście morgów roli i dwie pary wołów. Miał czterech parobków, trzy dziewki i pastucha, robił wedle pola bardzo pilnie, co rok też przysparzał sobie grosza i dobytku.

— Zobaczycie — mawiano w karczmie — że ten Kasper Bąk jeszcze kiedyś na wsiowego pana wyjdzie; a jeśli nie on, to jego dzieci.

Jakoś w tym czasie przybył do Powroźnika Bonawentura Łysak, cioteczny brat Kaspra. Służył on był w wojsku przez 10 lat, a że czytać i pisać umiał, został więc kapralem. Harda to była i ostra sztuka, czapkę wojskową nosił przekręconą na ucho, a choć z wojska wystąpił i już w górnicy chodził, chciał żeby mu wszyscy mówili: panie kapral.

Dostało mu się po ojcu kilka morgów nie złej roli i licha chałupa, ale co inwentarza to już nietylko ani szkapy ni krowy, ale nawet ni psa ni kota; myszy tylko w starej stodole nie brakowało, ale przecież myszami nikt nie orze.

Łysak nie był w ciemię bity, ledwie przybył do wsi, a już się dowiedział o majątku Kaspra. Postanowił mu więc schlebiać i ciągnąć ku sobie, aby potem i pożytkować z głupiego, i przysporzyć swej kieszeni cudzą pracą.

Najprzód więc zaszedłszy do domu Kasprowego, pozdrowił gospodarza bardzo pięknie, oglądał a wychwalał co tylko

sił stało jego całe obejście i inwentarz i obrobienie roli i gospodarkę i żonę i dzieci i czeladkę, jednem słowem kłapał językiem gdyby pytlem we młynie, a Kasperkowi aż serce rosło.

Kiedy się tak zaraz na wstępie poprzyjaźnił i serca obojga pozyskał, zaraz też i bywać począł w Kasprowym domu. Bonawentura przywiózł z sobą kilkadziesiąt reńskich, które był jeszcze na wojnie we Włoszech pozyskał, więc też chcąc ich lepiej sobie zjednać, zaprosił oboje do miasta, a tam ich drogiem a słodkiem winem tak uczęstował, że pijaniuteńcy do domu powrócili.

Kasper aż do tego czasu rzadko kiedy co pijał, raz dla tego że się wyprzysiągł wódki, powtóre ze w mieście nie bywał tylko kilka razy do roku ze zbożem, kiedy je na targ wywoził, ale i wtenczas poprzestawał na jednej lub dwu szklankach piwa, raz tylko pił wino, ale że było kwaśne więc za niem wcale nie tęsknił. Skoro przecież zakosztował onego starego a słodziutkiego węgrzyna, od którego mu się dziwnie miło na sercu a gorąco na serduszku zrobiło, więc zaraz wstręt do napitku w nim zniknął i pogardził kwaśnem winem i ordynaryjnem piwem, a umyślił sobie nic nie pić, a jeżeli pić to chyba tylko owo wino, którem go poczciwy Bonuś utraktował. I oglądał się za okazyą jakoby się wziąć do flaszeczki.

— Wiecie co panie Kapralu — mówił na drugi dzień Kasper do Łysaka — uczęstowaliście mię wczoraj co się zowie, pozwólcież niechajże ja was dzisiaj uczęstuję nawzajem.

— Nie mój Pociotku — odrzekł Bonuś - - nic bracie z tego dziś nie będzie, wczoraj była niedziela, to co innego, a dziś poniedziałek, trzeba się brać do roboty, bo i trunek nie poszedłby nam na zdrowie i wasza by była na mnie *szimfowała*, że się włóczycie ze mną po mieście za kieliszkiem wina.

— Co ma być markotna, czyż jej to z sobą wziąć nie możemy, ona na to jak na lato.

— A nie szkoda to pieniędzy — mówił chytrze Łysak — trzeba wam wiedzieć mój Kasprze, żem wczoraj płacił za butelkę po ośm złotych, bo to jest *wein ausbruch*, ale wy po niemiecku nie znacie.

— Ha! toście się bardzo poszkodowali — mówił Kasper — ale na mnie tego nie znać, co dzięki Panu Jezusowi więcej mam niżli mi trzeba.

— Wiecie co Kasprze — odpowie Łysak — zamiast co macie pieniądze tracić na napitek, pożyczcież mi łepiej nieco grosza, bobym rad sobie chociażby liche szkapięta kupić, nie mam też ani krowiny ani żadnego instrumentu do roli, i bardzo mi trudno rozpocząć gospodarkę.

— Fraszka o to, każę moim parobkom wyjechać i grunt ci sprawię, a na szkapy pieniędzy pożyczę, czyś to nie mój pociot. Jutro jarmark na konie i bydło, to pokupujemy.

Na drugi dzień wyjechali we troje do miasta, Pociot Bonawentura kazał na początek dać butelkę statego maślacza, Kasper drugą i trzecią, jak sobie podpili, tak też poszli kupować konie. Bąk mając zagrzaną głowę, zamiast ladajakich szkap, kupił dwa piękne konie, krowę, jałówkę i maciorę, poszli znowu do sklepu obrachunek robić, ale po jednej i drugiej butelce, Kasper opiwszy się począł ściskać Bonawenturę i rzekł do swej niewiasty.

— Basiu! cóż to mamy z krewniakiem robić porachunki, dyć to moja krew! dyć to syn siostry mojej matusi, mamy pieniędzy dosyć, to trzeba biedaka wesprzeć, niechże on sobie to wszystko cośmy kupili weźmie i niechaj mu posłuży na zdrowie.

— A niech bierze, co nie ma brać — mówiła Basia, ledwie stojąc na nogach.

— Ja nie przystanę na to — mówił Łysak — hej panie kupiec, jeszcze butulkę *fein weinu.*

— Musisz przystać — wołał pijany Kasper — bo jak nie, to cię w łeb udrę, rozumiesz.

— No ja się tam z moim *bruderkiem* nie będę bijał, kiedy tak chcecie to niech będzie ale musisz mi to przy świadkach, żebyś potem nie zapierał, a mnie po sądach nie ciągał.

Więc Kasper zawołał kupca, sołtysa ze wsi i dwóch gospodarzy i przy nich swemu krewniakowi podarował wszystkie kupione rzeczy.

Od tego czasu w wielkiej żyli przyjaźni. Łysak schlebiał Kasprowi, a ten coraz częściej zaglądał do miasta i grosz marnował.

Tak przeszło parę lat.

W tym czasie po rozmaitych wydarzeniach w kraju nastało prawo, ażeby włościanie sami sobie wójtów obierali. Skoro się zebrała gromada, uradzili wszyscy, że w całej wsi nie ma mądrzejszego na wójta jako Łysak, bo i czytać umie i schodziwszy wiele krajów zna różności światowe i wszelkie obyczaje ludzkie, a więc będzie umiał dobrze chodzić wedle dobra gromady. Łysak wcale się nie wzdragał, ale kiedy już ostatecznie na to przyszło, że miał przysięgać na wójtowski urząd, tak się odezwał:

— Ojcowie gromadzcy, bardzom temu rad, żeście mię *awansirowali* na ten urząd wójtowski, który we wsi tyle znaczy co *kapitan przy kumpanii*, ale chociaż znam czytać i pisać, to nie mam takiego dobytku, żebym mógł gromadę pięknie częstować, kiedy przyjdzie jaka okazya. Więc przystańcie na to, abym ja był pisarzem gromadzkim przy wójcie, niby feldweblem przy kapitanie, a zaś na wójta weźmy Kaspra Bąka, który ma zadość pieniędzy aby pięknie wójtowski urząd sprawował.

Więc gromada na to przystała, a Kasper ucieszony z tego bardzo, Bonawenturze podarował dwuletnią jałówkę, gromadzie zaś wielką wyprawił hulankę, na której słodkie wino lało się jak woda w gardła gospodarskie.

Odtąd pan wójt gospodarzy, a pani wójcina gospodynie hojnie raczyła, i rosło znaczenie Kaspra, ale za to ubywało majątku. Bo nie dość że gotowizna poszła na hulanki, ale i korale poszły na zastaw, a gdy tego brakło, począł Kasper po kawałku grunt sprzedawać, to na pięć, to na dziesięć lat, marnował się dobytek i oboje coraz na większą biedę schodzili. Bieda ta przecież przychodziła wesoło, bo przy kieliszku i hulance, kiedy zaś Kasper pomiarkował, że wino słodkie kosztowało za wiele, przeszedł do kwaśnego, potem do piwa, a że się wreszcie i z gorzałką przeprosił.

Jakim to szło sposobem, byście się dowiedzieli, posłuchajcie rozmowy Kaspra ze żoną.

— Basiu, pieniędzy już nie ma ani krzty, a pojutrze mamy gromadę, trzebaby wszystkich uczęstować pięknie, cóż tu robić?

— Ha sprzedajmy Bartkowi łąkę wedle stawu, bo się o nią napiera.

I sprzedali wziąwszy za trzy morgi na pięć lat dwieście czterdzieście złotych. Po odbyciu gromady pyta się Kasper żony.

— Dużo masz jeszcze pieniędzy Basiu?

— A będzie jeszcze z ośm złotych.

— Bój się Boga kobieto — zawoła Kasper — a gdzieżeś ty pieniądze podziała, tom ci przecie dał pięćdziesiąt złotych.

— Albożem to nie popłaciła długów, Janklowi piętnaście, Mośkowi dwadzieścia, kupcowi w mieście jedenaście, a za resztę uczęstowałam kumoszki, aleć ty przecie musisz mieć dosyć grosza, boś zatrzymał cztery razy tyle.

— Ja też zapłaciłem siedmdziesiąt złotych za wino, bo mi od Bożego Narodzenia borgował. Szai także za wódkę należało się sto dwadzieścia, tom połowę upłacił, a Łysakowi dałem długu trzydzieści dwa, a za resztę uczęstowałem gromadę.

— Nie mógł ci to Łysak poczekać, zapytała Basia.

— Ba onby też czekał, toć mi odgrażał, że mię zaskarży do powiatu, i tyle zrobi, że mię z urzędu wójtowskiego zrzucą.

Tak więc w krótkim czasie Kasprowie sterali się zupełnie. Wprzódy miał zadość chleba nietylko dla siebie, ale jeszcze i dla biednego wystarczyło; teraz zaś coraz większa bieda dała im się we znaki. Wybrały się bydlęta; koniska zgłodniałe i zmarzłe dzwoniły zębami nad próżnym żłobem, co im nie miał kto podać garści obroku, albo wiązki siana. Na drugi dzień rano Kasper jeszcze nie wytrzeźwiony z wczorajszej pijatyki, ciągnie biedne bydle do pługa, które mrąc głodem ledwie na nogach utrzymać się może. Jaka pasza, taka i robota, jaki gospodarz takie oranie, parobcy niepłatni poodchodzili, nie miał też kto i koło krów pochodzić, bo gospodyni piła jak i mąż, a czego tylko dopadła wynosiła do karczmy. Dzieci bez dozoru, bez nauki, obtargane, powalane, głodne, zamiast na pociechę Bogu i rodzicom, rosły ludziom na szkodę, bo przyciśnione głodem uczyły się kraść i kłamać, widząc zaś niezgodę i obrazę

Boską między rodzicami, same przyzwyczajały się do klątw i złorzeczeń.

Nareszcie co się stać miało to się i stało. Barbara zapiła się i wracając z jarmarku późno w nocy spadła z mostku w rzekę, a chociaż woda tam nie była głęboka, przecież wódka przycisnęła jej głowę do dna i kobiecina utopiła się. Straszna to była jej śmierć bez przygotowania, bez spowiedzi, bez świętych sakramentów! Po śmierci żony, Kasper rozpił się do reszty. Dłużnicy zabrali gospodarstwo, a ów niegdyś najbogatszy kmieć w całej wsi, wyszedł na dziada i z kijem a torbą od wsi do wsi łazi strasząc psy i dzieci, a kiedyś pewnie umrze pod płotem. Otóż to taki koniec będzie Kaspra Bąka, który mu zgotowała gorzałka.

Chwałaż ci miła gorzałeczko, która takich cudów dokazujesz, niechaj się przed tobą schowają owe czarownice, co to o nich ludzie rozpowiadają, że niby umiały mleko zamawiać; bo ty bez czarów zamawiasz rozum człowieka i przemieniasz go w bydlę. Niechże się zawstydzi i sam panicz rogaty, bo on nad ludźmi takiej mocy nie ma jak ty piekielny truneczku, co najporządniejszego gospodarza wyprowadzisz na gałgana, a z wójta zrobisz pijaka i dziada!

RÓŻNOŚCI.

Przeproszenie za obrazę. Ni za górami ni za lasami, ale we wsi Trawnie mieszkał Antoni Chapek, człowiek który lubo nie miał wielkiego gospodarstwa, bo jeno podobno sześć mórg samych piasków, dobrze sobie jednak zajadał co czwartek u rzeźnika Czerwonki i tęgo zapijał najlepsze likiery u Icka, a gdy przyszła niedziela, to się tak wystroił w sukienną sukmanę i świecący kapelusz, żebyś myślał sobie, iż to pewnie sam sołtys lub jaki ławnik ze wsi. Różnie tam gadali o nim ludziska, że niby nieraz zakrada się jako kuna w nocnej porze to do spiżarni, to do stodoły i inne jeszcze rzeczy o nim gadano, ale tak tylko między sobą, boć nikt go na gorącym uczynku nie schwycił. Wszakże wszyscy go nie cierpieli i nie radzi się z nim w jaką sprawę wdawali, i jakby jemu na urągowisko w pohańbieniu nazywali go Chłapek.

W niedzielę po południu idzie sobie Szymon, co był człowiek wielce

uczciwy, jeno trochę gorączka, a przytem i figlarz nie mały, do karczmy stojącej tam gdzieś na końcu wsi by sobie przeczytać jaką gazetkę Wchodzi sobie tedy do karczmy, a tu siedzi przy stole Antoni Chapek, a przed nim stoi spora flaszeczka z winem.

— Jak się macie Szymonie — odezwie się Chapek — proszę na kieliszek wina, a jest dobre.

— Dajcie mi pokój z waszem winem. Pijcie je sobie sami, któż tam wie za czyje i jakie pieniądze je sobie kupiliście.

— Jeno mi o takich rzeczach nie gadajcie, Szymonie, bobyście się sparzyli: Jam człowiek tak uczciwy, jak i wy jeśli nie więcej.

— Co? ty Chapku o uczciwości swej chcesz mi w żywe oczy gadać? Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

Powstał na to Chapek i nuż się kłócić z Szymonem, bo mu już i szumiało w głowie i nie kontentując się, co dostał, koniecznie jeszcze czegoś więcej mu się zachciewało. Od słowa do słowa aż przyszło do tego, że mu Szymon bez ogródki palnął prosto w oczy:

— Ty złodzieju, ty rabusiu, tyś nie wart, że cię święta ziemia nosi! Kto to ukradł siekierę z podwórza Marcinów, kto pozdejmował żelastwo z pługa Ignacemu, gadajże, gadaj chapku, łapku, złodzieju.

Chapkowi i tego było za mało, na drugi dzień wybrał się do miasta ze skargą przed sędziego na Szymona, jako go niewinnie o złodziejstwo posądza i obraża. Krucho było teraz z Szymonem. Po niejakim czasie wołają go przed sąd i czytają mu wyrok, że za karę musi zapłacić pięć złotych za to, że uczciwego człowieka nazwał złodziejem.

— Ha, cóż robić — myśli sobie Szymon – kusa rada, trzeba już będzie i zapłacić. Dobywa więc pięć złotych i kładąc na stół, mówi:

— Więc to proszę Prześwietnego Sądu trzeba pięć złotych zapłacić, gdy się uczciwego człowieka nazwie złodziejem? A coby też trzeba zapłacić, gdyby się złodzieja nazwało uczciwym człowiekiem?

Sędzia rozśmiał się na to pytanie i rzekł:

— To przecież nic nie kosztuje, boć się przez to nikogo nie obraża.

Zaczem Szymon obraca się do Chapka i mówi:

— Żałuję, bardzo żałuję, żem cię obraził uczciwy człowiecze. Bywajże mi zdrów, uczciwy człowiecze!

Chapek zrozumiał doskonale, co znaczyły te słowa, chciał Szymona jeszcze raz zaskarżyć, boć teraz czuł się jeszcze mocniej niż przed tem obrażonym Ale pan sędzia, który go też już trochę znał, nie przyjął skargi i powiedział mu, żeby się tem kontentował, boby nareszcie źle wypaść z nim mogło.

Gościniec dla rabina. W pewnem mieście żył bardzo rozumny i uczciwy rabin, więc żydzi zmówili się, aby mu jakiś dać podarunek. Długo radzili aż w końcu uradzili, dać mu beczkę wina. Umówili się więc tak, aby każdy żyd przyniósł z sobą jedną flaszkę wina i wlał do beczki, a tym sposobem miała się cała beczka

napełnić. Przyszedł termin zebrania wina, a tu jeden i drugi żyd tak sobie myśli:

— Po co ja mam dawać wina prawdziwego, ja przyniosę butelkę wody i wleję do beczki, a któż tam będzie wiedział, że ja dał wodę, a w winie to nawet znaku po niej nie będzie!

Ba! gdyby to był tylko jeden i drugi tak sobie pomyślał! Ale tą razą to wszyscy żydzi tak sobie to w głowie ułożyli, każdy dla siebie i każdy w wielkim sekrecie. Gdy przyszło napełnić beczkę, każdy żyd wylał coś prędziutko z flaszki i poszedł. Gdy już beczka była pełna białego wina, zawieźli ją żydzi do rabina. Rabin podziękował im pięknie i kazał darunek schować w piwnicy. Gdy przyszedł szabas, posłał rabin do piwnicy, aby mu z tej darowanej beczki utoczono wina. Kiedy mu wino przynieśli — on kosztuje! — a to samiutka czysta woda! I inaczej też być nie mogło, bo każdy żyd myślał sobie skrycie, jak inni, i nalał zamiast wina wody do beczki.

Z druciarza pan. Jak to daleko przy pracy, oszczędności i Bożej pomocy doprowadzić może uczciwy człowiek, macie przykład w takiej historji, o której piszą gazety. Przed kilkunastu laty przyszedł do Warszawy z daleka jakiś druciarz ubogi. Był to bardzo uczciwy i pracowity człowiek, więc też zarabiał dosyć, oszczędzał i tak powoli uzbierał sobie znaczny majątek i kupił w Warszawie kamienicę. Ale co w tem najpiękniejsze, to to, że ten druciarz jak wyszedł na pana nie zapomniał o swem pochodzeniu i bogactwo nie popsuło mu serca! Oto widzicie na pamiątkę swego stanu daje on codzień u siebie obiad jakiemu biednemu druciarzowi, co się do Warszawy przybłąka. Takiemu to Bóg nie poskąpi błogosławieństwa!

Zaraza na bydło. Za granicą, w obcych krajach, a szczególnie w Anglii, to połowa bydła odeszła, na jakąś chorobę tyfus bydlęcy; ma to być straszna na bydlątka choroba; zaś u nas w Galicyi pojawił się w okolicach za Lwowem tak zwany „Księgosusz“, i już w kilku miejscach bydło padło. Na to nieszczęście pomoże jedynie ostrożność wielka, bo choroba bydlęca nie udziela się tak powietrzem, jak cholera na ludzi, tylko bydlę musi się jedno od drugiego zarazić, to jest musi się jedno z drugiem zetknąć; a przecież temu łatwo zaradzić, żeby z okolicy gdzie zaraza, nie wypuścić bydła, ani broń Boże nie kupić, choćby najtańsze było; jak też równie, gdy u kogo bydle zachoruje, żeby tego dla szkody nie ukrywał, ale zaraz dał znać do urzędu, i dalej swego bydlątka nie puszczał, inaczej stałby się zdrajcą swojego własnego kraju, i pokazałby, że nie kocha bliźniego swego, bo co tobie niemiło, to drugiemu nie czyń!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 12.

21. października 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kościuszko w Liplesie.

Będzie to już temu spory kawał czasu, kiedy to za różnemi interesami przejeżdżałem przez obwód bocheński. Owoż wypadła mi droga przez wieś jedną, co się zwie Liplas. Wieś ta leży nad samą Wisłą, ma zacnych i zamożnych kmieci — ale co najciekawszego widziałem w Liplesie, to dużą mogiłę, usypaną przy siole i ogrodzoną do koła porządnie.

A że to ja jestem już z natury taki ciekawy, że radbym wiedzieć o wszystkich takich mogiłach, zwaliskach i okopach, bo to one zazwyczaj z dawności pochodzą i zawsze o nich jakąś piękną gadkę między ludźmi można zasłyszeć — więc też zatrzymałem się we wsi i nuż się dopytywać, zkąd się to w Liplesie wzięła ta mogiła i co to o niej tamtejsi ludzie prawią. Spytałem się więc jednego i drugiego kmiecia, a ci mi radzili pójść do samego wójta, bo choć to i oni wiedzą o tej mogile, ale wójt to już zna o niej historję najlepiej i jako człek rozumny na rozum rozpowiedzieć ją umie.

Był więc jeden gospodarz taki łaskaw, że mnie zaprowadził do wójta, który na moje powitanie serdecznie i gościnnie mi odpowiedział i siadać zaprosił.

— Przepraszam was panie wójcie — odezwałem się pierwszy — że ja nieznajomy nachodzę was w chacie, ale raczcie to wybaczyć po staropolskiej gościnności.

— O mój panie kochany — prawi na to wójt — toć rad wam jestem z całego serca. Toćto nasze staropolskie przysłowie mówi: »gość w dom Bóg w dom,« a lichy by to był Polak i gospodarz, coby podróżnemu języka i gościny pożałował.

— Pięknie gadacie, panie wójcie — mówię ja na to — i widać, że z was polskie serce żywcem przemawia, toć też pewnie opowiecie mi historję o tej dużej mogile przy wsi, bom ją rad bardzo wiedzieć.

— Z całej duszy — miły panie — mówi wójt na to — już to wy panowie z miasta macie taką ciekawość, a godzi się przecież udzielić tego drugiemu, co człek sam wie. Oj już ja sam nie pierwszemu i nie dziesiątemu musiałem rozpowiadać tę historję.

— Bo też i widzicie moiściewy — mówię ja znowu — historje o takich starych pamiątkach to są zawsze bardzo piękne i pouczające, a my je kochać powinni, bo one pochodzą zazwyczaj z naszej dawności, kiedy to Polska, nasza ojczyzna miła, była w dobrej doli i wolności... Ale otóż zabieram wam czas, więc też lepiej zacznijcie opowiadać, jeżeli łaska.

Wójt podumał trochę, potarł ręką po czole a poten zaczął opowiadać:

— Dawne to już czasy i ja już tej historji nie zapamiętam. Ale mój dziaduś pamiętał ją jakby wczoraj się stało, bo był wtenczas gospodarzem, a mój ojciec także dobrze wiedział o tem, bo już wówczas, kiedy tę mogiłę sypano, był dużym dorostkiem i sam ją sypać pomagał.

— To ta mogiła z nie tak bardzo dawna pochodzić musi? odezwałem się na to.

— I z dawna i z niedawna — odpowiada wójt na to — bo z czasów pana naczelnika Kościuszki...

— Kościuszki! — zawołałem i wstanąłem z ławy z poszanowaniem, bo kto imię tego sławnego Polaka i obrońcy ojczyzny wymawia, powinien czynić to z czcią i poważaniem wielkiem, boć to święte imię dla Polaka.

— Tak, miły panie, — prawił wójt dalej — z czasów pana naczelnika Kościuszki, Panie świeć nad jego wielką duszą, boć to choć go człek już sam nie widział, ale tyle o tym naczelniku polskim i wodzu nasłuchał się gadek pięknych, że już samo imię lgnie do serca... Był to snać wielki człowiek i bardzo dzielny Polak, kiedy tak dzielnie bił się za Polskę i tak tęgo kropił Moskali, a choć był naczelnikiem całego narodu polskiego, to nie pogardzał prostaczkami, jeno sam w sukmanie chodził i ich kochał i na Moskalów prowadził!

— Święte słowa mówicie — rzekłem na to do wójta i łza mi w oczach stanęła, bo tak mię za serce schwytała wspominka naszego Kościuszki, a po chwili pytam dalej: — No i jakże to powstała ta mogiła?

— Oto słuchajcie — prawi wójt — mówię tak, jak sam słyszałem, a prawda to musi być święta, bo wszyscy starzy ludzie na to by przysiądz byli gotowi. Kiedy to w naszej ojczyźnie kiepskie nastały czasy, i król Poniatowski kiedy baba jaka stara nie miał za grosz ani honoru ani odwagi, a Moskal szelma gospodarował w Warszawie jak na własnem mieniu — nie widzieli innej rady Polacy, jeno przywołać do kraju pana Kościuszkę, co był wówczas gdzieś w dalekich stronach za granicą, aby wrócił do ojczyzny i wypędził to moskiewskie hultajstwo z naszej polskiej ziemi.

Mnie na to opowiadanie bardzo miło się zrobiło, bo to zawsze pięknie jest, gdy kmieć polski umie co opowiedzieć o swej ojczyźnie i wie jak w niej bywało. Słucham więc dalej z wielką uwagą, a wójt tak opowiada:

— Otóż wysłali pisanie do Kościuszki, a on że zawsze lubił nad życie Polskę i aby bić jej wrogów, to był na to jak na lato, zaraz się zebrał i coprędzej zjechał do Polski. Jechał zaś wprost do samego Krakowa, aby tu zebrać wiarę na Moskala. Ale jakoś się stało, a już tego nie umieli rozpowiedzieć ani mój śp. dziaduś ani tatuś, że nasz pan naczelnik Kościuszko trafił na jakąś zdradę i musiał się na jakie parę tygodni schować dobrze i zaczaić przed nieprzyjacielem. Owoż kiedy się trzeba było przechować jakiś czas w ukryciu, więc pan Kościuszko pomyślał sobie:

— Toć gdzie mam przeczekać i gdzie będę bezpieczniejszym, jak nie między ludkiem polskim, co mnie tak kocha serdecznie! Oto nie będę ukrywać się po miastach i pałacach ale pod strzechą chłopską, bo mnie tam tak prędko nie wytropią źli ludzie, a choćby i wytropili, to mnie kmiecie nie dadzą!...

I jak pomyślał tak zrobił — a szczęśliwym trafem wybrał sobie za schowek nasze sioło. Żył tu bowiem pod owe czasy sołtys, człowiek przezacny, Polak duszą i ciałem, który byłby za panem Kościuszką skoczył choćby w piekło gorejące.

Ja aż zaparłem oddech w sobie, taka mnie zdjęła ciekawość na tę śliczną powieść, a wójt westchnąwszy prawił dalej:

— Otoż widzicie do tego sołtysa zajechał potajemnie pan Kościuszko i rozgościł się w jego chacie i mieszkał u niego przez kilka tygodni i czekał nowin z Krakowa, kiedy najlepiej będzie ogłosić wojnę z Moskalami. Rozeszło się to po gromadzie i wszyscy okrutnie się rozradowali, że pan Kościuszko między nimi, i zaraz też porozstawiali wszędzie warty i dzień i noc strzegli jak oka w głowie polskiego naczelnika. Tymczasem pan Kościuszko rozpowiadał im niedolę polską i tłumaczył, jak to ojczyznę ratować potrzeba z bronią w ręku i wypędzić z niej przebrzydłego Moskala! Przez cały dzień pan naczelnik Kościuszko coś pisał i czytał, jakieś papiery przeglądał i dziwne figury ołówkiem malował. A zaś co rana, ledwie Boża jutrzenka zaświtała na niebie, wychodził Kościuszko za wieś w pole i klękał, zwracał twarz w te stronę, gdzie Kraków leży, i modlił się gorąco do Boga!...

Mnie się łzy puściły z oczów z wielkiego rozczulenia i z wielkiej żałości, a i pan wójt westchnął ciężko i podumał z smutkiem, nim dalej opowiadać zaczął.

— I tak widywała go gromada przez ten czas co rano, modlącego się na polu z wzrokiem ku Krakowowi zwróconym... Wtenczas to i ludzie za tym przykładem wzdychali do Boga z serdecznem nabożeństwem i mówili pomiędzy sobą:

— Hej modli się nasz pan naczelnik gorąco i coś ku Krakowowi spogląda, pewnie to niezabawem pohulają nasi z Moskalami!

— Oj i pohulali też co się zowie!... — mówię ja na to.

— A tak — rzecze wójt — prawdę ludzie mówili. Pewnego dnia pan Kościuszko zebrał się nagle w drogę i pożegnał sołtysa. Dowiedzieli się o tem nasi, i zaraz ci też huk ludzi się zbiegło przed chatę sołtysową i żegnali naczelnika i całowali mu kolana. I każdy parobczak a nawet nie jeden młody gospodarz tak przemówił:

— Hej panie ojcze nasz i naczelniku, toć my już wiemy, że to pan naczelnik wybiera się na Moskala, toć i my Polacy, i pójdziemy za naszym naczelnikiem!

— Hej, pójdziemy! pójdziemy! — zawołało kilkunastu od razu.

— Hejże na Moskala! Niech żyje pan Kościuszko, nasz wódz i naczelnik! — huknęło ze sto głosów naraz.

Panu Kościuszce aż się łza w oku zakręciła i mówi:

— Dzięki wam poczciwi ludzie! Hej, hej mocny Boże, gdyby to taki każdy był kmiotek, nie byłoby licha w naszej ojczyźnie!...

A potem pożegnał się z całą gromadą, wsiadł na konia i z jakiemiś dwoma panami ruszył z miejsca. A gromada odprowadziła go hen aż za wieś, a on kiedy już był daleko, jeszcze czapeczką ku ludziom potrząsał!...

A zaraz tego samego dnia znowu kilkunastu chłopaków jurnych wybrało się ze wsi i powędrowało do Krakowa, hen na wojnę, do kosynierów, na Moskala!..

Tu wójt odpoczął sobie trochę i zadumał się, aż ja znowu pytam:

— No i cóż się dalej stało?

— Ha tać to wy wiecie pewno najlepiej — rzecze wójt — była wojna okrutna a pan Kościuszko trzepał Moskali co się zowie.

— Oj co trzepał to trzepał, niema co mówić — rzekę ja na to — najpierw pod Dubienką, a potem gdy w Krakowie wybuchla ruchawka i nasza wiara poszła z Kościuszką na wroga, pod Racławicami, pod Szczekocinami!...

Wójt westchnął i mówi,

— Ha! szło ci tam dobrze zrazu, ale potem to jakoś coraz gorzej było, aż nareszcie przemogli naszych, i sam pan Kościuszko, ciężko raniony dostał się do niewoli!...

— Pożal się Boże, tak to było — rzekę ja — aż się serce kraje o tem wspomnieć! A było to w bitwie pod Maciejowicami, akuratnie tak w jesieni, w Październiku...

— I jakoś od tego czasu — prawił dalej wójt — zginęła wieść o panu naczelniku. Mówiono tylko, że się wydostał z niewoli i że gdzieś przebywa hen w dalekiej obcej ziemi...

— W kraju takim, co jeno góry a góry, a zwie się Szwajcarja — dodałem z mojej strony.

Wójt zaś opowiadał dalej:

— I tak znowu mijały lata, aż tu naraz zachodzi słych gromadę z Krakowa, że tam sypią ogromną mogiłę na wieczną pamiątkę naszego naczelnika Kościuszki. Ów sołtys, u którego przemieszkiwał był pan Kościuszko, jak się o tem dowiedział, to chodził jakiś czas okrutnie zadumany, aż pewnego razu zwołał gromadę całą do siebie i tak do niej przemówił:

— Panowie gromada, czy pamiętacie wy jeszcze, kiedy to pan Kościuszko mieszkał między nami?

A gromada na to:

— A toć chyba by ten miał pniak zamiast głowy a grudę zamiast serca, coby zapomniał o naszym Kościuszku i o tem, że w naszej wsi przez jakąś dobę mieszkał!...

Wtedy sołtys mówił dalej:

— Panowie gromada, a czy słyszeliście, że w Krakowie sypią okrutną mogiłę panu Kościuszce na pamiątkę?

— Słyszeli, słyszeli! — odpowiedzieli ludzie.

— Otóż teraz powiem wam, po co was zwołałem — odezwał się wtedy sołtys. Czy to my gorsi niż Krakowcy, czy my to nie tacy dobrzy Polacy jak i oni? Był między nimi Kościuszko — a toć był i między nami. Sypią mu oni mogiłę — a toć i my mu usypiemy!

— Zgoda! — huknęła cała gromada — sołtys święte słowa mówi! Usypiemy mu mogiłę, na jaką nam stać, niech zostanie synom i wnukom naszym pamiątka, że w Liplesie był Kościuszko, nasz pan naczelnik kochany!

I jak rzekli nasi dziadowie tak zrobili! Kto żył tylko we wsi, wziął się zaraz na drugi dzień do roboty. Na mogiłę obrano to samo miejsce w polu, gdzie to się modlił Kościuszko, patrząc

w stronę od Krakowa. Wyszła tedy cała wieś z księdzem proboszczem i poczęła sypać mogiłę. Ale nie tylko lipleska gromada, lecz i z okolicy ludzie pomagali w tem z ochotą. Otóż tak, mój panie, stanęła ta mogiła, o którą mnie pytaliście...

Tu skończył wójt i zadumał się mocno, a ja także zamyślałem się żałośnie o tej historji... A potem podziękowałem ślicznie wójtowi i żegnając się z nim rzekłem:

— Szanujcież tę starą pamiątkę, bo ona waszej wsi wielki sprawia honor i kochajcie zawsze pamięć Kościuszki i tę Polskę naszą, którą on nad życie swoje miłował!...

I usiadłszy znowu na furmankę ruszyłem dalej w drogę, a kiedym znowu mijać miał mogiłę, tom zlazł z woza, zdjąłem kapelusz i uklękłszy na mogile, ucałowałem z głęboką żałością ziemię... A potem pojechałem dalej i przez całą drogę dumałem o panu Kościuszce, o Racławicach, o kosynierach i o naszej niedoli, a na myśl przychodziła mi ciągle owa piosenka:

Nie przemienieć co minęło, nie wydrzeć z pamięci,
Choćby człowiek rad zapomnieć, wraca mimo chęci!
Tyle czasu przeminęło, mój ty mocny Boże,
Pług zaorał ludzkie kości a serca nie może!

Wojtek ze Smolnicy.

Spiewka pastuszka.

Wysoko słonko pomyka,
Zielone w koło doliny;
A z szmerem cichym strumyka
Zawodzi piosnka ptaszyny...
A ja w sercu lubość mam,
Rozmawiam z stokrótką;
Na fujarce sobie gram,
A ty hulaj trzódko!
Hej wiosno, wiosno jedyna,
Przespiewam ciebie już wkrótce!
Od skwaru zmilknie ptaszyna
I zwiędną listki w stokrótce!
Wtenczas pójdę z trzodką w las
Słuchać drzew rozmowy,

A gdy żniwa przyjdzie czas,
Już mój sierp gotowy!
Lecz skwar powoli ochłódnie,
Liść zżółknie w jesiennej dobie;
Owoc zrumieni się cudnie,
I wabić będzie ku sobie!
A choć zniknie zieleń z niw,
Za to raj w ogrodzie!
Gnie się gałąź grusz i śliw
Ku ludzkiej wygodzie!
Wreszcie nadejdzie i zima
Śnieg spadnie — wicher zawyje,
Trawek, kwiatków już i niema...
Więc ja do chaty się skryję!
Gdy książeczkę dziedzic dał
Czytam, ludzie mili,
Jakich królów kraj nasz miał
I jak wrogów bili!

Gabryś z Urbanowic.

Nagroda.

Powieść.

I.

Kilka mil od granicy węgierskiej, wśród gór karpackich, w cyrkule samborskim, leży wieś Jałowica. Wieś to biedna i mała, zwyczajnie jak to bywa w górach, gdzie niema dobrego pola, jeno gdzie niegdzie połoniny nieurodzajne, na których ledwie owies się urodzi. Toć też i gospodarze w tej wsi nie majętni i ciężko pracować muszą na kawał chleba owsianego.

Mają jednak i w górach swój zarobek osobny. W okolicach tych bowiem hodują owce, i z nich mają jaki taki pożytek i pomoc w życiu. Co zaś jeszcze bardziej wspomaga tych biednych ludzi, to to, że zaraz w początku lata zjeżdżają na wieś ludzie chorzy z miasta, tacy co to słabują na piersi, aby się leczyć żętycą. Ci państwo wynajmują sobie stancje u wieśniaków, zamawiają sobie u nich na całe lato żętycę, dają zarabiać za usługę i posyłki do miasta.

Otóż tak samo było i w tej wsi Jałowicy, o której wspomniałem na samym początku. Już na wiosnę nadchodziły listy ze Lwowa a i z mniejszych miast były zamówienia, i wtedy to każdy gospodarz, co miał tylko jaką taką chałupinę i kilka owiec, przygotowywał jaką izbinę, bielił i czyścił — a ledwie słoneczko letnie przygrzało w górach, już przyjeżdżały rozmaite powozy i bryki, i przywoziły z sobą słabych panów i panie, a tym sposobem prawie każdy gospodarz miał jaki taki, a nawet czasem bardzo piękny zarobek.

Wieś Jałowica więcej miała co roku gości takich, niż każda inna, bo leżała w bardzo ładnem i zdrowem miejscu i w blizkości miasteczka, do której była dobra droga.

Otóż przed dawnym czasem, bo już temu lat przeszło dwadzieścia kilka przyjechała do Jałowicy jakaś chora pani. Widać uboga była bardzo, bo przywlokła się na żętycę nędzną budą żydowską, napełnioną różnymi podróżnymi, miała przy sobie tylko malenki kufereczek, i najęła sobie kącik mizerny w najlichszej chacie, aby ją tylko drogo nie kosztował.

Aż żal brał serdeczny popatrzyć się na tę biedaczkę. Młoda to była kobiecina i musiała z bardzo pańskiego pochodzić rodu, bo to znać zaraz na pierwszy rzut oka po osobie, ale znać niedostatek i bieda mocno ją znękały w życiu.

Była to jeszcze młoda bardzo kobieta, a kiedyś musiała być śliczna jak malowanie, ale teraz oprócz zgryzoty jeszcze i ciężka choroba zniszczyły ją do reszty. Twarz jej była wychudła i blada jak trzaska, a oczy zawsze wyglądały tak smutno, tak smutno... że zdało się człowiekowi, iż z tych oczu nigdy łza nie schodziła, że w nich nigdy radości nie było, jeno zawsze boleść i tęsknica ciężka!..

Chora ta i biedna pani przywiozła z sobą małego synka, chłopczyka jakby cacko jakie, delikatne i wychuchane, a widać było, że go kochała nad wszystko, że ten synek mały był jej całem szczęściem na świecie, że nie żyła już dla siebie, jeno dla tego biednego robaczka!

Jak już o tem powiedziałem, stanęła ta pani w najlichszej chatce na stancyi i zaczęła pić żętycę, bo jej to lekarze naka-

zali na piersi, na które biedaczka ciężko i już prawie bez nadzieji ratunku zaniemogła.

Kto tylko miał poczciwe serce, ten musiał pożałować tę biedną panię, musiał ją i polubić, bo była zawsze taka dobra i grzeczna dla każdego, tak słodko umiała przemówić do ludzi. Kiedy szła z swym synkiem przez sioło, wszyscy kłaniali się jej uprzejmie, a każdy pokiwał smutnie głową i mówił:

— Biedna kobieta, taka dobra a taka uboga, taka młoda a taka chora!...

Już minął miesiąc cały, jak pani ta nieznajoma była w Jałowicy i piła żętycę, ale nie było widać jakoś zmiany na lepsze w jej zdrowiu. Z każdym dniem jeszcze słabła coraz bardziej, wychudła i wybladła jak wapno i ledwie powolnym krokiem mogła pójść na przechadzkę... Widać było wyraźnie, że nie długo się już będzie dręczyć na świecie!...

Tak stały rzeczy, kiedy nieznajoma pani pewnego rana zebrała się i wraz z swoim synkiem poszła do Onufrego Sławeckiego, nauczyciela w Jałowicy. O tym nauczycielu musimy wam tu nieco więcej powiedzieć. Onufry Sławecki był to człowiek bardzo zacny i uczciwy, serce miał jak to mówią złote, bo litowało się nad każdem nieszczęściem bliźniego i otwarte było dla każdego. Onufry był przytem człek rozumny i uczony co się zowie, umiał on więcej, niż na nauczyciela wiejskiego było potrzeba, bo jak mówili o nim, skończył wysokie szkoły, ale że był biedny i szczęście mu na świecie jakoś nie służyło, więc też osiadł w Jałowicy jako nauczyciel i spiewak kościelny, czyli djak, co u Rusinów tyle znaczy co u nas organista. Biedny był ten Onufry, bo to mój miły Boże! wiecie sami najlepiej, jaki to nędzny kawałek chleba mają u nas po wsiach nauczyciele, kilka krajcarów na rok od numeru, kawałek ogrodu, i trochę drzewa na opał! Jeszcze gdzie wieś zamożna i ludna, tam i nauczycielowi lepiej się wiedzie, ale w takiej ubogiej wsi, jak Jałowica, biedować on musi jeszcze więcej niż gdzie indziej.

Ale choć był biedny ten Onufry, choć mu samemn nie zawsze starczyło na życie, to przecież dzielił się i tem z biedniejszym, co miał, a gdy mu kto do serca przemówił, byłby i ostatnią

koszulę zdjął z grzbietu, ostatni kawałek chleba odjął sobie od gęby, aby tylko spełnić dobry uczynek.

Otóż taki to był człowiek ten nauczyciel, do którego wybrała się pewnego rana, jak już w górze wyczytaliście, owa nieznajoma chora pani z swym synkiem. Gdy Onufry zobaczył przez okno panię, wybiegł naprzeciw, powitał ją grzecznie i wprowadziwszy do izby, prosił aby usiadła.

Pani usiadła na stołku, westchnęła ciężko i tak przemówiła do Onufrego:

— Mój drogi panie! Słyszałam o panu od ludzi, że jesteś rozumnym, a co więcej dobrym i zacnym człowiekiem, który zawsze litościwe ma serce dla biednych i nieszczęśliwych...

Poczciwy Onufry aż się zaczerwienił, bo się zawstydził na taką pochwałę i jeno się ukłonił w milczeniu, jakby dziękował za dobre słowo.

Tymczasem pani ciągnęła tak dalej mowę:

— Dlatego też i ja przyszłam do pana, bo i ja biedna i nieszczęśliwa... Bóg mi zabrał męża i nawidził mnie ciężką chorobą, a jedyną pociechą moją jest ten syn mały, Karolek, który niezadługo także zostanie sierotą...

Onufremu aż łzy się pokazały w oczach, tak mu się markotno zrobiło na to gadanie i mówi:

— Ej niech też pani tak nie gada, bo to się nie godzi. Bóg łaskaw, nie opuści on tych, co jego opieki potrzebują...

— Wiem o tem, ale wola to pono Boska, abym ciężką niedolę znosiła na świecie. Wiem dobrze, że nie długo pożyję, bom chora na suchoty, a lekarze już rady dla mnie nie mają. Za rok, dwa; przyjdzie mi rozstać się z światem, a moje dziecko, mój Karolek zostanie sierotą nieszczęśliwą...

Tu biedna chora pani rozpłakała się rzewnie, i poczęła całować małego Karolka, a poczciwemu Onufremu mało serce nie pękło z żalu.

— Chciałabym mego Karolka oddać do szkoły, do wyższej klasy -- mówiła dalej pani utuliwszy się w płaczu — bom go już sama poduczyła. Gdy powrócę do miasta będzie zdawał egzamin. Teraz jednak jestem mocno chora i uczyć go nie mogę.

Prosiłabym więc pana, czybyś nie był tak łaskaw uczyć go przez ten czas, dopóki tu jeszcze zostanę?...

— Łaskawa pani! czemużby nie — odpowiedział ochotnie Onufry — z największą chęcią to zrobię...

— Ale na tem nie koniec! — rzekła pani i westchnęła — ja jestem biedna i niemam z czego zapłacić!...

— O pani! ja nie żądam niczego, jabym i nie przyjął — zawołał Onufry. Najchętniej będę uczył Karolka, a o zapłacie niech mi pani nie wspomina!...

— O niech wam to Bóg wynagrodzi! — zawołała biedna matka, i pożegnawszy profesora wyszła pocieszona.

Odtąd mały Karolek biegał zawsze na naukę do Onufrego. Był to chłopaczek pilny i mądry, bystry jak strumień, a dobry jak aniołek. Polubił on starego Onufrego jak ojca, a Onufry jego nawzajem pokochał serdecznie. Onufry był wdowcem, ale miał córkę jedynaczkę, młodszą o parę latek od Karolka, miłą dziewczynkę gdyby jagódka. Chora, biedna pani przychodziła często do chaty Onufrego, przysłuchiwała się, jak się jej synek uczy, a potem patrzała się, jak Karolek z Zosią, bo tak się zwała córka profesora, hulał i bawił się po podwórku. Wtedy biedna matka, zamiast się cieszyć pilnością i wesołością syna, wzdychała jeno i łzy ocierała z zapłakanych oczu. Nieboga jakby przeczuwała, że niezadługo rozstać się jej przyjdzie z dzieckiem.

I dobrze przeczuła... Nastały jakoś dnie słotne, a niepogoda zawsze najgorsza dla tych, co na piersi słabują, i owa nieznajoma pani zaniemogła bardzo i już się z łożka zwlec nie mogła. Dopiero teraz się pokazało, jaka to uboga była kobieta, nie było za co posłać po lekarza, nie było za co kupić lekarstwa. Poczciwego Onufrego zabolało serce, wypędził do miasta jałówkę, co ją chciał zatrzymać na dochowek, i choć samemu suchego chleba nieraz brakło, poszedł i sprowadził do chorej doktora, zapłacił lekarstwa, zakupił co było dla niej koniecznie potrzeba, i tak ratował ją, czem tylko mógł.

Ale snać nie było już ratunku dla niebogi. Pewnej nocy przybiegł Karolek do chaty Onufrego i zbudził go i z płaczem opowiedział, że matka jego ciężko, bardzo ciężko chora, i już

nic nie mówi. Onufry wysłał zaraz na swój własny koszt do miasta po doktora, ale chorej nie potrzeba już było lekarstwa dla ciała, ale chyba dla duszy.

Gdy przyszedł z księdzem proboszczem do chorej, zastał ją na konaniu, a mały Karolek klęczał przy łóżku, i całował ze łzami rękę swej matki. Ksiądz udzielił chorej sakrament ostatniego pomazania, a gdy wyszedł, Onufry został jeszcze przy chorej i pocieszał jej syna.

Wtedy chora pani otworzyła na chwilę oczy, popatrzyła na syna i potem na Onufrego proszącem okiem i wskazała na kartkę zapisanego papieru i na mały pakiecik, co leżał koło niej na stole. Potem położyła rękę na głowie swego dziecka, jakby go pobłogosławić chciała i oddała ducha Bogu.

Onufry wziął syna do swej chaty i zostawił go tam z Zosią, a sam zatrudnił się zaraz pogrzebem. Nieboszczka nic nie zostawiła, więc też Onufry jak mógł opłacił koszta pogrzebu, i tak pochowano trzeciego dnia biedną panię.

Na owej zaś karteczce, którą zostawiła nieboszczka, była prośba do Onufrego, aby wziął na wychowanie syna, a Bóg mu to nagrodzi swem błogosławieństwem, bo to sierota nieszczęśliwa. Onufry przeczytał tę kartkę, westchnął i rzekł:

— Ha! prawdę napisała nieboszczka, Bóg mi to wynagrodzi' Biedny ja wprawdzie sam bardzo, ale tym skąpym kawałkiem chleba, co go mam, podzielę się z sierotą! Kto sierocie co dobrego czyni, to tak jakby samemu Jezusowi czynił.

Potem rozwiązał paczkę z papierami i znalazł tam metrykę Karolka i inne papiery, z których się dowiedział, że nieboszczka nazywała się Żalicka i że była wdową po jakimś biednym urzędniku. I ot, poco tu długo rozpowiadać, Onufry zajął się sierotą, jak synem własnym, poduczył go w szkole, a gdy chłopczyna już umiał dużo, ściągnął się do reszty i wywiózł go do miasta do szkół wyższych. Tam znalazł swego dawnego przyjaciela profesora, który zrobił dla Onufrego, że wziął Karolka daremnie na stancję, i obiecał dać mu wyżywienie, jeno aby Onufry przysłał mu na odzież i książki.

Co się stało dalej i jak się cała ta historja skończyła, opowiemy wam na drugi raz.

Rady gospodarskie.

Jako źle jest trzymać bydła za dużo.

Jeżeli gospodarzowi zachoruje jakie bydlę, zaraz szuka pomocy, to u konowała, lub owczarza, kowala i stara się o lekarstwo. Wie on, co ma czynić w takim razie, mimo to, że choroba pokazuje się między inwentarzem nie bardzo często. Daleko szkodliwszym nieprzyjacielem jest i w swych skutkach może być dla gospodarza ten, którego on nie zna, albo znać nie chce, a ztąd nie będzie też szukał pomocy przeciw niemu.

Głównym nieprzyjacielem jest powietrze dla głodnego inwentarza. Błoga jest jego siła, jeżeli gospodarz da mu przystęp zimową porą do obory, lecz o tyle tylko, o ile swe ożywiające skutki sprawia. Brak jego i zbytek równie są szkodliwe. Ztąd wypada napominać gospodarzy, aby się usilnie starali o odpowiedni przystęp powietrza do obory. To wtenczas dopełni każdy, jak będzie regularnie i codziennie obory, chlewy i stajnie przewietrzał i inwentarz obficie pasł pożywną paszą. Bydło nie powinno w ciemnej i smrodliwej, lub zaduchłej oborze i bez dostatecznej ściółki być utrzymywane; gdyż ochędóstwo i świeże powietrze nadaje bydlęciu czerstwość i łatwe trawienie pożywanej paszy. Chociaż podobne napomnienie wielokrotnie różni uczeni i doświadczeni gospodarze przypominali, przecież dotąd nie wszędzie je wykonano, bo ciężko przełamać złe przyzwyczajenie.

Ilu to jest takich gospodarzy, którzy choćby połowę pozbyli z tego inwentarza, który mają, jeszcze go zanadto będą mieli bo do tego jeszcze nie przyszli, żeby z kredką w ręku obrachowali, ile jedna sztuka inwentarza potrzebuje paszy przez zimę, aby wydała pożytek. Dlatego mój przyjacielu, zrób na sobie samym doświadczenie: Usiądź na wagę, zważ swoją osobę n. p. dzisiaj i w tym samym dniu zrób to samo po upłynionym roku, tedy przekonasz się, że może ani kilku łutów nie będziesz więcej ważył, chociaż przez ten cały rok zjadłeś przeszło pięć set funtów stałych potraw. Otóż ten posiłek służył ci do utrzy-

mania twego własnego życia. Tak samo i zwierzę potrzebuje paszy pewną ilość do utrzymania życia. Z takiego żywienia inwentarza nie masz żadnego innego pożytku, prócz lichego gnoju. Jeżeli bydlę i tyle nie dostanie paszy, aby mogło żyć, tedy spożywa się samo, t. j. niknie w niem: tłuszcz, mięso i inne części, czyli chudnie, a tego długo wytrzymać nie może. Jeżeli bydlę dostanie więcej paszy, niż potrzebuje do życia, wtenczas dopiero z tego obfitszego pokarmu powstaje: mięso, a u tuczonych tłuszcz, u krów mleko, u roboczego bydła moc i krzepkość, u owiec wełna. Z takiego więc tylko żywienia może się gospodarz spodziewać pożytku.

Oględny gospodarz i o tem nie powinien zapominać, że nie dosyć, iż każe obficie paść inwentarz, żeby miał pożytek, lecz gatunek paszy i wartość jej oznaczyć trzeba, mięszając ją, bo pojedyńczo spasane n. p. sama słoma lub siano, ziemniaki lub ćwikła, albo ziarno, to nie wyda tego pożytku, któregoby się spodziewano. Bydłu trzeba zimą ułatwiać trawienie: albo gotowaniem, lub parzeniem, zagrzaniem, kiszeniem, albo gnieceniem, lub śrótowaniem ziarna, przez co podwyższa się wartość paszy.

Niektórzy myślą sobie, gdy zimą widzą swoje bydło coraz nędzniejsze i chudsze, ej co tam! toć na wiosnę wszystko będzie dobrze, bo na świeżej trawie, to się wygoi. Można im odpowiedzieć, że co zima zmarnuje, tego ani wiosna ani lato zupełnie nie wygoi. Przeciwnie powinien gospodarz myśleć, że im lepsze bydło pójdzie na wiosnę na pastwisko, tem więcej wyda mu pożytku, szczególniej krowy, wynagrodzą go sowicie codzień obfitszem mlekiem. Bydło dobrze karmione, wyda też wiele wybornego gnoju.

Niechże każdy gospodarz obrachuje swoją paszę i swój inwentarz i tylko tyle trzyma, ile dobrze wyżywić potrafi; a kto tego głosu usłucha, nie będzie miał na wiosnę zmartwienia, jak ci, którzy dobrej rady słuchać nie chcą a którzy będą swoje wyniszczone i zgłodniałe bydło dźwigali, bo samo nie będzie mogło wstać ani chodzić, jak to rok rocznie u niektórych gospodarzy bywa.

RÓŻNOŚCI.

Dziwny wypadek stał się na Wołyniu, pod rządem rosyjskim: Udał się był jeden zamożny obywatel ze swojej wsi do sąsiedniej, w jakiejś sprawie gospodarczej, i wziął ze sobą swojego arędarza. Ponieważ było bardzo gorąco, kazał się zatrzymać przy studni, i wysiadł z arędarzem dla napicia się wody. Kiedy się nachylił nad wiadrem z wodą, wypadł mu pugilares, w którym było 12 tysięcy rubli, z kieszeni, tak że o tem nie wiedział. I dopiero, gdy zawrócił dla czegoś zapomnianego do domu, tam sięgnąwszy do kieszeni, spostrzegł, że pugilares zgubiony. Naturalnie, domyślił się, że nie gdzieindziej, tylko przy studni mógł go zgubić. Posełał przeto natychmiast woźnicę swego na to miejsce z arędarzem; obszukali wszędy, ale napróżno. A ponieważ niedaleko studni była karczma, poszedł więc arędarz do karczmarza tamże, i opowiedział wszystko. W tej chwili jakiś biednie ubrany żydek wstaje z ławy, i oddaje szukany pugilares, mówiąc, że on go znalazł. Arędarz uradowany, pobiegł co tchu oddać panu pugilares. Pan kazał zaraz zawołać tego biednego żyda, a widząc jego biedę, dał mu znaleźnego 400 rubli, i swoją suknię na ubranie; a gdy się dowiedział, że ten biedny żyd ma wydawać córkę za mąż, kazał go odwieźć do jego miasteczka arędarzowi, i kazał wszystkie koszta na wesele zapłacić. W drodze przychodzi arędarzowi taka szatańska myśl i łakomstwo, aby tego biednego żyda zamordować, i pieniądze odebrać. No i wykonał ten okrutny zamysł, żyda zabił, zakopał go w ziemię, a pieniądze zabrał; a wróciwszy do pana, kazał sobie jeszcze zapłacić, za wydatki, niby na wesele żydówki ubogiej.

Na drugi dzień potem, pan ten poszedł sobie na polowanie; patrzy pies ciągle ujada w jednem miejscu i coś odgrzebuje; zbliża się pan, a tu suknia ludzka, każe odkopać, i widzi, że ten sam żydek co mu znalazł pieniądze, zabity. Podejrzenie padło zaraz na tego arędarza, i przyznał się też niedługo do tej zbrodni, za co od rządu rosyjskiego został z całą rodziną na Sybir wysłany, a majątek jego cały poszedł na rodzinę tego biednego zabitego żyda.

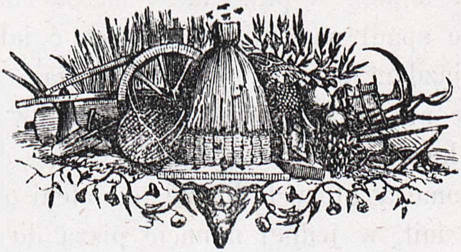
Pamiątka po dziedzicu. Hrabia Leon Rzewuski przedał swoje dobra Podhorce i Zahorce, a aby zostawić po sobie pamiątkę gromadom zapisał im 10.000 złr. Z tych pieniędzy pójdą coroczne procenta na pożyczkę, zapomogę, na lekarstwa i inne potrzeby wieśniaków. Piękna to pamiątka! Toż to po takim dziedzicu jest czego i żałować!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 13.

1. listopada 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Miłość synowska

Powiastka z dziejów polskich.

I.

Za panowania Zygmunta III króla polskiego, powstały w ojczyźnie naszej okropne wojny z Tatarami. Polska walcząc od wieków z tą barbarzyńską hordą, ochraniała przed nią Europę swą krwią i swem męstwem. Dzicz tatarska corocznie ponawiała swoje napady na polskie krainy, i nietylko że paliła i niszczyła wszystko, co jej w drodze stawało, ale i zabierała biedny lud w niewolę.

W tych to nieszczęśliwych czasach żył w wiosce Suliszewie na Wołyniu Krzysztof Strzemski z matką swoją zgrzybiałą staruszką. Był to pan poczciwy i dobry, jakiego jeno szukaj; przytem żołnierz odważny w potrzebie, a w spokoju gospodarz pracowity i staranny, zasłużył sobie na miłość i przywiązanie swoich włościan, dla których prawdziwym był ojcem, a na poważanie i szacunek u wszystkich, co go tylko znali.

Wieś jego leżała w okolicy, która podczas napadów tatarskich najrychlej ulegała splądrowaniu i zniszczeniu, strzegli się też tam wszyscy dobrze, i pilno mieli na baczności, by Tatar niespodzianie nie spadł na krainę, i by choć jakie takie przed straszliwym najazdem porobić przygotowania. A że wtenczas nie znali jeszcze ani wozów parowych, co to w godzinie przeniosą cię na kilka mil z jednego miejsca na drugie, ani też telegrafów, za pomocą których ludzie, oddaleni od siebie choćby na kilkadziesiąt mil, w jednej minucie piszą do siebie, i zaraz odpowiadają, więc każde sioło musiało mieć gdzieś na pagórku gotowe nałożone stosy chrustu, które pozapalane podawały prędziutko straszną wieść sąsiednim siołom. Te toż samo czyniły i takim sposobem mógł cały kraj w krótkim czasie dowiedzieć się o strasznem tatarskiem najściu.

Był to już późny wieczor, gdy w Suliszewie za chatami, na niewielkiej mogiłce, na której stos zaschłych drzew leżał, stał stróż nocny i niespokojnie coś poglądał a poglądał jeno w dal, gdzie czerniały chaty sąsiedniej wioski Cicho było w powietrzu, żadne drzewo nie zaszumiało, żadna trawka się nie zaruszała, jeno z daleka zalatywał odgłos dzwonów z cerkwi, i jakieś dziwne pomieszane gwary i krzyki!....

— Oj, to dzwonienie coś smutnego przepowie!... pomyślał sobie stary Tomasz i przeżegnał się pobożnie.

— Matko cudowna, miej nas w swojej obronie!... westchnął i zaczął szeptać cichutko modlitwę. Jeszcze nie wymówił całej „Zdrowaśki“, gdy hen tam w dali pod siołem buchnął jasny płomień. Stróż pobladł, zatrząsł się biedny i cicho jeno wyjęknął:

— Hą!... to Tatary napadli naszą krainę!... Boże miłosierny! Zmiłujże się nad nami biednymi!...

Prędko zapalił stos na kopcu i poleciał by o młodych jeszcze siłach ku cerkwi. Wkrótce ozwały się dzwony, zwiastując nieszczęśliwym mieszkańcom sioła bliską klęskę. Płacz i lament okropny rozległ się po całej wiosce; biedni wieśniacy wyprowadzali swój dobytek ze stajen, i uciekali w lasy, by się ukryć przed strasznym wrogiem.

Cóż się tymczasem we dworze działo?

We dworze pana nie było; jeszcze przed kilkoma tygodniami wyjechał on na wojnę, i w dalekiej gdzieś stronie gromił wroga, nie myśląc, że stara jego matka i kochani włościanie nie ujdą srogiej klęsce.

Zgrzybiała pani Strzemska padła na kolana przed obrazem Zbawiciela; modliła się długo i gorąco. Tak przeklęczała cały czas, dopóki Tatary do sioła nie wpadli.

Nie minęło dużo godzin, gdy krzyk straszny rozległ się na dziedzińcu, jasność jakby o dniu uderzyła w okna dworu, i dzika horda z okropnym okrzykiem „Ałła-hu!“ rozpoczęła mordy i niszczenie. Kilku brodatych siepaków wyciągnęło staruszkę ze dworu, a jeden ze starszych krzyknął do swoich:

— Hej!... zakujcie tej babie ręce i nogi i popędźcie do Krymu na wieczną niewolę!...

Nieszczęśliwa staruszka zajękła tylko cichutko, a łzy strumieniem polały się po zmarszczonej twarzy. Niewiele się już biedaczce żywota tego należało, to też serdecznie żal jej było, porzucać swoich ukochanych włościan, nie zobaczyć już i nie pobłogosławić nawet przed śmiercią jedynego syna, i zamiast na rodzinnem cmentarzu, złożyć stare kości daleko gdzieś na cudzej, pogańskiej ziemi. Nie było snać już jednak na to rady. Związali biedną, zakuli, nie dali nawet świętego krzyża na piersi zrobić, ta i pognali daleko w tatarskie kraje!...

Niedługo potem cicho i pusto już było w siole. Tatary popędzili dalej palić sioła, mordować bezbronny lud i zabierać nieszczęśliwych w straszną niewolę, a nad zasmuconą krainą polską zeszedł blady miesiąc, i mdłe światło rzucał na trupy i pogorzeliska....

Minęło kilka dni. Było to jakoś pod wieczor, słonko schylało się już ku zachodowi, kiedy drogą ku Suliszewu pędził jakiś jeździec, co koń jeno wyskoczy, aż ziemia głucho stękała. Przed wrotami spojrzawszy na gruzy i niedopaliska chat i dworu, ściągnął lejce i zawołał jeno boleśnie!...

— Jezus, Marya!... a więc i tu byli Tatary!... Biedna moja matko!...

Zakrył dłonią oczy i biedny zaszlochał głośno....

*

Był te Krzysztof Strzemski, syn nieszczęśliwej staruszki, co ją popędzili Tatary. Nieprzytomny pospieszył ku mogile, przy której kilku wieśniaków kopało grób zamordowanemu stróżowi.

Ze smutkiem ozwał się jeden z nich:

— Paniczu!... miły nam panie! za późnoście przybyli, bo wielkie nieszczęścia spadły na nasze sioło. Horda tatarska obrabowała i zniszczyła wszystko, ludzie jedni pouciekali w lasy, gdzie jeszcze się biedni ukrywają, drudzy pomordowani, aleć największe nieszczęście, że naszą ukochaną panię, a matkę twoją, co biedna nie zdołała już uciec i ukryć się w borach, zakuli w żelaza i uwieźli z sobą! —

Na tak okropną wieść, nieszczęśliwemu synowi, co za matkę ukochaną życie by swoje położył, jeno pociemniało w oczach, by o czarniuteńkiej nocy i straszny jęk wydobył się z piersi. On, co mężnie stawiał czoło na pociski nieprzyjaciół, co biegł zawsze śmiało w najgorętszy bój, na tak okropną dla niego wiadomość ugiął się i zajęczał, jak gdyby mu sto mieczów w serce biedne wbili Miłość synowska pokonała wszystko! Nie wchodzi on już do dworu, ale siada napowrót na konia, aby wyszukać matkę, żywą czy umarłą, choćby na końcu świata!...

— Bądźcie zdrowi!... jadę do Krymu!... za biedną moją matką! — mówi do swoich ludzi.

— Niech was Bóg miłosierny i Przenajświętsza Panienka szczęśliwie prowadzi! — szepczą włościanie ze łzami w oczach. A każdy jeno sobie myśli:

— Oto syn uczciwy i dobry! daj nam Boże takich więcej!

II.

Na wschód od naszej ziemi leży Krym wonczas jeszcze pod władztwem tatarskiem, dzisiaj już opanowany przez Moskala. Kraj ten od wschodu, południa i zachodu oblany morzem, od południa osłoniony wysokiemi górami, zamieszkują od dawien dawna i nawet po dziś dzień jeszcze Tatary, Turki, a w ostatnich czasach i żydzi. Ziemia tam urodzajna, jakiej nie wszędzie znaleść, poprzerzynana mnóstwem rzeczek, potoków i stru-

mieni, porasta wysoko zieloną trawą i burzanami, na której stada bydła się paszą. Drzewka tam choćby na lekarstwo to nie wyszukasz, a w zimie, która tam bardzo łagodna i krótko trwa, palą ludzie w piecach łodygami burzanów i innych zielsk, co tam sobie rosną niby drzewa wysoko. Choć grunt urodzajny chleba dawałby podostatkiem, jednak tam rolą ludzie się nie zabawiają, jeno najwięcej hodowlą bydła rozmaitego, które całe lato a nawet i zimę przepędza na zielonych stepach, pod gołem niebem. Huk tam na tych szerokich pastwiskach bydła rogatego, koni, owiec i wielbłądów, które na szerokiej zieleni stepu wyglądają by małe okręta na morzu. Gdzieniegdzie zobaczysz łany, zasiane tytoniem, albo oparkanione szerokie ogrody, pełne drzew figowych, migdałowych i daktylowych i zasadzone winogradem.

Do tego to kraju jechał nasz Strzemski. Przebył Ukrainę, przejechał Besarabię, wreszcie chersońskie i nogajskie stepy, i zmęczony i znużony podróżą przybył do Krymu. Ale cóż?... Krym szeroki i daleki, jak daleko okiem zajrzysz, stepy jeno i stepy sine -- gdzież więc tu szukać nieszczęśliwej matki, która może już i tak biedna gdzie w drodze skonała myśląc jeno u ukochanym synu?....

Tak to sobie myślał Strzemski, wjechawszy w krymskie stepy, i nie wiedział biedny co począć. Pyta jednego, drugiego, ale każdy Tatarzyn odpowiada mu po swojemu, że nie rozumie. Aż nareszcie gdzieś na futorku w głębokim już stepie przydybał swojego rodaka, pochwyconego w niewolę, co biedny pasał stada na stepie nielitościwym poganom.

Jakoś zaraz z oblicza poznał on w Strzemskim swojego, ta i pyta:

— Wy z Polski?....

A Krzysztof ucieszony i uradowany, że usłyszał ojczystą mowę, odpowiada:

— Witajcie miły bracie!... toż i wy ponoś także jak się patrzy, ztamtąd?...

— A jakże!... jam Polak rodowity, jeno pogany psie dusze porwali mnie w ciężką niewolę, taj każą biednemu zaprzeć się swoich i zapomnieć o ojczyźnie kochanej!...

A Krzysztof, co mu już na widok nieszczęśliwego brata omal że się na łzy nie zebrało, zapyta znowu:

— Ciężkaż wam bardzo, biedny bracie, ta pogańska niewola?

— Oj ciężka, bardzo ciężka!... odpowiada tenże — toć przecie nie na darmo śpiewają o niej ludzie w naszej ojczyźnie kochanej, że już

...Lepiej pójść na mary
Niż w niewolę na Tatary!..

— A wy co tu porabiacie? — pyta Strzemskiego.

— Ha! ot także pan Bóg dotknął mnie ciężko! odpowie Krzysztof i westchnie jeno żałośnie — Tatarzy zabrali mi matkę, słabą i staruszkę, więc jadę, by ją choć raz jeszcze obaczyć, ucałować jej ręce, i wydostać z niewoli żywą czy umarłą!...

— Oj ciężkoż to wam przyjdzie, ciężko!

— Ha! cóż robić! — ozwie się Strzemski — choćbym ostatnią koszulę miał z siebie zrzucić, choćbym własnem życiem miał nałożyć, muszę nieszczęśliwą matkę z rąk pogańskich wydrzeć!..

— To i jedźcie z Bogiem! — odpowie futorowy — niech wam Pan Jezus i Przenajświętsza Panienka w waszych zamysłach dopomoże!

— A nie wiecie też, gdzieby się to najpewniej udać? — pyta Strzemski.

— Ha! jedźcie do stolicy samego Hana tatarskiego, do Bakczyseraju!...

— Dziękuję za poradę miły bracie! — odpowie Strzemski — bądźcie zdrowi!... Panu Bogu oddaję!..

I pożegnawszy się z nieszczęśliwym rodakiem, pojechał. Kilka tygodni minęło, gdy przybył nareszcie do miasta władzcy tatarskiego. Z odwagą w sercu stanął przed Hanem i zawołał:

— Odbierzcie mi życie, ale wypuśćcie matkę moją!

Chciwa zysku władza tatarska, po długich targach zgodziła się na oddanie mu matki, ale za okupem tyla łutów złota, ile funtów matka zaważy. Kochający syn przystał na wszystkie warunki, a rozłakomieni obietnicą Tatarzy dozwolili mu się widzieć z matką i być przy niej. Ze łzami w oczach

przestąpił próg brudnej kaźni i nieprzytomny z głośnym płaczem ukląkł przy lichem, gnijącem już posłaniu, na którem stara, wycieńczona i umierająca leżała niewiasta.

— Matko moja!... wołał syn oblewając łzami zimne jej ręce, i tulił głowę na czarnej, wychudzonej piersi staruszki.

Ale ona już nie mogła do niego przemówić. Z wysiłkiem tylko podniesła się jeszcze, złożyła ręce na głowie syna, i w kilka chwil potem.. skonała. Możecie sobie wystawić, moi kochani, boleść nieszczęśliwego syna! Zapłacił Hanowi należytość, ubrał trupa matki starannie, a wziąwszy na własne barki, przysiągł zanieść je aż do rodzinnego swego sioła.

Co też sobie postanowił to i spełnił. Ze wsi do wsi szedł przez kraj tatarski z drogim swoim ciężarem, a nie mając już jednego grosza na pokrzepienie sił, bo go tak Tatary obrali, musiał wyciągać rękę po jałmużnę.

Lecz miłość synowska i u pogan znalazła uszanowanie. Znachodzili się ludzie, co hojną jałmużną obdarowywali Strzemskiego, tak, że niezadługo mógł już sobie kupić wózek, a złożywszy na nim trupa matki kochanej, ciągnął własnemi rękami aż do granic Polski. A gdy tak jechał, to kobiety tatarskie pokazywały go swoim dzieciom i mówiły:

— To Lach uczciwy i dobry syn! kochajcie i wy tak swoje matki!...

Po wielu a wielu trudach, cierpieniach i różnych przygodach przybył nareszcie do swej ojcowizny, gdzie go z otwartemi sercami czekali ukochani jego włościanie. Pochował zwłoki biednej matki na rodzinnym smentarzu w Suliszewie, osiadł potem w swojem siole kochanem i przeżywszy jeszcze długie lata w szczęściu i błogosławieństwie Bożem, umarł siwiuteńki już jak gołąb.

A na pogrzebie niejeden chłopek płakał żałośnie i powtarzał:

— Oj, dobry i poczciwy był to panisko, cnotliwy syn, a w boju odważny żołnierz.... Daj mu Boże za to szczęśliwość wiekuistą!

Tomek z nad Styru.

Gadka o trzech synach starej Marty.

Hej trzech synów we wioszczynie jedna matka miała —
Jakby sosny w dworskim lesie równo wychowała

Pracowici i uczciwi i z prawości znani —
Wieś ich czciła — pan szanował — i lubiła pani...

Gdy szli razem do kościoła, kraśniały dziewoje —
Każdy hoży — każdy poczciw — i ma wiano swoje...

Gdy szli razem na robotę — wzdychali ojcowie —
Czy też który o ich dziewy grzeczne słowo powie...

Gdy szli razem na cmentarek, gdzie ich stary leży,
Błogosławił w duszy proboszcz, wskazywał młodzieży...

Hej trzech synów we wioszczynie jedna matka miała
Jakby sosny w bujnym lesie równo wychowała.,.

A w sąsiedztwie komornica mieszkała uboga —
I nic u niej — tylko bieda — i dziewoja droga —

Hej dziewojaż to, dziewoja, kraśniejsza od róży —
Od dnia bielsza — a tak jasna, jak słonko po burzy.

Zaglądali parobczaki z całej wsi w okienko —
Jeden westchnął, ten się zaśmiał — ów powitał ręką.

Ale Zosia jak z kamienia — jak bez serca dziewa —
Do nikogo nic nie powie — nigdy nie zaśpiewa...

Hej trzech synów we wioszczynie jedna matka miała
Jakby sosny w bujnym lesie równo wychowała...

A w sąsiedztwie komornica mieszkała uboga,
Każdej chwili inny z braci u dziewoji proga.

Pyta starszy, czy go kocha — Zosia nie powiada —
Pyta młodszy, czy go zechce — ale mu nie rada —

A najmłodszy choć nie pytał — rozpoznał dziewoję,
I kochali się okrutnie, jąkby ptasząt dwoje.

I widzieli obaj bracia, co się w chacie święci —
I widzieli że go Zosia jedynego nęci —

Coraz rzadziej byli razem, — w chacie ciągłe swary —
I płakała matka siwa — płakał w grobie stary —

I poczęli kląć swej chacie, na obrazę Bożą,
Już codziennie w karczmie piją — śmiercią sobie grożą...

Hej płakała długo Zosia — płakała nieboga,
I modliła się w kościele i prosiła Boga —

I modliła się Zosienka i w nocy i we dnie —
Zagniewani widzą bracia, jak jej liczko blednie —

Więc na radę Dobrodzieja — opuszczają sioło —
Aż dwanaście razy cztery niedziel zbiegnie w koło...

Opuszczają wieś trzej bracia — w stałości niezłomni,
Ten Zosienkę z nich otrzyma, kto jej nie zapomni.

Już dwanaście razy cztery niedziel we wsi mija —
A przed chatą komornicy cała wieś się zwija —

Z okieneczka bije światło — lecz tak cicho w domu,
I radości coś nie widać na twarzy nikomu...

Od północy na siwoszu hen wędrownik leci —
Od zachodu idzie drugi — a od wschodu trzeci —

I zdążyli ku chatynce, gdzie okienko Zosi,
Lecz ich jakoś nikt nie wita, do izby nie prosi...

I spojrzeli na się gniewnie — i trzej się poznali,
I wrócili tacy bracia, jako się rozstali....

I trzej razem weszli gwarno — i trzej się zachwieli —
Hej na środku izby trumna, a w niej Zosia w bieli —

Hej na środku izby trumna ze sosnowej deski,
A w niej Zosia leży blada, a w jej oczach łezki...

Hej trzech synów we wioszczynie jedna matka miała,
I trzech synów stara macierz naraz postradała..

Jeden umarł gdzieś daleko, nikomu nie znany,
A nad grobem mały krzyżyk stoi wyciosany —

Drugi poszedł na obczyznę — nie ma o nim słychu —
Że się sprzedał Moskalowi — coś gwarzą po cichu —

Trzeci poległ z rąk moskala od sercowej rany —
A był z braci to najmłodszy — Zosienki kochany...

Gabryś z Urbanowic.

Nagroda.

Powieść.

II.

Kilka lat minęło od czasu, kiedy Onufry Sławecki przyjął na wychowanie sierotę Karolka i dał go do szkoły do miasta. Ciężkie to były lata dla poczciwego Onufrego. Miał nieborak sam tylko tyle, ile mu potrzeba było, aby się jako tako wyżywić — a tu tym mizernym kęsem chleba trzeba było podzielić się jeszcze z Karolkiem. A możecie sobie łatwo wystawić, co to kosztuje chłopak w szkole. Na odzież, na książki, na papiery, na życie trzeba wyłożyć grosz znaczny, a zkąd go wziąć biednemu?

Prawdziwe też to było szczęście, że Karolek sam także pracował na siebie, ile mu sił stało. Jak już wiecie, dał mu profesor, co był starym znajomym Onufrego, daremne pomieszkanie i jaką taką łyżkę strawy — a Karolek ucząc się pilnie uczył także niektórych chłopców, przepisywał rozmaite pisma i tym sposobem zarabiał sobie jakiś grajcar. Na resztę zaś, to jak mógł ściągał się biedny Onufry.

Już Karol miał lat kilkanaście, poduczył się już nielada i nabył wiele mądrych wiadomości. Onufrego kochał i szanował jak ojca i modlił się zawsze do Pana Boga, aby mu dopomógł dorobić się czego w życiu, żeby potem swemu dobroczyńcy mógł się dobrze odpłacić.

Tak stały rzeczy, kiedy Karol przyjechał z miasta do Jałowicy. Ucieszył się bardzo Onufry, że jego wychowanek i wy-

rósł i zmądrzał, że dobrym i bogobojnym jest chłopakiem i myślał sobie:

— Ot śmieli się ze mnie ludzie, żem ja nędzarz podjął się żywić tę sierotę i aż mnie warjatem za to nazwali, a przecież kto wie, czy mi biedny chłopiec za to w starości nie odpłaci!....

I nietylko w starości, ale już teraz odpłacił się sierota Karol jak mógł, swemu dobrodziejowi pomagał we wszystkiem, czy to w szkole dziatki wiejskie uczyć, czy to w gospodarstwie około domu. Karol choć biedował w mieście bardzo, przecież i nie dospał i nie dojadł, aby tylko na jaki podarunek dla Onufrego i jego córki się ściągnąć. Przywiózł też i dla swego dobrodzieja i dla Zosi, która przez ten czas i wyrosła i wyładniała bardzo, małe podarunki z miasta, z czego też była uciecha w domu. Toż i Onufry wesoł był i cieszył się sierotą, jak synem i mawiał:

— Choćby i tak zostało zawsze jak jest, to mam dobrą nagrodę, bo wiem, żem spełnił dobry uczynek, a to najdroższy skarb na świecie!..

Oj miał słuszność poczciwy Onufry!... Kto spełni w życiu jaki piękny i cnotliwy uczynek, tego Bóg już tem sowicie nagradza, że mu w serce wlewa spokój, radość i szczęście, a to lepsze jest daleko i tysiąc razy warta więcej, niż złoto, srebro i klejnoty!...

Jedno tylko dojmywało Onufremu i rodziło w jego duszy troskę, że nie będzie miał z czem wyprawić Karola do szkoły, bo się biedaczysko już i wysprzedał z wszystkiego, i choć myślał dniem i nocą, żadnej rady na to wymyślić nie mógł.... Ale i tę swoją zgryzotę ofiarował Onufry Panu Bogu, zdając się na wolę jego świętą i poratunek cudowny!

I nie zawiódł się zacny ten człowiek, bo kto na Bogu buduje, tego Bóg nie opuści... Posłuchajcie jeno co się dalej stało...

Było to jakoś pod wieczor, Onufry siedział i dumał o Karolu, bo już się czas zbliżał, aby go wyprawić znowu do szkoły do wyższej klasy, Karol zaś siedział koło niego i czytał głośno jakąś piękną książkę, którą przywiózł z sobą z miasta, a Zosia

szyjąc pilnie słuchała, kiedy nagle ode wsi odezwał się wielki turkot i kurzawa prochu powstała na drodze. Onufry przestał dumać, Karol ustał w czytaniu, a Zosia zatrzymała igłę, i wszyscy troje popatrzyli ku drodze, aby zobaczyć kto taki jedzie, kiedy naraz widzą, jak prześliczny powóz czterma końmi zajeżdżał do wsi i zatrzymał się akuratnie przed samem domostwem Onufrego.

Onufry podniósł się z siedzenia i poszedł ku wrotom, aby się dowiedzieć, czego ta kareta stanęła koło niego, kiedy z powozu wysiadła jakaś bogata pani w starszym wieku i prosto weszła na podwórze.

Onufry ukłonił się nisko i zdziwiony patrzał się na takich wielkich gości — a bogata pani tak go się pyta:

— Czy tu mieszka nauczyciel tej wsi, Onufry Sławecki?...

— Tak jest wielmożna pani! — odpowiedział Onufry — ja jestem nauczycielem tutejszym...

Rzekłszy to zaprosił nieznajomą panię do izby. Pani usiadła i zaczęła tak rozmowę:

— Przed kilku laty była w tej wsi na żętycy pewna pani chora....

Przy tych słowach pokręciły się w oczach nieznajomej pani łzy żałości....

— Tak jest — odpowiedział Onufry — była tu nieboga... i tu umarła....

— Umarła!... — powtórzyła pani i wybuchła głośnym płaczem — dowiedziałam się już o tem. Umarła biedna w nędzy i zostawiła po sobie sierotę, małego chłopczyka....

— Tak jest, łaskawa pani — odpowiedział Onufry — zostawiła syna imieniem Karol. Matka jego zwała się Żalicka.

— Ten syn jest u pana — mówi mu ta pani i ciągle łzami rzewnemi się zalewa — pan to byłeś tak dobry i tak zacny, że przyjąłeś do swej ubogiej chaty obcą sierotę i podzieliłeś się z nią ostatnim kawałkiem chleba! O niech panu to Bóg wynagrodzi! Oto widzisz pan, ja jestem matką tej biednej zmarłej wdowy, a Karolek to mój wnuk....

Onufry nie mógł nic przemówić z zdziwienia a tymczasem pani mówiła dalej:

— Gdzież jest ten biedny sierotka, gdzie jest mój wnuk, chcę go widzieć jak najprędzej i przytulić go do mego serca...

Onufry wybiegł na podwórze i przywołał Karolka. Ledwie go ujrzała pani, rzuciła się ku niemu z otwartemi ramionami i ściskała go i całowała, a z oczu jej łzy się lały z wielkiego rozczulenia....

Karolek nie wiedział, co to ma znaczyć, i zdziwionem okiem spoglądał na obcą, bogatą panię, gdy ta otarłszy łzy i odetchnąwszy tak poczęła mówić:

— Dziwne wam się to wszystko wydaje, ale wytłumaczę wam to zaraz. Ty Karolku jesteś moim wnukiem. Straciłeś matkę biedną, kiedyś był dzieckiem, Bóg ci dał dobrotliwego opiekuna w tym zacnym człowieku, a teraz zsyła mnie, abym zakończyła twoje sieroctwo... Smutna to historja mojej córki, która tu w nędzy między wami umarła. Bóg widzi, ile mi to łez, ile boleści kosztowało!

Oto tak się rzecz miała.... Jestem hrabina Żalicka, matka Karolka była jedyną moją córką. Mąż mój chciał ją wydać za pewnego bogatego pana, co się starał o nią bardzo, ale nieboszczka pokochała innego ubogiego młodzieńca, co się z małego urzędu żywił i nikomu tylko jemu chciała należeć. Ojciec naciskał na nią, aby szła za bogatego pana, gniewał się okropnie, że nie chciała, a w końcu bez woli dziewczyny przeznaczył termin ślubu. Córka moja płakała i błagała ale nadaremnie!...

I oto co się stało. Jeszcze nie nadszedł był dzień, w którym ślub z bogatym panem miał się odbyć, kiedy córka moja uciekła z domu naszego, wzięła bez naszej wiedzy ślub z swym kochankiem i znikła z swym mężem bez śladu... Ja chętniebym była przebaczyła mojej córce, bo na serce i miłość nie ma rady, ale mąż mój srodze się rozgniewał, przeklął nieposłuszną córkę i przysiągł, że już nic o niej w życiu ani słyszeć ani wiedzieć nie chce...

Mitygowałam mego męża i wstawiałam się za nieszczęśliwą córką — a tymczasem dowiadywałam się, gdzie się podziała, ale ani męża przebłagać ani córki znaleść nie mogłam.

Pojechaliśmy potem za granicę, ja choć ukradkiem chciałam posełać mojej córce i jej mężowi wsparcie, ale nigdzie

odszukać jej w kraju nie mogli. I trudno też było odszukać, kiedy męża jej posłali na urząd jakiś aż do Węgier.... Tak minęło nam kilka lat za granicą.... Mój mąż tam umarł, a na łożu śmiertelnem żałował mocno, że się wyrzekł swej córki!....

Wróciłam tedy do kraju i tu dopiero dowiedziałam się niedawno, że moja córka owdowiała, że mąż zostawił jej syna, i że sama biedaczka umarła w nędzy gdzieś w górach.. Długo jeździłam, aby wynaleść przynajmniej wnuka i grób mej córki i oto aż dopiero teraz Bóg mnie tu do was zawiódł....

Kiedy hrabina skończyła opowiadać, poczęła znowu mocno płakać i całowała Karolka, a Karolek też zapłakał.... Onufry zaś i jego córka z rozczulonem sercem przypatrywali się temu wszystkiemu....

— Tak to Bóg nas sprawiedliwie pokarał — rzekła dalej pani — córkę naszą za nieposłuszeństwo woli rodzicielskiej, nas rodziców za to, żeśmy gwałt zadać chcieli sercu dziecka.

Kiedy przeminęły płacze i witania, kazała pani zajechać swemu forysiowi na podwórze Onufrego, i rozpakowała swoje rzeczy, mówiąc:

— Kiedyś panie Onufry był tak litościwy dla mego wnuka, przyjmże i mnie na kilka dni w gościnę, nim się ułożymy o dalszy los Karolka.

Onufry odstąpił zaraz jedną izbę dla hrabiny, która zaraz posłała do miasta, zakupić w obfitości wszystkiego, co tylko potrzeba było dla domu, i chatka uboga Onufrego nie zapamiętała nigdy takiego dostatku, jak teraz.

Na drugi dzień rozpoczęła hrabina z Onufrym taką rozmowę:

— Jesteś pan zacnym i litościwym człowiekiem, jakiego trudno znaleść dziś między ludźmi! Wspierałeś ile możności mą córkę biedną, wziąłeś w dom sierotę po niej i jak ojciec rodzony dbałeś o jej dobro.... Powiedz czem ci to wynagrodzę, bo choć jestem bogatą, to czuję, że nie potrafię odpłacić się za twój piękny uczynek! Taką cnotę tylko Bóg umie wynagradzać, na świecie nie ma takich skarbów, coby jej były warte...

— Ja też nie pragnę innej nagrody, jeno bożej — odpowiedział Onufry.

— Zacny człowieku! — odpowiedziała hrabina — tyś był ojcem dla Karolka, kiedy on był ubogą sierotą, bądź mu i teraz ojcem, kiedy został panem bogatym. Jedź z nami do miasta, my cię będziemy kochać i pielęgnować, jak naszego dobroczyńcę!

— O nie — odpowiedział Onufry — dziękuję za tę dobroć, ale ja już nie porzucę tej wioski! Żyłem tu tak długo i tu kości moje złożę.... Kto wie, coby się stało z dziatkami wiejskiemi, gdybym je porzucił, kto wie, czyby tu był po mnie jaki drugi nauczyciel, coby je uczył i wychowywał!... Nie opuszczę ja mojego obowiązku, Karolek niech jedzie z panią a ja zostanę z moją Zosią, jak dawniej....

— Nie, to być nie może! — zawołała hrabina — kiedy już sam chcesz tu koniecznie pozostać, to daj mi pan swą córkę.... to dziewczę młode i piękne, widać że jej Bóg dał rozum nad wiek i stan. Pan nie masz za co ją wychować jak się należy, przyjmuję ją więc do siebie na wychowanie...

Onufry ucałował ręce hrabiny i zgodził się na to żądanie, bo uznawał to sam, że jego Zosia warta była lepszej doli.... Ułożono więc tak, że Zosia i Karol pojadą z hrabiną. Onufremu zaś dała hrabina wielką sumę pieniędzy. Nie chciał jej przyjąć Onufry, ale kiedy go począł sam Karolek prosić serdecznie, aby to wziął od niego, nie mógł się wymówić. Jeszcze kilka dni zabawiła hrabina w chacie Onufrego, aż wreszcie przyszedł czas rozstania. Karolek i Zosia wsiedli do pojazdu z hrabiną i pojechali — a co było przedtem płaczu i pożegnania, to już łatwo się sami domyślicie.

III.

Kiedy hrabina odjechała z Karolem i z Zosią, zrobiło się smutno w chacie Onufrego, a jeszcze smutniej w jego sercu. Został sam jak lipa przy drodze. Markotno mu było bardzo, nudził się i błąkał po pustych izbach zafrasowany. Na szczęście i Karol i Zosia pisywali często listy do Onufrego, a w tych pisaniach zawsze było dla niego tyle serdecznej miłości, że stary Onufry powtarzał sobie:

— Kto się doczekał takiej córki, jak moja Zosia i ma takiego wdzięcznego wychowanka jak Karol, temu nie może być źle na świecie....

I ot tak powoli zbiegło czasu kawał duży, i znowu kilka lat przeleciało, jak z bicza trzasł. Przez ten czas tylko raz przyjechali do Onufrego w gościnę Karol i Zosia, a Onufry zato jeździł do nich do miasta raz w każdym roku. Widział on tam z wielką radością serca, że jego córka za łaską hrabiny uczyła się wszystkiego, co tylko panny z wyższego stanu umieć mają — a nie mało cieszyło go też i to, że Karol nigdy nie przestał go kochać i szanować, i choć teraz wielkim panem

i hrabią został, zawsze był dla niego dobry i wdzięczny jak syn dla ojca.

Tak mijał czas, kiedy raz Onufry nie dostał przez kilka miesięcy żadnego pisania ani od córki ani Karola. Markotno mu się bardzo zrobiło, że tak o nim zapomnieli i troski zaczęły nachodzić jego serce.

— Kto wie może już i moje dziecko, jak się dostało pod pańskie wychowanie, zapomniało o mnie — mawiał sam do siebie — a zresztą kto wie, na co się przyda mojej Zosi takie wielkie wychowanie, ona biedna sierota, tylko do pracy stworzona, toć potemu, kiedy przyjdzie pobiedować, będzie jeszcze nieszczęśliwszą na świecie!....

Tak się biedził i troszczył Onufry, kiedy pewnego dnia zaturkotało mocno coś we wsi i prosto na podwórze jego zajechało dwie karety. Onufremu serce zabiło radośnie, wybiegł naprzeciw — a tu z karety jednej wysiada hrabina z jego córką, a z drugiej Karol.

Zosia rzuciła się zaraz w objęcia ojca a Karol także ucałował ręce swego dobrodzieja. Kiedy się już rozgościli w chacie i siedzieli razem w izbie, rzekła hrabina:

— No moje dzieci, pamiętajcież, pocośmy tu przyjechali!

— Na te słowa Karol powstał z ławy, wziął za rękę Zosię, która się zarumieniła jak róża, klęknął z nią razem przed Onufrym i rzekł:

— Dobrodzieju mój! prosimy cię o błogosławieństwo!...

Onufry aż przemówić nie mógł z wielkiego wzruszenia i patrzył to na Zosię, to na Karola, to na hrabinę, aż hrabina tak mówi do niego:

— Tak mój panie Onufry. Mój wnuk pokochał twoją córkę i prosi cię, byś mu ją dał za żonę. Ja zezwoliłam już na to i dałam parze błogosławieństwo, teraz pobłogosław ty zięcia i córkę!

Onufremu puściły się łzy z oczu. Pobłogosławił młodą parę a serce jego było pełne radości i szczęścia....

Wkrótce odbyło się wesele, a odbyło się w chacie Onufrego, bo tak koniecznie chcieli Karol i jego babka. Niedługo też potem zakupił hrabia Karol wieś Jałowicę i tak wszyscy ci poczciwi ludzie żyli razem w tej wiosce i doznawali tego szczęścia, którem pan Bóg czasem już na świecie nagradza dobre uczynki i cnoty.

Wojtek ze Smolnicy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 14.

11. listopada 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pierścień pana Kościuszki.

O panu Kościuszce, wielkim naczelniku naszym, toby człek słuchał i słuchał, a nigdyby się nie mógł nasłuchać tych historji, co o nim starzy ludzie opowiadają. Bo też to i pan Kościuszko tak się zrósł z każdem sercem polskiem, że jeno wspomnij jego imię, a już człeku coś się i wesoło i żałośnie odrazu odzywa w duszy, a krew w żyłach jakoś aż cieplejsza się robi.

Niedawno temu opowiedziałem wam, mili wy moi ludzie, o panu Kościuszce, jak to on przebywał u sołtysa w Liplesie i jaką mu tam mogiłę poczciwa gromada usypała na wieczną pamięć swego naczelnika.

Widział ja ci i inną pamiątkę, którą pan Kościuszko zostawił po sobie a i o niej muszę wam tu napisać. Już temu kilka lat będzie, kiedym był na Wołyniu, co jest część kraju polskiego pod panowaniem Moskala. Otóż na tym Wołyniu jest mieścina mała Horochów, a niedaleko tej mieściny jest znowu pewna bardzo biedna wioszczyna. Kiedym przejeżdżał przez nią, aż mi żal serce ściskał, takie tu wszystko biedne! Chaty małe,

ledwie z kilku desek i z gliny zlepione, zagospodarowania nigdzie za grosz, a ludziska biedni okrutnie. Bo też ta wieś nie ma ani dobrych gruntów, ani lasu, ani pastwisk, tak że się człek i pomiarkować nie może, czemu się ludzie w takiej złej okolicy pobudowali.

Wystawcie sobie więc, jak się mocno zdziwowałem, kiedym w tej ubogiej wiosce zobaczył duży i piękny ruski kościół, (czyli cerkiew), murowany i pod gontem, a taki szykowny i porządny, jakby w mieście. Nie mogłem sobie tego na rozum wyłożyć, jak tacy ubodzy ludzie przyszli do takiego pięknego kościoła, a w końcu tak sobie pomyślałem:

— Muszą tu być bardzo pobożni wieśniacy, kiedy taką sobie cerkiew zbudowali, choć sami tacy biedacy. Toć to każdy gdzieś głodu przycierpieć musiał, aby się złożyć na tę ładną świątynię!...

Tak dumając sobie zobaczyłem przed jedną chatą starego już kmiecia. Zaraz też zatrzymałem się koło niego i pozdrowiwszy go, jak na Polaka przystoi, mówię:

— Piękną tu macie cerkiew, gospodarzu.

— A piękną, nie ma co mówić — rzecze staruszek — tylę też świecy i wosku w naszej gromadzie, bo jak widzicie reszta biedna i nędzna.

— A toć ja się właśnie nadziwić nie mogę waszej pobożności — mówię ja na to — żeście się dla chwały Bożej na taką cerkiew zdobyli.

A sędziwy kmieć na to:

— Aj panie kochany, a gdzież by nam stać było w naszej biedzie na taką piękną cerkiew! Nie ma co mówić, gorliwi i my jesteśmy o chwałę bożą, ale takiej cerkwi to o własnej sile nigdy byśmy byli nie pobudowali!

— A to pewnie ją dziedzic lub sam rząd postawił? — pytam dalej.

A kmieć na to:

— Dziedzic nie, bo mało co bogatszy, a Moskal także nie, bo on tam o to nie dba, jak sami wiecie! Z tą cerkwią to cała historya była.

— A toć opowiedźcie mi moiściewy kochani — zacząłem prosić kmiecia — bo ja już takiej natury, żem ciekaw okrutnie wszystkich takich historyj!

Na to mi mówi ów gospodarz:

— A czemuż bym wam nie miał powiedzieć, toć to wiedzą o tem wszyscy tutejsi. Ta cerkiew zbudowana została za pierścień polskiego naczelnika Kościuszki.

— Co też wy gadacie! — zawołałem — za pierścień pana Kościuszki?!... A tać to musi być piękna historja; opowiedzcież mi ją z łaski waszej, bardzo was o to proszę.

Gospodarz usłuchał mojej prośby, nałożył sobie fajeczkę tytoniem z mego kapczuczka i opowiedział mi historję, którą wam tu wypisuję.

Kiedy pan naczelnik przebywał w Polsce, wypadła mu raz droga na Wołyń i przejeżdżał akuratnie przez tę biedną wioskę. Wówczas zaś była w wiosce stara drewniana cerkiewka, taka nędzna jak wieś cała. Była już prawie na pół zawalona, i ledwie się trzymała na drewnianych słupach, któremi ją podparli ludzie, szpar i dziur było w niej mnóstwo, ściany już spruchniały, dach załamany i do połowy zgniłemi gontami a do połowy słomą pokryty.

Otóż pan Kościuszko jadąc przez wieś musiał mijać i tę starą, ubogą cerkiewkę. Było to gdzieś nad ranem, a że pan naczelnik był zawsze bardzo pobożnym i każdą sprawę od Boga zaczynał, więc też i ten dzień chciał rozpocząć modlitwą. Wstąpił tedy do cerkiewki, która właśnie była otwarta, bo coś tam w niej dzwonnik sprzątał.

W cerkiewce był w wielkim ołtarzu stary i piękny obraz Najśw. Bogarodzicy, przed którym z wielkiem nabożeństwem zwykli się byli modlić ludzie. Zamożniejsi zawieszali przy tym obrazie tak zwane w o t a czyli ofiary na cześć Najświętszej Panny, jak np. serca z srebra, krzyżyki itd.

Otóż przed tym obrazem ukląkł pan naczelnik Kościuszko i modlił się gorąco przez czas długi, a gdy już skończył poranną modlitwę, chciał jeszcze przy obrazie zostawić jakąś pamiątkę po sobie, bo właśnie wybierał się w obce kraje.

*

Zdjął tedy pan Kościuszko z palca swój pierścień, szeroką złotą obrączkę i powiesił ją przy obrazie, a potem opuścił cerkiewkę i pojechał dalej.

Dużo lat minęło od tego czasu. Pan Kościuszko umarł na obcej ziemi... Stara cerkiewka do reszty zniszczała. Ściany poczęły się coraz bardziej walić, tak że już podpieranie nic nie pomogło, dach załamał się w dwoje, a do środka zaciekała już woda. Zgryzota była wielka w gromadzie, bo lada chwila cerkiew zawalić się mogła do reszty — a tu gospodarze bardzo ubodzy nie mieli z czego zdobyć się nawet na naprawę, a cóż dopiero na zbudowanie świątyni pańskiej.

Tak rzeczy stały, kiedy trafiło się jednego razu, że przejeżdżał przez tę wieś jakiś pan bardzo bogaty i z ciekawości i nabożeństwa wstąpił do środka cerkwi. Tu począł oglądać obraz w wielkim ołtarzu i przepatrywać pozawieszane ofiarki, gdy mu naraz wpadł w oko ów złoty pierścień. Zdjęła go ciekawość, ktoby tu taką szeroką złotą obrączkę mógł zawiesić. Przypatruje się więc lepiej temu pierścieniowi i wyczytuje na nim takie nazwisko: Tadeusz Kościuszko.

Zdziwił się mocno i zaraz pobiegł do księdza, aby się bliżej o ten pierścień wypytać. Ksiądz zawołał dzwonnika, i pytają go się wraz z panem, czy nie widział kto ten pierścień tu zawiesił? Dzwonnik opowiedział zaraz, że widział tego pana, co go ofiarował, i opisał całkowicie, jak wyglądał.

— A wszak to był sam Kościuszko! — zawołał pan, który z tego opisania domiarkował się tego, że to nie był nikt inny. Mówi tedy do księdza:

— A toż wy księże macie w waszej cerkwi skarb nieoceniony, bo taka pamiątka po Kościuszce warta bardzo dużo!

— Wiem ja o tem — rzecze ksiądz — że pierścień ten po panu naczelniku drogi jest każdemu Polakowi i cieszy mnie to bardzo, że nasza cerkiewka ma taki piękny upominek. Ale cóż z tego kiedy sama cerkiewka, nędzna już i stara, prawie się już zawaliła i wstyd człeka zbiera, że w takiej nędznej szopce Boga chwalić musimy.

— Proboszczu — mówi na to pan — posłuchaj mnie Ten pierścień wiele dla mnie znaczy, bo on był na tej samej

ręce, co szablę wznosiła za naszą ojczyznę! Ja służyłem pod panem naczelnikiem, a pamięć jego droższa mi jest nad wszystkie skarby świata. Jestem bogaty i kupię ten pierścień. Dam za niego tyle, ile zażądacie, dam taką sumę, że wystarczy na odbudowanie nowej cerkwi! A choć tu w waszej wsi już nie będzie pierścienia pana Kościuszki, to przecież zostanie wam po nim pamiątka piękna, bo nową cerkiew za jego pierścień mieć będziecie.

Ksiądz zdziwiony bardzo wysłuchał mowę pana a nadzieja, że może tym sposobem przyjdzie ubogie sioło do nowej świątyni, bardzo go ucieszyła. Nie mógł się jednak odrazu zgodzić na życzenie pana, bo nie śmiał tak sam z własnej woli rozrządzać tym pierścieniem, co go pan Kościuszko zawiesił Matce Boskiej na ofiarę.

Pan ów przyznał, że ksiądz ma słuszność, ale nie odstąpił od swego zamiaru, jeno pojechał do samego biskupa, a biskup dał na to pozwolenie, aby pan ów kupił ten pierścień, a za pieniądze aby wystawiono nową cerkiew we wsi.

I tak się też stało. Pan sypnął grubo pieniądzmi za pierścień pana Kościuszki, a za te pieniądze zbudowano tę piękną cerkiew, o którą mnie pytaliście.

— My tu zaś wszyscy w gromadzie — kończył swą opowiadkę stary gazda — uważamy tę cerkiew tak, jakby ją nam sam pan Kościuszko zbudował i zawsze mamy w sercu i w pamięci jego imię, i modlimy się za niego w tej nowej i pięknej cerkwi.

Ja pochwaliłem tę wdzięczność gromady i poszedłem do cerkwi, ukląkłem tam przed wielkim ołtarzem, gdzie ongi modlił się pan Kościuszko, i ucałowałem z pokorą ziemię. A potem pomodliłem się serdecznie do Boga za naszym krajem i za nami Polakami! A kiedy wyjeżdżałem ze wsi pomyślałem sobie:

— Mój ty mocny Boże! Co to za mąż wielki i szlachetny Polak był ten nasz pan naczelnik i w jakiej musi być teraz łasce u Boga, kiedy tak wszystko, co tylko zrobił za życia, tyle nauki, pociechy i pożytku sprawia nam jego rodakom!...

Smierć lirnika.

Wypadek, który się zdarzył za ostatniej wojny z Moskalami.

Srogą zimą wedle drogi,
Gdzie się bielą niwy —
Szedł staruszek raz ubogi,
A jak gołąb siwy...

Idzie — idzie wolnym krokiem,
Z czoła pot obciéra,
Stara torba wisi bokiem,
W ręku dźwięczna lira...

A gdy mija jaką wioskę
Siada przy drożynie,
Czoło kryje ciężką troskę,
Z liry piosnka płynie!

Drżącym głosem stary spiewa
Jak to dawniej było;
Słucha chłopak — słucha dziewa,
Jego piosnkę miłą:

„Hej czas bywał dawniej błogi
„W ojczystej krainie,
„Pan Kościuszko bijał wrogi
„Że krwią Wisła płynie —

„A Kiliński, szewc po prostu
„Moskwę gnał z Warszawy,
„Moskal chciał „wielkiego postu,“
„Miał więc post, lecz krwawy!

„Krwawe było tam wesele,
„Szabla była drożką —
„Chłopom Bartosz szedł na czele
„Panów wiódł Kościuszko!

„Hej minęły, czasy złote,
„I nie wrócą może —
„Stracił człowiek żyć ochotę —
„Ta w grób kości złożę!“

Przestał lirnik — łzę ma w oku —
A lud jeszcze słucha —
Wtem wpadł chłopek wśród natloku
Jakby był bez ducha —

I wykrzyknął co miał siły,
A twarz mu się pali:
„Posłuchajcie dziadku miły!
„Nasi tną Moskali!“

Hej wykrzyknął lud wesoło,
W boski cud uwierzył —
Dziad z uśmiechem spojrzał w koło,
Schylił się — i nie żył!

Gabryś z Urbanowic.

Majster Siwuń.

Powiastka
Tomka z nad Styru.

I.

Na naszej obszernej a pięknej ziemi polskiej, co to dziś już pod Moskalem, leży niedaleko miasta Radomia ładne miasteczko Pilica. Okolica tam piękna i wesoła, by dziewoja kra-

kowska, a lud dobry, poczciwy, i do pracy nałożny i do tańca ochoczy, szczery sercem i z otwartą dla każdego chatą, jak wszystek lud nasz polski, czy to z nad Wisły i Warty, z nad Niemna i Wiliji, czy od porohów Dnieprowych lub zielonych brzegów Wisły.

Niedaleko za miastem płynie wspaniała rzeka, a zwie się także Pilica. Huk tam na niej statków, czółen i czółenek, tratw naładowanych komięgami złotej naszej pszeniczki, a na każdej po kilka hożych flisaków przyśpiewujących sobie swobodno! Oj wesołoż tam wesoło! Wszędy na około ciebie fale a fale sinej wody, dalej piaszczyste brzegi, a jeszcze dalej jak oko zajrzy zielone niwy i łany żółciutkiego zboża, co jeno kołysze sobą i kołysze pełnemi kłosami, jakby paciorek miłosiernemu Panu Bogu odmawiało! Pilica płynie a płynie dalej, do Wisły, tratwy gładziutko przesuwają się po przejrzystej wodzie, i jeno flisak przyspiewuje piosenkę wesoło, od czasu do czasu ozwie się głos wioślarza, albo wypali gdzie kto z fuzyi do dzikiej jakiej ptaszyny, a huk szeroko rozbije się o wodę...

Miasteczko Pilica leży na piaskach. Będzie temu już z górą trzy dziesiątki lat, gdy na wschodniej stronie od miasta pod niewielkim sosnowym borkiem stał mały i schludny dworeczek. Mieszkał tam pan Maciej Siwuń, właściciel tego dworku i kilku gruntów niepiasczystej ziemi, pracowity gospodarz a trzeba dodać, że i krawiec na całe miasto pierwszy, a jak wielu mówiło a i ja też powtórzę, że i na całą okolicę! Bo co to było panu Maciejowi uszyć kapotę z siwego sukna z podwójnemi wyszywaniami, albo wygotować paradną sukmanę na wesele! A już jak ci oddał suknię z roboty, tobyś się w niej nie powstydził pokazać choćby u samego pana starosty na nowy rok!... Pan Kalasanty Kukawka, organista tamtejszy, co to chodził zawsze jak woziwoda ostatni, tak nieboraczysko dusił kieskę i składał białe rubelki, a przecież jak zobaczył na Wszystkich Świętych pana Onufrego Kiszkę rzeźnika w nowiuteńkiej kapocie z czarnemi frendzlami i kutasami, jakiej na całe miasto nikt jeszcze nie miał, to mu się tylko siwe oczka zaświeciły, jak to bywało zawsze za młodu, kiedy się umizgał do panny Petroneli. A gruby rzeźnik zasiadł sobie z paradą w pierwszej ławce podczas Mszy

świętej, i uśmiechał się jeno pogardliwie patrząc na zblakowaną czemerynę pana Kalasantego!... Na drugi dzień już rano pan majster Siwuń siedział z założonemi na nosie okularami za stołem i krajał gładziutkie sukienko na kapotę dla pana organisty, która miała mieć dwa razy tyle wyszywań i o siedm kutasów więcej od kapoty tłustego rzeźnika!... Za panem Kalasantym wszyscy cechmistrze Pilicy pozamawiali sobie podobniuteńkie kapoty u majstra Siwunia, a gdy na Boże Narodzenie zebrali się u księdza proboszcza, to warto było patrzeć!...

Taką to miał sławę w Pilicy pan majster Siwuń, a nie bez tego żeby jej nie miał i w okolicy. Sam pan posessor z Mirki za Pilicą przyjeżdżał co rok do niego z całą bryką dzieci (a miał ile Bogu dziękować około tuzina) i zamawiał dla całej rodziny przyodziewek, a i dla siebie kapotkę i czemerkę z lepszego sukna. A kiedy pan majster pokończył roboty i odniósł do dworu, to nie obeszło się tam bez napitku i przekąski smacznej, i bez osobnych darunków z spiżarki pani posessorowej.

Tak to jakoś szczęściło się poczciwemu panu Maciejowi, i ludzie poważali i kochali, i roboty zawsze huk, a w skrzyni spory mieszek przeszanowanego grossa. Ale ponoś jak świat światem, tak szczęścia na świecie nie łacno wyszukasz, ani łacniej wyprosisz i wymodlisz, a już jak zaświeci odrobinkę jak słonko z za marcowej chmury, to i prędzej się jeszcze wymknie, i już chyba potem szukaj wiatru w polu!...

Tak to i z panem Maciejem było. Miał on prawdać żonkę cnotliwą, dobrą, kochającą, choć do rany przyłóż, miał własny kącik na starość i chleba podostatkiem, miał szacunek ludzi, a już z robotą jak powiadam to i nie mógł się biedaczysko opędzić, ale cóż... kiedy do tego wszystkiego niedostawało im jeszcze czegoś, co rozwesela ściany najbiedniejszej chaty, co w najcięższej pracy spędza troski z chmurnego czoła i uszczęśliwia życie!... Biedny Macieisko nie miał dzieci. Już dwadzieścia i jeden latek przeżył z ukochaną swoją kobietą, a co się namodlił, co ponasprawiał kościołom i cerkwiom, a ile na msze święte powydawał, tego by już pono nikt nie zrachowałł...

Ale wszystko to jakoś nie pomagało. Pan Bóg znać odmówił już im tego szczęścia, trzeba się więc było pobożnie pogodzić z wolą Jego przenajświętszą! To też nieraz myślał sobie pan Maciej:

-- Ha!... nie dał mi Pan Bóg dzieci... niech się więc dzieje wola Jego przenajświętsza!... Mam jeszcze sporo siły i zdrowia, dziękować Bogu nie jestem kaleka, mam całe i zdrowe ręce a więc trzeba pracować choć nie na dzieci, ale dla szczęścia ludzi, by choć odrobinę pamiątkę zostawić po sobie na świecie!... — Tak sobie myślał poczciwy Maciej i wtenczas rozjaśniało mu się czoło, i ręce rzeźwiej brały mu się do pracy...

Tak to było długi czas w dworku pana majstra. Ludzie zjechali się z robotą, Maciej jedno wykończył, drugie zaczynał, i wciąż przy robocie z igłą w ręku widziano go w swojej izdebce za stołem.

Następnego aleć lata dziwnie jakieś zmiany pozachodziły w starym dworku pod sosnowym borkiem. Pan Maciej opuścił się i zaniedbywał roboty, jednym powiadał, że dolega na rękę, drugim, że już spracowany ta i nie dowidza dobrze, innym, że chciałby już odpocząć i w spoczynku spędzić stare swoje lata. Aleć do starych lat jeszcze mu było daleko, włos ledwo co zaczynał szpakowacieć, a i dziękować Bogu wyglądał by o młodych latach świeżo, rumiano i zdrowo.

To też nie tak łacno wszyscy temu uwierzyli, a pan Kasper Szelka pisarczyk z urzędu co mu to gwałtem potrzeba było nowej kapoty na wesele z panną Jagnieszką córką Onufrego Kiszki, ze złości i niechętny pono dla poczciwego pana Macieja, zaczął go coś bardzo pilno śledzić i doglądać, a gdy się go niektórzy ciekawo wypytywali, to kiwał jeno strasznie głową i milczał.

Jednej nocy, a było to jakoś już w późnej jesieni, do starego dworku pod sosnowym borkiem zajechało kilka mocno czemsić obładowanych fur. Na dworcu było ciemno choć oczy wykól, stare sosny za dworkiem szumiały i skrzypiały przeraźliwie a wiatrzysko zimny huczał i wył tak okropnie aż człeku zimno po kościach przechodziło. Pan Maciej wyszedł z małą latarką na dwór, poszeptał coś z cicha z ludźmi koło wozów

a potem razem z nimi wynosił ciężkie jakieś paki z bryk do swojego spichrzyka i składał wszystko w zapula. Potem poprzykrywał je płachtami i na dwie kłódki zamknął spichrzyk.

Niedaleko od dworku majstra po za opłotki skradał się jakić człowiek otulony płaszczem i zaglądał ciekawie, co się w zagrodzie dzieje. A gdy pan Maciej zamknął spichrzyk i niezadługo potem zagasła latarka a próżne wozy popędziły jak czarty gdzieś do lasu i znikły, człowiek ten zbliżył się do wrot, przedarł płotek i pokręcił się trochę koło spichrzyka, zerknął potem w okienko chaty, a gdy Bryś zawarczał w budzie, prędzej jeszcze przeskoczył wrota i gdzieś się podział w ciemnej nocy.

Na drugi dzień rano deszcz lał jak z cebra i na dworze zasłociło się na dobre, gdy w dworku pana Macieja na kominie pryskały smolaki, a w izbie było cieplutko i miło, jeno siedzieć a Bogu dziękować za uczciwy kątek. Majster siedział za stołem, na nos założył stare swoje krawieckie okulary i wywijał igiełką aż miło było patrzeć. Na stole, na ławce, ba nawet i na ziemi leżało huk sukna pokrajanego czyściutko, i gotowego już do igły, a wszystko siwiuteńkie i ładne aż strach!... Pani Maciejowa także nie próżnowała. Szyła czapeczki jakieś czerwone, niebieskie, to białe, a wszystkie miały po cztery rogi i śliczniuchne pawie pióro u boku!... Pan majster uśmiechał się jeno od czasu do czasu radośnie i wywijając pracowicie igiełką przyspiewywał sobie po cichu:

Mówił ojciec do swej Basi
Cały zapłakany,
Słuchaj jeno ponoś nasi
Biją w tarabany!...

Już się zszarzało dobrze na dworze a pan Maciej jeszcze siedział przy robocie z igiełką w ręku. A kiedy wstał ze stołu by zapalić światło i dorzucić polanek do ogniska, i mimochodem wyjrzał przez okno, mignęła się jakaś twarz plaskata, owinięta starannie płaszczem. Majster przeżegnał się krzyżem świętym i wyszedł na podwórko. Ale darmo szukał, bo już pod oknem nikogo nie było, jeno wiatrzysko sobie hulał jak

przedtem, sosny stare za opłotkami skrzypiały przeraźliwie i sowa zakrzyczała od dzwonnicy...

— Sen mara, Bóg wiara!... mruknął pobożnie zasiadając napowrót do roboty, a przed oczyma mignęła mu się szeroka płaskata twarz z nasuniętą na czoło czapką o zadartym czerwonym nosie i małych błyszczących oczkach. Jeszcze raz przeżegnał sie pobożnie by odpędzić licho na cztery wiatry, i zabrał się do igły i sukna. Ale przy robocie często mu stawała przed oczyma owa tajemnicza twarz co tak ciekawie zaglądała przez szyby, a czerwony nos i małe, błyszczące oczki bardzo coś przypominały panu Maciejowi pana Kaspra Szelkę, narzeczonego panny Jagnieszki.

W kilka dni potem w nocy ciemnej i burzliwej znowu kilka bryk zawalonych pakami zajechało do zagrody pana majstra i znowu toż samo się odbyło co pierwszą razą. Pan Maciej poskładał z wozów paki w spichrzyku, bryki odjechały gdzieś do lasu i głucho jeno za nimi zadudniło, i znów ten sam człowiek zawinięty płaszczem pokręcił się koło wrót i dworku majstra, a gdy Bryś w budzie zawarczał przeskoczył wrota i pobiegł ku miasteczku.

Za kościołem koło szyneczku pod „Kogutkiem“ stanął a tuż zaraz prościutko do niego zbliżał się pan Pafnucy Martynko, woźny z urzędu, człek bardzo ciekawy i plotkarz a gaduła na całe miasteczko zawołany.

— Panie Kasper a co tam nowego?... he!... — pyta po swoim zwyczaju.

A zapytany jeno pokiwał coś bardzo poważnie głową i cmoknął ustami, jak żyd, kiedy z za szynkfasu zachwala swoją szabasówkę. Pan Martynko złapał go zaraz ciekawie za poły płaszcza, z za którego wychyliła się niewielka płaskata twarz o małych świecących oczkach i długim czerwonym nosie.

Pan Kasper nachylił się do ucha pana Martynki; szepnął:

— Wielkie, wielkie rzeczy się dzieją w naszem miasteczku!...

A jeszcze ciszej dodał:

— Byłem teraz koło dworku majstra Macieja!...

— No!... i cóż?... zawołał rozciekawiony pan Martynko.

— Ciekawe rzeczy!... Co nocy prawie przyjeżdża tam kilka bryk z siwem komiśnem suknem, które majster zamyka na dwie kłódki w spichrzyku. A w dzień oboje z żoną szyją, jakieś mundurki, ułanki, czapeczki krakowskie z pawiemi piórkami!...

Pan Martynko kiwnął jeno wielką swoją głową i łypnął zielonemi oczyma jakby powiadał, że już wszystko rozumie.

— To dla Polaków!... szepnął, ale tak cichutko, że go ledwie mógł pan Kasper dosłyszeć — to dla powstańców!... słyszeliście co się w Warszawie dzieje?!...

(Co się dalej stało opowiemy w przyszłym numerze.)

Pogadanka u pana organisty.

O wielbłądach.

Stary fornal Maciej miał kuferek, na którego wieku z spodniej strony mnóstwo było nalepionych obrazków i malowań najrozmaitszych. Stary Macieisko lubiał bardzo dzieci, więc też się do niego z całej wsi zlatywały — a kiedy im chciał stary wielką radość sprawić, to otwierał kuferek i pokazywał im na wieku poprzylepiane obrazki.

Kiedy raz tak przypatrywały się dzieciaki tym obrazkom, zobaczył mały Józek jedno malowanie, co przedstawiało jakieś dziwne zwierzę. Było to na czterech długich nogach, i szyję miało długą, a na grzbiecie dwa okrutne garby. Bardzo się nad tem zwierzęciem dziwowały dzieciaki, bo to ni koń ni wół — Józek pyta:

— Macieju, Macieju, a co też to za taki dziwny zwierz namalowany?

— To jest wielbłąd! — mówi Maciej.

— Ba, a co to za zwierz ten wielbłąd? — pyta dalej Józek.

— Oto ciekawyś chłopcze! — rzecze Maciej — ale ja ci tego już tak dobrze opowiedzieć nie potrafię. Ale oto daruję wam dzieci ten obrazek, idźcie z nim do pana organisty, ten wie wszystko dokumentnie, i rozpowie wam o tem dobrze.

Mówiąc to Maciej odlepił obrazek z wieka i dał go Józkowi; a chłopczyna wraz z innemi dzieciakami pobiegł do pana organisty i pięknie począł prosić, aby im rozpowiedział, co to za zwierz taki. Pan organista wziął na nos okulary, przypatrzył się obrazkowi, i tak prawi chłopakom:

— To malowanie, dziateczki kochane, wielbłąda przedstawia. A wielbłąd większe to zwierzę od największego konia i jak oto widzicie na grzbiecie dwa garby ma. Są też wielbłądy o jednym garbie na grzbiecie. Te co dwa garby mają, drabarami też zowią a te o jednym garbie dromedarami przezwane. Kiedym jeszcze był młodym, w różnych krajach na krwawych wojnach bywałem, byłem też, dzieci me miłe, aż w Afryce. A daleko to od nas ta Afryka, trzebaby nam dotąd długo a długo wędrować i jeszcze przez okrutną wodę, co się morzem zowie, tam płynąć. Kto tam iść nie potrzebuje, niech też nie chodzi i jabym był tam nie poszedł, bym był nie musiał...

A tu Wojtek poderwie:

— A czemu to, panie organisto nie radzicie tam chodzić? czy wam tam źle było, czy wam wojenka nie do smaku przypadła?

— A bodaj dobrze, mój Wojtusiu — organista na to — nie trzebać sobie wojenki życzyć, a kiedy człek ma krew przelewać, to musi wiedzieć za co, a widzicie, my tak daleko na tę wojenkę jakby z musu pośli za Napoleonem, nie mialim się tam za co bić!

— A jak tam było, panie organisto? odezwie się Walek.

— Kiedy indziej wam o tem powiem, ciągnie dalej organista, dziś wam jeno mówię, że tam jest źle, bo gorąco jak w piecu a ludzie na różne choroby jak muchy padają. Tam tedy w tych gorących krajach ja wielbłądy widział i sam też na takim wielbłądzie jechałem.

— Pan organista na takim wiebłądzie jechał? zapytał ciekawie Józek.

— Toć jechałem, organista rzecze, bo widzicie, tam wielbłądów jak u nas koni używają. Biegną one jeszcze szybciej od konia, bo przez dzień i 20 mil ubiegną a nie jeno człowieka samego taki wielbłąd uniesie, ale jeszcze wiele miechów

z ciężarem można włożyć na niego a on się spieszy, jakby nic nie dźwigał. Zaś kiedy się w drodze podróżnym bardzo pić chce, że już tam ludzieby pomarli z pragnienia na tym wielkim skwarze, a tu wody nigdzie nie ma, bo tam na kilkadziesiąt mil sama pustynia, piaski i piaski na dole a słońce okrótnie gorące na niebie — to wielbłąda zabiją, bo ma wewnątrz taką pęcherzynę, że tam wodę zimną przechowuje. Już Pan Bóg tak stworzył wielbłąda, że dużo wody pije i w żołądku chowa żeby miał na drogę, a jak wody i tydzień tam w tych gorących krajach znaleść nie może, to z tej torebki, co jest wewnątrz niego, niby sobie po trochu bierze.

— A czem się też wielbłąd żywi? — zagadnie Marychna.

— Ot! ostu a pokrzywy daj, już wielbłąd syt i wielbłądzica jeszcze ci mleka da więcej, niż krowa dobra.

— A czemu to u nas nie ma wielbłądów, kiedy takie dobre? przerwie Frącek.

— Widzicie, uczy dalej organista, za zimno u nas wielbłądom, bo one tylko żyją w gorącej Afryce i w Azyi południowej, gdzia też pustynie a gorączki wielkie. Przez te pustynie kupcy na wielbłądach towary różne przewożą, albo też mieszkańcy z jednego miejsca na drugie szybko się w potrzebie na nich przenoszą. Zaś z wełny wielbłąda grube sukno robią a ze skóry jego obówie i miechy szyją. Po miastach u nas Niemcy także nieraz pokazują wielbłądy, ale te mizeraki nie długo się na naszem zimnem powietrzu chowają.

— Ale złe pewnie wielbłądy? — mówi Staś.

— Nie, moje dziecko, wielbłąd bardzo łagodne zwierzę, odpowie organista, jeno bić się nie da. Gdy się wielbłąd zmęczy, batem go już z miejsca nie upędzisz, ale jak kto na skrzypcach albo piszczałce ładnie zagra, to się wielbłąd jeszcze porwie a dobrze kilka mil ubieży. A przytem musicie wiedzieć, że te wielbłądy tak są już wyuczone, że jak na nich mają pakować ciężar, to one przyklękają na ziemię, aby ludziom lepiej było pakowć. Ale za to też mają i ten rozum, że jak na nie bardzo dużo ciężaru nałożyć, to same pomiarkują, że tego nie udźwigną i dopóty nie wstaną z ziemi, dopóki człek ciężaru nie ujmie.

— A czy tam gdzie wielbłądy żyją, dużo jest takich pustyń okrutnych? — pyta Józek.

— Oj jużci, że nie wszędzie tam takie łany zboża i zdroje i rzeki i lasy jak w naszej ziemicy — mówi pan organista — widziałemci ja bardzo puste kraje, że to ani traweczka drobna się nie zazieleni, jeno piasek a piasek jak daleko dojrzeć możesz. Ztąd kraje te pustyniami się zowią, bo pusto tam i głucho — chyba tygrys, albo lew, albo co tam strasznie zaryczy.

A tu Józek poderwie:

— A co to za zwierzęta lew, albo tygrys, panie organisto?

A pan organista na to:

— Oj strasznie dzikie to zwierzęta, broń Boże im się pokazać, bo cię na płatki rozdrapią, później wam więcej o nich powiem, gdy na jarmark pójdę a takie malowania kupię, co tam te zwierzaki malowane będą, teraz jeno mówię, że jak te zwierzaki w onych puszczach zaryczą, to wielki strach człeka porwie, choćby też się nie zląkł lada czego. I tak ze trzydzieści albo więcej dobrych mil w tym piasku ujedziesz, a tu ni chatki, miły Jezu, ni trawki, ni kropelki wody nie znajdziesz. Z trudna się tam czasem ledwo palmowych drzewek pare i wodę trochę a łączka mała trafi: miejsca takie oazami się zowią. Największa pustynia na całej ziemi jest w Afryce, gdziem ja one wielbłądy widział i zowie się pustynią Sahara. A na tej pustyni słońce jakby sam ogień pali, a na tej pustyni jak się gorący piasek zacznie kurzyć, to jakby już koniec świata był, bo aż ciemno od tej gorącej, piasczystej kurzawy, aż słonka ani trochę dojrzeć. A kiedy tam odetchniesz, to ci ten gorący piasek aż w gardło lezie, a tak ci się mdło robi, jakbyś lekarstwa z apteki dobrze zażył. Miły Jezu, co to za burza straszliwa! Jak ta gorąca kurzawa wnet się nie uspokoi, to się wszystko żyjące stworzenie podusić musi, że ci się dobrze żal zrobi, gdy potem na takie miejsce przyjedziesz a tu same jeno trupy a trupy w piasku widzisz!

Gdy tedy kupcy i tamtejsi ludzie, co się zwą Arabowie, z towarami na wielbłądach przez one pustynie jadą, strzegą się, by ich taka burza w drodze nie napadła. A gdy taka burza wnet przyjść ma, powietrze siarką trąci, grzmot tęgi

a niebo czerwone, jakby się całe paliło. Wtedy każdy z podróżnych ucieka na wielbłądzie, co siły ma, by tam gdzie między jakie góry się dostać, albo się gdzie indziej skryć i śmierci ujść. Choćby tam który zachorował i pomocy błagał albo na drugich wołał, by trochę zaczekali, bo jego wielbład za nimi podążyć nie może, to ani się nikt nie obejrzy, bo każdy zmyka, jak może. A jak się ten piasek na dobre zacznie kurzyć, to wszystko zawieje jeszcze bardziej, niż śnieg u nas największy. Zaś kto ujść nie zdołał przed oną burzą, to się twarzą na ziemię kładzie i wielbłądy też i tak czasem z pół godziny trzeba leżeć i jak w gorącym piecu się smarzyć i prawie wcale nie oddychać, bo ktoby tego powietrza w siebie wiele wciągnął, jużby żyć przestał. A jak z godzinę trwa burza wszystkich poprzysypuje i podusi!...

A Jóżkowi aż się żal zrobiło i pana organisty pyta:

— Czemuż oni tam jeżdżą, kiedy tam tak źle, czemu wej do nas tu nie przyjdą, toćby im tu lepiej było?

A pan organista mówi:

— Widzisz, Józku kochany, oni się tam porodzili i tak kochają ziemię ojców swoich i wolą już tam pozostać, niż iść gdzieindziej; a wy wszyscy też pracujcie, jak możecie, a choćby wam kiedy i wielka bieda była, to ziemi waszej nie opuszczajcie, ale ją nad wszystkie ziemie kochajcie...

Jeszcze tam pan organista coś chciał dziateczkom powiedzieć, a tu stary Wieloch na Anioł Pański zadzwonił i wszyscy się do domu rozeszli.

Przysłowia.

Przykład lepszy niż nauka:
Czuć co mówisz, to mi sztuka!

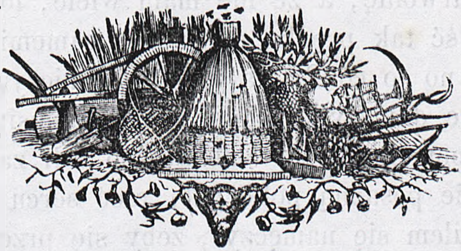
Dla każdej rzeczy miejsce naznaczyć należy
Uważaj, czy rzecz każda na swem miejscu leży.

Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożna,
Nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 15.

21. listopada 1865.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Poczciwość nagrodzona.

Mrok zapadał w cichej wiosce nad Bugiem, tysiące iskrzących gwiazd na błękitnem niebie zapowiadały jeden z tych ślicznych wieczorów naszej polskiej ziemi. Niezadługo jasna twarz miesiąca ukazała się po nad wierzchołkami lasu, a jego srebrne promienie oświecały dwoje młodych ludzi, siedzących smutnie nad rzeką.

— Tak Franusiu moja, przemówił po długiej zadumie Mateusz, przyjdzie mi was porzucić. Tę moją wioskę kochaną gdziem się urodził, cmętarz gdzie groby moich ojców, i wszystko co mam drogiego na świecie, nawet ciebie miła Franusiu opuścić muszę; a i nie możesz mi brać tego za złe, bo takie życie jak moje, to śmierci się równa; czuję, że już dłużej nie wytrzymam.

— A i o cóż ci tak chodzi Mateuszu? — zapytała nieśmiało dziewczyna.

— O co mi chodzi! — zerwał się porywczo. — Te ciągłe przymówki, przygryzki twego ojca, krewniaków, ba i tego i owego, dopiekły mi srodze; jakbym ja co winien był, żem

się biedny urodził. Czym to zmarnował, albo przetrwonił ojcowiznę? Wszak pracuję uczciwie od małego dzieciucha: nie przepijam, nie trwonię, a że nie mam wiele, to i nic dziwnego, bo trudno przyjść tak prędko do czegoś samemi tylko dziesięcioma palcami; no to cóż? Ja majątków niczyich nie pragnę, niech mi nic nie dają tylko ciebie samą Franusiu, a zobaczysz, czy nam przy pomocy Bożej chleba albo soli zabraknie. Moja wina, żem ciebie posażną pokochał, aleć sercu nie nakażesz! Sam Bóg wie, ilem się nameczył, żeby się przezwyciężyć i nie dać poznać, że ja biedny parobczak pokochałem dziewuchę najbogatszego we wsi gospodarza, ale cóż? serca nie przeprze — dokończył cicho Mateusz.

— Posłuchaj mnie — powiedziało wzruszone dziewczę — jam nigdy z ojcem tak szczerze o nas nie mówiła. Że cię miłuję, to wiedzą w całej wsi, a te dogryzki jak je zowiesz, to jeszcze nic; ojciec stary, to i marudny, mnie tam nijakich przytyków nigdy nie robił, a ludzkie gadanie, ktoby ta na nie uważał; wiesz przecie: „jeszcze się taki nie urodził, coby wszystkim dogodził.“ A potem mój Mateuszu jesteśmy młodzi oboje, to i poczekać możemy.

— A! czekać! czekać! i doczekać się aż cię przed ołtarz powiodą, a mnie może za drużbę poprosisz!

— To i mnie widzę już nie wierzysz, albo zapomniałeś jak ci przyrzekłam, że niczyją jak twoją nie będę — z żalem powiedziała Franusia — otóż raz jeszcze ci przysięgam na ukrzyżowanego Chrystusa, że tylko z Mateuszem przed ołtarz mnie powiodą, inaczej wolałabym marnie zejść z tego świata.

— O Boże! co też mówisz Franusiu! Franusiu tożbym wolał widzieć cię w uściskach innego, aniżeli... — i porwał za ręce miłą sobie dzieweczkę, jakby ją chronić chciał od wszystkiego złego.

— A widzisz Mateuszu, jak to źle wątpić, stracić wiarę w serce kochające, wątpić o dobroci Boga i mnie przez to do grzechu pobudzać; otóż widzisz, ja dzisiaj jeszcze będę prosić Walentowej naszej sąsiady, by pogadała z ojcem: jak wiesz cała wieś ma ją w wielkiem zachowaniu i mój ojciec także;

a kocha mnie jak własną. Jeżeli kto, to poczciwa starowina będzie umiała wyrozumieć ojca, coby też powiedział na nasze ożenienie.

— Co powie, to ja już dawno wiem, ale kiedy tak chcesz, to niechże i będzie; popróbuj, chociaż po prawdzie ani źdźbła nadziei nie mam, by ojciec twój chciał biednego parobczaka zięciem swym nazywać.

— Wszystko jest w mocy Boga, mówi zawsze nasz dobrodziej, i ja w Jego najświętsze ręce dolę naszą składam. Bądź dobrej myśli Mateuszu, jutro po zachodzie będę szła do Kasprowej, czekajże na mnie za wsią, to ci powiem da Bóg dobrą nowinę — mówiła Franusia dochodząc zwolna ku domowi, pożegnała Mateusza i smutna, zadumana weszła do Walentowej: smutna, bo wiedziała dobrze, że ojciec żadną miarą nie zezwoli na połączenie się z Mateuszem, bo pocieszała go tylko, sama nie wierząc słowom swoim. Postanowiła jednak spróbować, rachowała bowiem na wielkie ku sobie przywiązanie ojca. Długo naradzały się z Walentową, jak zacząć mają ważną rozmowę, aż sama nastręczyła się sposobność, bo stary Kasper nie widząc wracającej córki, sam po nią zaszedł do Walentowej.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł wchodząc do izby siwy, ale krzepki jeszcze Kasper — a cóż to mi dziewucho do domu nie wracasz, aż stary ojciec szukać cię musi po sąsiadach.

— Ej nie gniewajta się kumie — rzekła Walentowa — toć nie na żadne bałamuctwo ani zaloty poszła, ino ze starą pogadać.

— Oj te zaloty! te zaloty — mruknął niechętnie stary — a jeszcze żeby to kto od ludzi, a nie lada chłystek.

— Wiem ci ja, do kogo pijecie — mówiła ośmielając się kobieta — ale nie grzeszcie! oj nie grzeszcie kumie! chłopiec stateczny, poczciwy, pracowity, nie żaden furda ani pijanica, cała wieś to przyzna; że majątków nie ma w kieszeni, no to ma w pracowitej ręce i błogosławieństwie Boskiem, co uczciwej pracy zawsze błogosławi.

— Tere fere, tere fere — z gniewem zerwał się Kasper — co się też wam roi Walentowo, nie dziwiłbym się młodej

głowie, ale żebyście wy stara kobieta tak bzdurzyli, to i wstyd. Ja miałbym moją i moich ojców pracę lada młokosowi wydać, by potem jeszcze zęby mną sobie wycierał i poniewierał jedyne dziecko, a niedoczekanie wasze — wołał trzęsąc się od złości.

— Tatusiu! tatusiu jedyny! — całując go w ręce i kolana zaszlochała Franusia — już ja nie chcę nikogo i nigdy, tylko się nie gniewajcie, nie pójdę za mąż! jak mi Bóg miły nie pójdę!

— Nie pójdziesz! a i do czego rośniesz? — powiedział ochłonąwszy cokolwiek Kasper — ja ci za mąż iść wcale nie bronię, ale chcę, byś sobie dobrała porządnego i dostatniego chłopca, a nie uganiała się za lada pędziwiatrem i nie uważała na potakiwanie cudze, bo ojciec chce dla ciebie najlepiej, i tak zrobi jak mu się będzie zdawało.

Nie dorzuciła już ani słowa zakrzyczana Walentowa i spłakana Franusia; znały dobrze gwałtowną gniewność Kaspra, i wolały zmilczeć, a wszystko czasowi i Boskiej Opatrzności zostawić.

Nazajutrz blada, znękana dzieweczka szła smutna wązką dróżyną do wsi sąsiedniej; gwiazdy nie przyświecały jak wczoraj, ciemny chmurny wieczór zgadzał się z smutkiem biednej Franusi, szła pomaleńku postawając często, wzdychała szukając w głowie i serduszku, czem pocieszyć, jak powiedzieć Mateuszowi, że ojciec wszelką odjął im nadzieję. Nic jej jednak na myśl nie przychodziło, zranione serce bolało, a gdy Mateusz zabiegł jej drogę, zamiast powitania, rozszlochała się na dobre.

— Widzisz Franusiu kochana — przemówił z boleścią — za wysokie progi na moje nogi. Oj gdyby nie te łzy twoje, co mi kamieniem na serce padają, poszedłbym gdzieby mnie oczy poniosły.

— Nie rób tego! nie rób na miłość Boga — wymówiła z trudnością przed płaczem Franusia i ujęła jego rękę jakby się lękała, żeby od niej nie uciekł.

— A i cóż ci ze mnie biedna dziewczyno? Cóż ja ci poradzić mogę. Bóg widzi, krwi bym ci swej nie poskąpił, a je-

dnak zaradzić twoim łzom nie mogę, bom biedny, a biednemu zawsze wiatr w oczy.

— Bóg dobry — przemówiła z cicha Franusia — mimo wszystkiego mam nadzieję w jego nieprzebranem miłosierdziu, a i dziś śniła mi się matka nieboszczka, a wiele razy w śnie ją zobaczę, zawsze coś dobrego mnie spotka. — Szli zwolna pocieszając jedno drugie zajęci swoją niedolą, nie uważali, że tuż za niemi postępuje proboszcz tej wsi. Zacny ksiądz Pawłowski, cały oddany poświęceniu dla bliźnich, wracał ze swojej zwyczajnej od chorych i potrzebujących pomocy wędrówki, i mimowoli wysłuchał skarg i narzekań młodych ludzi: ujęła go wiara ich w Opatrzność i poddanie się korne woli Boga i rodzica.

— Bóg z wami dzieci — przemówił poważnie — a dokąd to idziecie?

— Chyba was Bóg nam zesłał dobrodzieju na pociechę, o może i radę jaką nam dacie — zawołał Mateusz obejmując z uszanowaniem i miłością kolana bardzo szanowanego proboszcza.

— A i w czemże mogę wam być użytecznym? — spytał ksiądz z dobrocią — znam cię chłopcze, żeś uczciwy i pracowity, Franusię że skromna i bogobojna; możebym nawet i zgadł o co chodzi, gdybym was tak smutnemi nie widział.

Mateusz jął opowiadać co zaszło, dziewczyna po cichu płakała, gdy kończąc już smutną historyę swoją potknął się mocno o coś leżącego na ziemi. Byli już na bitym trakcie prowadzącym do miasta. Chcąc poznać co było powodem jego upadku, schylił się i podniósł dużą torebkę. Zatrzymali się. Młody chłopiec wyjął krzesiwko, naniecił ognia i trochę drżącą ręką otworzył pugilares napełniony papierami bankowemi i srebrem: przetarł oczy, zdawało mu się, że marzy, nakoniec odzyskawszy mowę:

— Franusiu! — zawołał — Franusiu! patrz jestem bogatym, obacz co tu pieniędzy, to Pan Bóg sam ulitował się mej niedoli, teraz już mi dadzą ciebie. Za tyle pieniędzy oporządzę się jak należy. Kupię grunt, chałupę, ba i na zagospodarowanie wystarczy; chodź tylko do ojca, jak mu pokażę tyle

bogactwa, zobaczysz, zacznie z innej beczki, ale chodź tylko prędzej, wołał ciągnąc ją zapomniawszy o plebanie, co usunąwszy się na stronę przypatrywał się im obojgu z wielką ciekawością.

— Prawda! jak mi Bóg miły — zawołała uradowana Franusia — taki skarb; o! dzięki ci też Wszechmocny Boże! Co tu pieniędzy! Ale kto też to mógł zgubić w tych stronach?

— Kto zgubił, to zgubił, dość że ja znalazłem, zawołał nie myśląc o tem co mówi i pociągając za sobą Franusię.

— Mateuszu — powiedziała zamyślając się dzieweczka — my się tu tak cieszymy, ale co też ten nieborak robi co zgubił: może to cały jego majątek?

— Cały, niecały, czegoż się nie pilnował — chmurząc się zwolna mówił młody chłopiec — ty bo Franusiu, zamiast iść co prędzej ze mną do ojca, rozgadujesz się niepotrzebnie.

— Bo widzisz, powiem ci szczerze, że mi czegoś robi się markotno, wiem przecie, żeś znalazł te pieniądze, a jednak zdaje mi się, że one nie twoje.

— Prawda, żem na nie nie pracował — rzekł markotno młody chłopiec — znaleziona zguba to nie własność; człowiek tak skołatany, że o tem nie pomyślał, masz racyę Franusiu, to nie moje i trzeba oddać gdzie należy. Ale z naszej żeniaczki kwita. — W tej chwili oboje wspomnieli na proboszcza, zbliżył się i on do nich a uściskawszy z uczuciem:

— Bądźcie dobrej myśli — powiedział — Bóg o was, jak wy o nim nie zapomni, domyślam się, czyja może być zguba. Od kilku już dni spodziewają się we dworze dziedzica, który sprzedawszy odziedziczony w tych czasach majątek w Krakowskiem, chce nabyć przyległą naszej wiosce Brzozową Wulkę, może więc być, że to on zgubił pieniądze.

— Niech będą czyje chcą, ja ich tam nie ruszę — mówił z determinacyą Mateusz, oddając pugilares proboszczowi. Niech dobrodziej robi z niemi co mu się żywnie podoba.

Rozłączyli się niebawem, pocieszeni przez proboszcza, który uroczyście obiecał zająć się ich całą sprawą. I rzeczywiście zaraz nazajutrz udał się do dworu, gdzie zastał wczoraj przybyłego dziedzica, a opowiedziawszy całą sprawę z pie-

niędzmi, przekonał się, że domyślenia jego były słuszne, bo znaleziona znaczna suma była rzeczywiście dziedzica, pochodząca ze sprzedaży dóbr w Krakowskiem; ale nie tyle ucieszyły zacnego pana włości znalezienie pieniędzy, ile uczciwość dwojga młodych ludzi. Całą więc tę sprawę wziął gorąco do serca, i nie czekając posłał po Mateusza. Po krótkiej z nim rozmowie udał się szlachetny dziedzic wraz z proboszczem do chaty starego Kaspra, zdziwionego i uradowanego odwiedzinami powszechnie kochanego pana. Po przywitaniu szanowny dziedzic prosił go o rękę córki dla młodego gajowego z pensyą 500 złotych rocznie, chatą i ogrodem. Zagadniony z nienacka Kasper, nie wiedział jak sobie radzić: odmówić nie było sposobu, bo chociaż nie wiedział jeszcze o kogo chodziło, znając dobrze pana, był przekonanym, żeby mu nie swatał takiego zięcia, coby nie wart był jego jedynaczki. Wcale też nie to go kłopotało: kamieniem na sercu leżały mu od wczoraj łzy i smutek córki, którą serdecznie kochał, a i ostre wyrazy wyrzeczone w gniewie przeciw Mateuszowi bolały go srodze, bo wiedział jak uczciwym i pracowitym był młody chłopak. Lękał się powtórzenia wczorajszego żalu córki, gdyby jej męża narzucić chciał, dla tego umyślił całą rzecz zdać na nią samą. Skraśniało przywołane dziewczę, modre oczęta ku ziemi spuściła, ale wnet zmiarkowawszy o co chodzi, miętosząc w ręku róg fartuszka, Franusia choć cichym szeptem, wręcz jednak oświadczyny przyjęła. Zdziwił się stary Kasper, nie wierzył własnym uszom, a nie wiedząc, że to o Mateuszu była mowa, mruknął na płochość zwykłą niewieście:

— Nie spytaszże przynajmniej o kim mowa — powiedział nareszcie — boć przecie nie starego Kubiaka, co zmarł łońskiego roku, swata ci nasz pan łaskawy.

Aż też i Mateusz wszedł do chaty, pokłonił się proboszczowi i dziedzicowi, który wziąwszy za rękę uśmiechniętą Franusię i rzeźkiego chłopca, poprowadził oboje do Kaspra, nie pojmującego co się święci.

— Błogosławcie ojcze — powiedział — bo oto gajowy, dla którego prosiłem was o rękę dorodnej waszej dziewuchy.

Poklękali młodzi, a stary wzruszony i ucieszony podniósł drżące ręce i pobłogosławił z radością:

— Znać taka wola Boga dzieci moje — powiedział stary — ja przeciwko tobie nic nie mam mój chłopcze, znają cię w całej wsi, żeś pracowity i nie utratnik, a dziś kiedy wiem, że dziecku memu nie będzie ani chłodno, ani głodno, chętnie ci je daję wraz z dobytkiem, bo wiem, żeś wart tego, tem bardziej kiedy się wstawiają za tobą tak zacni ludzie.

— O i bardzo wart — rzekł proboszcz i opowiedział piękny czyn młodych ludzi, a dziedzic dodał, że z tych pieniędzy daje im jeszcze pewną część na zagospodarowanie się. Lecz Mateusz i słyszeć o tem nie chciał, mówiąc, że i tak ma dosyć, bo pewny kawałek chleba i ukochaną Franusię. Stanęło więc na tem, że przeznaczone sobie pieniądze, za chętną zgodą starego Kaspra, oddał Mateusz proboszczowi z prośbą, by ich użył na nowy budynek, który przeznaczonym będzie na szkółkę we wsi. Jakoż wkrótce po weselu szczęśliwego Mateusza z dorodną Franusią, w przytomności całej wsi, poświęcił zacny proboszcz węgielny kamień na porządną murowaną szkółkę, gdzie po dziś dzień wszystkie dzieci całej wsi, a nawet starsi pilnie chodzą, ucząc się jak czcić Boga i pełnić obowiązki względem niego, bliźnich i siebie.

Dwie dusze.

W ciemność wysoką, w wieczystą głuszę
Idą ze świata dwie różne dusze.

Jedna jak głownia czarna, ponura,
Leci, by z wichrem gradowe chmura.

Druga przejrzysta jak kropla duża,
Ciemne powietrze sobą rozchmurza.

Kiedy się zbiegły dwie nieboszczyce,
Obiedwie sobie spojrzały w lice.

— To ty Barbaro? — To ty Maryjo!
I wszerz swe długie szaty rozwiją.

— Jaka ty ciemna... powiedz siostrzyczko,
Coć poczerniało różane liczko?

Ty była taka blada jak ściana,
A czasem jakby róża różana...

Czy ty się w jakiem kąpała zielu?
Dziewczęta czasem myją się w chmielu,

Inne w leszczynie, na której jeszcze
W zawiązku biały orzech szeleszcze? —

— Ej nie to, nie to, od liści ziela
Człek się nie czerni, ani wybiela.

Ja nie raz matce bardzo odrzekła,
Że aż niebodze i łza pociekła.

I tak krótkiemić powiem słowami,
Cała ludzkiemi żmyłam się łzami.

A łzy co w oczach perłami lśniły,
Taką mnie strasznie czarną zrobiły.

Lecz ty mi powiedz siostro bez grzechu,
Na jakim ty się bieliła blichu?

Pamiętam ciebie, kopciuszek iście,
A teraz cała świecisz śrebrzyście.

Wszak ty służyła za popychadło,
Nie raz na ciebie i błoto spadło.

A kto przechodzi to popchnie, kopnie,
Co prawda, brzydka byłaś okropnie.

I w jakim ty się zdroju kąpała,
Żeś wyjaśniała i wybielała?

A owa rzecze głosem jak dzwonka,
Albo kościelnej pieśni z przedsionka:

— Jam się nie myła w gładkiem jeziorze,
Które ptak śrebrny piersiami orze;

Ni w źródle, które z pod drzewa leci,
Z pod mchowych liści jasno się świeci,

Otoć krótkiemi powiem słowami...
Ja się własnemi obmyła łzami.

To rzekłszy w szatę zwinie się białą,
I leci w stronę gdzie rozedniało.

T. Lenartowicz.

Majster Siwuń.

Powiastka
Tomka z nad Styru.

(Dokończenie.)

Na drugi dzień rano całe miasteczko gadało o majstrze Macieju i o ogromnych brykach naładowanych pakami siwego sukna, które co nocy przywożono niewiadomo zkąd do starego dworku pod sosnowym borkiem.

Tymczasem poczciwy pan Maciej nie spodziewał się niczego i wesoło sobie przyspiewując krajał siwe sukno na mundurki, płaszcze i czapeczki dla „swoich dzieci!...“ jak mawiał.

Często po północy zajeżdżała bryka z za lasu przed dworek majstra, zabierała poszyte suknie, mundurki i płaszcze i wywoziła gdzieś... ale gdzie?... o tem nikt pono nie wiedział.

Pan Maciej szył od rana do wieczora, a w niedzielę albo w święto jakie to zamykał się w swojej osobnej izdebce i długo, bardzo długo tam coś przesiadywał. Nikt nie wiedział co on tam robił, aż dopiero mały Wojtuś z kuchni, co dawniej palił w grubach, a teraz przyuczał się od majstra krawiectwa, zerknąwszy raz przez dziurkę od klucza, zobaczył pana Macieja klęczącego przed obrazem Matki Bożej, modlącego się głośno. Majster miał łzy w oczach, a rozciekawiony Wojtuś dosłyszał podczas modlitwy po kilka razy wymówione imię wodza Dwernickiego.

Tak stały rzeczy długi czas. W kraju wrzało tymczasem i gotowało się jak w garnku, a do naszego miasteczka zalatywały wieści o mężnej braci, co z bronią w ręku powstała bronić praw i swobody ojczystej!... Pod Stoczkiem, pod Grochowem, pod Wielkiemi Dębami, pod Boremlem zbili nasi Moskali co się zowie, a jaki taki, co miał zdrowe ręce, obszerniejszą pierś i serce kochające ojczyznę, brał kosę do ręki i szedł na wroga. Ale niestety Moskal przemocą swoją zwyciężył.

Jakoś w kilka miesięcy potem straszne nieszczęście spadło na stary dworek pod sosnowym borkiem. Było to raz wieczorem, na kominku syczały polanka i blade światełko rzucały na izbę,

a na stołku siedział sobie pan Maciej i krajał sukno i spiewał coś o Krakusnch i o dzielnym Dwernickim.

W tem zaturkotało na podwórku, przed dworek wpadła kibitka i w kilka chwil potem nieszczęśliwy majster związany i w łańcuszki okuty był już w rękach Moskali. Nic nie pomogły tłumaczenia się, nic nie pomogły płacze i łzy biednej jego żony, Moskale zabrali sukno, mundury i płaszcze, zbili płaczącą Maciejowę, a gdy nieszczęśliwy majster pytał, gdzie go biorą i co się z nim stanie, to mu odpowiedzieli:

— Milcz i zabieraj się!

Kibitka ruszyła, pan Maciej jeszcze raz wyciągnął ręce do wpół umarłej z przerażenia, biednej swojej kobiety, i wkrótce pusto już było na podwórku, tylko zdala zalatywał coraz to cichszy turkót kół szybkiej kibitki, unoszącej nieszczęśliwego więźnia...

— Na Sybir!... do kopalni!... — wyjękła biedna kobieta i padła na kolana przed obrazem Bożej Rodzicielki. Tymczasem na kominie przygasło ognisko, w izbie było ciemno i pusto okropnie, a w kominach wył wicher i jęczał tak przeraźliwie jak dusze umarłych w czyśćcu!...

Na drugi dzień w całem miasteczku mówiono o okropnem nieszczęściu, które nawiedziło stary dworek pod sosnowym borkiem. Niejeden szczerze zapłakał nad nieszczęśliwą dolą majstra Siwunia, a stary ksiądz proboszcz odprawił w kościółku mszę, błagając miłosiernego Boga o odwrócenie tego okropnego nieszczęścia od nieszczęśliwego majstra i osieroconej jego żony.

W kilka dni potem w szyneczku pod „kogutkiem“ siedział za stołem pan Kasper Szelka i opowiadał coś na ucho grubemu woźnemu z urzędu. Na stole stała flaszka z zielonym truneczkiem.

Woźny był bardzo wesoły, łypał z zadowoleniem oczyma i popijał z kieliszka. Żydek zwijał się koło stoła, wydobywał najsmaczniejsze likiery z szafeczki pod kluczem, które tylko dla najbogatszych mieszczan otwierał, i cmokając językiem kiwał coś bardzo głową.

Pan Kacper miał pełne kieszenie białych nowiuteńkich rubelków, popłacił żydowi wszystkie swoje dawne długi i wypił z woźnym trzy sztofy dziengielówki.

II.

Od tego czasu sporo minęło lat. Wojna ucichła, Moskal znowu zapanował w ojczyznie naszej i jeszcze mocniej uciskał i ciemiężył nieszczęśliwy naród, więzienia pozapełniały się powstańcami, a na Sybir pędziły kibitki z biednymi skazańcami. A przecież choć tyle nieszczęść spadło na nieszczęśliwy kraj nasz, choć tyle krwi się po biednej ziemi polało i tyle mogił przybyło, nie tracili nasi nadzieji w pomoc miłosiernego Boga, a niejeden skazaniec, pędzony w sybirskie krainy na kilkanaście lat albo i na całe życie, składał nabożnie ręce i ze łzami w oczach szeptał:

— Dziej się wola Twoja przenajświętsza!... Wycierpieliśmy już tyle nieszczęść, wytrzymaliśmy tyle zawodów, toć i życie położymy za kochaną ojczyznę!...

Tak to sobie niejeden biedny myślał, oglądał się za kochanym krajem, co mu co raz to znikał już z oczu i tonął hen tam gdzieś w mgle dalekiej za górami i lasami. A Kozacy smagali nieszczęśliwych harapami i pędzili jak bydło coraz to dalej i dalej w białe śnieżne stepy; wykrzykując jeno dziko:

— Na Sybir!... na Sybir!... —

A strasznyż to kraj ten Sybir moskiewski, zimny, śnieżny i bezludny jakby po klęsce morowej!... Jak daleko zajrzysz okiem, stepy jeno a stepy białe, śnieg a śnieg, gdzieniegdzie ledwie czasem, a i to bardzo rzadko zaczernieje się kilka chałup brudnych, z których wyjrzy otulony w niedźwiedzią skórę dziki Moskalisko i przestraszony widokiem ludzi ucieknie nazad i zabije przed nieszczęśliwym skazańcem drzwi i okna!... A gdy ci przyjdzie lata spędzić w głębokich kopalniach na ciężkiej pracy, gdy batóg kozaka skórę ci z ciała zedrze, toś choć młody i rumiany rychlej jeszcze pochylisz się, zżółkniejesz i zestarzejesz, a włos ci pobieleje by o późnej starości...

Do tej to strasznej krainy powieźli i nieszczęśliwego naszego majstra krawieckiego z Pilicy, pana Macieja Siwunia. Pani Maciejowa płakała, postarzała się i pochyliła jak staruszka, tak jej biedaczce tęskno i smutno było bez męża!... Stary dworek także coś nieboraczysko ucierpiał, bo i z dachu wicher pozrywał okłoty, szyby z okienek powybijał, a nie było

komu świeżo poszyć strzechę ni koło zagrody pochodzić!... W stajni i oborce bydełko schudło i pokuliło się, pole leżało odłogiem i do spichrzyka nie przybywało coś ziarna.

Biedna majstrowa sama jedna, bez dzieci, bez męża, więc nie dbała o gospodarkę i dobytek w domu, bo i dla kogo by to już wszystko było?... Majster Maciej jak wyjechał z Kozakami na Sybir, tak i wszystko po nim ucichło, by kamień w wodę rzucił. Co się biedna żona napłakała, co naprosiła, napytała, nic nie pomogło!... Gdzieś go znać wywieźli głęboko w moskiewskie kraje, zkąd już nieboraczysko nawet znaku życia kochanej żonie swojej dać nie mógł!...

Tak to było długi czas. W Pilicy żałowano bardzo po biednym majstrze. Niejeden może i pocierpiał na tem, bo takiego krawca jak Pilica Pilicą to taki tam nie było, a choćby nawet i nie to, to zawsze był to człeczysko dobry choć do rany przyłoż, zacny i poczciwy jakiego jeno szukaj.

Nikt w całem miasteczku nie wiedział, jakim sposobem mogli się Moskale dowiedzieć o tajnych robotach majstra dla powstańców, i tylko organista tamtejszy pan Kukawka, co to nic się przed nim nie ukryło, strasznie coś krzywo spoglądał na pana Kaspra Szelkę, pisarczuka z urzędu, który zawsze był goły jak święty turecki, a teraz bardzo coś sypał białemi rubelkami, sprawił sobie nowiuteńki surdut z świecącemi guzikami i całe dnie i nocy przesiadywał w szynku „pod koguttkiem“ na grzanym miodku.

W kilka lat potem pewnego wieczoru gdy pan Kalasanty Kukawka zajrzał raz do starego dworku majstra, zastał drzwi zamknięte, okna zabite i w całej zagrodzie pustkę, ni jednej żywej duszy!... Dopiero gdy wrócił do probostwa dowiedział się od księdza, że pani Maciejowa oddała cały swój dobytek, gospodarkę i zarząd w zagrodzie panu burmistrzowi, dalekiemu swojemu krewnemu, a sama z niewielką sumką pieniężną w zapasie poszła hen w dalekie kraje moskiewskie, za mężem...

Tymczasem pan Maciej głęboko na Sybirze osiadł w ubogiej jednej wioszczynie i jak mógł zarabiał sobie na kawał czarnego i suchego chleba. Było tam także kilku nieszczęśliwych Polaków, zesłanych z ojczyzny na wieczne mieszkanie

i niewolę moskiewską, więc razem z niemi myśląc o ojczyźnie kochanej, o swoich i o rodzinnej stronie, lżej było biednemu wyżyć i łacniej cierpieć z innymi...

Pan Maciej szył suknie swoim ziomkom, a w zamian od jednego dostawał jedzenie, drugi zaopatrywał go za to czem mógł, a inny oprócz serdecznego uścisku i szczerej podzięki nic mu nie mógł ofiarować, bo sam był biedny nieboraczysko i nieraz ginął z głodu...

Tak minęło kilka lat, gdy pewnego razu, późną już jesienią przybłąkała się do owej osady wygnańczej na Sybirze zbiedzona i zchorzała kobiecina. Była bardzo osłabiona, tak że ledwie dowlekła się do pierwszej chałupy i upadła nieboga bez sił na ziemię.

Otóż słuchajcie moiściewy, była to żona majstra Macieja. Co tam było radości i wesela, witań i uścisków ze łzami zmieszanych, o tem wam pono nie potrzebuję powiadać. Żona Siwunia, jako wierna małżonka, dotrzymać mu chciała wiary i jak też przysięgła mu przed ołtarzem, że go nie opuści aż do śmierci — tak dotrzymała, bo o żebraczym kiju przywlokła się aż na Sybir piechotą, aby męża swego wyszukać! Pan Maciej spłakał się jak bóbr, otoczył swoją ukochaną kobietę staraniami, tak że po kilku tygodniach odzyskała trochę siły i mogła już biedaczka na własnych nogach ustać.

Niedługo potem nasi majstrowstwo założyli sobie futorek, pan Maciej szył snknie i zarabiał potrochu na chleb i utrzymanie, pani Maciejowa zatrudniała się domowem gospodarstwem i była drugą matką nieszczęśliwym wygnańcom w onej osadzie.

* *
*

Po piętnastu latach wygnania stary majster uzyskał nareszcie pozwolenie powrotu do rodzinnej ziemi. Pożegnał swoich nieszczęśliwych rodaków w osadzie, zabrał żonę i synka, co już dwunasty rok zaczynał i po kilku miesiącach podróży wrócił do Pilicy, z powszechną radościa zacnych mieszczan, którzy go z otwartem sercem przyjęli. Stary majster zagospodarował się na nowo w starym dworku pod sosnowym borkiem, i szył jeszcze paradniejsze kapoty i sukmany mieszkańcom Pilicy, a młody jego syn w ostatniej wojnie z Moskalami bił się jak

przystało, a wróciwszy ożenił się z urodziwą i poczciwą dziewoją, która niedługo potem powiła mu synka. Do dziś dnia żyje jeszcze w Pilicy ta poczciwa rodzina, a widoczne błogosławieństwo Boże spływa na stary dworek pod sosnowym borkiem.

W parę tygodni po powrocie starego majstra do Pilicy znikł naraz z miasteczka pan Kasper Szelka, a w kilka dni potem rybacy zapuszczając więcierze na ryby wyciągnęli z rzeki ciało utopionego pisarczuka. Jak się potem odkryło, pan Kasper był owym, który to sprowadził przed laty Moskali na dworek pana Macieja. Hojnie za to zapłacony sypał rublami jak pan i chciał wódką sumienie zalać. Aleć dobrze to powiedziano, że choć je zalejesz i przytłumisz, to przecie ono kiedyś znowu zacznie szarpać duszę i nie da ci spokoju w żywocie: tak się też i z panem Kasprem stało. Kilka lat mizernego żywota w szynku i pod ławą, obudziły w nim w końcu wyrzuty sumienia. Rozpacz zapędziła go za miasto, nad brzeg rzeki, do której się nieszczęśliwy rzucił i utonął.

Rady gospodarskie.

O gnoju.

Gnojem nazywamy wszelkie rzeczy, które same, albo za pomocą ludzką łączą się z ziemią i nadają jej żyzność, a roślinom wzrost, moc i pokarm.

Gnój powstaje z części zwierzęcych i roślin; do tego należą wszelkie odchody zwierzęce i ich szczątki jako to: kości, rogi, kopyta, sierść, krew i t. d. Powstaje z roślin, które jako ściołka służą i pomieszane z odchodami zwierząt; albo zielone rośliny zasiane na mierzwę, albo szczątki roślin np. kuchy, popiół, sadze i t. d. — Albo nareszcie powstaje gnój złożony z rozmaitej ziemi, popiołu, soli, wapna i t. d. Do rolnictwa potrzeba koniecznie gnoju i żaden pewnie gospodarz nie będzie tak niewyrozumiały, żeby utrzymywał, iż przy dobrej i starannej uprawie obyłoby się bez gnoju.

Rolnik powinien swoją rolę dobrze znać, żeby wiedział czego potrzebuje, aby rośliny na niej zasiane znalazły dobry pokarm. Gnój, którym chcemy rolę mierzwić, powinien zawierać takie części, jakich jej nie dostaje, bo tylko pod tym

warunkiem wyda bujne rośliny. Gnoju trzeba częściej używać takiego, który prędko działa na wzrost roślin, bo taki przynosi pożytek. Ziemia powinna dostać tyle gnoju, żeby rośliny mogły się dostatecznie wykształcić. Zupełnie świeżego gnoju nie trzeba nigdy wywozić na jałową ziemię, tylko dobrze przegniły będzie na takiej ziemi skutecznie działał. Rozmaity gnój powinien być używany do rozmaitych roślin.

Każdy gospodarz tyle wie, że rośliny wyciągają z roli pożywienie, ale nie każdy chce wiedzieć i o tem pamiętać, że się ziemia wnet wyjałowi, jeżeli długo nie dostanie gnoju; bo nie masz na całym świecie takiego gnoju, któryby na zawsze ziemię użyznił tak, aby wydawała piękne urodzaje. — Jeżeli przy odpowiednim gnoju nie będzie starannej uprawy roli, to wtenczas też dobrego sprzętu spodziewać się nie można. Kto ugór wprost pod oźminę gnoi, ten zawsze traci na tem, bo lepiej można go użyć pod rzep, lub na zieloną paszę.

Wszelkie rzeczy zawierające w sobie części gnojne trzeba ochraniać i starannie zbierać, doprawiać i na rolę wywozić. Sucha ziemia na ściołkę użyta, albo na gnojowni rozpościerana pomnaża i ulepsza gnój tak, że prędko działa. Aby gnojownia była stosowna i dobra do utrzymania gnoju w dobrym stanie, powinien każdy gospodarz jak najwięcej starania i pilności w tem dokładać. Nie należy zaniedbywać gnoić zielenizną, a nie łakomić się na jej spasienie. Wielu zrobiło to doświadczenie, że gdy na pół ścięta koniczyna przyoraną zostanie, więcej u następującego po niej zasianego zboża wyda pożytku, niż gdyby była zupełnie ściętą i spasioną. Również i na to uważać trzeba, żeby słomę mocną, a nie zaś kruchą brać na ściółkę do urobienia gnoju na ziemię ciężką przeznaczonego. Dobry gnój może tylko od dobrej i pożywnej paszy utworzyć się, a potem, aby go dobrym utrzymać, zależy od dobrego obchodzenia się z nim tak w oborze, jako też na gnojowni. — Otóż gnój z chlewów, obór itd. wyniesiony powinien być równo rozpostarty, aby jednakowo leżał a nie tak, żeby były doły, lub wybuchy, i przytem udeptać go za każdym razem. Świń i drobiu nie puszczać na niego, żeby go nie rozgrzebywały, bo przez to traci na dobroci. Gnój od rozmaitych zwierząt należy mieszać i równo rozkładać. Jeżeli w gnoju jest wiele słomy, lub słańska nie przegniłego, to należy w środek kupy ułożyć, bo tam najcieplej, to się też prędzej rozłoży czyli przegnije. Żeby wysychaniu gnoju zapobiedz na kupie, trzeba go zlewać gnojówką, a jeżeli tej zabraknie, to wodą.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 16.
1. grudnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wieczór u Grzegorza.

Majster Grzegorz jest to sobie człowiek nielada w gromadzie stolnickiej i nielada ma we wsi szacunek i zachowanie. A już to nikt tak nie zasłużył na znaczenie w całej gromadzie, jak Grzegorz. Pan Bóg błogosławi ten świat nietylko dobrą dolą, zdrowiem, urodzajem, ale i dobrymi ludźmi. Każdy dobry człowiek to dar boży dla innych ludzi; a takim dobrym człowiekiem jest Grzegorz, majster kowalski w Stolnicach.

Tęgi to majster, jakiego na cztery mile poszukać w koło; uczył się swego rzemiosła w samym Lwowie, a jak co zrobił komu, to i mocno, jakby na wieki, i tanio jakby za darmo. Ale nie tyle jeszcze słynie Grzegorz z swego majsterstwa, co z swego wielkiego rozumu i uczciwości. Majster Grzegorz nim terminował we Lwowie, chodził pilnie do szkoły, wyuczył się tam wiele pożytecznych nauk, a kiedy się wyzwolił i został majstrem, i ożenił się — to jeszcze nie przestał czytać dobre i rozumne pisma, ale kupował i pożyczał ciągle książki i douczał się zawsze czegoś nowego dla własnej i dla drugich nauki.

Bo też pan majster jak każdy inny zacny i rozumny

człowiek, używał co sam umiał, na pożytek wszystkich innych bliźnich, a nic mu nie było milszego, jak gdy jaki gospodarz ze Stolnic zapotrzebował wywiedzieć się o czemś u niego. Wtedy to zaraz rozpowiedział i wyłożył wszystko dokumentnie, że już i nieżal było porzucić nawet robotę a pogwarzyć z majstrem o rozmaitych rzeczach i sprawach.

Otóż ten majster Grzegorz był przed tygodniem we Lwowie za rozmaitemi interesami, a osobliwie dla tego, aby odwidzić swego brata, co jest w tem mieście także bardzo zacnym i porządnym mieszczaninem i ma swój warsztat stolarski. Majster Grzegorz był przez kilka dni we Lwowie, a powrócił dopiero tego Poniedziałku do domu.

Kiedy się już dowiedziano we wsi, że Grzegorz powrócił z miasta do domu, wybrał się gospodarz Mateusz Ćwik pod wieczór do majstra na pogadankę. Po drodze zdybał swego sąsiada Łukasza przed chatą i mówi mu:

— Niech będzie pochwalony! A co Łukaszu, nie poszlibyście ze mną na małą chwilkę do majstra Grzegorza, bo właśnie przyjechał ze Lwowa?

— O toście właśnie moją własną myśl odgadli — prawi Łukasz — bo radbym także widzieć się z Grzegorzem i dowiedzieć się czegoś nowego ze świata.

— A to chodźmy razem Łukaszu — mówi Mateusz.

Zebrali się więc oba gospodarze i poszli do Grzegorzowej chaty. Kiedy weszli do izby i powitali się z majstrem, zastali już u niego kilku innych gospodarzy, którzy także z ciekawości zaglądnęli do Grzegorza. Majster prosił wszystkich, aby sobie pousiadali, a Mateusz mówi:

— Darujcie nam panie majstrze, że was tak pod wieczór nachodzimy, ale to już tak zwykle u nas! Jak tylko po nowinę lub naukę, to prędzej jeszcze niż po podkowę lub po żelazo do pługa biegnie każdy do Grzegorza!

— A mnie to właśnie mocno raduje — mówi majster — że do mnie macie takie zaufanie. Ja tego co mam w głowie, nigdy nie chowam do skrzyni, jeno rad dzielę się z każdym, ile tylko mogę.

— Bóg wam zapłać Grzegorzu — mówią na to gospodarze — otóż powiedzcie nam z łaski swojej, co też tam nowego słychać w wielkiem mieście, boście co tylko powrócili ze Lwowa?

— Kiedy ja przyjechał do Lwowa — mówi Grzegorz — to zastałem tam wielką radość z dwóch przyczyn, oto dla tego, że Najjaśniejszy Monarcha darował winę i wypuścił z więzienia wszystkich tych, co to byli skazani za ostatnią wojnę z Moskalem.

— A my już o tem wiemy, bo już i tędy jeden z nich wracał do domu.... — mówią gospodarze.

— Otóż słuchajcie — mówi majster — co mi się zdarzyło. W zeszły Poniedziałek wieczór wjeżdżam właśnie w miasto. Patrzę, a tu wam każda kamienica oświetlona mnóstwem świec, a cały Lwów tak wygląda jakby za jasnego dnia lub w ogniu! Bo to widzicie w każdym oknie było po kilka świec zapalonych, a ztąd taka jasność biła w mieście, że na ulicach było jakby w dzień prawie. Dopierom się domiarkował że to była *iluminacja*.

— A co to znaczy iluminacja? — pyta Łukasz.

— To jest tyle, co oświetlenie całego miasta — mówi Grzegorz — kiedy się stanie jaka radośna nowina, to jest taki zwyczaj po miastach, że wszystkie okna we wszystkich domach obstawiają światłem na znak radości. Otóż tak właśnie zrobiono we Lwowie na uciechę z łaski cesarskiej.

— Aha, teraz to rozumiemy — mówią gospodarze, a majster Grzegorz dalej prawi:

— Już byłem tak ze trzy dni we Lwowie u brata, kiedy znowu wielka radość powstała w mieście, bo się już sejm zjechał. Z tego powodu były wielkie nabożeństwa, a i ja też poszedłem do katedry, gdzie się solenna suma odprawiała, aby pomodlić się Bogu, żeby nasi posłowie radzili na sejmie dobrze, aby w kraju naszym lepiej było

Na to odzywa się Mateusz:

— Proszę też was panie majstrze, wytłumaczcie mi raz dokumentnie, jak to się ma z tym sejmem, kiedy już o nim wspomnieliście. Słyszałem ja już dużo o tem sejmie, a i sam głosowałem na posła, ale żebym to tak jasno i dokumentnie rozumiał, to jeszcze nie.

— W samą porę mnie o to pytacie — odpowiada Grzegorz — bo właśnie przywiozłem sobie książkę ze Lwowa, co w niej o tem stoi. Z tej książki to się lepiej można o tem dowiedzieć, niż gdybym ja wam sam o tem opowiedział. Jeżeli ochota, to wam z niej trochę przeczytam.

— A prosimy, prosimy! — zawołali gospodarze.

Grzegorz wydobył książkę, poszukał między kartkami i tak czytał:

„Rozum ludzki krząta się zawsze koło tego, jak temu zaradzić, aby w społeczeństwie ludzkiem było równe bezpieczeństwo i równa wszystkim sprawiedliwość. Uznał za skuteczny środek tak rzeczy urządzić, aby naród, o którego skórę chodzi, sam prawa pisał i oddawał w ręce swojego rządu do wykonania. Więc naród ma władzę i rząd jego ma władzę. Naród ma władzę pisania swoich praw, to się nazywa ma władzę prawodawczą; Rząd co tych praw strzeże i wykonuje, ma władzę wykonawczą.“

„Zobaczmy teraz jak naród swoją władzę prawodawczą ma sprawować, jak do pisania praw przystępuje.“

„Z góry zaraz powiedziećby można, że skoro każdy człowiek, jako człowiek, w narodzie jest równy, każdy ma równe prawo swoich pięć groszy i tu wściubić, pisać prawa dla narodu, a przynajmniej mówić czego żąda, a z tego wszystkiego ma się ułożyć księga praw dla narodu. Z takiej roboty powstałoby zamięszanie, nieład i wszelki nierozum, który zamiast pożytku, przyniósłby tylko szkodę, tylko swary, tylko niepokój w narodzie; niktby temu nie wyprowadził końca i wszelka sprawiedliwość i pomyślność narodu leżałaby odłogiem. Ludzie powinni wprawdzie jak najsprawiedliwszą drogą iść ku doskonałości, ale powinni tak iść środkiem drogi, żeby nie upadli prędzej do rowu, niż dojdą do celu zamierzonego. Trzeba pogodzić prawa każdego z prawem do pożytku wszystkich.“

„Jużeście się przekonali w gminie, że się tam nie da zrobić nic dobrego, robiąc hurmem, wszyscy razem, siłą krzyku; tembardziej tego nie można w narodzie, gdzie jest kilka, kilkanaście, albo i kilkadziesiąt milionów ludności. Ani się zebrać na jedno miejsce, ani się rozmówić nie potrafiłby naród

w takiej liczbie. Nie może więc naród inaczej spraw swoich załatwiać, jak przez zaufanych wybranych swoich, którzy w przyzwoitej liczbie zebrawszy się w jednem miejscu, mogą myśli swoje przedłożyć, mogą się porozumieć i uradzić co za dobre i stósowne uznają.“

„Niech to nie zastanawia nikogo, jak można coś przyjąć za głos narodu, co kilkadziesiąt lub kilkaset osób wybranych z narodu uradzą. W sprawach rodzinnych i gminnych znamy to, iż sprawiedliwą i bardzo skuteczną jest rzeczą, iż nieraz rodzina i gmina w sprawie swojej obiera jednego lub kilku plenipotentów czyli pełnomocników; a co taki plenipotent zrobi, za ważne jest uznane i chętnie od rodziny lub gminy przyjęte. Oczywiście, że się ku temu wybiera ludzi znanych z uczciwości i rozumu, ażeby sprawy nie pokpili, lub nie zaniedbali lub sprzedali. Czuje to każdy w takiej sprawie, że łatwiej stawać jednemu lub kilku, niżeli kilkudziesięciu lub kilkuset razem.“

„Przyzna to także każdy, że lepiej poprowadzi sprawę jeden człowiek, który swoją rzecz rozumie i ma swadę, niżeli kilkuset, którzy czasem rozumnie i gębą ruszyć nie umieją. Wtenczas skoro mają między sobą takiego, co to dobrze zrobić potrafi, i o którym są pewni że ich nie zdradzi, nie zaprzeda, nie oszuka, to mu chętnie zdadzą moc swoję, obierają go za swojego obrońcę; a co on zrobi i za nich podpisze, to oni za swoje prawo uważają.“

„Dlaczegożby to samo nie miało się robić w rzeczach narodu? Jeżeli naprzykład każdy powiat w całym kraju wybierze z pomiędzy siebie jednego lub kilku zaufanych i rozumnych ludzi i da im moc radzenia w imieniu tych, którzy ich wysłali, to można przyznać, że skoro ci wszyscy wybrani zgromadzą się, zgromadzeni będą pełnomocnicy całego narodu, a co oni uradzą, będzie tak dobre, jak gdyby to cały naród uradził; bo w tych ludziach naród położył swoje zaufanie i w swojem imieniu działać im pozwolił. Głos tych wybranych będzie tak dobry, jak gdyby cały naród głosował, a wtenczas obowiązkiem jest wszystkich słuchać tego, co ci wybrani uradzą, jakby słuchali woli całego narodu.“

„To jest zresztą jedyny sposób, ażeby swobodnie, rozumnie i spokojnie nad potrzebami kraju obradować można i taki tylko sposób za przynależyty narodowi podawać należy.“

„Każdy z wybranych nazywa się posłem czyli reprezentantem krajowym. Wszyscy razem nazywają się reprezentacją krajową czyli narodową. Zebranie się posłów na narady, nazywa się sejmem. Miejsce obrad nazywa się Izbą poselską czyli sejmową.“

— Otóż tak tu stoi o sejmie, a kilka kartek dalej to jeszcze i to jest wydrukowane, co wam tu przeczytam:

„Posłowie co w sejmie zasiadają, są więc pełnomocnikami narodu, bo z narodu na jego zastępstwo są wybrani. Kiedy oni do rady zasiadają, to tak znaczy jakby cały naród zasiadał, bo oni są przez niego i z niego wybrani na to, aby go zastępowali. Gdzie naród cały zasiąść nie może, tam zasiadają jego wysłańcy, którzy cały naród wyobrażają. Co oni uradzą i uchwalą, to tak znaczy jakby wyszło z ust narodu i z woli narodu. A dlatego to, co uchwalonem zostanie przez reprezentację narodu, jest prawem dla wszystkich, bo to uchwalonem zostało przez pełnomocników, którzy naród, to jest wszystkich jego członków zastępują i wyobrażają.“

„Uchwały te składają się w ręce rządu do wykonania i przestrzegania, aby przez wszystkich szanowane były. Rząd odbiera przez to z ręki narodu moc rządzenia i strzeżenia prawa, a przeto każdy członek z osobna w narodzie, winien temu rządowi posłuszeństwo.“

„Sejm zgromadza się na czas potrzebny i wraca po załatwieniu swoich czynności do domów swoich; rząd czuwa stale nad prowadzeniem wszystkich spraw krajowych, jest nieustającym ich stróżem i wykonawcą woli narodu.“

Tu Grzegorz skończył czytać i pyta:

— A co zrozumieliście już choć po trosze, co to oznacza sejm i dlaczego on obraduje?

— A jużci że już wiemy! Dziękujemy za czytanie bardzo pięknie! — mówią gospodarze.

— Ja wam tu z tej książki — mówi majster Grzegorz — tylko tak urywkiem przeczytał, więc może wam tak nie jest

jeszcze bardzo jasno, ale jak kto tę całą książkę przeczyta, to sobie już wszystko będzie mógł wytłumaczyć jak się patrzy.

— A co to też za taka książka? — pytają gospodarze.

— Ta książka — mówi Grzegorz — wyszła niedawno we Lwowie i taki ma tytuł: *Listy o rzeczach publicznych dla ludu.* Napisał zaś tę książkę pewien pan dobry i rozumny, co się zwie Julian Horoszkiewicz.

— Ale że też to wy panie majstrze — mówi Łukasz — zawsze jakąś książkę nową wyszperać musicie!

— Ha, już to taka moja natura — rzecze kowal — że wolę grosz obrócić na książkę, niż na jakie marności. Jużto rądzę wam z szczerego serca, abyście i wy tak robili. Niejeden z was, niech to nie będzie przymówką, pojedzie do miasta i straci tam nie mało grosza na zabawę i w szynku. Pieniądze te to tak jakby w błoto rzucił. Gdyby każdy wieśniak zamiast tracić grosz na głupstwa i przepijać je u żyda, odłożył parę krajcarków na książkę, toby nabył rozumu dla siebie i dla dzieci, a gdzie jest rozum, tam i dobra dola, bo bez rozumu i nauki nic ci szczęście nie pomoże.

Gospodarze wzięli to sobie do głowy, zadumali się nad słowami Grzegorza, a jeden i drugi wypytał się dobrze, jaka najlepsza jest książka, aby ją sobie zapisać. Przy pogadance zbiegł szybko czas, a że już była późna godzina, więc gospodarze pożegnali Grzegorza i rozeszli się do domu.

My zaś wypisując wam tę rozmowę do *Dzwonka,* radzimy wam także, aby każdy, kto chce wiedzieć, jak to się teraz w rządzie dzieje, kupił sobie tę książkę, co z niej czytał Grzegorz. Co się zaś dzieje na sejmie i co tam na nim radzić będą, o tem my wam tu pisać nie możemy, chyba może kiedy w osobnej książeczce opiszemy wam wszystko.

Powrót z obczyzny.

Moja, moja to strona
Już wygląda z za bora,
Gdzie u brzegu jeziora,
Stoi lipka zielona.

Po tej drodze przed laty
Spokojnego wieczoru,
Z boru biegłem do chaty
I znów z chaty do boru.

Nad jeziora przezroczem
Jak ta wierżba wisząca,
Myślał o czem ni o czem,
O tem świetle miesiąca.

Moja, moja to strona
Już przegląda z za bora,
Gdzie u brzegu jeziora
Stoi lipka zielona.

Żadnej nie ma odmiany
Wszystko stało jak stoi,
Tylko ja tu nieznany,
I ci ludzie nie moi.

Przeleciałoż mi życie,
Szybko, jakby dzień Boży,
Jakbym wyszedł o świcie,
A powracał o zorzy.

Wyjdźcie matko, ojczymie,
Siostro moja pociecho,
Znajomego któż przyjmie,
Kto ugości pod strzechą?

Niktże na mnie nie czeka,
W wiosce ludzie już nowi,
Któż dziadowi z daleka
Dobrem słowem odpowie?

Teofil Lenartowicz.

Dwaj Macieje.

Historya gromadzka.

We wsi Wyszynie żyło dwóch bogatych gospodarzy. Obaj się zwali Macieje, ale ludzie pododawali im do ich imion dwa różne przydomki. I tak nazwali jednego Macieja Zuchem a drugiego Kutwą. A stało się to z takiej przyczyny.

Maciej Zuch był sobie chłop swarny i wesoły, lubiał zabawić się i hulać, zawsze spraszał do siebie i do karczmy na wódkę i przekąskę, przytem był junak jak to mówią, a pobić się albo pokochać to u niego stało za jedno. Dla tego go też przezwali ludzie Zuchem.

Maciej Kutwa był to sobie znowu człowiek całkiem innego sposobu. Nie lubił pijać i hulać, nie sprawiał traktamentów, nie wodził się po szynkach, nie wykrzykiwał i nie hałasował, jeno żył sobie cicho i pracowicie i przysparzał ciągle majątku i grosza. Ludzie przezwali go Kutwą.

I nie było też nigdy, jak Wyszyn Wyszynem, dwóch gospodarzy tak odmiennych i różnych, coby jak to mówią na inne żyli sobie kopyta, jak obaj Macieje.

Bywało kiedy Maciej Zuch w karczmie przewodzi, to aż na drugim końcu wsi huki się rozlegają. Jak zasiędzie za stołem, to sprosi do siebie pół gromady, a sypie papierki

żydowi jak śmiecie i raczy wszystkich to wódką, to piwem, to miodem, czego tylko kto zapragnie. A jak się podochoci, to sypnie skrzypkowi grosiwa, zasunie czapkę za lewe ucho, wytnie podkówkami i zawinie w tańcu, gdyby hoży parobczak, choć już gospodarz i ma lat ze czterdzieści.

Tymczasem Maciej Kutwa do karczmy nawet nie zaglądnie, wódki się święcie wyprzysiągł, tańcować już zapomniał, a kiedy u Mendla huki i wiwaty, on się kręci koło chaty, pracuje coś koło gospodarstwa, zachodzi koło chudoby i zawsze coś ładzi lub naprawia.

Maciej Zuch, kiedy się zejdzie z sąsiadami, to już nikogo nie słychać, jeno on sam rozprawia, a tak ostro i swarnie gada, tak mu słowa jurno z ust płyną, żebyś przysiągł, iż najwięcej ma rozumu z całej gromady — zaś Maciej Kutwa mało bardzo gada, a dużo myśli, zawsze tylko z cicha i pokornie przemawia a kłócić się, to już i za żadne pieniądze z nikim nie będzie.

Maciej Zuch kiedy jest w mieście na jarmarku, to aż rynek chodzi, wszędzie go pełno, wszyscy mu się z drogi ustępują, a on sobie sunie od winiarni do winiarni, od sklepu do sklepu, a wszędzie pierwszy, wszędzie rozkazuje i krzyczy jak starosta — Maciej Kutwa zaś na targu trzeźwo i naczczo interesa robi, cicho i pokornie się sprawi, a ledwie co kupi lub sprzedą, zawraca spokojnie do domu.

Maciej Zuch, kiedy jedzie z miasta do domu, to konie pędzi jak charty, wóz furczy po drodze na złomanie karku, a sam Maciej z batoga na wszystkie cztery strony jak z fuzyi pali, krakowiaki wyspiewuje, a z drogi nie ustąpi się nikomu, choćby i biskup sam jechał — zaś Maciej Kutwa wraca pomalutku i cichutko, nie katuje chudoby, ustępuje się ludziom z drogi, a zamiast wrzeszczeć, coś sobie dumą na wozie.

Maciej Zuch, kiedy wejdzie do kościoła, to tak posuwisto i zamaszysto, huczno i bundziuczno, że się aż wszyscy spoglądną — Maciej Kutwa wsuwa się do świątyni na palcach, klęka w kąciku i modli się z pokorą.

Maciej Zuch, kiedy go żebrak prosi o jałmużnę, to mu z pychą rzuci kilka groszy i „znaj żem hojny“ zawoła —

Maciej Kutwa, gdy w chatę jego ubogi zaglądnie, opatrzy go, czem może, ale po cichu, bez pychy i hałasu, ot tak, jak mówi pismo święte, że lewa ręka niewie, co prawa dała.

Otóż opisałem wam obu Maciejów, powiedzcież mi teraz który był lepszy?... Kto rozumny, temu się pewnie lepiej podoba Maciej Kutwa, bo był pracowity, cichy i pokorny, bo mało gadał, a wiele robił, bo się nie pysznił i pana nie udawał, nie hulał i nie pijał, ale chaty i dobytku pilnował!

Tak sobie pewnikiem każdy rozsądny pomyśli — ale niechnoby to kto był powiedział w Wyszynie, że Maciej Kutwa lepszy od Macieja Zucha! Ho ho! daliby tam byli jemu za takie gadanie! Wszyscy gospodarze z Wyszyna wychwalali pod niebiosa Macieja Zucha, on zawsze był u nich pierwszy i najmędrszy — a dla czego? Oto dla tego, że umiał mądrego udawać, krzyczeć i hałasować, że wodził innych po szynkach i płacił gorzałkę.

Za to znowu nikogo tak nienawidziła gromada wyszyńska, jak Macieja Kutwę. Nie tylko, że go przezwali Kutwą, ale jeszcze wygadywali na niego, co ślina do ust przyniosła, mówili, że sknera, że ma twarde serce, że skryty i głupi — a dla czego?... Oto, że nie pochlebiał się nikomu, że nie natrącał się z swym rozumem, że nie lubił pić i hulać, a w karczmie noga jego nigdy nie postała!

— Co nam tam Maciej Kutwa — mawiali wyszyńscy — to mruk i sknera, Juda nie człowiek! Toć to z nim ani nie pohulać ani się zabawić, zawsze by jeno siedział w domu i za groszem gonił, on sam nigdy kropelki nie łyknie a cóż dopiero by innych traktował. Co innego Maciej Zuch! To mi człowiek! I sam się napije i drugiego upoi, czy u siebie czy u Mendla wódka i miód na zawołanie, głowę ma i rezon co się zowie. Jak zacznie gadać, jak zacznie krzyczeć, to i cały urząd by zagadał i zakrzyczał!...

Owoż tak gadali sobie wyszyńscy gospodarze. Maciej Zuch coraz to bardziej rósł w pychę, ale coraz też bardziej wytracał się z dobytku, bo nie pracując nigdy, jeno hulając dniem i nocą, nie miał ani czasu ani ochoty krzątać się koło gospodarstwa. Tymczasem Maciej Kutwa nie hulał, nie przewodził,

ale pracował rozumnie i przyrastało mu też mienia z dniem każdym.

Tak stały rzeczy, kiedy we wsi przyszło obierać wójta. Gromada zebrała się w szkolnym budynku na wybór — Maciej hałasował i krzyczał, i już zawczasu się chwalił, że zostanie wójtem. I nie trudno mu się było chwalić, kiedy już na kilka dni naprzód prosił i raczył całą gromadę, aby go tylko wybrano na wójta i obiecał po wyborze sprawić taką ucztę, że jej jak Wyszyn Wyszynem nie zapamiętano jeszcze. Kiedy gospodarze z sobą rozmawiają, a każdy już przechyla się na Macieja Zucha, woła tenże:

— No macie mnie obierać, to wybierajcie, a pójdziemy zaraz do Mendla, który już nam napitek przygotował!

Wnet nadszedł też xiądz proboszcz z urzędnikiem i pyta gromadę:

— A co macie już może kogo na wójta? Gdybyście mnie posłuchać chcieli, to jabym wam poradził Macieja, ale nie Zucha, jeno tego coście go ni z tego ni z owego Kutwą nazwali. Człek to zacny, pracowity i pobożny, nie miele on dużo językiem, ale za to myśli i robi dużo.

— Już to my przepraszamy dobrodzieja — mówią na to kilku z gromady — bo my się już zgodzili na Macieja Zucha! Niech żyje nasz wójt Maciej Zuch!

— Niech żyje! — zawołała cała gromada a xiądz proboszcz widząc, że słowa jego daremne, wyszedł z izby.

Cała zaś gromada z Maciejem Zuchem na przedzie poszła zaraz do Mendla i tam dopiero trwała hulanka aż do późnej nocy, a Maciej Zuch przechwalał się okrutnie, co to on dla gromady nie zrobi dobrego, jakim to on będzie sprawiedliwym i tęgim wójtem.

Oj był też tęgim wójtem, ale dla próżniaków i hulaków chyba, bo ciągle tylko zapraszał gromadę do karczmy, a tymczasem nietylko sprawy gromadzkie ale i jego własny majątek marniały do reszty.

Tak się miały rzeczy, kiedy naraz przyszedł dla wyszyńskiej gromady termin zapłacenia dużej sumy, którą była zaciągnęła w kasie lwowskiej. Wypadł z tej sumy spory grosz na każdy

numer, a choć pieniędzy ludzie nie mieli, to przecież każdy z ostatniego musiał się ściągnąć, aby zapłacić co na niego przypadło, bo inaczej byłaby spadła na całą gromadę egzekucya.

Kiedy już się zebrała cała suma, wyseła gromada wójta Macieja Zucha, aby odwiózł pieniądze. Wyjechał też Maciej do Lwowa — ale stanąwszy w mieście przez swą lekkomyślność dopytał się nieszczęsnej przygody.

Jużem wam opisał, jakiej to natury hulackiej był Maciej Zuch. Skoro przyjechał do Lwowa, to ledwo z woza zlazł, zaraz poszedł do pierwszego lepszego szynku, aby sobie pohulać po swym zwyczaju. Tu zastał kilku miejskich szubrawców, i począł się przed nimi wychwalać, co to on za wielki człowiek, jaki to on wójt tęgi, ile z sobą ma gromadzkich pieniędzy.

Miejscy oszuści słuchali z uwagą a widząc, jaki to człowiek, poczęli mu się podlizywać i pochlebiać, honorować i na traktament prosić, a zwali go zawsze to „panem wójtem,“ to „panem plenipotentem dobrodziejem,“ to „szanownym posłem i komisarzem gromadzkim“ i Bóg wie, jak jeszcze inaczej.

Macieja jakby kto na cztery konie wsadził, taki z tego był kontent i na wzajem począł poić hultajów, całować się z nimi i ściskać — aż nareszcie tak się winem i wódką uraczył, że go hultaje wyprowadzili z szynku gdzieś w boczną uliczkę jak dziecko i tu mu odebrali wszystkie pieniądze.

Maciej Zuch leżał bez opamiętania przez całą noc na ulicy, aż go nad ranem wzięli policaje. Gdy się tak wytrzeźwił, patrzy aż tu pieniędzy gromadzkich nie ma! Oj byłże tam dopiero lament i desperacya! Ale co przepadło, to przepadło! Policya szukała tam wprawdzie owych rabusiów, ale w takiem wielkiem mieście to sztuka wytropić zbrodniarzy, a zresztą Maciej nic nie pamiętał, co się z nim po pijanemu działo. Zrobiono z Maciejem Zuchem protokół a potem wysłano go żandarmem do tego powiatu, do którego należał Wyszyn. Tu go zamknęli do aresztu — a tymczasem dowiedziała się gromada wyszyńska o całem nieszczęściu.

Dopieroż teraz płacz i rozpacz był w gromadzie. Na drugą taką sumę, jak ta, co ją Maciej Zuch zaprzepaścił, nie było się z czego zdobyć, a tu nadeszło już pismo do gromady, że

jak za trzy dni nie zapłaci długu do Lwowa, to wszystkim gospodarzom przedane będą grunta i cały dobytek. Prawdziwy sądny dzień nastąpił w Wyszynie! Wszyscy gospodarze przeklinali Macieja Zucha i tę godzinę, w której go wójtem obrali — ale cóż pomogą przekleństwa!

Jak przyszło owe straszne pismo do gromady, to tak jakby w każdego piorun ugodził i zaraz się wszyscy zbiegli do budynku szkolnego, aby coś radzić na takie wielkie zniszczenie i nieszczęście. Ale radźże tam, gdzie nie ma ratunku! Zamiast co radzić, strapieni gospodarze wyrzekali na swego wójta, że ich do ostatniej nędzy przywiódł. Kiedy tak wszyscy lamentują bez nadziei ratunku, otwarły się drzwi od szkoły i wszedł do izby ów drugi Maciej, co go to gromada nie lubiła i Kutwą przezwała. Wszyscy się na niego wypatrzyli, co też powie, a on tak rzecze:

— Panowie gromada! Jesteście jak widzę w wielkiem strapieniu, bo też i jest czem się martwić. Ale same wyrzekania i lamenta nic nie pomogą. Wy tam wprawdzie nie mieliście nigdy do mnie szczerego serca, choć jak Bóg widzi nie wiem dla czego. Ale przecież może ja wam dam jaką radę. Bóg pobłogosławił mojej pracy, uzbierałem sobie grosz jaki taki, a kiedy gromada w nieszczęściu, to nie pożałuję mej pracy. Do Lwowa patrzy się dwa tysiące reńskich — otóż ja sam dam jeden tysiąc gromadzie jako pożyczkę na kilka lat bez procentu a na drugi tysiąc, to już jakoś prędzej się ściągniecie!

Jak Maciej Kutwa tych słów domówił, jakby duch wstąpił w całą gromadę. Zaraz się wszycy zbiegli do Macieja i poczęli go ściskać i całować i serdecznie za poratunek dziękować. Radość była wielka w gromadzie a xiądz proboszcz, który właśnie wszedł na to wszystko, tak przemówił do ludzi:

— Otóż patrzcie, jak się wstydzić powinniście, żeście tego szlachetnego człowieka nie lubili i ogadywali. Dla tego, że Maciej był pilny i pracowity, nazwaliście go mrukiem, że był oszczędnym, nazwaliście go sknerą, że was nie wodził po karczmach i nie poił, nazwaliście go kutwą! A oto widzicie, gdyby on nie był pilnym i oszczędnym, czyż miałby was z czego poratować? A gdyby was nie mógł albo nie chciał

poratować, coby się stało z wyszyńskiej gromady? Oto zeszłaby była na nędzę i zniszczenie. A Maciej Zuch, co was poił, co tak hałasował i przewodził i coście w niego jak w Boga wierzyli, co wam dobrego zrobił, oto w nieszczęście was wtrącił! Maciej Kutwa nie wrzeszczał, nie pił i nie hulał z wami, ale pracował, a ludzi nie wedle słów ale wędle uczynków sądzić trzeba! Krowa co dużo ryczy, mało mleka daje!

Gromada wzięła to sobie do serca, za Bożą pomocą i Macieja poratunkiem spłaciła dług, wybrała go na miejsce Zucha na wójta i miała na zawsze dobrą naukę, która aby i wam poszła na dobre z tej historyi o dwóch Maciejach.

Wojtek ze Smolnicy.

Opowiadania pana Wincentego

o morzu i co jest w morzu i pod morzem.

I.

W dworze bujnickim mieszka stary pan, zacny dziedzic, kochany i szanowany bardzo przez cały ludek wiejski. Dziedzic ten długo nie mieszkał w swojej wsi Bujniku, lecz obracał się ciągle po szerokim świecie. Za młodu służył wojskowo i bił się z Moskalami, a potem wyjechał het w dalekie kraje i dopiero pod starość wrócił do swoich. Otóż u tego bujnickiego pana dziedzica było mnogo czeladzi, a wszystkim było w służbie dobrze, jak nigdzie. Toć też garnęło się do bujnickiego dziedzica zewsząd huk ludzi na służbę, że gdyby tak wszystkich przyjąć, toby i dwór cały na samo pomieszkanie nie wystarczył — a i tak, gdy było zaglądnąć wieczorem do czeladniej izby, to i narachować nie można było wszystkich lokajów, furmanów, stajennych, stróżów i innych służących.

Nad tą wszystką czeladzią był najstarszym stary Wincenty, stary i wierny sługa, który z swoim panem cały świat przewędrował a teraz na starość przy nim jadł chleb spokojny. Poczciwy to był staruszek ten pan Wincenty, a we dworze nazywano go panem marszałkiem, bo tak się zwali po staropolskich dworach nadzorcy nad służbą. Był też pan Wincenty

i mądry bardzo człowiek, i jak jął opowiadać, to i odsłuchać się nie było można, czemu i nie dziw było, bo pan marszałek Wincenty i długo żył na świecie i bywał w rozmaitych stronach, kędy drugi i nogą nie postanie.

Toć też zawsze, kiedy po robocie zejdzie się cała służba na wieczerzę do izby czeladniej, to zaraz po jedzeniu zaczyna pan Wincenty prawić, a wszyscy nadstawiają uszy, jak na kazanie.

Pewnego wieczora, już po jedzeniu, była cała służba w izbie czeladniej i słuchała, jak jej coś opowiadał pan Wincenty, który siedział przy ciepłym kominie, kiedy wszedł do izby fornal Jędrek, zmokły jak ruda mysz a kłapiący od zimna zębami jak bocian.

— Niech będzie pochwalony! — przywitał się z ludźmi.

— Na wieki wieków! — odpowiada wraz z innymi pan Wincenty. — A kędyżeś to bywał Jędrku, że ci się i na wieczerzę nie kwapiło!

— Oj zaznał ja biedy, zaznał — mówi Jędrek i suszy się przy kominie a na jadło jeno z ukosa spogląda — toć wracając z fornalką z dzwonieckiego przysiołka musiałem przejeżdżać przez Wisłę. Oj najadłem się strachu. Toć wam powiadam, tak wezbrała Wisła, a tak szumi jak morze!

— Oj co też ty pleciesz — mówi pan Wincenty — albożeś ty widział kiedy morze, piecuchu?

Jędrek jeno się zaśmiał i w głowę poskrobał i rzecze:

— Oj coby też ja tam na morzu robił! Pan Wincenty to co innego, człek bywały! to i musiał widzieć morze.

— Juźcić żem widział i pływał po niem całemi miesiącami — mówi pan Wincenty.

— A jakżeście wy się dostali na morze, panie Wincenty! zawołali wszyscy od razu — opowiedzcież z łaski swojej, bo to będzie co posłuchać.

— Jak ja się dostałem na morze? — rzecze Wincenty — ot taka to była historja. Kiedym jeszcze był chłopakiem jeździłem po flisie hen daleko aż do Gdańska. Otóż pewnego razu, kiedy znowu zapłynęliśmy galarami po Wiśle aż do Gdańska — począłem się w tem mieście, co to dawnemi czasami

należało do królestwa polskiego a teraz je Prusak trzyma, rozglądać i przypatrywać się rozmaitym ciekawościom a potem poszedłem przypatrzyć się jeszcze dobrze portowi.

— A co to jest port, panie Wincenty? — zapytał Stefko kredencarz.

— Port moi kochani — prawił pan Wincenty — jest to miejsce przy lądzie, gdzie morze już spokojne i gdzie okręta wpływają, aby wysadzić ludzi i towary na ląd, lub zabrać z sobą na dalszą podróż. Do takiego portu zajeżdżają rozmaite okręta, i czekają tam tak długo, dopóki w dalszą podróż się nie udadzą. Do takich portów wybierają się najlepsze i najspokojniejsze miejsca przy lądzie, a zwykle przy wielkich miastach, a ludzie robią tam rozmaite urządzenia dla wygody, aby okrętom dobrze było przybijać. Są w portach także rozmaite maszyny, aby okręta wywlekać na ląd, jeżeli potrzebują naprawy, lub aby na nie towary ładować. Otóż i w Gdańsku jest taki port, i jego to właśnie oglądałem. Dziwiłem się tam niejednej rzeczy ciekawej a naokoło mnie szwargotali Niemcy i inni cudzoziemcy. Wtem jakiś pan do mnie przychodzi, uderza mnie ręką po ramieniu i pyta po polsku:

— Czy ty może Polak?

— A jużci, proszę Wielmożnego pana! — odpowiedziałem.

— Flis? — pyta pan dalej.

— Flis, panie — odpowiadam.

— Słuchajno, a nie popłynąłby ty ze mną? — pyta pan dalej — jadę hen daleko na morze dla zwidzenia świata, potrzeba mi służącego, a chciałbym mieć swojaka. Zapłacę ci dobrze i będę miał staranie o tobie, jeżeli tylko wiernie mi służyć będziesz.

Byłem młody, ciekawy i sierota, niemiałem nikogo z krewnych w domu, świata kawałek rad byłem widzieć także, a pan ów podobał mi się z wejrzenia, więc nieminęło godziny a jużeśmy się zgodzili.

— A kto był ten pan? — zapytał Marcin lokaj.

— A jużci że nie kto inny — odpowiada Wincenty — jeno nasz stary pan, nasz dziedzic, u którego i wy służycie. Z nim to popłynąłem na morze, a co tam widziałem — o tem na przyszły raz wam opowiem.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. Nr. 17.

11. grudnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Krzyże żywota.

Legenda.

Życie ludzkie jest pełne cierpień i umartwień. Każdy człowiek znosić musi na ziemi niedolę żywota, a niedola ta niezna różnicy między panem a chłopem, między bogaczem a żebrakiem. Wszystkie te dolegliwości i cierpienia nazywamy krzyżem naszego żywota, na pamiątkę, że nasz Odkupiciel święty, Jezus Chrystus, dźwigał w pocie swej skroni krzyż ciężki na górę Golgotę, na której poniósł śmierć męczeńską za zbawienie rodu ludzkiego. Każdy z nas musi dźwigać krzyż w życiu, a od tego, czy go dźwiga w pokorze i cierpliwości, zależy jego żywot wieczny.

Słychać wielu ludzi wyrzekających ciągle, że ich Bóg ciężkim obarczył krzyżem w życiu. Każdy skarży się i płacze na ciężary i cierpienia żywota i myśli, że tylko on je ponosi, a zapomina, że każdy człowiek bez różnicy krzyż swój dźwigać musi. Każdy widzi te tylko cierpienia, których sam doznaje, a niechce wiedzieć, że niema człowieka, dla którego by nie było krzyża na świecie. Ztąd też powstaje między ludźmi zazdrość,

jedni zazdroszczą drugim, a nikt nie da się przekonać, że Bóg na wszystkich zarówno zsyła próby żywota.

W pobożnych księgach wypisana jest taka legenda. Pewien człowiek skarżył się ciągle przed Bogiem, że musi dużo cierpień ponosić w życiu i że krzyż jego żywota jest bardzo ciężki, i prosił, aby mu Bóg ulżył ciężaru niedoli.

— Boże litościwy — modlił się ów człowiek — kiedy już mam koniecznie dźwigać krzyż mój, spraw, abym dźwigał krzyż lekszy, bo ten, który teraz na mych barkach cięży, jest za wielki na moje siły.

I oto stało się, że przed tym człowiekiem ukazało się mnóstwo rozmaitych krzyżów wielkich i małych, ciemnych i złocistych. Były tam krzyże rozmaitego kształtu i miary, proste i zwyczajne, były krzyże kolące cierniami, były i całkiem złote. Między temi krzyżami był i ów, który ten człowiek w życiu dźwigał, a na którego ciężkość się skarzył. Gdy ów człowiek zdziwionem okiem oglądał te krzyże, odezwał się głos z góry:

— Oto masz krzyże rozmaite! Są to krzyże ludzkiego żywota! Wybieraj między niemi i weź sobie ten, który ci będzie najlepszy, a nie wyrzekaj na Opatrzność Bożą!

Człowiek ów począł wybierać. Zobaczył z radością, że było wiele krzyżów mniejszych niż ten, który sam dźwigać musiał. Zaczął je próbować, ale oto jeden z nich mimo że mniejszy, był daleko cięższy, drugi miał ostre rogi i gniótł okropnie, trzeci był cierniem wysadzany i kłuł aż do krwi. Próbował krzyż złoty, ale ten przygniótł go tak swym ciężarem, że upadł pod nim. Próbował jeszcze ten i ów krzyż, który mu się na pozór wydawał mniejszym i lekszym, ale każdy był przykry i bardziej jeszcze przygniatał, niżeli ów krzyż własny, na który się uskarżał. Wtedy zawołał ów człowiek do Boga:

— Panie! Nie mogę znaleść łekszego krzyża dla siebie! Poznałem ślepotę moją i przekonałem się, że krzyż, którym obarczyłeś mnie z początku, jest dla mnie najlepszy; pozwól, niech go już dalej dźwigam, a nie będę się już więcej skarżyć na jego ciężar.

I tak został ów człowiek przy swoim własnym, dawnym krzyżu, to jest przy dawnym swoim losie.

Jakaż nauka z tej legendy? Oto niech nikt z was nie skarży się na swoje cierpienia i nie zazdrości innym doli, bo cierpienia tych ludzi, którym zazdrościcie, są często jeszcze cięższe i boleśniejsze, niż wasze własne. Bóg sprawiedliwy nikogo nazbyt nie obarczył, każdemu wedle sił jego dał krzyż żywota! Dźwigajcie go w pokorze i cierpliwości.

Hulanka mazurska.

Hej chłopacy — hop! wesoło —
Choć nam smutek marszczy czoło,
Gdy z podkówek iskra tryśnie,
To i radość nam zabłyśnie —
Na to mamy tan i śpiew,
By nie stygła w sercu krew!

Hej Mazury! Bóg nad nami!
Walmyż tęgo podkówkami
Bo rdza jeżli stal przysiędzie
Już z niej ognia niedobędzie —
A nie słyszał jeszcze świat,
Aby zgnuśniał Mazur chwat!

Dziwnie tańczą dziś panowie,
Aż się człeku mąci w głowie!
Bo to niby jakieś susy,
Ni w tem życia — ni pokusy!
Nie masz jak Mazura dźwięk,
I podkówek naszych brzęk!

Czy to modnie, czy niemodnie,
Byle serca biły zgodnie,
To nie braknie nam i siły,
Choćby zginąć za kraj miły —
Bo najmilszy jakby raj
Ten nasz wielki, polski kraj!

Muzykancie rżnij od ucha!
Niechaj rośnie nam otucha,
Niech ten żar, co w duszy tleje,
Wszystkie serca dziś rozgrzeje —
Żeby każdy o tem śnił,
Jak Kościuszko wrogów bił!

Opowiadania pana Wincentego o morzu i co jest w morzu i pod morzem.

II.

Na drugi wieczór, kiedy już wszyscy posilili się wieczerzą, pan Wincenty, jak obiecał, tak też zaczął znowu opowiadać o morzu i tak jął prawić:

— Wiecie już jak się dostałem na morze. Zrazu tom aż skakał z radości, że po morzu pływać będę, ale kiedy

odpłynęliśmy od portu i zniknęła nam z oczu ziemia, to mi i markotno się zrobiło. Wszędzie woda i woda, kędy okiem sięgniesz, nigdzie ani kawałeczka lądu nie ujrzysz; nad tobą sine niebo i słonko, a wszędy w około tylko morze i morze. Toć nasza Wisła także szeroka i duża, ale zawsze obaczysz brzegi, a po brzegach zieloną ziemię i chaty — ale na morzu to już nic, tylko sama woda i ani żywej duszy!.... To i nie dziw, że się człeku jakoś niedobrze i tęskno w sercu robi! A do tego jak mnie jeszcze opadła morska choroba....

— A co to za choroba? — pyta Grześ kuchta.

— Choroba ta — odpowiada Wincenty — pochodzi z innego powietrza, które jest na morzu, a z którem człowiek od razu nie może się ozwyczaić, a znowu i z tego, że przez ciągłe hojdanie się okrętu człowiekowi zawraca się głowa. Kto się pierwszy raz na morze puszcza, ten musi przebyć tę chorobę. Wtedy cierpi na zawrot głowy, na okrutne nudności, a co zje tylko, to zaraz wydać z siebie musi. U niektórych to ta choroba prędko mija, u innych trwa dłużej, według tego jak kto silny i wytrzymały. Ale słuchajcież dalej o morzu. Kiedy się pytałem mego pana, czy prędko się to morze skończy, to mi rzekł, że można Bóg wie jak długo pływać po nim, i całą ziemię niem objechać od końca do końca, bo z jednego morza możnaby wpłynąć do drugiego i tak dalej. Bo musicie wiedzieć, że ziemia, na której ludzie mieszkają, a która jak już wiecie wygląda jak okrągła kula, oblaną jest morzem ze wszystkich stron, i że morza tego jest daleko więcej jak stałego lądu.

— Proszę was panie Wincenty — odezwał się naraz Łukasz kredensarz — mówiliście że z jednego morza można przepłynąć w drugie, to tak wypada, jakby na świecie było kilka mórz, a ja myślałem zawsze, że tylko jedno.

— A toście źle myśleli — odpowiedział Wincenty — bo mórz jest wiele. Samych najgłówniejszych mórz jest pięć, które się tak nazywają: Wielki ocean, morze atlantyckie, indyjskie, morze lodowate północne i południowe. Oba te morza lodowate znajdują się na obu czubkach kuli ziemskiej. Wszystkie zaś te główne morza czyli oceany, dzielą się wedle nazw ludzkich na

rozmaite inne mniejsze, których wam już tak na pamięć wyliczyć nie potrafię.

— A które z tych mórz jest największe? — pyta Grześ kuchta.

— Największy jest Wielki ocean, ma on trzy miliony i trzysta tysięcy mil wszerz i wzdłuż!

— Mocny Boże, to już takiej ogromnej sumy i nasz rozum nie ogarnie! — zawołał Łukasz kredensarz.

— A przecież to dokumentnie wyrachowali uczeni ludzie za pomocą przeróżnych rachunków — odpowiada Walenty — bo rozum ludzki przy pomocy Bożej wielkich rzeczy dokazać może, jak to sami już nie raz mogliście się przekonać.

— A czemże się tam pływa po tem morzu, czy czółnem czy galarem? — pyta Jędrek fornal.

— A pięknież byś ty wyszedł — rzecze pan Wincenty, gdybyś się puścił na morze galarem. Po morzu pływa się wielkiemi okrętami, okręta te są nieraz takie ogromne, że kilkaset ludzi w sobie pomieszczą. W takim dużym okręcie sę rozmaite pokoje, jeden dla kapitana, t. j. dla tego, co rządzi całym okrętem, drugi dla podróżnych, co w zamorskie krainy płyną, trzeci dla służby okrętowej, co to są niejako flisami morskimi i zwą się majtkami, dalej zaś jest jeszcze i magazyn na jadło i kuchnia i inne komórki rozmaite. Dziś już są rozmaite okręta, a niektóre z nich takie duże i takie wygodne, gdyby domy. Dawno, bardzo dawno, na kilkaset lat przed narodzeniem Chrystusa, to ludzie nie umieli jeszcze budować dobrych okrętów, a z razu to nawet pływali tylko po pod brzeg w wydrążonych drzewach, jakby w korytach, a na otwarte morze puszczać się bali — ale potem coraz szykowniej poczęto budować okręta i pływać po całem morzu, a powoli, powoli jeszcze bardziej wydoskonaliła się sztuka przepływania morza, czyli żeglarstwo, a po dziś dzień ludzie już cudów prawdziwych dokazują. Z razu to były jeszcze tylko okręta żaglowe, to jest takie, że na górze okrętów przy masztach były ogromne płótna, a wiatr zapierając się o te płótna czyli żagle, pędził okręt, aby zaś okręta kierować w tę stronę dokąd płynąć było potrzeba, to był na to sternik osobny, który robił sterem i nim kierował okręt na rozmaite

strony. Teraz zaś to budują już takie okręta, które tak jak koleje żelazne popędza para...

— Oho już wiem — zawołał na to Stach parobek, który służył był w wojsku — takie okręta to się zwą *damszyfy!*

— Owa! jakiś ty mi mądry — odpowiedział na to pan Wincenty — patrzcie no go, *damszyfy!* A wiesz ty co trutniu, że to nie jest żadna polska nazwa, jeno tak z cygańska po niemiecku. Kiedyś Polak, toś powinien wiedzieć, że takie okręta nazywają się po naszemu nie jakoś tam *damszyfy* ale parowce.

Wszyscy zaczęli się śmiać z Stacha, a Stach zawstydził się mocno i skrobiąc się w głowę milczał. Tymczasem pan Wincenty począł tak dalej opowiadać.

— Są teraz także rozmaite okręta, np. kupieckie i wojenne. Wojenne parowce mają z sobą żołnierzy i huk armat...

— A poco panie Wincenty te armaty? — zapytał Łukasz kredensarz.

— No bo musicie wiedzieć — prawi pan Wincenty — że z dawien dawna ludzie nie tylko na lądzie ale i na morzu wojują. Otóż i teraz są takie okręta, co tylko do bitwy morskiej służą. Oj strasznaż to rzecz ta bitwa morska! Bo to jak z obu stron zjadą się nieprzyjacielskie okręta, jak zaczną do siebie strzelać z armat, to aż morze kipi! Bitwa morska, to straszniejsza jeszcze niż na lądzie. Nie jeden okręt tak podziurawią kulami, że zatonie het z ludźmi i ładunkiem całym. Który okręt już się bronić nie może, to go ścigają, a żołnierze nieprzyjacielscy na łodziach podpływają do niego, włażą do środka okrętu i tu znowu rozpoczyna się bójka, aż dopóki załoga okrętu się nie podda. Niektóre okręta wojenne są takiemi grubemi blachami obite, że ich kula prześwidrować nie może i takie okręta nazywają się pancerniki. Ale ja wam tu o bitwach morskich nie będę rozpowiadać, jeno o samem morzu.

— Za przeproszeniem pana Wincentego — odzywa się na to ornal Jędrek — mówiliście nie dawno, że morze jest takie okrutnie duże, powiedzcież mi, jak sobie też ludzie na nim radzą, aby nie zabłądzili?...

— Zrazu nie było na to dobrej rady — prawi pan Wincenty — a żeglarze nie puszczali się w dalekie morze, aby się nie zabłąkać, bo to jak wypłyniesz na szerokie morze, a wszędzie jeno woda i woda, to trudno ci zgadnąć, kędy tu płynąć. Ale zawsze kierowali się żeglarze we dnie wedle słońca, a w nocy wedle gwiazd rozmaitych i tym sposobem radzili sobie jak mogli. Nie wystarczało to jednak nigdy i nieraz okręt, zabłąkawszy się, już nie powrócił ale przepadł gdzieś na wieki. Ludziej wynaleźli jednak potem dobry na to sposób, to jest taką maszynkę, co się zwie kompas albo igła magnetyczna.

— A cóż to takiego? — zapytali wszyscy od razu.

— Kompas jest to igła z magnesu, który z was każdy widzieć już musiał. Tym magnesem nieraz żelazne krzesiwa są pociągane, a wtedy to mają tę siłę, że przyciągają do siebie żelazo. Otóż z tego magnesu robi się igła, która w środku obraca się na maleńkiej osi. Otóż igła ta zawsze a zawsze obraca się ku północy, a tym sposobem żeglarze dowiadują się wedle niej na morzu, w której stronie jest północ, a gdy już wiedzą gdzie północ, to łatwo mogą już poznać gdzie wschód, zachód i południe i według tego kierują okręta. Do tego mają jeszcze żeglarze rozmaite mapy, to jest takie obrazki z przeróżnemi znaczkami, według których mogą dobrze poznać okolice morskie. Dziś już sztuka żeglarska została tak wydoskonaloną, że każdy żeglarz zna morza wszystkie jak gospodarz swoje zagony i nie zbłądzi w żaden sposób. Są też osobne szkoły, gdzie się uczą długo żeglarze, zanim się wszystkiego tego wyuczą, czego potrzeba, aby umieć sobie dać radę na morzu, co jest rzeczą bardzo trudną. Oprócz kompasu jest jeszcze inny sposób, aby okręt nie zbłąkał się i nie zatonął. I tak są latarnie morskie.

— Oho! a to co znów za latarnie morskie? — zapytał się ciekawie Marcin lokaj.

— Latarnie, czyli strażnice morskie są to takie wysokie wieże, które budują się na brzegach morskich i na wyspach. Na samych wierzchołkach tych wież rozpalają się okrutne ognie, które hen daleko rozlewają światło i z dalekiego morza

mogą być widziane przez ludzi na okrętach. Do takiej latarni morskiej ustanowiona jest osobna służba, która musi pilnować, aby w nocy światło to paliło się zawsze. Takie latarnie morskie budują w takich miejscach brzegu, gdzie morze jest niespokojne i burzliwe, albo gdzie wiele jest skał wśród morza, bo o te skały łatwo się może rozbić okręt. Osobliwie wtedy, kiedy burze morskie panują, to te latarnie są jasno oświetlone, aby żeglarze wiedzieli, jak się ratować na ląd.

— Oj te burze morskie to muszą być bardzo straszne? — mówi Teresa klucznica.

— A juści że bardzo straszne i dla tego też te narody, które mieszkają nad morzem, mają takie przysłowie: Kto się modlić nie umie, niech popłynie na morze, bo tam się każdy wśród strachu wielkiego modlić nauczy, choćby był grzesznikiem najzatwardzialszym. Kiedy ma być wielka burza na morzu, to żeglarze już ją naprzód po powietrzu przewidzą. Przed burzą zawsze morze jest tak cichutkie, że się ani ruszy i nieraz aż okręta dalej płynąć nie mogą, żaden wietrzyk nie powiewa, tylko hen dalego na końcu nieba pokaże się maleńka biaława chmurka i coraz bliżej idzie, coraz się powiększa, aż nareszcie zrywa się okrutny wicher i morze strasznie burzyć się zaczyna. Wtedy to wichry rzucają okrętem, że aż cały trzeszczy, a morze huczy okrutnie i kipi. Woda morska kłębi się strasznie i rzuca się w górę okrutnemi bałwanami wody, a taki bałwan morski większy jest czasem niż największa kamienica w mieście i nieraz cały okręt przykrywa. Wtedy okrętem jak łupiną orzechu rzuca morze na wszystkie strony, bałwan morski podniesie go okrutnie wysoko, a okręt potem spada znowu na dół, a tymczasem drugi bałwan morski zalewa go z góry! A przy tem wiatr ryczy i wyje, pioruny okrutnie biją i morze huczy strasznie! Wtedy to biedny człowiek ucieka się do pana Boga, i modli się gorąco, bo jeden tylko Bóg Wszechmocny panuje nad ziemią i nad morzem!...

— Jezus! Marya! Jakież to okropne rzeczy! — zawołała Teresa klucznica a wszystkim aż włosy na głowie kołkiem stanęły na to opowiadanie.

— Aha! już was samo opowiadanie straszy — prawi dalej pan Wincenty — choć sobie za ciepłym piecem siedzicie! Cóżbyście wy robili, gdybyście tak wśród takiej burzy byli na morzu! Ale to jeszcze nie wszystko. Oprócz burzy są jeszcze inne srogie niebezpieczeństwa na morzu. I tak najpierw musicie wiedzieć, że na morzu znajdują się okrutne twarde skały. Jak okręt przez nieuwagę ludzi uderzy o tę skałę, to się nieraz rozbije na trzaski. Jeżeli pogoda, to takie skały ominąć można szczęśliwie przy ostrożności, ale jak w pobliżu takich skał zaskoczy noc czarna i powstanie burza, to już tylko opatrzność Boża pomódz może! Najczęściej rzuca morze okręta o te skały i wtedy następuje rozbicie okrętu. Cały okręt się gruchocze i rozlatuje na trzaski. Ludzie biedni albo toną, albo jeżeli brzeg blisko, to się jeden i drugi, skoro dobrze pływać umie, wyratuje szczęśliwie. Najzdradliwsze są takie skały, które nie wystają po nad morze, jeno woda ich z góry pokrywa, tak że ich widzieć nie można, wtenczas to okręt ani się spodzieje czego złego, płynie — płynie — aż nareszcie trzask! o skałę i już po nim!... Ale to jeszcze nie wszystko!

— Jeszcze nie wszystko! — zawołał Marcin lokaj i aż się za głowę schwycił.

— Oj nie wszystko — mówi dalej pan Wincenty — są na morzu jeszcze wiry okrutnie niebezpieczne. Każdy z was wie, że i w naszych rzekach są tonie głębokie, w których woda się ciągle kręci a co schwyci to na dół ściągnie. Takie też są i wiry morskie, jeno że wiry rzeczne to zabawka naprzeciw wirom morskim! Taki wir morski to kipi na całą milę w około, a jak się okręt na milę do niego zbliży, to go chwyta i zatapia. To też żeglarze z wielką ostrożnością omijają na kilka mil w około te wiry, aby ich na dno morskie nie wciągnęły. Dużoby tam jeszcze mówić o tych różnych niebezpieczeństwach morskich, ale na toby i czasu i pamięci nie stało. Wspomnę wam jeszcze tylko o trąbach morskich.

— Oho, a to co za cudo, ta trąba morska! — zawołał Jędrek fornal.

— Trąba morska powstaje wtedy, jeżeli w górze dwa wiatry wieją przeciw sobie lub ponad sobą. Wiatry te mieszają się

z parą wody morskiej i ztąd robi się w powietrzu gruba, chmurna mgła, która tak wygląda jak lejek. Ta ciemna mgła wyglądająca jak lejek spiczasty, spuszcza się swym cienkim końcem ku morzu, woda morska podnosi się ku niej także jak spiczasta kupa — oba te spiczaste końce łączą się razem i całe to cudo huczy i szumi strasznie i leci po morzu, a gdy natrafi na okręt, to go nieraz połamie i pogruchocze. Takie to cuda dzieją się na morzu.

— Proszęż was panie Wincenty — odzywa się Grześ kuchta — kiedy morze takie strasznie duże, a ludzie na okrętach pływają po niem, jak mówicie, po kilka miesięcy — czemże ci ludzie się tam żywią na morzu?

— Kto o czem, a kuchcik o jedzeniu! — mówi ze śmiechem pan Wincenty. — Żeglarze udając się w podróż morską, zabierają ze sobą żywność, mniej lub więcej według tego, jak długo mają być na morzu. Oczywiście przysmaków na okręcie nie dostaniesz, tylko już musisz to jeść, co jest. Żeglarze ładują na swój okręt mięso suszone, solone i wędzone, kaszę, mąkę i inne rzeczy, a zamiast świeżego chleba, żywią się sucharami t. j. zasuszonemi plackami.

— A czemże zapijają? — pyta się Marcin lokaj.

— Owa! to mi pytanie! — zawoła Jędrek fornal — toć na morzu im wody nie zabraknie.

— Oj źleś trafił — rzecze na to pan Wincenty — właśnie że na morzu brak wody wielki. Żeglarze zabierają z sobą wodę w beczkach, które we środku są opalone na węgiel, bo tym sposobem woda się nie psuje i długo ją pić można.

— A to na co? — pyta zdziwiony Jędrek — toć wody w morzu huk!

— Ba kiedy wody morskiej pić nie można — mówi pan Wincenty — a gdybyś jej dobrze łyknął, toby ci się już raz na zawsze pić odechciało. Woda morska, moi kochani, nie jest czysta, i ma smak słony i strasznie gorzki przy tem. Kto się tej wody napije, musi ją zaraz wydać z siebie, a nieraz to i odchoruje. Woda morska prędko gnije, a gdy na morzu świeci słońce i jest cisza, to woda morska wydaje nawet smród z siebie.

— A to dziwna jakaś woda! — mówi Grześ Kuchta.

— Oczywiście że dziwna. Woda morska nie wygląda nawet tak jak nasza, ale rozmaicie; albo jest niebieskawa, albo zie- ona, albo też trochę z ciemna. Dla tego też są morza, które się nazywają białe, czarne, czerwone. O tem czerwonem morzu słyszeliście już, że przez nie Mojżesz żydów wyprowadził z niewoli egipskiej przed narodzeniem Zbawiciela. Kolor morskiej wody pochodzi czasem od dna morskiego, i tak: jak to dno jest czarniawe, to i woda wygląda czarniawo. Z tem wszystkiem woda morska jest gdzieniegdzie tak przezroczysta, że można aż dno przez nią zobaczyć. Ale co najdziwniejsza, to to, że morze nieraz świeci się miejscami złocisto albo takiem światłem ognistem błyszczy, jakby się paliło. Nieraz to się ludziom na okręcie tak zdaje, jakby po samych płomieniach ognistych płynęli.

— A to znów co się znaczy? — zawołał Marcin lokaj.

— Z początku nie wiedziano, z jakiej to się dzieje przyczyny, ale gdy uczeni ludzie zaczęli dochodzić, to i doszli, że w wodzie morskiej znajduje się mnóstwo maluteńkich robaczków, co ich nawet z osobna widzieć nie można, i że te robaczki tak się ogniście błyszczą i wodę jakby łuną płomienistą farbują. Widział z was pewno każdy, jak w lecie nocą przebiegają malutkie światełka po powietrzu, a każdy z was wie, że to są małe muszki świecące, co się zwą świętojańskiemi robaczkami. Otóż i te malutkie zwierzątka, co tak wodę morską ognisto farbują, są do nich podobne, a że ich niezliczona ilość jest gdzieniegdzie w morzu, to też nieraz morze tak się świeci, jakby się paliło.

— Proszę was panie Wincenty — pyta się klucznica Teresa — czy głębokie to morze?

— A jużci że morze jest okrutnie głębokie. Niektóre morza mają miejscami na cztery tysiące sążni głębokości, inne są płytkie i już tylko na tysiąc, a czasem jeszcze mniej sążni są głębokie. Na brzegach morze jest bardzo płytkie, tak że w niem chodzić i kąpać się można. Dla tego też zjeżdża mnóstwo chorych na brzegi morskie, i kąpią się, bo morskie kąpiele na niektóre choroby bardzo są pomocne.

— A jak to ludzie zmierzyli głębokości morza? — pyta Łukasz kredensarz.

— To już nie tak trudno — odpowiedział pan Wincenty — na to jest ogromnie długi sznur z kawałkiem ołowiu na końcu, i ten sznur spuszcza się do morza. Ołów dla swej ciężkości idzie aż na same dno, i tym sposobem z długości sznura, który się zmaczał w wodzie, można wymiarkować głębokość morza.

Pan Wincenty odetchnął trochę, popił piwa, które przy nim stało w dzbanie, a potem ciągnął dalej:

— A teraz na zakończenie dzisiejszego opowiadania, opowiem wam jeszcze po krótce o przypływie i odpływie morza. Morze na brzegach zawsze przypływa i odpływa, tak że ziemia, co jest przy brzegu, przez kilka godzin jest pokryta morzem, a przez kilka godzin znowu sucha. Ten przypływ i odpływ morza dzieje się dwa razy co doby. Morze wznosi się i wylewa przez 6 godzin i przez ten czas pokrywa wodą brzeg daleko i szeroko, a potem znowu przez 6 następujących godzin ustępuje i opada, a brzeg znowu jest suchy przez dalszych sześć godzin — i tak się ciągle powtarza przypływ i odpływ morza. Długo ludzie nie wiedzieli zkąd się to bierze, aż dopiero uczeni mędrcy doszli przyczyny. Oto widzicie miesiąc, co świeci nad ziemią, ma taką siłę, że przyciąga do siebie morze, coś na kształt tego, jak magnes żelazo. Ale nietylko miesiąc ma tę siłę, bo i ziemia cała przyciąga także wszystko do siebie. Owoż więc księżyc przyciąga z swej wysokości morze do siebie i morze się wznosi i nadyma do góry, i gdyby tak nic nie stawiło przeszkody, toby morza wzdęły się i poszły het w górę. Ale że ziemia ma także siłę przyciągającą, więc co księżyc podniesie swą siłą morze w górę, to ziemia znowu swą siłą ciągnie je na dół, i ztąd to pochodzi przypływ i odpływ morza.

Aby wam to lepiej i jaśniej wytłumaczyć, potrzebaby aby i ja był uczony i wy też siła rzeczy już umieli — zawsze jednak już z tego com wam tu powiedział, poznać możecie, jak to Stwórca Wszechmocny ten świat cudownie urządził, i jak wszystko, co tylko widzimy głosi chwałę Jego. Pięknie to mówi pieśń nabożna:

Tobie ziemia tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże Wielki!

— A teraz moi kochani — kończył pan Wincenty — czas już rozejść się na spoczynek, bo godzina już pożna, a każdego z nas czeka jutro robota. Na drugi wieczór opowiem wam o zwierzętach i roślinach morskich, a teraz życzę wam dobrej nocy!

— Dobranoc! — zawołali wszyscy — dziękujemy za piękne opowiadanie.

I niebawem była izba czeladnia próżna, i światło w niej zgasło.

Rady gospodarskie i lekarskie.

Pijawki.

Te robaki pożyteczne i potrzebne na różne choroby ludzi, znajdują się w jeziorach i stawach Polski, Rosyi, Węgier, a nawet i na Wschodzie. Pijawka składa się ze stu pierścieni, przez co nabiera zwinności i giętkości. Zyje tylko samą krwią i dla tego ma pyszczek urządzony do ssania, a na drugim końcu narzędzia do trzymania się. W pyszczku ma trzy zęby, niemi tnie ranę, a obok ma sto bardzo drobnych piłeczek, niemi ssie krew, która przez całą pijawkę przechodzi, a z obudwóch stron ma jeszcze jakoby mieszki. Aby tę całą przestrzeń wypełnić, potrzeba wiele krwi, i ztąd to pijawka tak łakoma i chłapliwa. Co do ócz to ma ich aż dziesięć, dla tego też pijawki widzą bardzo daleko; skoro kto w staw wnijdzie, zaraz go zobaczą i zewsząd obsiędą, aby się jego krwią uraczyć.

Ludzie korzystają z tego niepohamowanego łakomstwa pijawek i używają ich na różne zapalenia, ból zębów i inne różne choroby; dla tego potrzeba ich ciągle się wzmaga.

Obliczono, że Francya sama wprowadziła przez lat 17 aż 500 milionów pijawek; — teraz sprowadza je z Sardynii, Włoch i z Hiszpanii za trzy miliony franków czyli za blisko milion reńskich. Miasto Paryż we Francyi potrzebuje samo od 20 lat corocznie 6 milionów pijawek.

W Peszcie, mieście węgierskiem potrzebowano w roku 1853 aż sto tysięcy pijawek a te kosztowały 800 guldenów.

W Anglii i Ameryce są pijawki tak drogie, że je tylko bogatsi mieć mogą. A w Turcyi to rząd sprzedaje prawo ich łowienia. Ze Smyrny wywożą rocznie 25 milionów sztuk przez Austryą i Francyą, a z Grecyi 6 milionów pijawek.

Wielka więc potrzeba pijawek okazuje się wszędzie, i drogo za nie płacą, aby je tylko dostać w razie choroby, która to potrzeba wielka wywołała hodowanie pijawek. Wielu bowiem zaczęło nad tem przemyśliwać, jakby to można hodować, i rozmnażać pijawki. We Francyi już hoduje je pewien lekarz który w 4 latach sprzedał pijawek 200 tysięcy za 13 tysięcy reńskich, miał więc z nich dochodu rocznie cztery tysiące.

Pijawki nie byłyby tak drogie, gdyby przez różne swe choroby nie niszczały, gdyż bardzo wielu chorobom podlegają, i tysiącami naraz giną. Aby temu złemu zaradzić, nie jeden sobie dosyć nasuszył głowy, ale jeszcze dzisiaj nie znaleziono żadnego skutecznego środka przeciw chorobom pijawek.

O obchodzeniu się ze zwierzętami przy rzezi.

Nie raz na nieszczęście jesteśmy świadkami złego obchodzenia się ze zwierzętami na rzeź przeznaczonemi. Już to z pobudek ludzkości musimy potępiać wszelkiego rodzaju okrucieństwa, a również możemy się powołać i na pobudki własnego pożytku, aby położyć tamy podobnemu postępowaniu.

Nie można nigdy dosyć potępić wystawienia tucznych zwierząt na upał słoneczny, ukąszenie much, bąków itp., zmuszania ich do pospieszniejszego biegu przez bicie lub szczwanie psami, wiązania cieląt, baranów i wieprzów. Przez obchodzenie się w ten sposób ze zwierzętami opasowemi i tucznemi, przyzwyczajonemi do spoczynku i staranności, wystawia się je na niebezpieczne choroby, jako to: zaduszenie się, gangrenę itp., nadające mięsu szkodliwe własności, które wywierają zły wpływ na zdrowie spożywających je ludzi.

Dla zdrowia więc nader jest ważnem, aby pędzenie tego rodzaju zwierząt, powierzone było rozsądnym, uczciwym i łagodnym ludziom. Mięso zwierzęcia zarzniętego, kiedy jest zdrowe

i wypoczęte, łatwo wysycha, staje się nabitem i ważnem, dobrze się zachowuje i dobrze daje się ciąć, a rozcięte, ma piękne wejrzenie. Przeciwnie mięso zwierzęcia znużonego przez pędzenie, w jakikolwiek sposób rozdrażnionego lub nie wypoczętego po zadanych mu cierpieniach, trudno wysycha, pozostaje miękkiem i lekkiem, prędko się psuje, pleśnieje i wzbudza z pozoru obrzydzenie.

Trzeba nadzwyczaj starannie obchodzić się ze zwierzętami przeznaczonemi na rzeź, bo mięso z bydła rogatego, baranów i wieprzy, w skutek złego obchodzenia się z temi zwierzętami traci znacznie, tak pod względem jakości, jak i ilości. W czasie letnich upałów, rzeźnice i jatki powinny być nadzorowane nader troskliwie, w celu usunięcia owadów, bo wiadomo, że jedna mucha w krótkim czasie potrafi złożyć mnóstwo jajek, będących przyczyną szybkiego psucia się mięsa.

Na wsiach zdarzają się często nadużycia, szkodliwe dla zdrowia; mają tam zwyczaj dobijania i rozprzedawania mięsa z bydła dotkniętego paraliżem, które zachorowało przy cieleniu się lub na inną nie wyleczoną chorobę, dlaczego często słyszeć się daje o wypadkach choroby lub śmierci u ludzi, którzy jedli to szkodliwe mięso. Powinniście pilnie na to uważać przy rzezi bydła i przy kupowaniu mięsa.

RÓŻNOŚCI.

Przygoda Psity pijaczyny. Nigdzie nie zbywa na psotnikach i figlarzach, ale już po miastach to ich najwięcej. Czy się to godzi, czy się któremu z nich przy tem po grzbiecie dobrze oberwie, na to oni nie zważają, i wcale się niespostrzeżesz, jak ci jaką psotę spłatają. Tak się też stało nieboszczykowi Psicie, a jak to było, zaraz opowiem:

Blisko Trzemeszna leży wieś Święte. Powiadają, że w tej wsi byli kiedyś wszyscy ludzie bardzo pobożni i ztąd wieś ich świętą albo Święte nazwana. Musiały się jednak bardzo czasy zmienić, bo za mojej pamięci mieszkali w Świętem prawda i ludzie dobrzy, ale też i na złych nie zbywało. W tejże wsi mieszkał też lat temu nie mało niejaki Psita wielki pijaczyna, który kiedyś miał być gospodarzem niezgorszym, ale później bardzo podupadł. Psita często bywał w mieście a nie chodził zwykle pieszo,

tylko jeździł na siwej szkapinie, którą był po ojcu odziedziczył.

Razu pewnego Psita dobrze pijany wraca z miasta do domu i wyśpiewuje i wykrzykuje a raz poraz machnie szkapinę powrozem, że aż po żebrach zahuknie, ale już ona do tego się przyzwyczaiła i na to wcale nie zważając, powoli dalej stąpała, (zwyczajnie miała lepszy rozum od swego pana, wolała iść wolno a pewno). Jedzie tedy i jedzie przez góry i doliny, już mu się i krzyczeć naprzykrzyło, więc oburącz za grzywę pochwyciwszy, zaczął się Psita kiwać na szkapie.

Aż tu na raz: „stój“ ktoś zakrzyknie, wszczyna się wrzawa i nim jeździec spostrzegł, już leży na ziemi i łupu cupu, łupu cupu cupu po nim, jak gdy w stodole młócą do trójki. Mój Psita w krzyk, ale mu to nic nie pomogło; więc gdy już skoro plag odebrał, w prośbę się udaje. Rzeczywiście udało mu się wyprosić sobie życie, a ci jacyś rozbójnicy wsadzili go jeszcze na szkapę, ale twarzą do ogona szkapy i dobrze go przywiązali, żeby nie spadł. Nawiasem mówiąc, byli to chłopaki psotniki, którzy go tak niemiłosiernie przywitali. Więc moja siwa znowu w dalszą podróż ruszyła, jeździec wnet też ze strachu ochłonął i znowu drzymać sobie zaczął, bo jak człowieka pijanego zmora napadnie, to go się niczem nie dotrzeźwisz.

Stanęła nareszcie szkapina przed chatą i zarżała miłosiernie a na głos jej żona Psity wybiega i pocznie nad nim wymyślać, co tylko może. Dopiero na przerażający głos swej połowicy Psita przetarł oczy na dobre i patrzy — patrzy i mówi:

— O szelmy zbójniki, nie tylko mnie wybili, ale jeszcze mej siwej łeb ucięli!

Nieboraczysko po pijanemu nie poznał że siedzi twarzą do ogona, ale myślał, że owi chłopacy ucięli szkapie głowę.

Na drugi dzień był z tego śmiech okrutny w całej gromadzie, a Psita od wstydu przez kilka dni z chaty na świat nie wyglądnął.

Nowe książeczki. Donoszę wam, kochani ludzie, że w Warszawie jak każdego roku, tak i tego wydrukowano dla was, ludu wiejskiego, prześliczny kalendarzyk, w którym jest mnóstwo historyj, gadek, opowiadek, piosneczek i różnych różności, a do wszystkiego domalowali malarze bardzo dużo obrazków pięknych a osobliwie jeden złocisty i duży Cudownej Matki Bożej. — Wyszła także znowu aż w Poznaniu książeczka o zakładaniu szkółek owocowych, którą radzimy sobie kupić wszystkim tym, co już mają albo dopiero zakładają sady. Nie jeden to mówi „Poco ja mam szczepić młode drzewka, kiedy ja już z nich owocu jeść nie będę?“ Na to ja mu odpowiem: „A czy wiedziałbyś ty, jaki ma smak gruszka albo śliwka, gdyby tak twoi ojcowie byli mówili jak ty? Boć przecie jasna rzecz, że sad sam odrazu nie wyrośnie z owocami, jeno trzeba go się dochować!

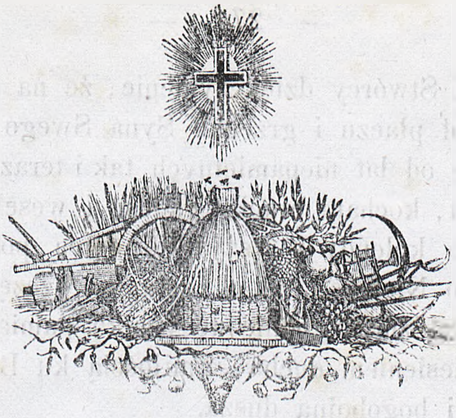
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIII. **Nr. 18.**

21. grudnia **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niech będzie pochwalony Jezus Narodzony!

Zbliża się, kochani bracia, dzień radośny dla nas i dla całego świata chrześcijańskiego — dzień Narodzenia Chrystusa. Wielkie to święto, które w dniu tym obchodzimy, bo jest ono pamiątką owego czasu, kiedy to Bóg Najmiłosierniejszy, widząc ludzkość pogrążoną w grzechach i niedoli, zesłał Syna Swego Jedynego na ziemię!

I oto rodzi się święta dziecina w małem miasteczku, w nędznej szopce, wśród ubogich ludzi. Przybycie Zbawiciela na ziemię zwiastuje Anioł najpierw ubożuchnym pastuszkom, a ci bieżą co prędzej do stajenki i witają nowonarodzone dziecię, zbawienie świata całego!

I wraz z narodzeniem Najświętszego dziecięcia zbliża się ratunek świata, który pogrążony był w pogaństwie, w grzechach i ciemnocie — a tym ratunkiem była nasza wiara święta, zesłana z Nieba, a opowiadana i nauczana przez Syna Bożego.

Dwa tysiące lat już prawie mija od tego czasu, a świat chrześcijański co roku obchodzi wesołą pamiątkę tego zmiłowania Bożego, raduje się w dzień święta Pańskiego Narodzenia

zasełając swemu Stwórcy dziękczynienie, że na odkupienie zesłał na ten padoł płaczu i grzechu Syna Swego!

Jak zawsze od lat niepamiętnych tak i teraz znowu zawita do waszych chat, kochani bracia, radość i wesele. Odezwą się wszędzie wesołe kolendy i wszystkie serca pobożne wzniosą się do góry, do Niebios, zkąd zstąpiło szczęście dla rodu ludzkiego. Obchodźmyż godnie tę wielką pamiątkę z nabożną wesołością i wzniesieniem ducha, z miłością ku Bogu i ludziom, z czystą myślą i bogobojną duszą.

A najpierw niechaj każdy z was rozpamięta sobie dobrze, o ile jest posłusznym tej wierze świętej i tym naukom, które nam zostawił Zbawiciel, niechaj się każdy z was zastanowi nad tem, czyli korzystał z tego świętego skarbu, z religji chrześciańskiej, i czy żyje wedle jej wzniosłych przykazań. Niechaj rozmyśli nad sobą, czy też serce jego nie jest pogańskie, chociaż usta wiarę wyznawają, czy wykonuje zakon miłości, której dał nam przykład nasz Zbawiciel!

Niechaj każdy sobie przypomni, jaką naukę dał nam Chrystus swem życiem na ziemi, niechaj bogaty pamięta, że Najświętsza Dziecina przyszła na świat w nędznej stajence, że cały żywot Zbawiciela był ubogi, niechaj nędzarz i każdy kto żyje w niedoli i ubóstwie pomni, że ubóstwo to znosił także i Syn Boży, że ukochał prostaczków i ubogich ludzi, że ten, którego powitali na świecie najpierw pastuszkowie ubożuchni, ma w łasce swej najświętszej wszystkich tych, którzy znoszą niedolę na świecie.

Niechaj ta pamięć pocieszy strapionych, niech rozweseli serca ubogich, niech pobudzi do cnoty i miłosierdzia dla bliźnich wszystkich tych, co opatrzeni są w dobra ziemskie i dostatki.

O niechaj dla całej naszej ziemi polskiej nieszczęśliwej, która tyle razy krwią się skąpała, tyle razy łzami się oblała, która tyle już znosiła nieszczęść i niedoli, święto Narodzenia Pańskiego będzie radośnem zapewnieniem, że Bóg się ulituje nad nią, że jej zeszle dobrą dolę i szczęście!

Trzy wielkie święte cnoty przyszły na świat z Synem Bożym: wiara, nadzieja i miłość!

Wierzmy w prawdy Chrystusowe; wierzmy w obietnice które wypowiedziały usta Zbawiciela w nagrodę dla wszystkich, którzy Bożemi drogami postępują przez życie!

Miłujmyż Ojca Naszego, co z Niebios czuwa nad nami, miłujmy bliźnich naszych, otoczmy wszystkich ludzi tą serdeczną miłością, jakiej nam dał przykład Jezus, ukochajmy ojczyznę naszą, naród nasz cały polski!

Miejmy nadzieję w miłosierdzie Wszechmocnego, ufajmy jego łasce, spodziewajmy się całem sercem, że przyjdzie nam w pomoc w strapieniach naszych, że nie opuści ojczyzny naszej, która zawsze była stróżem wiary świętej.

Módlmy się do Dzieciątka Jezus, niechaj świat cały i nas Polaków ma w swej świętej opiece, niechaj pobłogosławi krainę polską i da jej szczęsną dolę!

KOLĘDA.

Anioł się pastuszkom zjawił w jasności
Spiewał: „Chwała Bogu na Wysokości!
Wszystkim ludziom w niedoli
Koniec dolegliwości,
I wszystkim dobrej woli
Spokój w nizkości!!“

Powiedział: „Znajdziecie w małem miasteczku
Dzieciątko w pieluszkach i na sianeczku!“
Pasterze pobieżeli
I znaleźli w żłobeczku,
Na ubogiej pościeli
Dzieciąteczko.

Oddali swe dary nie bardzo drogie,
Klęcząc, całowali mu święte nogi.
Dziękczynne słali pienia,
Że na te ziemskie progi,
Przyszło dla ich zbawienia
W szacie ubogiej.

Pan Jezus się zrodził w Betleem mieście,
Radośną nowinę pasterze roznieście!
Z podania anielskiego,
I z wielkiej gwiazdy wschodu,
Macie dowody jego
Bożego rodu!

Królowie przybyli z wschodniej krainy,
Wstąpili do miasta Jerozolimy,
Pytali zgromadzenia,
O pobycie rodziny,
O miejsce urodzenia
Bożej Dzieciny.

Za gwiazdą trafili do tej stajenki,
Gdzie była gospoda świętej panienki.
Złożyli dary drogie
Bożej Matce do ręki,
Które przyjął ubogi
Jezus maleńki.

Chcieli Herodowi zanieść nowinę,
Że w szopce znaleźli Bożą Dziecinę.
Lecz mieli objawienie
Minąć Jerozolimę
I wrócić potajemnie
Do swej krainy.

Herod kazał wojsku, by bez wyjątku
Zadawało śmierć każdemu chłopiątku.
Mordowano dzieciny,
Lecz Jezus przed katami
Do Egipskiej krainy.
Uszedł nocami.

Weselmy się wszyscy na tej nizkości.
Spiewajmy! Spiewajmy z wielkiej radości:
Przez Boże Narodzenie,
Chwała na Wysokości!
A nam wszystkim zbawienie
Z Bożej miłości!

Ksiądz Wojciech z Medyki.

Święty Wieczór.

Historja prawdziwa.

Dobry kawał od wsi Mrawy, zaraz przy drodze, stała malutka, nędzna chałupinka. W chatce tej mieszkał Jakób Rogors, człowiek bardzo uczciwy, ale bardzo ubogi, bo jak to sami wiecie, bogactwo z poczciwością nie zawsze idą na świecie w parze. Jakób nie miał nic, jeno tę starą ubogą chałupinę, jednego starego konia i szmatkę ogrodu za nią; ale że pracował ciężko i rzetelnie, więc też jako tako zarabiał na kawałek gorżkiego chleba.

Mało miał, ale i za to Panu Bogu dziękował i nie skarzył się nigdy na swoją niedolę, ale żył w pracy i spokoju. W swojej żonie Małgorzacie wielką miał pomoc Jakób. Wyraźnie Bóg sam przeznaczył jedno dla drugiego, bo nie było w całej wsi małżeństwa, coby tak zgodnie żyło ze sobą i tak bogobojnie znosiło niedostatek.

Przy tem wszystkiem mieli Jakób i jego żona serce litościwe, a choć samym im nieraz brakło na kawałku chleba, to przecież dzielili się chętnie z ubogim, bo doznali sami nieraz, jak to przykro niedola człowieka trapi.

Posłuchajcież teraz, jak raz przytrafunek zdarzył się Jakóbom. Było to w samą Wilję Bożego Narodzenia. Wieczór już zapadł, zimno było okrutne, śnieg przesypał drogę, że i śladu ludzkiego widać nie było, a wiatr huczał i sypał kurzawicą na wszystkie strony.

W chatce Jakóba świeciło się światło, a na stole stała już uboga wieczerza. Jakób i jego żona westchnęli do Boga, do najświętszej Dzieciny, której narodzenia pamiątkę właśnie cały świat chrześcijański obchodził i zasiedli do swojej wieczerzy. Ledwie jednak wzięli do ust jadło, gdy naraz pod drzwiami dało się słyszeć jakieś słabe pukanie i jęk, tak jakby ktoś prosił, aby go wpuszczono do izby.

Jakób położył łyżkę na stole i mówi:

— Czy słyszysz Małgosiu?....

Żona słyszała także i rzecze na to:

— Toć słyszę, wyraźnie tak, jakby się ktoś prosił i jęczał pod drzwiami.

— Chyba pójdę otworzyć — mówi Jakób.

— Ej kto wie, co tam takiego, może jaki rabuś się zakrada i udaje pod drzwiami nędzarza. My tak daleko od wsi, toć i niebezpieczna lada komu otworzyć, bo choć to my nic nie mamy, ale zawsze zły człowiek na wszystko się złakomi.

— Ej nie gadałabyś Małgosiu — odpowie Jakób — ktoby tam wybierał się do nas biednych na rozbój. Wiesz co, może to jaki żebrak nieszczęśliwy, co marznie na dworze, albo może jaki podróżny biedny, a dziś święty wieczór, więc godzi się być litościwym dla każdego.

To mówiąc Jakób wstał z ławki, wyszedł do sieni i drzwi otworzył. Ale przed drzwiami nie było nikogo, jeno na ziemi coś się czerniło, i słychać było ciche jęczenie, jakby umierającego. Jakób zawołał na żonę, aby podała światło, a gdy Małgorzata przybiegła z łuczywem, zobaczyli przed progiem na ziemi jakiegoś młodego chłopaka. Leżał on tak jak bez życia i tylko jęknął czasem żałośnie.

— Na miłość Boga, ratujmy! — zawołał Jakób — wszak to jakiś biedny chłopak ginie!

I zaraz podniósł też owego chłopaka z śniegu i wniósł go do chałupy. Tu przypatrzyli się Jakób i Małgorzata dobrze biedakowi i poznali, że już był na pół zmarzły. Duchem przyniosła Małgorzata śniegu z dworu i zaczęła razem z mężem odcierać chudzinę — a gdy go tak dobrze natarli, biedny chłopak otworzył oczy i przyszedł do siebie. Jakób nakrył go zaraz swoim kożuchem, a Małgorzata zagrzała mu przy ogniu na prędce trochę piwa, co go sobie kupili na święta.

Gdy biedny chłopak napił się tej gorącej polewki i rozgrzał się trochę, przyszedł zaraz do siły i mówi:

— Gdzie jestem dobrzy ludzie?

— Nie bój się — mówi Jakób — i dziękuj jeno Bogu, że cię zachował od śmierci, bo byłbyś pewnikiem zamarzł na tym okrutnym mrozie.

Biedny chłopak jeno podniósł oczy w górę, westchnął — jakby dziękował Bogu i mówił:

— Toć ja dziękuję Panu Bogu i wam, boście wy mnie uratowali od śmierci! Niech wam to niebo stokrotnie zapłaci!

— A zkądżeś ty chłopaczku? — pyta się Małgorzata.

— Jestem biedny student — odpowiada chłopak — uczę się w mieście w szkołach. Mam rodziców bardzo ubogich i chciałem pójść do nich na święta, aby razem z niemi obchodzić dzień Narodzenia Bożego. Nie miałem za co nająć sobie furmanki, toć się też puściłem piechotą. Myślałem, że zajdę jak nic do domu, ale w drodze osłabłem i musiałem długo odpoczywać, a przez to spoźniłem się bardzo. Do domu miałem już tylko trzy mile, więc chciałem koniecznie jeszcze dziś do moich rodziców zajść, aby trafić na sam święty wieczór, ale noc ciemna zaskoczyła mnie w drodze, wiatr okrutnie sypał śniegiem, że i świata zobaczyć nie mogłem, zabłąkałem się, i już byłem pewny, że zamarznę gdzie w śniegu, kiedym zobaczył zdaleka światełko. Duch we mnie wstąpił i zawołałem: Dzieciątko Jezus, któreś przyszło na świat w ubogiej i nędznej szopce, ratuj mnie dzisiaj w dzień Narodzenia Twego! I zebrałem wszystkie siły, powlokłem się dalej, ale tu pod samemi drzwiami już mi nogi zdrewniały, i już nie wiem co się dalej ze mną stało.

Jakóbowi i jego żonie aż się łzy puściły z oczu na to opowiadanie.

— No chwała Bogu — rzekli — że ci nie dał zginąć. I my też wdzięczni jesteśmy Najwyższemu, że nam na święty wieczór przysłał gościa, którego my biedni poratować możemy.

Potem zaprosili biednego studenta do wieczerzy, ale on nic nawet do ust wziąć nie mógł, bo był bardzo chory od zimna. Jakóbowie zjedli wieczerzę, odśpiewali pobożną kolendę na chwałę Nowonarodzonego i okrywszy dobrze chorego studenta, założyli się do snu.

Na drugi dzień rano, gdy Jakób wstał, zobaczył, że student od wielkiego przemarznięcia ciężko zaniemógł. Leżał cały w gorączce i od wielkiego bolu głowy nawet i mówić nie mógł. Żal się zrobiło Jakóbowi i jego żonie ubogiego szkolarza, a Jakób duchem zaprzągł swego konia i pojechał do dworu, gdzie był właśnie na świętach doktor z miasta. Na prośbę Jakóba

doktor pojechał oglądnąć biednego studenta, dał mu jakieś lekarstwo i nakazał, aby o chorym mieć dobre staranie.

Przez dwa dni chorował ubogi szkolarz. Jakób i Małgorzata chodzili koło niego gdyby rodzeni ojciec i matka. Dali mu własne pierzyny i okrycia, a sami spali na twardej desce, usługiwali mu we wszystkiem jakby własnemu dziecięciu, a Małgorzata zarznęła ostatnią kurę, aby tylko biedakowi uwarzyć rosołu, tak jak nakazywał doktor.

Ale na trzeci dzień student już całkowicie przyszedł do zdrowia i z płaczem dziękował Jakóbowi za litościwe serce:

— Ja nic nie mam — mówił ze łzami — więc nie mogę wam tego odpłacić, ale Bóg wam to wynagrodzi, żeście mnie tak jak ojcowie przytulili do siebie w nieszczęściu. Będę się też modlił Panu Bogu za was serdecznie, a gdy za łaską Wszechmocnego wyuczę się na człowieka, to nie zapomnę o was moi mili.

I ucałowawszy w rękę Jakóba i Małgorzatę, wybrał się w drogę, a poczciwy Jakób widząc, że student jeszcze trochę osłabiony, zaprzągł swoją szkapinę do wózka i podwiózł go całą milę ode wsi.

I nikt nie wiedział o tym pięknym uczynku Jakóba i jego żony, tylko oni sami i Pan Bóg, który widzi wszystkie cnoty i pamięta o bogobojnych ludziach — a każdy czyn piękny nagradza sowicie łaską swoją najświętszą!...

* * *

Dużo, bardzo dużo lat minęło od tego czasu. Jakób postarzał się już okrutnie; a żona jego Małgorzata także przygięła się od starości. Do nędznej chatki przyszła bieda i niedostatek. Staruszkowie już nie mogli sobie zarobić na kawałek chleba, jak to za młodszych lat robili. Brakło im tedy kawałka chleba, a nieraz to i głód całemi dniami cierpieć musieli. Nie mieli ani krewnych ani dobrodziejów, i chyba tylko kostur i torba żebracza czekała ich na resztę dni ich życia.

Gorżka dola dotknęła poczciwego Jakóba i Małgorzatę, ale oni przez to nie odstąpili ani na chwilkę od ufności w miłosierdzie Boże.... Ale nareszcie przyszła nędza ostatnia na

tych biednych ludzi. Chatka ich stara poczęła się walić, dach się obdarł i zapadł, wiatr wiał przez szerokie szpary od ścian. Przyszła twarda zima; w domu nie było ani chleba ani drew na ogrzanie izbiny, Jakób i Małgorzata zaniemogli od zimna i głodu. Po Nowym roku mieli zapłacić dług. Ale zapłacić nie mieli z czego, więc też lada dzień mieli ich wyrzucić z nędznej chatki za dłużne pieniądze.....

Tak się działo u biednych poczciwych Jakóbów, gdy znowu nadeszły święta Bożego Narodzenia.

I znowu był święty wieczór!.....

Wszyscy ludzie radowali się z narodzenia Jezusowego, śpiewali wesołe kolendy i spożywali wieczerzę na wilję. U Jakóba w chacie ledwie kilka drewienek paliło się na kominku, a na wilję nie mieli nic, jak tylko kawałek suchego chleba.

Smutna była wilja u Jakóba. Wiatr huczał na dworze i wiał przez szpary do izby; oboje staruszkowie trzęśli się od zimna i płakali rzewnemi łzami.

Kiedy tak Jakób i Małgorzata siedzą z ciężkim smutkiem w sercu, zastukał ktoś do drzwi po cichu.

— Ktoś puka — rzekła Małgorzata.

— Ej jeno ci się tak zdaje — odpowiedział Jakób — to wiatr tak kłapie drzwiami.

Ale pukanie nie ustawało, lecz coraz głośniej odzywało się ze dworu. Stary Jakób zachodząc w głowę, ktoby to był taki, zwlókł się z ławy i wyszedł otworzyć. Jakież było jego zdziwienie, gdy przed swoją chatką ujrzał porządne duże sanie z jasnemi latarniami, a przed drzwiami czekał jakiś pan odziany we futrze.

— Niechże będzie pochwalony Jezus narodzony! — odezwał się nieznajomy człowiek.

— Na wieki wieków! — odpowie Jakób nabożnie.

— Czy przyjmiecie nas w gościnę na święty wieczór?

— Oj wielmożny panie, czemuż nie!.... Ale cóż wy w naszej chacinie robić będziecie?... Nie ma w izbie ani ognia ani nawet kawałka chleba. Do wsi kawałek niedaleki, tam wygodniejszy znajdziecie nocleg.

— Kochany staruszku — rzecze na to nieznajomy — my już tu u was koniecznie chcemy odbyć święty wieczór.

Jakób zdziwiony zaprosił gości do izby.

— Dobry wieczór pani matko! — powitał nieznajomy człowiek Małgorzatę i zrzucił z siebie futro.

I pokazało się teraz, że to był ksiądz. Popatrzył on na Jakóba i Małgorzatę i na kawałek suchego chleba, co leżał na stole i otarł sobie oczy, tak jakby płacz ukrywał.

— Usiądźcie-że sobie mili staruszkowie i posłuchajcie, bo się was rozpytać muszę — odzywa się ksiądz — czy pamiętacie wy, jak to przed dwudziestu laty przyjęliście do chaty waszej biednego studenta, co już był na pół zamarzł na zimnie?.....

— A pamiętam — odpowiada Jakób — było to właśnie w ten dzień co dziś, na sam święty wieczór, w wilję Narodzenia Pańskiego.

— Ten student potem u was zachorował — mówi dalej ksiądz — a wy go poczciwi ludzie pilnowali jakby ojciec i matka aż dopóki nie wyzdrowiał....

— Ot wyraźnie spełniliśmy, co Bóg przykazał — odpowiedziała Małgorzata.

— Otoż moi zacni staruszkowie — rzecze na to ksiądz — tym biednym studentem to ja byłem!

Jakób i Małgorzata zdziwili się okrutnie i nie chcieli swym oczom wierzyć, a ksiądz ów powstawszy z ławki ucałował im z synowską pokorą ręce. Jakób nie chciał dać ręki do ucałowania i mówił:

— Ale proszę jegomości — co też ksiądz dobrodziej robi.

— Dajcie mi ucałować wasze ręce — rzecze ksiądz — bo wyście byli dla mnie drugim ojcem i matką. Kiedym się przed dwudziestu laty żegnał z wami, przyrzekłem modlić się za was i pamiętać o was. Modliłem się też i pamięć waszą zachowałem zawsze w sercu. Dziś nie mam nikogo na świecie, bo mi rodzice już dawno pomarli — wy więc jesteście moim ojcem i matką. Uważajcie mnie za swojego syna!

Staruszkowie popłakali się na te słowa, a ksiądz mówił dalej:

— Zostałem w tej wsi u was proboszczem na miejsce waszego księdza, co niedawno umarł. Biorę więc was do siebie, kochani staruszkowie!

A potem tak się jeszcze odezwał:

— Dzisiejszą wilję Pańskiego Narodzenia tu z wami obchodzić będę. Niech to będzie na pamiątkę tego świętego wieczora, kiedyście mnie zmarzłego i nędznego przyjęli w domek wasz ubogi.

I zawołał zaraz na służącego i furmana, a ci poznosili z sań rozmaite jadła i dobrego wina, zastawili stół i pozapalali mnóstwo świec, że w izbinie Jakóba zrobiło się jasno jak w dzień Boży. Ksiądz wydobył opłatka i podzieliwszy się z nimi, zaprosił ich do wieczerzy.

I tak wśród radości spędzili święty wieczór, chwaląc Ojca Wszechmogącego.

Taka to była historja Jakóbów i biednego studenta. Ksiądz urządziwszy się w Mrawie na parafji, wziął staruszków do siebie i starał się o nich z wdzięcznością i synowskiem przywiązaniem, jak o własnych rodziców. A gdy poumierali, sprawił im piękny pogrzeb i postawił na cmentarzu w Mrawie nagrobek z pięknym napisem, który do dziś dnia tam widzieć można.

Kuba z Kobła.

Opowiadania pana Wincentego
o morzu i co jest w morzu i pod morzem.

III.

Trzeciego wieczora, kiedy czeladź cała zgromadziła się znowu na wieczerzę, pan Wincenty zaczął tak prawić dalej:

— Obiecałem wam wczoraj, że wam opowiem o morskich zwierzętach. A więc zacznę od wieloryba.

— Aha — zawołał na to Stefko kredensarz — widziałem ja wieloryba odmalowanego i już dawno rad byłem wiedzieć, co też to za potwór taki.

— Wieloryb, moi kochani — opowiadał Wincenty — jest to, jak już z samej nazwy się domiarkujecie, ogromnie wielka

ryba morska. Ma on dziesięć a czasem i więcej sążni długości i niezmierną siłę, osobliwie w ogonie, którym kiedy jest w niebezpieczeństwie, bije na wszystkie strony. Potwór ten ogromny ma tak wielką paszczę, że zmieściłoby się w niej duże czółno wraz z wioślarzami. Wieloryb przebywa najczęściej w morzu północnem. Co to za okrutna jest ryba, już z tego możecie poznać, że waży tyle co dwieście tucznych wołów. Otóż na tego wieloryba odbywają ludzie polowania. Płyną na okrętach w te miejsca morskie, kędy on przebywa, a gdy go przydybią, wtenczas go zabijają.

— A jakże się to polowanie robi — zapytał Jędrek fornal — toż to musi być straszno polować na taką okrutną bestję.

— Oczywiście, że to nie łatwa rzecz i nie bardzo bezpieczna — prawi pan Wincenty — ale człowiek na wszystko znajdzie radę. Skoro ci myśliwcy morscy napotkają wieloryba, zaraz podjeżdża do niego czółno, a jeden z ludzi ciska nań harpunę. Ta harpuna to jest takie ostre zębate żelazo, uwiązane na długim i grubym sznurze. Jeden z myśliwców, co już jest silny i wprawny do tego, ciska niem w wieloryba, tak iż to ostre żelazo wbije mu się w cielsko. Wieloryb ugodzony tem żelazem, zaczyna uciekać i bije okrutnie ogonem na wszystkie strony, a z taką wielką siłą, że gdyby trafił w łódkę, toby ją strzaskał na drobne kawałeczki. Gdy już w wielorybie tkwi to ostre żelazo jak hak, wtedy inne czółna podjeżdżają do niego, a myśliwi kłują go długiemi ostremi pikami, dopóki go nie ubiją. Nie trzeba wam mówić, że nim taką straszną bestję zabiją na śmierć, dużo czasu i mozołu potrzeba, a nie raz wieloryb plusnąwszy ogonem po łodzi, zatapia ludzi i w kawałki gruchocze czółna. Kiedy wieloryb jest już zabity, wtedy ciągną go za sobą czółna po wodzie aż do okrętu i dźwigają go tam sznurami. Gdy go już mają na okręcie, wtedy płatają go na sztuki i zdzierają z niego sadło. Wieloryb ma tego sadła nieraz dwa tysiące cetnarów. Sadło to przetapiają i z niego to robi się tran, któty sprzedają po sklepach do rozmaitych smarowideł. Wieloryb ma około swej paszczy mnóstwo rogowych płatów, któremi jak siecią zagarnia ryby, a z tych płatów robi się rybi róg, co go nieraz także fiszbajnem

z niemiecka zowią. Z tego fiszbajnu robią się laski, oprawki do nożów i inne rzeczy. Wieloryb ma tego rogu koło paszczy tak dużo, że będzie z niego nieraz trzydzieści cetnarów tego fiszbajnu.

— A to straszne rzeczy, co to za okrutne dziwo ten wieloryb! — zawołała biorąc się za głowę klucznica Teresa.

— Oj co dziwo, to dziwo, ale są na morzu i straszniejsze. Wieloryb wprawdzie okrutnie jest duży, ale dla ludzi nie jest on tak niebezpieczny jak inne potwory morskie. Wieloryb, jak już wam powiedziałem, ma okropnie wielką paszczę, ale za to ma bardzo ciasne gardło, tak, że tylko małe ryby połyka. Ale jest w morzu jedna strasznie wielka i żarłoczna ryba, co się zwie h a j a albo w i l k m o r s k i. Ta haja gdy napotka jakiego człowieka w morzu, to go połknie całego lub przeżre do połowy. Haja płynie za okrętami, a gdy ktoś na okręcie umrze i rzucą go do wody, to natychmiast pożera trupa. Nieraz też gdy człowiek który spadnie z okrętu albo z czółna do wody, haja rzuca się na niego i wtenczas przepadł na wieki.

Tu odpoczął trochę pan Wincenty i rozglądał się po czeladzi, która z wielką ciekawością go słuchała, a potem mówił dalej:

— Są w morzu rozmaite bestje i potwory. Jest tego takie mnóstwo, że i policzyćby nie można. A są tam też małe i duże zwierzęta, takie dziwne nieraz, żeby człek i nie uwierzył, gdyby ich na własne oczy nie widział. Bo też niektóre wyglądają gdyby okrutnie wielkie gwiazdy, inne znowu jak jeże z długiemi kolcami, a znowu inne mają mnóstwo nóg, co tak wyglądają jak węże i na wszystkie strony się wiją. Są tam także takie stworzenia, co są na pół rybą, na pół zwierzem, jak na przykład psy i cielęta morskie, a te wychodzą czasem i na brzegi, a ludzie na nie także polują. Jest także w morzu taki gatunek dziwnej ryby, co ma na łbie ogromnie długi róg, poszczerbiony gdyby piła. Od samej góry aż do dna jest pełno w morzu takich rozmaitych dziwnych potworów i zwierząt morskich.

— A co też jest na samem dnie morza — pyta Stefko kredensarz — czy tylko sam piasek?

— Na dnie morskiem — opowiadał dalej Wincenty — rośnie mnóstwo rozmaitych roślin i żyje mnóstwo zwierząt i robaków, że ich różnych gatunków ani nawet policzyć by nie można. Osobliwie dużo jest bardzo pod morzem takich zwierzątek, co się kryją w skorupy jak ślimaki. Te skorupy są czasem prześliczne i rozmaicie ubarwione, niektóre z nich złociste, niektóre zaś jakby tęcza połyskują. Ale najbardziej rozbijają się ludzie za temi zwierzątkami, w których perły się znajdują. Musicie bowiem wiedzieć, boście o tem już i w *Dzwonku* czytali, że perły znajdują się w skorupkach zwierzątek morskich. Otoż te zwierzątka łowią ludzie, co się umyślnie dla tego okrętami na morze puszczają.

— A jakże tam oni na dno się dostaną? — zapytała Katarzyna klucznica.

— Do tego — mówi Wincenty — są osobni ludzie — co się zwą nurkami. Ci nurkowie są to tacy ludzie, którzy są już nauczeni i wzwyczajeni spuszczać się głęboko do wody i tam przez dobrą chwilę wytrzymać. Zaprawiają się oni do tego już z młodości i później zarabiają sobie tem na życie. Przy zbieraniu skorupiaków z perłami podjeżdżają ludzie na czółnach na te miejsca, gdzie są podmorskie skały, na których znajdują się te zwierzątka w skorupach, a nurkowie spuszczają się wtedy pod wodę. Każdy nurek przywiązany jest sznurem do czółna, a przy sznurze tym znajduje się jeszcze i kamień, aby tym sposobem nurek prędzej poszedł pod wodę. Nurek, gdy się ma spuścić na dno morskie, zatyka sobie nos i usta bawełną albo woskiem, zaciąga się powietrzem i wtyka do gęby gąbkę umaczaną w oliwie. Potem rzuca się do wody pod te skały, gdzie się znajdują perły i nieraz musi pójść pod wodę na ośm albo i dziesięć sążni. Pod wodą zbiera on prędziutko owe skorupiaste zwierzątka do kosza, który ma uwiązany przy pasie, a gdy już czuje, że dłużejby pod wodą nie wytrzymał, to na znak potrząsa tym sznurem, którym jest do czółna przywiązany, a ludzie wyciągają go prędko na górę.

— Oj to takiemu nurkowi musi być straszno pod wodą —

odzywa się Grześ kuchta — a czy mu tam kiedy co nie zrobi jaki potwór morski?

— Nieraz już nie wyjdzie na górę — odpowiada pan Wincenty — bo go nieraz przydybie haja, ta ryba żarłoczna, o której wam opowiadałem, i pożre go całego lub nogę i ręce poodgryza. Na sto majtków w roku zjedzą trzech te ryby, a piętnastu mocno pokaleczą.

— A czy długo wytrzyma taki nurek pod wodą? — zapytał lokaj Łukasz.

— Dłużej nad parę chwil nie może on być pod wodą — prawi pan Wincenty — bo żaden człowiek, choćby już i jak do tego przyzwyczajony, nie potrafi długo wytrzymać bez powietrza. Ale za to są nurkowie bardzo silni i okrutnie zwinni, tak że przez ten krótki czas, co są pod wodą, uzbierają do kosza nieraz sto pięćdziesiąt a czasem i dwieście sztuk tych skorupiaków, w których perły się znajdują. Ale nie tylko pereł ludzie szukają w morzu. Wydobywają oni także korale z dna morskiego.

— Jak to i korale panie Wincenty — pochodzą z morza? — pyta się Teresa klucznica.

— A jużci, że nizkąd inąd — odpowiada Wincenty — a i te korale, co je macie na szyji leżały sobie kiedyś tam głęboko pod morzem!

— I czy one od razu takie piękne i czerwone leżą na dnie morskiem? — pyta dalej Teresa.

— Oj nie, korale rosną, moja Tereso!

— A jakże to być może, przecież korale to takie gdyby kamyczki a nie żadna trawa albo drzewka, coby mogły rosnąć — mówi zdziwiona Teresa.

— Oj właśnie że korale to są takie małe drzewka, co rosną pod morzem. Dziwne to bardzo te korale. Bo to drzewko, nie drzewko, kamień nie kamień, robak nie robak!

— A toć to cudo jakieś! — zawołała Teresa.

— Nie ma co mówić, że to dziwne bardzo. Musicie wiedzieć, że roślina koralowa wygląda jak krzak, jeno że cały ten krzak i jego gałązki są gdyby kamienne, a zamiast liścia to mają takie miękkie wyrostki, które się ruszają i żyją. Otóż

te małe żyjątka na krzaku koralowem obciągają się powoli skorupą czerwoną i te czerwone skorupy to są właśnie korale. Tak jak po perły tak i po korale spuszczają się na dno morskie nurkowie i narywają tych krzaków do torby siatkowej, a potem wybierają z nich ludzie korale. Ale nim koral przyjdzie na taki sznurek jak wasz, Tereso, to go jeszcze różni majstrowie czyszczą, szlufują i przerabiają. Takie to rozmaite dziwne rośliny i zwierzęta znajdują się na dnie morskiem. Bo też jak wam już wspomniałem, dno morskie, to nie takie nagie albo kamieniste, jak w rzekach. Rośnie tam mnóstwo roślin najrozmaitszych, jakieś dziwne trawy i krzaki, a nieraz to rośliny te są takie wysokie, że i najwyższe drzewa nasze nic naprzeciw nich nie znaczą. Rośnie też na dnie morza także i gąbka, którąście przecież widzieli już nieraz i nie sto razy. I po te gąbki, których używają ludzie do mycia i innych rzeczy, spuszczają się ludzie na dno morskie, rwą do koszów, a potem przemywają, czyszczą i suszą. Są też na morzu takie rośliny, które pływają po wierzchu, a rosną na wodzie i zwą się dlatego wodorosty. Te wodorosty nieraz przez duże kawały morza się ciągną, a są miejscami tak gęste i poplątane, że okręta nie mogą przepłynąć, bo je te wodorosty swemi gałęziami zatrzymują. Ale dość już opowiadania na dzisiaj. Pożniej kiedy, to może wam znowu co o morzu opowiem, bom o niejednej rzeczy zapomniał. Dobranoc!

— Dobranoc! A ślicznie też dziękujemy, panie Wincenty, za tę ciekawą gawędę o morzu! — zawołali wszyscy i rozeszli się z izby.

Wojtek ze Smolnicy.

☛ *Winszujemy Wam, mili bracia, z całego serca wesołych świąt i prosimy, abyście też przy opłatku nie zapomnieli i o Dzwonku, który już siódmy rok jest waszym dobrym przyjacielem. Nie namyślajcież się też długo, jeno przysyłajcie rychło* ***jeden reński na pół roku — lub dwa reńskie na cały rok*** *— a my tu już nie pożałujemy pracy, aby Wam piękne historje i ciekawe różności w Dzwonku drukować. Razem z dzisiejszym numerem posyłamy Wam różową okładzinkę i spis tego wszystkiego, co w tym tomie było drukowane.*

Panu Bogu Was oddajemy kochani bracia!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.